

TERRY PRATCHETT

Trzy Wiedźmy

Odwołania do dzieł Shakespeare'a na podstawie:

Makbet w przekł. Józefa Paszkowskiego

Hamlet w przekł. Józefa Paszkowskiego

Jak wam się podoba w przekł. Józefa Ulricha

Król Henryk IV w przekł. Leona Ulricha

Sen nocy letniej w przekł. Stanisława Koźmiana

Król Lir w przekł. Józefa Paszkowskiego

Sonet 18 w przekł. Stanisława Barańczaka

Osoby: trzy czarownice, a także królowie, sztylety, korony, burze, krasnoludy, koty, duchy, widma, małpy, bandyci, demony, lasy, następcy, trefnisie, tortury, trolle, wirujące sceny, ogólna radość oraz wrzawy wielorakie.

Huczała wichura. Błyskawice raz po raz kłuły ziemię, niby niezręczny skrytobójca. Grom przetaczał się tam i z powrotem - po ciemnych, chłostanych deszczem wzgórzach.

Noc była czarna jak wnętrze kota. Można by uwierzyć, że właśnie w taką noc bogowie przesuwają ludzi niczym pionki na szachownicy losu. Pośród tej burzy żywiołów ogień migotał pod ociekającymi krzewami kolcolistu jak obłęd w oczach łasicy. Oświeślał trzy przygarbione postacie. Kiedy zabulgotał kociołek, ktoś zajęczał przeraźliwie:

- Rychłoż się zejdzem znów? Zapadło milczenie.

Aż w końcu ktoś inny odpowiedział tonem o wiele bardziej zwyczajnym:

- Myślę, że dam radę w przyszły wtorek.

Przez bezdenną otchłań kosmosu płynie gwiazdny żółw Wielki A'Tuin, niosąc na grzbiecie cztery ogromne słonie, dźwigające na barkach ciężar świata Dysku. Maleńki księżyc i słońce krążą wokół nich po skomplikowanych orbitach, powodujących zmiany pór roku. Nigdzie indziej we wszechświecie nie zdarza się, by słoń musiał przesunąć nogę, zwalniając drogę dla słońca.

Być może, nigdy nie uda się wyjaśnić, dlaczego właściwie tak jest. Może Stwórca wszechświata znudził się typowymi problemami nachylenia osi, albedo i prędkości obrotowych. I postanowił chociaż raz się zabawić.

Z dużym prawdopodobieństwem można przypuszczać, że bogowie tego świata nie grają w szachy - i tak jest istotnie. Nie mają dostatecznej wyobraźni. Bogowie wolą proste, okrutne gry, gdzie Nie Osiągasz Transcendencji, ale Trafiasz Prosto w Otchłań. Kluczem do zrozumienia wszelkiej religii jest fakt, że dla boga najlepszą zabawą są Węże i Drabiny z nasmarowanymi tłuszczem szczękami.

To magia spaja świat Dysku - magia generowana jego obrotami, magia przędzona jak jedwab z pierwotnej struktury egzystencji i zszywająca rany rzeczywistości.

Wiele z tych nici kończy się w Ramtopach, górach ciągnących się od zamrzniętych ziem wokół Osi poprzez długi archipelag aż do ciepłych mórz, w nieskończoność przelewających się nad Krawędzią w przestrzeń.

Pierwotna magia strzela niewidzialnymi iskrami pomiędzy jednym szczytem a drugim i uziemia się w górach. Ramtopy dostarczają światu większości magów i

czarownic. W Ramtopach liście na drzewach poruszają się, chociaż nie ma wiatru. Wieczorami głązy wychodzą na przechadzkę.

Czasami nawet ziemia wydaje się żywa.

A czasami także niebo.

Burza naprawdę dawała z siebie wszystko. Miała swoją wielką szansę. Przez całe lata wędrowała po prowincji, wypełniając pożyteczne prace jako szkwał, nabierała doświadczenia, nawiązywała kontakty, od czasu do czasu zaskakiwała niczego nie podejrzewających pasterzy albo łamała młode dęby. A teraz wolne miejsce w pogodzie dało jej okazję, by się wykazać. Rozbudowywała rolę w nadziei, że zauważy ją któryś z wielkich klimatów.

To była dobra burza. Cechowała ją godna uwagi żywiołowość i pasja. Krytycy zgodnie oceniali, że jeśli tylko nauczy się panować nad swymi gromami, będzie w najbliższych latach burzą wartą zobaczenia.

Lasy huczały oklaskami, pełne mgieł i zerwanych liści.

W takie noce, jak już wspomniano, bogowie rozgrywają gry inne niż szachy. Grają losami ludzi i tronami królów. Nie wolno zapominać, że zawsze oszukują, do samego końca...

Po wyboistej leśnej drodze pędził powóz. Podskakiwał gwałtownie, gdy koła trafiały na korzenie drzew. Woźnica poganiał zaprząg, a rozpaczliwe trzaski bata zgrabnie akcentowały ryk huraganu nad głową.

Za nim... bardzo blisko za nim i coraz bliżej... mknęli trzej zakapturzeni jeźdźcy.

W takie noce dokonują się złe uczynki. Dobre również, ma się rozumieć. Ale ogólnie rzecz biorąc, głównie te złe.

W takie noce czarownice wyruszają w świat. No, może nie całkiem w świat. Nie lubią obcej kuchni, nie są pewne wody, a w dodatku szamani stale zajmują im leżaki. Ale dzisiaj zza porwanych chmur wylaniał się księżyc w pełni, szarpane wiatrem powietrze pełne było szeptów i bardzo wyraźnego posmaku magii.

Na swej polanie w lesie rozmawiały czarownice. - We wtorek mam przypilnować dzieciaka - oświadczyła jedna z nich. Nie nosiła kapelusza, a tylko

burzę siwych loków, tak gęstych, że przypominały hełm. - Najmłodszego naszego Jasona. Ale może być piątek. Pospiesz się z herbatą, skarbie. Gardło mi zaschło na wiór.

Najmłodsza z trójki westchnęła i chochlą przełała trochę wrzątku z kociołka do imbryka.

Trzecia czarownica poklepała ją przyjaźnie po ręku.

- Ładnie to powiedziałaś - zapewniła. - Musisz jeszcze popracować nad zgrzytaniem. Mam rację, Nianiu Ogg?

- Zgrzytanie zawsze się przyda - zgodziła się czym prędzej Niania Ogg. - Widzę, że Mateczka Whemper, niechodpoczywawspokoju, dobrze cię wprawiła w zezie.

- Przyzwoity zez - przyznała Babcia Weatherwax.

Najmłodsza, nosząca imię Magrat Garlick, uspokoiła się wyraźnie. Żywiła wielki szacunek dla Babci Weatherwax. W całych Ramtopach było wiadome, że panna Weatherwax rzadko kiedy bywa z czegoś zadowolona. Jeśli stwierdziła, że to przyzwoity zez, to oczy Magrat zaglądały pewnie w dziurki nosa.

W przeciwieństwie do magów, którzy najbardziej ze wszystkiego lubią skomplikowaną hierarchię, czarownice nie dbają o ustaloną strukturę rozwoju kariery zawodowej. Każda z nich sama decyduje, czy przyjąć do siebie jakąś dziewczynę i po śmierci przekazać jej swój teren. Czarownice nie są z natury towarzyskie, przynajmniej wobec innych czarownic, i z pewnością nie mają żadnych przywódczyń.

Babcia Weatherwax była najbardziej szanowaną ze wszystkich przywódczyń, których nie miały.

Magrat lekko drżały ręce, kiedy parzyła herbatę. Oczywiście, czuła się zaszczyczona, ale i zdenerwowana, że przypadło jej zacząć pracę wioskowej czarownicy pomiędzy Babcią i -z drugiej strony lasu - Nianią Ogg. Sama wpadła na pomysł, by utworzyć miejscowy sabat. Miała wrażenie, że tak będzie bardziej... no... bardziej okultystycznie. Ku jej zdumieniu, dwie czarownice zgodziły się, a przynajmniej nie odmówiły zbyt stanowczo.

- Rabat? - zdziwiła się Niania Ogg. - A po co nam wspólny rabat?

- Jej chodzi o sabat, Gytho - wyjaśniła Babcia Weatherwax. - No wiesz, jak za dawnych lat. Spotkanie.

- Potupiemy? - spytała Niania Ogg z nadzieją.

- Żadnych tańców - uprzedziła Babcia. - Nie przepadam za tańcami. Ani

śpiewami, ani nadmiernym podnieceniem, ani zabawą z różnymi maściami i tym podobnie.

- Dobrze ci robi takie wiście - oświadczyła z zachwytem Niania.

Magrat była trochę rozczarowana w kwestii tańca i zadowolona, że nie zdradziła jednego czy drugiego pomysłu, który jej chodził po głowie. Sięgnęła po przyniesione z domu zawiniątko. To był jej pierwszy sabat i postanowiła, że wypadnie jak należy.

- Może ktoś ma ochotę na słodką bułeczkę? - zaproponowała.

Babcia dobrze się przyjrzała, zanim odgryzła pierwszy kęs. Każda bułeczka miała symbol nietoperza na wierzchu. Oczka nietoperzy Magrat zrobiła z rodzynek.

Powóz przebił się między drzewami na skraju lasu, wjechał na kamień, przez moment jechał na dwóch kołach, wyprostował się wbrew wszelkim prawom równowagi i pognął dalej. Jednak wyraźnie zwolnił. Hamowało go zbocze.

Woźnica stanął na nogi, w stylu powożących rydwanami, odgarnął z czoła włosy i wpatrzył się w mrok. Nikt nie mieszkał u podnóża samych Ramtopów, a jednak widział przed sobą światło. Dzięki wszystkiemu, co łaskawe... To naprawdę światło. Za jego plecami w dach powozu wbiła się strzała.

Tymczasem król Verence, władca Lancre, dokonywał odkrycia.

Jak większość ludzi - w każdym razie większość ludzi w wieku poniżej sześćdziesiątki - Verence nie dręczył swego umysłu rozważaniami, co się dzieje z człowiekiem po śmierci. Jak większość ludzi od samego zarania dziejów zakładał, że w końcu wszystko samo się jakoś ułoży.

I - jak większość ludzi od zarania dziejów - był teraz martwy. Leżał u stóp schodów w zamku Lancre, ze sztyłem w plecach.

Usiadł i stwierdził ze zdumieniem, że kiedy ktoś, o kim chciałby myśleć jako o sobie, siedział, coś bardzo podobnego do jego ciała pozostało w pozycji leżącej na podłodze.

To całkiem dobre ciało, uznał, po raz pierwszy oglądając je z zewnątrz. Zawsze był do niego przywiązany, choć musiał przyznać, że w tej chwili sytuacja uległa zmianie. Było potężnie i dobrze umięśnione. Dbał o nie. Wyhodował mu wąsy i

długie faliste włosy. Pilnował, żeby dostarczać mu wielu zdrowych ćwiczeń na świeżym powietrzu i dużo czerwonego mięsa. A teraz, kiedy ciało bardzo by mu się przydało, akurat go zawiodło. A raczej opuściło.

W dodatku musiał jakoś ustosunkować się do stojącej tuż obok wysokiej, chudej postaci. Skrywała się pod czarną szatą z kapturem; jedna ręka, wysunięta spomiędzy fałd i ściskająca wielką kosę, zbudowana była z kości.

Kiedy człowiek już umrze, pewne rzeczy rozpoznaje instynktownie.

WITAM.

Verence wyprostował się na pełną wysokość, a raczej to, co byłoby pełną wysokością, gdyby ta jego część, do której określenie takie mogłoby się odnosić, nie leżała teraz na podłodze oczekując przyszłości, w której jedynie słowo „głębokość” byłoby na miejscu.

- Jestem królem, zechciej pamiętać - powiedział. BYŁEŚ, WASZA WYSOKOŚĆ.

- Co? - warknął Verence.

POWIEDZIAŁEM: BYŁEŚ. NAZYWA SIĘ TO CZASEM PRZESZŁYM. WKRÓTCE SIĘ DO NIEGO PRYZWYCZAISZ.

Wysoka postać zastukała kościanymi palcami o drzewce kosi. Była wyraźnie czymś poirytowana.

Jeśli się zastanowić, pomyślał Verence, to ja też jestem poirytowany.

Pewne wyraźne, oczywiste w tej sytuacji sugestie przebijały się nawet przez obłąkaną, brawurową głupotę, stanowiącą zasadniczą część królewskiego charakteru. Verence uświadamiał sobie powoli, że niezależnie od tego, w jakim królestwie się obecnie znalazł, to nie on jest w nim królem.

- Czy jesteś Śmiercią, przyjacielu? - zapytał. MAM WIELE IMION.

- A którego obecnie używasz? - zapytał Verence z nieco większym szacunkiem.

Wokół nich kłębili się ludzie. Co gorsza, sporo osób kłębiło się także przez nich, jak duchy.

- A więc to Felmet - dodał król, spoglądając na postać przyczajoną na szczycie schodów i obscenicznie zadowoloną. - Ojciec zawsze mi powtarzał, że nie powinienem odwracać się do niego plecami. Dlaczego nie jestem wściekły?

GRUCZOŁY, wyjaśnił krótko Śmierć. ADRENALINA I TAK DALEJ. I EMOCJE. NIE MASZ ICH. JEDYNE, CO CI POZOSTAŁO, TO MYŚL.

Wyraźnie podjął jakąś decyzję.

TO WBREW REGUŁOM, mówił dalej, jakby do siebie. ALE KIM JA JESTEM, ŻEBY SIĘ SPIERAĆ?

- Kim, istotnie. SŁUCHAM?

- Powiedziałem: kim, istotnie.

CICHO BĄDŹ.

Śmierć przechylił czaszkę na bok, jakby wsłuchiwał się w wewnętrzny głos. Opadł mu kaptur i martwy król zauważył, że Śmierć przypomina gładki szkielet pod każdym względem prócz jednego: oczodoły płonęły mu błękitem nieba. Verence nie czuł strachu - trudno czuć strach, jeśli elementy do niego niezbędne stygną właśnie o kilka stóp obok, a w dodatku nigdy w życiu niczego się nie bał i nie miał ochoty zaczynać w tej chwili. Po części z powodu braku wyobraźni, ale też dlatego że był jednym z tych rzadkich osobników całkowicie zogniskowanych w czasie.

Większość ludzi jest inna. Przeżywają swoje krótkie życie w rodzaju temporalnego rozmycia wokół punktu, gdzie znajduje się ich ciało: przewidują przyszłość albo nie umieją porzucić przeszłości. Zwykle są tak zajęci myśleniem, co zdarzy się za chwilę, że to, co zdarza się teraz, poznają jedynie drogą wspomnień. Taka jest większość. Uczą się strachu, ponieważ potrafią naprawdę przewidzieć - daleko poniżej poziomu świadomości - co się wydarzy. Dla nich to już się wydarza.

Verence zawsze żył tylko w teraźniejszości. To znaczy aż do teraz.

Śmierć westchnął.

PEWNIENI CIĘ O NICZYM NIE UPRZEDZIŁ, rzekł zniechęcony.

- Słucham?

ŻADNYCH PRZECZUĆ? NIEZWYKŁYCH SNÓW? SZALONYCH WIESZCZÓW WYKRZYKUJĄCYCH RÓŻNE RZECZY NA ULICY?

- O czym? O umieraniu?

NIE, RACZEJ NIE. ZBYT WIELE OCZEKUJĘ, mruknął zgryźliwie Śmierć. WSZYSTKO ZRZUCAJĄ NA MNIE.

- Kto zrzuca? - zdumiał się Verence.

LOS. PRZEZNACZENIE. I CAŁA RESZTA. Śmierć położył królowi dłoń na ramieniu. RZECZ W TYM, OBAWIAM SIĘ, ŻE MASZ ZOSTAĆ DUCHEM.

-Aha... - Król spojrzał na swoje ciało, które wydało mu się dość trwałe. A potem ktoś przez nie przeszedł.

NIE DENERWUJ SIĘ TYM.

Verence przyglądał się, jak słudzy z szacunkiem wynoszą z holu jego sztywne zwłoki.

- Spróbuję - mruknął. ZUCH.

- Ale obawiam się, że nic mi nie wyjdzie z białych prześcieradeł i dzwonienia łańcuchami - dodał. - Czy muszę snuć się bez celu, jęczeć i wrzeszczeć?

Śmierć wzruszył ramionami.

A CHCESZ? zapytał.

- Nie.

W TAKIM RAZIE NA TWOIM MIEJSCU BYM SIĘ TYM NIE PRZEJMOWAŁ.

Z głębin swej ciemnej szaty wyjął klepsydrę i przyjrzał się jej uważnie.

NAPRAWDĘ MUSZĘ JUŻ LECIEĆ, oświadczył.

Odwrócił się na pięcie, zarzucił kosę na ramię i ruszył przez ścianę holu.

- Chwileczkę! Zaczekaj! - krzyknął Verence i pobiegł za nim. Śmierć nie obejrzał się. Verence ruszył za nim przez mur; przypominało to wędrówkę we mgle.

- Czy to wszystko? - zapytał. - Chcę wiedzieć, jak długo mam być duchem. Dlaczego jestem duchem? - Zatrzymał się i wzniosł władczo nieco prześwitujący palec. - Stój! Rozkazuję ci!

Śmierć smętnie pokręcił głową i przeszedł przez kolejną ścianę. Król pospieszył w jego ślady, zachowując tyle godności, ile zdołał. Znalazł Śmierć poprawiającego uprząż na wielkim białym koniu, stojącym na blankach. Koń miał na pysku worek z obrokiem.

- Nie możesz mnie tak zostawić - rzekł król widząc, że właśnie to wkrótce się stanie.

Śmierć odwrócił się do niego.

MOGĘ, oświadczył. JESTEŚ UPIOREM. DUCHY ZAMIESZKUJĄ ŚWIAT POMIĘDZY KRAINĄ ŻYWYCH I KRAINĄ UMARŁYCH. NIE JA ZA NIE ODPOWIADAM. Poklepał króla po ramieniu. NIE MARTW SIĘ. TO NIE POTRWA WIECZNIE.

- To dobrze.

ALE MOŻE SIĘ WYDAWAĆ WIECZNOŚCIĄ.

- A jak długo potrwa naprawdę?

DOPÓKI NIE WYPEŁNISZ SWEGO PRZEZNACZENIA, JAK SĄDZĘ.

- A skąd się dowiem, jakie to przeznaczenie? - wypytywał zrozpaczony król.

PRZYKRO MI, ALE W TYM NIE MOGĘ CI POMÓC.

- Jak mogę to odkryć?

JAK ROZUMIEM, TAKIE SPRAWY ZWYKLE SAME STAJĄ SIĘ OCZYWISTE, odparł Śmierć i wskoczył na siodło.

- A do tego czasu muszę nawiedzać to miejsce... - Verence rozejrzał się po murze obronnym. - I pewnie całkiem sam. Czy ktoś może mnie zobaczyć?

TAK... CI O PSYCHICZNYCH SKŁONNOŚCIACH. BLISCY KREWNI. I KOTY, OCZYWIŚCIE.

- Nie znoszę kotów.

Śmierć zesztywniał lekko, o ile to możliwe. Błękitne płomyki w jego oczach na moment zamigotały czerwienią.

ROZUMIEM, rzekł. Ton sugerował, że zgon jest zbyt dobry dla wrogów kotów. PRZYPUSZCZAM, ŻE LUBISZ WIELKIE, GROŻNE PSY.

- Szczerze mówiąc, tak. - Król spoglądał posępnie na wschodzące słońce. Psy... Będzie mu ich brakowało. A właśnie zapowiadał się świetny dzień na polowanie.

Ciekawe, czy duchy polują. Prawie na pewno nie, uznał. I pewnie też nie jedzą ani nie piją, a to już naprawdę przykre. Lubił tłumne, gwarne przyjęcia i wyżłopał¹ w życiu wiele kwart dobrego piwa. Zresztą złego również. Nigdy ich nie rozróżniał; dopiero następnego ranka.

Ponuro kopnął kamień i zauważył zniechęcony, że stopa przeszła na wylot. Żadnych polowań, pijaństwa, uczt, toastów, sokołów... Zaczynał sobie uświadamiać, że bez ciała trudno o cielesne rozkosze. I nagle życie wydało mu się warte przeżywania. A fakt, że go nie przeżywa, wcale nie poprawił mu humoru.

NIEKTÓRZY LUBIĄ BYĆ DUCHAMI, zauważył Śmierć.

- Hm - mruknął smętnie Verence.

SŁYSZAŁEM, ŻE TO NIE TAKIE STRASZNE. MOGĄ OBSERWOWAĆ, JAK SOBIE RADZĄ ICH POTOMKOWIE... PRZEPRASZAM, O CO CHODZI?

Ale Verence zniknął już w murze.

NIE ZWRACAJ NA MNIE UWAGI, rzucił urażony Śmierć. Rozejrzał się wokół wzrokiem spoglądającym poprzez czas, przestrzeń i dusze ludzkich istot. Zauważył lawinę w dalekim Klatchu, huragan w Howandalandzie i zarazę w Hergen.

PRACA, PRACA, wymruczał i spiął konia, który skoczył w niebo.

Verence pędził przez ściany własnego zamku. Jego stopy ledwie dotykały

podłogi; co więcej, nierówności owej podłogi powodowały, że chwilami stopy w ogóle nie dotykały podłoża.

Będąc królem, Verence przyzwyczał się traktować służących, jakby nie istnieli. Przenikanie przez nich w roli ducha było prawie tym samym. Jedyna różnica, to że nie ustępowali mu z drogi.

Dotarł do komnaty dziecinnej, spostrzegł wyłamane drzwi, rozrzuconą pościel...

Usłyszał tętent kopyt. Skoczył do okna, zobaczył własnego konia galopującego przez bramę między dyszlami karocy. Po kilku sekundach wyjechali za nim trzej jeźdźcy. Echo stukotu kopyt unosiło się przez moment na dziedzińcu i zamarło.

Król walnął pięścią w parapet; dłoń zanurzyła się na kilka cali w kamień.

Potem skoczył przez okno, nie dbając o wysokość, i na wpół przefrunął, na wpół przebiegł do stajni.

Zaledwie dwadzieścia sekund zajęło mu odkrycie, że do wielu rzeczy, których duchy nie mogą robić, należy dodać dosiadanie wierzchowca. Udało mu się wsiąść na siodło, a przynajmniej zawisnąć okrakiem w powietrzu o cal nad nim, ale kiedy koń wreszcie się spłoszył, przerażony dziwnym zjawiskiem poza uszami, Verence został na miejscu, dosiadając pięciu stóp świeżego powietrza.

Spróbował pobiec i dotarł aż do bramy, ale tu powietrze wokół niego zgęstniało jak smoła.

- Nie wyjdiesz - zabrzmiał smutny, starchy głos tuż za nim. - Musisz zostać tu, gdzie zostałeś zabity. To właśnie oznacza nawiedzanie. Możesz mi wierzyć. Wiem dobrze.

Babcia Weatherwax znieruchomiała z uniesioną do ust drugą słodką bułeczką.

- Coś się zbliża - oznajmiła.

- Zgadujesz po świerzbieńcu palca? - zapytała podniecona Magrat. Wszystkiego o magii nauczyła się z książek.

- Świerzbieńcu uszu - odparła Babcia. Uniosła brew i zerknęła na Nianię Ogg. Stara Mateczka Whemper była na swój sposób czarownicą wspaniałą, ale nazbyt marzycielską. Za dużo kwiatów, romantycznych uniesień i tak dalej.

¹ Żłopanie przypomina picie, tylko więcej się rozlewa.

Co jakiś czas błyskawica rozświetlała ciągnące się do skraju puszczy wrzosowiska. Deszcz, padający na ciepłą latem ziemię, wypełniał powietrze smugami mgły.

- Kopyta? - zdziwiła się Niania Ogg. - Nikt chyba by tędy nie przejeżdżał tak *późną* nocą.

Magrat rozejrzała się lękliwie. Tu i tam wśród wrzosowisk wyrastały wielkie głazy. Ich początki ginęły w pomroce dziejów, ale podobno prowadziły ruchliwe i tajemne życie. Zadrżała.

- Czego tu można się bać? - wyszeptała niepewnie.

- Nas - odparła z dumą Babcia Weatherwax. Tętent kopyt zbliżył się i zwolnił. A potem kareta zadudniła między krzewami kolcolistu; konie zwiślały niemal w uprzęży. Woźnica zeskoczył, podbiegł do drzwi, wyjął z powozu duże zawiniątko i ruszył w stronę trzech czarownic.

Był już w połowie drogi, kiedy zatrzymał się i wbił w Babię Weatherwax wzrok pełen grozy.

- Wszystko w porządku - szepnęła. Cichy głos przebił się przez pomruk burzy, czysty jak dzwon.

Postąpiła kilka kroków w kierunku mężczyzny. Usłużna błyskawica pozwoliła spojrzeć prosto w jego oczy. Były skupione w ten szczególny sposób, który tym, co Wiedzą, mówił wyraźnie, że ich właściciel nie patrzy już na ten świat.

Ostatnim wysiłkiem wcisnął zawiniątko w ręce Babci i runął na twarz; pióra bełtu z kuszy sterczały mu z pleców.

Trzy postacie wstąpiły w krąg światła ognia. Babcia spojrzała w inne oczy - oczy lodowate jak zbocza Piekła.

Ich posiadacz odrzucił na bok kuszę. Kiedy wyciągał miecz, pod jego przemoczonym płaszczem błysnęła kolczuga.

Nie zakręcił młynka ostrzem. Oczy, wciąż wpatrujące się w twarz Babci, nie należały do człowieka, który lubi kręcić młynki. Należały do kogoś, kto doskonale wie, do czego służą miecze.

Wyciągnął rękę.

- Oddasz mi to - rzekł.

Babcia odchyliła koc z zawiniątka i spojrzała na małą twarzyczkę spowitą w sen.

Podniosła głowę.

- Nie - oświadczyła dla zasady.

Żołnierz zmierzył wzrokiem ją, a potem Magrat i Nianię Ogg, stojące nieruchomo jak głązy na wrzosowiskach.

-Jesteście czarownicami? - zapytał.

Babcia przytaknęła. Błyskawica przeszła niebo i pięćdziesiąt sążni od Babci krzak rozbłysnął płomieniem. Dwaj żołnierze za dowódcą zamruczeli coś, ale on uśmiechnął się tylko i uniósł okrytą kolczugą dłoń.

- Czy skóra czarownic odbija stal?

- Nic o tym nie wiem - odparła chłodno Babcia Weatherwax. - Chcesz sprawdzić?

Jeden z żołnierzy podszedł i ostrożnie stuknął dowódcę w ramię.

- Z całym szacunkiem sir, to nie jest dobry pomysł...

- Zamilcz.

- Ale to sprowadza straszne nieszczęście...

- Czy muszę cię prosić po raz drugi?

- Sir...

Babcia przez chwilę patrzyła mu w oczy, odbijające beznadziejne przerażenie.

Dowódca uśmiechnął się do niej.

- Wasza wsiowa magia jest dobra dla głupców, matko nocy. Mogę cię zabić na miejscu.

- Więc uderzaj, młodzieńcze. - Babcia spoglądała ponad jego ramieniem. - Skoro tak dyktuje ci serce, uderzaj, jeśli się ośmielisz.

Mężczyzna wzniósł miecz. Błyskawica uderzyła znowu i o kilka stóp od niego rozłupała kamień, wypełniając powietrze dymem i zapachem palonego krzemu.

- Pudło - stwierdził wzgardliwie.

Babcia spostrzegła, że napina mięśnie, gotów do ciosu.

Na jego twarzy pojawił się wyraz niezmiernego zdumienia. Przechylił głowę w bok i otworzył usta, jakby próbował pojąć nową ideę. Miecz wypadł mu z palców i wyśladował ostrzem w dół w ziemi. Potem mężczyzna westchnął i powoli osunął się do stóp Babci.

Delikatnie trąciła go czubkiem buta.

- Może nie wiedziałeś, w co celuję - szepnęła. - Matka nocy, też mi coś...

Żołnierz, który próbował powstrzymać dowódcę, patrzył ze zgrozą na zakrwawiony sztylet w dłoni. Cofnął się.

- Ja... ja... nie mogłem pozwolić... Nie powinien... To... to niewłaściwe... -jąkał się.

- Pochodzisz z tych okolic, młody człowieku? - spytała Babcia. Osunął się na kolana.

- Z Wściekłego Wilka, psze pani - odparł. Nie odrywał spojrzenia od martwego dowódcy. - Zabiją mnie teraz! - zajęczał.

- Ale uczyniłeś to, co uważałeś za słuszne - przypomniała Babcia.

- Nie po to zostałem żołnierzem. Nie żeby biegać po lesie i zabijać ludzi.

- Bardzo słusznie. Na twoim miejscu zostałabym marynarzem - stwierdziła w zadumie Babcia. - Tak, morska kariera. Zaczęłabym jak najszybciej. A nawet natychmiast. Uciekaj, młodzieńcze. Uciekaj na morze, gdzie nie zostają ślady. Czeka cię długie i udane życie, obiecuję. - Zastanowiła się przez chwilę i dodała: - A w każdym razie dłuższe niż będzie tutaj, jeśli zostaniesz w pobliżu.

Podniósł się, obrzucił ją spojrzeniem pełnym wdzięczności i lęku, po czym odbiegł i zniknął we mgle.

- A teraz może ktoś nam wyjaśni, o co tu chodzi - rzuciła Babcia, zwracając się do trzeciego z mężczyzn.

Do miejsca, gdzie był przed chwilą.

Zabrzmiiał jeszcze stłumiony tętent kopyt po trawie, a potem cisza.

Niania Ogg przykuśtykała bliżej.

- Mogłabym go złapać - oświadczyła. - Jak myślisz?

Babcia potrząsnęła głową. Usiadła na kamieniu i obejrzała trzymane na rękach dziecko. Był to mniej więcej roczny chłopiec, całkiem nagi pod kocem. Kołysała go odruchowo, wpatrzona w pustkę.

Niania Ogg zbadała oba ciała z miną kogoś, w kim obcowanie z umarłymi nie budzi żadnego lęku.

- Może to bandyci... - szepnęła drżąca Magrat. Niania pokręciła głową.

- To dziwne - zauważyła. - Obaj noszą ten sam herb. Dwa niedźwiedzie na czarno-złotej tarczy. Ktoś wie, co to oznacza?

- To herb króla Verence'a - wyjaśniła Magrat.

- A kto to taki? - spytała Babcia Weatherwax.

- Rządzi tą krainą.

- Ach... to ten król - mruknęła Babcia, jakby doprawdy nie było o czym mówić.

- Żołnierze walczący ze sobą nawzajem... To nie ma sensu -stwierdziła Niania

Ogg. - Magrat, zajrzyj do karety.

Najmłodsza czarownica zbadała powóz i wróciła z workiem. Potrząsnęła nim; coś wypadło na trawę.

Burza przetoczyła się na drugą stronę gór, a wodnisty księżyc zalał wilgotne wrzosowiska rzadką zupą światła. Odbijało się od czegoś, co bez wątpienia było bardzo ważną koroną.

- To korona - szepnęła Magrat. - Ma takie spiczaste końce.

- Ojej... - westchnęła Babcia.

Dziecko zamruczało przez sen. Babcia Weatherwax nie lubiła zaglądać w przyszłość, ale teraz czuła, że przyszłość gapi się na nią. I Babci wcale się nie podobała jej mina.

Król Verence spoglądał na przeszłość i dochodził do mniej więcej tych samych wniosków. - Widzisz mnie? - spytał.

- Owszem. Nawet całkiem wyraźnie - odparł przybysz.

Verence zmarszczył brwi. Był ducha wymaga o wiele więcej umysłowego wysiłku niż był żywego. Przez czterdzieści lat król radził sobie całkiem dobrze, nie myśląc częściej niż raz czy dwa razy dziennie. A teraz robił to bez przerwy.

- Aha... - stwierdził. - Też jesteś duchem.

- Domyślny jesteś.

- To ta głowa, którą trzymasz pod pachą - wyjaśnił Verence, całkiem z siebie zadowolony. - Podpowiedziała mi rozwiązanie.

- Przeszkadza ci? Jeśli tak, mogę ją włożyć z powrotem - zaproponował duch uprzejmie. Wyciągnął wolną rękę. - Miło mi cię poznać. Jestem Champot, król Lancre.

- Verence. Również. - Zerknął w dół, na twarz starego władcy. - Chyba nie przypominam sobie twojego portretu w Długiej Galerii... - dodał.

- To było już po mnie - wyjaśnił niedbale Champot.

- A jak długo tu jesteś?

Champot sięgnął w dół i podrapał się po nosie.

- Z tysiąc lat - odparł. W jego głosie zabrzmiał odcień dumy. - Od człowieka do ducha.

- Tysiąc lat!

- Prawdę mówiąc, sam zbudowałem ten zamek. Właśnie wyposażylem go ładnie od wewnątrz, kiedy bratanek uciął mi we śnie głowę. Nie masz nawet pojęcia, jak mnie to zirytowało.

- Ale... tysiąc lat... - powtórzył niepewnie Verence. Champot ujął go pod ramię.

- Nie jest tak źle - zwierzył się, ciągnąc nie stawiającego oporu króla przez dziedziniec. - W pewnym sensie nawet lepiej niż być żywym.

- To musi być wściekle dziwaczny sens - burknął Verence. - Ja tam lubiłem być żywym.

Champot uśmiechnął się pocieszająco.

- Przyzwyczaisz się wkrótce - zapewnił.

- Aleja nie chcę się przyzwyczajać!

- Masz silne pole morfogenetyczne - zauważył Champot. - Możesz mi wierzyć. Znam się na tym. Tak. Powiem wręcz, że bardzo silne.

- A co to takiego?

- Wiesz, nigdy nie byłem mocny w słowach. Zawsze łatwiej mi przychodziło walić czymś ludzi. Ale, jeśli dobrze zrozumiałem, wszystko sprowadza się do tego, jak bardzo byłeś żywy. Nazywa się to... - Champot zastanowił się. - Zwierzęca żywotność. Tak, to było to. Zwierzęca żywotność. Im więcej jej miałeś, tym bardziej zostajesz sobą, kiedy już jesteś duchem. Przypuszczam, że kiedy byłeś żywy, byłeś żywy w stu procentach.

Verence poczuł, że mu to pochlebia.

- Starłem się mieć zawsze coś do roboty - wyznał skromnie.

Spacerkiem przeszli przez mur do głównego holu, w tej chwili pustego. Widok prostych stołów wzbudził u króla odruchową reakcję.

- Jak zapewnimy sobie śniadanie? - zapytał. Głowa Champota zrobiła zdziwioną minę.

- Nijak. Jesteśmy duchami.

- Ale ja jestem głodny!

- Nie, wcale nie. To tylko wyobraźnia.

Od strony kuchni dobiegał brzęk garnków. Kucharze wstali już do pracy, a wobec braku instrukcji, szykowali normalne zamkowe śniadanie. Z mrocznego korytarza prowadzącego do kuchni sączyły się znajome aromaty.

Verence pociągnął nosem.

- Kielbasa - westchnął rozmarzony. - Bekon. Jajka. Wędzona ryba. - Zerknął

na Champota. - Salceson - wyszeptał.

- Przecież nie masz żołądka - przypomniał mu stary duch. - To zwykła siła przyzwyczajenia. Myślisz tylko, że jesteś głodny.

- Myślę, że mógłbym zjeść konia z kopytami.

- Owszem, ale tak naprawdę niczego nie możesz dotknąć. Rozumiesz? - tłumaczył łagodnie Champot. - Zupełnie niczego-

Verence opadł na ławę, ostrożnie, żeby przez nią nie przeniknąć, i ukrył twarz w dłoniach. Słyszał, że śmierć bywa nieprzyjemna. Po prostu nie uświadamiał sobie, jak bardzo.

Chciał zemsty. Chciał się wydostać z tego nagle obrzydliwego zamku i odszukać syna. Ale jeszcze bardziej przeraziło go odkrycie, że tak naprawdę w tej chwili chce przede wszystkim talerza cynaderek.

Mokry świt płynął przez kraj, pokonał mury obronne zamku Lancre, szturmem zdobył twierdzę i wreszcie przebił się przez okna pokoju na wieży. Książę Felmet spoglądał ponuro na ociekający deszczem las. Było go strasznie dużo. Książę nie miał nic przeciwko drzewom jako takim, jedynie widok tak wielu ich w jednym miejscu wpędzał go w depresję. Ciągle miał ochotę je liczyć.

- W samej rzeczy, kochanie - powiedział.

Tym, którzy go znali, książę przywodził na myśl rodzaj jaszczurki, możliwe że z gatunku, który żyje na wyspach wulkanicznych, porusza się raz dziennie, ma śladowe trzecie oko i mruga parę razy w miesiącu. On sam uważał się za człowieka cywilizowanego, przeznaczonego do życia w suchym powietrzu i jasnym słońcu porządnie zorganizowanego klimatu.

Z drugiej strony, myślał, takiemu drzewu to dobrze. Drzewa nie mają uszu; był tego prawie pewien. I jakoś sobie radzą bez błogosławionego stanu małżeńskiego. Dąb samiec - musi gdzieś to sprawdzić - dąb samiec po prostu wysypuje swój pyłek na wiatr, a cała ta sprawa z żołądziami... chyba że to dębowe jabłka, nie, raczej na pewno żołądzie... odbywa się gdzie indziej...

- Tak, mój skarbie - powiedział.

Tak, drzewa dobrze to sobie wymyśliły. Książę Felmet spojrzał gniewnie na sklepienie liści. Samolubne dranie.

- Z całą pewnością, najdroższa - powiedział.

- Co? - warknęła księżna.

Książę zawahał się, rozpaczliwie usiłując odtworzyć ostatnie pięć minut monologu. Chodziło chyba o niego, o to, że jest tylko w połowie mężczyzną i... kaleką w duchu? Był też przekonany, że słyszał skargę na chłód w zamku. Tak, zapewne o to właśnie chodzi. No cóż, te przekłete drzewa przynajmniej raz mogą się na coś przydać.

- Każę ściąć je i natychmiast tu przynieść, umiłowana - obiecał.

Lady Felmet na moment zaniemówiła, a takie wydarzenie godne jest odnotowania w kalendarzu. Była kobietą potężną i władczą. Ludzie spotykający ją po raz pierwszy mieli wrażenie, że stoją przed dziobem galeonu pod pełnymi żaglami. Efekt ten zwiększało jeszcze błędne przekonanie lady Felmet, że do twarzy jej w czerwonym aksamicie. W każdym razie nie kontrastował on z jej cerą, ale wręcz pasował do niej doskonale.

Książę często myślał o swoim szczęściu, które kazało mu ją poślubić. Gdyby nie potężny napęd jej ambicji, byłby teraz zwykłym miejscowym wielmożą; nie miałby nic do roboty prócz polowania, pijaństwa i korzystania ze swego droit de seigneur². Tymczasem teraz znalazł się tylko o jeden stopień od tronu i wkrótce będzie władcą wszystkiego, co widzi.

W tej chwili widział jedynie drzewa.

Westchnął.

- Co ściąć? - spytała lodowatym tonem lady Felmet.

- Drzewa, naturalnie - wyjaśnił książę.

- A co drzewa mają z tym wspólnego?

- No wiesz... Jest ich tak strasznie dużo - oznajmił z uczuciem.

- Nie zmieniaj tematu!

- Przepraszam, moja najśłodsza.

- Zastanawiałam się właśnie, jak mogłeś być takim głupcem i pozwolić im uciec? Mówiłam ci, że ten sługa jest o wiele za lojalny. Komuś takiemu nie można ufać.

- Nie, moja ukochana.

- I pewnie nie wpadło ci do głowy, żeby kogoś za nimi posłać?

² Cokolwiek to było. Nigdy nie znalazł nikogo, kto zechciałby mu to wytłumaczyć. Jednak było to stanowczo coś, co pan feudalny musi posiadać, a także - był pewien - wymagało to częstego używania; inaczej zapewne mogłoby zardzewieć. Wyobrażał sobie, że to coś w rodzaju wielkiego miecza. Podjął decyzję, że zdobędzie taki miecz i - do licha - będzie z niego korzystał.

- Bentzena, moja najdroższa. I dwóch gwardzistów.

-Aha...

Księżna urwała. Bentzen, dowódca osobistej gwardii książęcej, był zabójcą tak skutecznym, jak psychotyczna mangusta. Sama by go wybrała. Przez moment poczuła irytację, gdyż straciła szansę krytykowania męża. Szybko jednak odzyskała panowanie nad sobą.

- W ogóle nie musiałby jechać, gdybyś mnie posłuchał. Ale nie, nigdy.

- Co nigdy, moja namiętności?

Książę ziewnął. Miał za sobą długą noc. Szalała burza z piorunami o całkiem zbędnie dramatycznych efektach. Była też ta nieprzyjemna sprawa z nożami.

Wspomniano już, że książę Felmet znalazł się o jeden stopień od tronu. Stopień, o którym mowa, tkwił u szczytu schodów prowadzących do głównego holu. Z tych schodów stoczył się w ciemności król Verence, by wylądować - wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu - na własnym sztylcie.

Jednakże jego osobisty lekarz wyjaśnił, że jest to śmierć z przyczyn naturalnych. Bentzen odwiedził księcia i wytłumaczył, że upadek ze schodów ze sztyltem w plecach to choroba wywołana przez nierozsądne mielenie językiem.

Zaraziło się nią już kilku członków królewskiej gwardii, którzy mieli kłopoty ze słuchem. Wybuchła niewielka epidemia.

Książę zadrżał. Pewne szczegóły minionej nocy wydawały mu się równocześnie zamglone i okropne.

Próbował się uspokoić, że wszelkie nieprzyjemności dobiegły końca i że ma już królestwo. Niewielkie, co prawda, i składające się głównie z drzew, ale jednak królestwo. Razem z koroną.

Jeśli tylko uda się ją znaleźć.

Zamek Lancre został wzniesiony na skale przez architekta, który słyszał o Gormenghaście, ale nie dysponował odpowiednim budżetem. Poradził sobie nieźle z drobną konfekcją barbakanów z wyprzedaży i przecenionych piwnic, przypór, blanków, maszkaronów, wież, dziedzińców, fortec i lochów. Właściwie znalazł wszystko, czego trzeba zamkowi, z wyjątkiem może porządných fundamentów i zaprawy murarskiej, której nie wypłukuje lekki deszcz.

Zamek wznosił się na zawrotnej wysokości tysiąca stóp ponad spienionym nurtem rzeki Lancre. Co jakiś czas odpadały od niego jakieś kawałki.

Choć był niewielki, mieścił tysiące schowków, gdzie można by ukryć koronę.

Księżna wyszła z godnością, by znaleźć kogoś innego, kogo mogłaby karcić. Felmet pozostał sam, smętnie wpatrzony w pejzaż za oknem. Zaczynało padać.

Jakby deszcz był znakiem, rozległo się potężne stukanie do bramy. Poważnie zaniepokoiło zamkowego lokaja, który w ciepłej kuchni grał w Okalecz Pana Cebulę z zamkowym kucharzem i zamkowym Błaznem.

Burknął coś niechętnie i wstał.

- Słysząc głucho stukanie - oznajmił.

- Jakie? - zdziwił się Błazen.

- Głucho, idioto.

Błazen przyjrzał mu się z niepokojem.

- Głucho i słysząc? To jakiś rodzaj zeń, prawda?

Kiedy lokaj poczłapał w stronę wejściowej bramy, kucharz rzucił do puli kolejnego miedziaka i ponad kartami surowo spojrzał na Błazna.

- Co to jest zeń? - zapytał. Brzęknęły dzwonki na czapce.

- No wiesz - odparł Błazen bez namysłu. - To podsekta systemu filozoficznego sumtina z obrotowego Klatchu. Charakteryzuje ją prostota i surowość, a oferuje adeptom osobiste ukojenie i zespolenie osiągnięte drogą medytacji i ćwiczeń oddechowych. Interesującym aspektem tego systemu jest stawianie pozornie bezsensownych pytań w celu poszerzenia bram percepcji.

- Możesz powtórzyć? - spytał podejrzliwie kucharz. Był zirytowany. Kiedy zaniósł do głównego holu śniadanie, miał uczucie, że coś próbuje wyrwać mu tacę z rąk. A jakby tego było mało, księżę posłał go z powrotem po... Kucharz zadrżał. Po owsiankę! I jajko na miękko! Był już za stary na takie fanaberie. Miał swoje przyzwyczajenia. Był kucharzem wiernym prawdziwej feudalnej tradycji. Jeśli coś nie miało jabłka w pysku i nie dało się upiec, on nie chciał tego podawać.

Błazen zawahał się z kartą w ręku, stłumił panikę i zastanowił się szybko.

- Widzę, wujaszku - zapiszczał - że masz dziś tyle pytań co żagli na morzu.

Kucharz odprężył się wyraźnie.

- Niech będzie - mruknął, nie do końca przekonany.

Na wszelki wypadek Błazen przegrał jeszcze trzy kolejne rozdania.

Lokaj tymczasem odsunął skobel wiklinowej furki i wyrzucił na zewnątrz.

- Kto tam stuka głucho? - zahuczał. Przemoczony i przerażony żołnierz zawahał się.

- Jeśli głucho, to jak usłyszałeś?

- Jeśli masz zamiar tyle gadać, to możesz sobie tam zostać na cały dzień - odparł spokojnie lokaj.

- Nie! Muszę natychmiast zobaczyć się z księciem! - wykrzyknął gwardzista. - Czarownice wędrują po świecie!

Lokaj miał już odpowiedzieć: „Wybrały dobrą porę” albo „Sam bym chętnie gdzieś wyjechał”; urwał jednak, gdy spojrzał w twarz przybysza. Zrozumiał, że nie warto się wysilać. Ten człowiek wyraźnie zobaczył rzeczy, których przyzwoici ludzie nie oglądają...

- Czarownice? - powtórzył lord Felmet.

- Czarownice! - mruknęła księżna.

W pełnym przeciągów korytarzu jakiś głos, cichy jak wiatr w odległych dziurkach od kluczy, zawołał z nutą nadziei: - Czarownice! Ci o psychicznych skłonnościach...

- To jest wtrącanie się i tyle - oświadczyła Babcia Weatherwax. - Nic dobrego z tego nie wyjdzie.

- To bardzo romantyczne - stwierdziła z uczuciem Ma-grat i westchnęła.

- Gu gu gu - powiedziała Niania Ogg.

- W każdym razie - rzekła Magrat - zabiłaś tego okropnego człowieka.

- Nigdy w życiu. Po prostu zachęciłam... sprawy, żeby potoczyły się właściwym kursem. - Babcia Weatherwax zmarszczyła czoło. - Nie miał ani krzty szacunku. Kiedy ludzie przestają okazywać szacunek, zbliżają się kłopoty.

- Izi wizi wazi pim.

- Ten drugi przyjechał tutaj, żeby go ratować! - krzyknęła Magrat. - Chciał, żebyśmy go ukryły! To oczywiste! To przeznaczenie!

- Tak, oczywiste... - mruknęła Babcia. - Przyznaję, to oczywiste. Ale to, że coś jest oczywiste, nie oznacza jeszcze, że jest praw-da.

Zważyła w dłoniach koronę. Wydawała się bardzo ciężka w sposób, który wykracza poza funty i uncje.

- Tak, ale rzecz w tym... - zaczęła Magrat.

- Rzecz w tym - przerwała Babcia - że ludzie będą go szukać. Poważni ludzie.

I będę szukać na poważnie. W stylu „rozwalić ściany i podpalić strzechę”. I...

- Jak tam mój malusi?

- ...I, Gytho, jestem pewna, że wszystkie pocujemy się lepiej, jeśli przestaniesz tak gruchać - warknęła Babcia. Nerwy zaczynały ją zawodzić. Zawsze to robiły, kiedy nie była pewna, co począć. Poza tym wszystkie trzy schroniły się w domku Magrat i wystrój też źle na nią działał. Magrat wierzyła w mądrość Natury, w elfy, w uzdrawiającą moc kolorów i wiele innych rzeczy, z którymi Babcia Weatherwax wołała nie mieć do czynienia.

- Nie będziesz mnie chyba uczyć, jak się opiekować dzieckiem - odparła gniewnie Niania Ogg. - Mnie, która ma piętnastkę własnych.

- Powiedziałam tylko, że musimy się nad tym zastanowić. Przez chwilę obie spoglądały na siebie groźnie.

- I co? - spytała Magrat.

Babcia zastukała o brzeg korony. Zmarszczyła czoło.

- Po pierwsze, musimy go stąd zabrać - oświadczyła. Uniosła rękę. - Nie, Gytho. Jestem pewna, że twój domek jest idealny i w ogóle, ale nie jest bezpieczny. On musi się *znaleźć* daleko stąd, bardzo daleko, gdzie nikt nie będzie wiedział, kim jest. I jeszcze mamy to... - Przerzuciła koronę z ręki do ręki.

- Ach, drobiazg - uspokoiła ją Magrat. - Po prostu schowaj ją pod kamieniem albo gdzieś. To łatwe. O wiele łatwiejsze niż ukrycie dziecka.

- Wcale nie - zaprzeczyła Babcia. - Kraj jest pełen dzieci i wszystkie wyglądają tak samo, ale raczej nie ma tu wielu koron. A one mają sposoby, żeby ktoś je znalazł. Tak jakby przyzywały ludzkie myśli. Jeśli wepchniesz ją pod kamień, w ciągu tygodnia da się przypadkiem odnaleźć. Zapamiętaj moje słowa.

- To prawda. Rzeczywiście - przytaknęła z zapalem Niania Ogg. - Ile to razy rzuciłaś magiczny pierścień do morza, potem wracałaś do domu, szycowałaś kawałek ryby na podwieczorek i miałas go z powrotem...

Zastanawiały się w milczeniu.

- Nigdy - rzekła z irytacją Babcia. - I ty też nie. W każdym razie on może zechce kiedyś ją odebrać. Prawnie należy do niego. Królom bardzo zależy na koronach. Doprawdy, Gytho, czasem opowiadasz takie...

- Zrobię herbatę, dobrze? - przerwała jej wesoło Magrat i wybiegła do kuchni.

Dwie stare czarownice siedziały po dwóch stronach stołu w uprzejmym i pełnym napięcia milczeniu. Wreszcie odezwała się Niania Ogg.

- Ładnie się tu urządziła, prawda? Kwiaty i w ogóle. Co to jest, co wisi na ścianach?

- Amulety - odparła kwaśno Babcia. - Albo coś podobnego.

- Miłe - przyznała grzecznie Niania Ogg. - I te wszystkie szaty, różdżki...

- Nowoczesność! - parsknęła Babcia Weatherwax. - Kiedy ja byłam młoda, miałyśmy bryłę wosku i parę spinek. I musiałyśmy się z tego cieszyć. Za tamtych lat same przygotowywałyśmy zaklęcia.

- No tak... Ale od tego czasu wiele wody przez nas przepłynęło - oznajmiła z mądrą miną Niania Ogg.

Uspokajająco kołysała dziecko.

Babcia Weatherwax pociągnęła nosem. Niania Ogg trzy razy wychodziła za mąż i rządziła plemieniem dzieci i wnuków rozrzuconych po całym królestwie. To fakt, czarownicom wolno zawierać małżeństwa. Babcia musiała to przyznać, chociaż niechętnie. Bardzo niechętnie. Raz jeszcze z dezaprobatą pociągnęła nosem. To był błąd.

- Co to za zapach? - spytała gniewnie.

- Ach... - Niania Ogg podniosła się ostrożnie. - Pójdę i zobaczę, czy Magrat nie ma jakichś czystych ściereczek. Dobrze?

Babcia została sama. Czuliła się zakłopotana, jak każdy, kto zostaje sam w cudzym pokoju i walczy z chęcią, by wstać i obejrzeć książki na półce nad kredensem albo sprawdzić, czy nie ma kurzu nad kominkiem.

Obróciła w dłoniach koronę. I znowu wywarła na niej wrażenie większej i cięższej niż w rzeczywistości.

Babcia zauważyła lustro nad kominkiem. Raz jeszcze spojrzała na koronę: kusila ją. Prawie błagała, żeby przymierzyć. A właściwie dlaczego nie? Sprawdziła jeszcze, czy nie ma w pobliżu koleżanek, po czym szybkim ruchem zdjęła kapelusz i wsadziła koronę na głowę.

Wydawało się, że pasuje. Babcia wyprostowała się z dumą i władczym gestem machnęła dłonią w stronę kominka.

- A pospiesz się z tym - poleciła. Skinęła arogancko na szafkowy zegar. - Ściąć mu głowę i tyle - rozkazała.

Uśmiechnęła się posępnie.

I zamarła. Usłyszała krzyki, tętent koni, śmiertelny szept strzał i głuchy, zduszony odgłos włóczni przebijających ciało. Szarża za szarżą odbijała się echem w

jej głowie. Miecz uderzał o miecz, o tarczę albo o kość... bez ustanku. Lata przemykały w myślach w ciągu zaledwie sekundy. Chwilami leżała pośród zabitych albo wisiała na gałęzi drzewa; zawsze jednak znalazły się ręce, które podnosiły ją znowu i układały na aksamitnej poduszce...

Babcia bardzo ostrożnie zdjęła z głowy koronę... Wysiłek ten wcale nie przyszedł jej łatwo. Położyła ją na stole.

- Więc tyle znaczy dla ciebie być królem - szepnęła. - Zastanawiam się, dlaczego tak im zależy na tym stanowisku.

- Słodzisz? - odezwała się Magrat od drzwi.

- Trzeba urodzić się błaznem, żeby zostać królem - dodała Babcia.

- Słucham? Babcia obejrzała się.

- Nie zauważyłam, kiedy wszłaś. O co pytałaś?

- Cukru do herbaty?

- Trzy łyżeczki.

Była to jedna z nielicznych zgryzot w życiu Babci Weatherwax: mimo wszelkich wysiłków, osiągnęła szczyt swej kariery z cerą niczym jabłko i ze wszystkimi zębami. Żadne uroki nie potrafiły zmusić kurzajki, by zapuściła korzenie na jej urodziwej, choć odrobinę końskiej twarzy. Ogromne dawki cukru dawały tylko niewyczerpaną energię. Raz nawet odwiedziła w tej sprawie maga, a ten wyjaśnił, że to skutek metabolizmu. W pewien niewyjaśniony sposób poczuła się wtedy ważniejsza od Niani Ogg, która - jak podejrzewała - nigdy w życiu nie widziała metabolizmu.

Magrat posłusznie wsypała trzy czubate łyżeczki. Byłoby miło, pomyślała, gdyby ktoś czasem dla odmiany powiedział „dziękuję”.

I nagle uświadomiła sobie, że korona ją obserwuje.

- Czujesz to, prawda? - spytała Babcia. - Gytha przecież mówiła. Korony przyzywają do siebie.

- Jest okropna.

- Nie. Jest tylko tym, czym jest. Nic nie może na to poradzić.

- Przecież to magia!

- Jest tylko tym, czym jest - powtórzyła Babcia.

- Chce mnie zmusić, żebym ją przymierzyła - oznajmiła Magrat. Jej dłoń zawisała nad koroną.

- Stara się, owszem.

- Aleja będę silna.
 - Mam nadzieję - rzekła Babcia z nagle stężałą twarzą. - Co robi Gytha?
 - Myje dziecko w zlewie - wyjaśniła niezbyt precyzyjnie Magrat. - Jak zdołamy ukryć coś takiego? Co by się stało, gdybyśmy ją gdzieś głęboko zakopały?
 - Borsuk by ją wykopał. Albo ktoś akurat szukałby złota czy czegoś innego... Albo drzewo wplotłoby w nią korzenie, potem burza by je przewróciła, a ktoś by ją podniósł i włożył...
 - Chyba że byłby tak opanowany jak my - zauważyła Magrat.
 - Chyba żeby był. Naturalnie - przyznała Babcia, przyglądając się swoim paznokciom. - Chociaż z koronami problem nie polega na wkładaniu, tylko na zdejmowaniu.
- Magrat podniosła koronę i obróciła w dłoniach.
- Nawet nie wygląda na koronę - stwierdziła.
 - Na pewno wiele ich już widziałaś. I oczywiście jesteś ekspertem.
 - Widziałam kilka. Mają więcej klejnotów i taki kawałek materiału w środku - odparła wyzywająco Magrat. - A to tylko cienki pasek...
 - Magrat Garlick!
 - Widziałam! Kiedy uczyłam się u Mateczki Whemper...
 - ...niechodpoczywawspokoju...
 - ...niechodpoczywawspokoju. Często zabierała mnie do Ostrego Grzbietu albo do Lancre, jak tylko do miasteczka trafiała wędrowna trupa i grali aktorzy. Bardzo lubiła teatr. Mieli tam tyle koron, że wszystkim nie pogroziłabyś laską... Chociaż... - zastanowiła się. - Mateczka mówiła, że są zrobione z blachy i papieru. A zamiast klejnotów mają kawałki szkła. Ale wyglądały bardziej prawdziwie niż ta. To dziwne, prawda?
 - Rzeczy, które próbują wyglądać jak rzeczy, często wyglądają bardziej jak *rzeczy niż* same *rzeczy*. To powszechnie znany fakt. Ale nie powiem, żeby mi się to podobało. Więc oni wędrowali i grali coś w tych koronach, tak?
 - Nie wiesz, co to teatr? - zdziwiła się Magrat. Babcia Weatherwax, która nigdy nie przyznała się do ignorancji w jakiejkolwiek dziedzinie, nie wahała się ani chwili.
 - A tak - powiedziała. - To jedna z tych nowomodnych *rzeczy*, co?
 - Mateczka Whemper mówiła, że jest zwierciadłem życia - wyjaśniła Magrat. - I że zawsze potem ma lepszy nastrój.
 - Nie dziwię się - stwierdziła Babcia Weatherwax. - Pod warunkiem że grają

odpowiednio. Czy to dobrzy ludzie, ci teatralni gracze?

- Chyba tak.

- I wędrują po kraju, mówisz? - Babcia zamyśliła się, wpatrzona w drzwi spiżarni.

- Cały czas. Teraz też jest w Lancre jedna trupa. Tak słyszałam. Nie widziałam ich, ponieważ... no wiesz... - Magrat spuściła głowę. - Kobieta nie powinna samotnie bywać w takich miejscach.

Babcia pokiwała głową. Pochwalała takie zwyczaje, przynajmniej dopóki nikt nie sugerował, że sama powinna się do nich stosować.

Zabębniła palcami po obrusie Magrat.

- Pewno - mruknęła. - Dlaczego nie? Idź, powiedz Gycie, żeby dobrze opatuliła dziecko. Dawno już nie słyszałam, jak gra teatr. Odpowiednio.

Magrat była oczarowana, jak zwykle. Teatr składał się z kilku łokci pomalowanej derki, drewnianej sceny ułożonej na beczkach i pół tuzina ławek stojących na rynku. Ale jednocześnie udawało mu się być Zamkiem, Innym Skrzydłem Zamku, Tym Samym Skrzydłem Trochę Później, Polem Bitwy i Drogą za Miastem. Popołudnie ułożyłoby się znakomicie, gdyby nie Babcia Weatherwax.

Po kilku przenikliwych spojrzeniach w stronę trzyosobowej orkiestry, w nadziei że ustali, który instrument jest teatrem, stara czarownica w końcu zwróciła uwagę na scenę. Wtedy właśnie Magrat zrozumiała, że Babcia nie pojęła jeszcze pewnych fundamentalnych aspektów sztuki dramatu.

W tej chwili podskakiwała ze złości na stołku.

- Zabił go! - syknęła. - Dlaczego nikt nie reaguje? Przecież go zabił! I to na oczach wszystkich!

Magrat rozpaczliwie ścisnęła rękę starszej koleżanki, która usiłowała poderwać się na nogi.

- Wszystko w porządku - szepnęła. - On nie zginął!

- Zarzucasz mi kłamstwo, moja mała? Przecież widziałam!

- Babciu, to nie jest naprawdę. Nie widzisz tego?

Babcia Weatherwax uspokoiła się trochę, ale wciąż burczała coś pod nosem. Odnosiła wrażenie, że świat usiłuje wystrychnąć ją na dudka.

Na scenie jakiś człowiek w prześcieradle wygłaszał pełen emocji monolog.

Przez kilka minut Babcia słuchała z uwagą, po czym szturchnęła Magrat pod żebro.

- O co mu teraz chodzi? - zapytała.

- Tłumaczy, jak mu przykro, że ten drugi zginął - wyjaśniła młodsza czarownica i dodała szybko, by zmienić temat: - Mają tu sporo koron, prawda?

Babcia nie dała się zbić z tropu.

- W takim razie dlaczego wziął go i zabił?

- To trochę skomplikowane...

- Skandal! - rzuciła Babcia. - A ten nieżywy biedak ciągle tam leży!

Magrat obejrzała się na Nianię Ogg, która przeżuwała jabłko i z zachłannością badacza wpatrywała się w scenę.

- Moim zdaniem... - rzekła powoli - oni chyba tylko udają. Popatrz, on oddycha.

Reszta publiczności, która uznała już, że te komentarze są elementem przedstawienia, jak jeden mąż spojrzała na zwłoki. Zaczerwieniły się.

- Przyjrzyj się też jego butom - dodała krytycznie Niania Ogg. - Prawdziwy król wstydziłby się w takich pokazać.

Zwłoki spróbowały schować stopy za tekturowy krzak.

Czując, że w jakiś niepojęty sposób odniosły drobne zwycięstwo nad handlarzami nieprawdy i fałszerstw, Babcia poczęstowała się jabłkiem z torby. Zaczęła z nowym skupieniem obserwować scenę. Magrat odetchnęła z ulgą i usiadła wygodniej, by podziwiać przedstawienie. Niestety, jak się okazało, nie na długo. Świadome zawieszenie niewiary zostało przerwane przez głos z boku:

- Co teraz? Magrat westchnęła.

- To tak - zaczęła. - On myśli, że jest księciem, ale naprawdę jest córką tego drugiego króla, przebraną za mężczyznę. Babcia poddała aktora długiej, analitycznej obserwacji.

- Przecież to jest mężczyzna - oznajmiła. - W słomianej peruce. I stara się mówić piskliwie.

Magrat zadrżała. Wiedziała co nieco o konwencjach teatru. Lękała się tego pytania. Babcia Weatherwax miała swoje Poglądy.

- Tak, ale... - wykrztusiła przerażona - ...to jest teatr. Rozumiesz... Wszystkie kobiety są grane przez mężczyzn.

- Dlaczego?

- Nie wpuszczają kobiet na scenę - wyjaśniła Magrat drżącym głosem.

Zamknęła oczy.

Tymczasem na miejscu po lewej stronie nie nastąpił żaden wybuch. Zaryzykowała szybkie spojrzenie.

Babcia spokojnie przeżuwała wciąż ten sam kawałek jabłka. Nie odrywała oczu od przedstawienia.

- Nie rób problemów, Esme - wtrąciła Niania Ogg, która także wiedziała o Babcinych Poglądach. - To niezłe przedstawienie. Chyba zaczynam rozumieć, o co tu chodzi.

Ktoś stuknął Babcię w ramię.

- Przepraszam - powiedział. - Czy zechciałaby pani zdjąć kapelusz?

Babcia odwróciła się na stołku powoli, jakby popychana ukrytym silnikiem, i poddała natręta stukilowatowemu, diamentowemu spojrzeniu; zwiądnął pod jej wzrokiem i opadł na siedzenie. Wzrok Babci odprowadzał go do samego końca.

- Nie - odrzekła.

Przemyślał pozostałe mu możliwości.

- To dobrze - oświadczył.

Aktorzy przerwali grę i spoglądali na Babcię, która odwróciła się i skinęła w stronę sceny.

- Na co się tak gapicie! Bierzcie się do roboty. Niania Ogg podsunęła jej inną torbę.

- Poczęstuj się miętusem - zaproponowała.

I znowu zaimprovizowany teatr wypełniła cisza, jeśli nie liczyć pełnych wahania głosów aktorów, zerkających na surową postać Babci Weatherwax, oraz dźwięków ssania dwóch gotowanych miętusów, które Babcia przesuwiała w ustach językiem.

Aż nagle Babcia odezwała się przenikliwym głosem, od którego jeden z aktorów upuścił drewniany miecz:

- Tam z boku stoi jakiś człowiek i coś im szepcze!

- To sufler - wyjaśniła Magrat. - Podpowiada im, co mają mówić.

- Sami nie wiedzą?

- Myślę, że zapominają. Babcia szturchnęła Nianię Ogg.

- Co się teraz dzieje? - spytała. - Dlaczego są tam wszyscy ci królowie i reszta?

- To bankiet, rozumiesz - odparła z wyższością Niania Ogg. - Z powodu

zabitego króla, tego w butach. Chociaż, jeśli się przyjrzy, to zobaczysz go, jak udaje żołnierza. Wszyscy wygłaszają mowy, jaki dobry był tamten król. I zastanawiają się, kto go zabił.

- Naprawdę? - upewniła się Babcia z posępną miną.

Zerknęła na scenę, szukając wzrokiem mordercy.

Podejmowała decyzję.

Po chwili wstała.

Czarny płaszcz powiewał wokół niej niby skrzydła anioła zemsty przybywającego, by zbawić świat od całego tego udawania, pretensji, oszustw i bezwstydu. Wydawało się, że w jakiś sposób urosła. Wyciągnęła gniewną dłoń w stronę winnego.

- On to zrobił! - krzyknęła tryumfalnie. - Wszyscy widzieliśmy! Zabił go sztyletem!

Zadowolona publiczność wychodziła spomiędzy rzędów. To była dobra sztuka, chociaż odrobinę niejasna. Miała jednak zabawne sceny, kiedy wszyscy królowie uciekli, a ta kobieta w czerni wyskoczyła na środek i zaczęła krzyczeć. Już samo to warte było miedziaka za wstęp.

Trzy czarownice siedziały samotnie na krawędzi sceny.

- Zastanawiam się, jak namówili wszystkich tych królów i książąt, żeby przyszedli tu dzisiaj i robili te rzeczy na scenie - zastanowiła się Babcia, wcale nie zakłopotana.

- Myślałam, że są bardzo zajęci. Rządzeniem i w ogóle.

- Nie - odparła znużonym głosem Magrat. - Wydaje mi się, że ciągle nie rozumiesz.

- Ale zamierzam dotrzeć do sedna. Wróciła na scenę i odsunęła kurtynę.

- Ty! - krzyknęła. - Nie żyjesz!

Nieszczęsny był trup, który posilał się właśnie chlebem z szynką, spadł ze stołka.

Babcia kopnęła krzak. Jej but przebił się na wylot.

- Widzicie? - zwróciła się do świata w ogólności tonem dziwnie pełnym satysfakcji. - Nic tu nie jest prawdziwe. Od tyłu tylko farba, patyki i papier.

- Czy mogę w czymś pomóc, drogie panie?

Głos był cudownie dźwięczny, a każda zgłoska przepięknie wsuwała się na

miejsce. Był złocistobrązowy. Gdyby Stwórca wszechświata miał głos, to właśnie ten. Gdyby ów głos posiadał jakieś wady, to takie, że nie nadawał się, by zamawiać nim na przykład węgiel. Węgiel zamawiany takim głosem zmieniałby się w diamenty.

Głos ów wyraźnie należał do potężnego, grubego mężczyzny, brutalnie atakowanego przez własne wąsy. Różowe żyły tworzyły na policzkach mapę sporego miasta; nos mógłby się bezpiecznie ukrywać w misce truskawek. Mężczyzna nosił wystrzępioną kamizelę i dziurawe pończochy, jednak z dumą mogącą niemal przekonać, że szaty z aksamitu i werminiowe futra właśnie oddał do czyszczenia. W ręku trzymał ręcznik, którym zapewne ścierał wciąż widoczne na twarzy resztki charakteryzacji.

- Znam cię - oznajmiła Babcia. - To ty dokonałeś mordu. - Zerknęła z ukosa na Magrat i przyznała niechętnie: - A przynajmniej tak to wyglądało.

- Jakże się cieszę... Spotkanie z prawdziwym koneserem zawsze sprawia niezwykłą radość. Olwyn Vitoller, do pani usług. Dyrektor tej trupy wagabundów - przedstawił się mężczyzna.

Zdjął z głowy nadjedzony przez mole kapelusz i skłonił się nisko. Pokłon ten był nie tyle wyrazem szacunku, ile raczej ćwiczeniem zaawansowanej topologii. Kapelusz odchyłał się i żeglował przez ciąg złożonych łuków, docierając wreszcie na koniec ręki, wskazującej obecnie w stronę nieba. Jedną z nóg tymczasem zawędrowała za plecy. Reszta ciała pochyliła się uprzejmie, aż oczy znalazły się na poziomie kolan Babci.

- No tak... - mruknęła Babcia. Czuli, że ubranie stało się nagle trochę większe i znacznie za ciepłe.

- Ja też uważam, że był pan znakomity - wtrąciła Niania Ogg. - Jak zręcznie pan wykrzykiwał te wszystkie słowa. Od razu poznałam, że jest pan królem.

- Mam nadzieję, że nie popsuliśmy przedstawienia - dodała Magrat.

- Droga pani - odparł Vitoller. - Nie zdołam wyrazić satysfakcji, jaką prostemu komediantowi sprawia odkrycie, że jego publiczność zajrzała pod skorupę szminki i dostrzegła ducha, jaki kryje się wewnątrz.

- Myślę, że pan zdoła - stwierdziła Babcia. - Myślę, że mógłby pan wyrazić wszystko, panie Vitoller.

Wsadził kapelusz na głowę. Spojrzeli sobie w oczy, długo i badawczo - jeden zawodowiec oceniał innego. Vitoller poddał się pierwszy i próbował udawać, że wcale nie stawał do turnieju.

- A teraz - rzekł - czemu zawdzięczam wizytę trzech czarujących dam?

Naprawdę jednak wygrał. Babcia otworzyła usta w zdumieniu. Nigdy nie określiłaby się terminem sięgającym powyżej poziomu „przystojna mimo wszystko”. Niania była pulchna jak niemowlę i miała twarz podobną do małej, wyschniętej rodzyнки. Najlepsze zaś, co dało się powiedzieć o Magrat, to że była przyzwoicie przeciętna, dobrze wyszorowana i płaska jak deska do prasowania, na której leżą dwa ziarnka grochu. Nawet jeśli głowę miała pełną głupstw.

Babcia czuła coś niezwykłego, jakby działanie czaru. Ale nie takiego, do którego byłaby przyzwyczajona.

Czarem tym był głos Vitollera. W zwyczajnym procesie artykulacji przekształcał wszystko, o czym mówił.

Popatrzcie tylko na nie, powiedziała Babcia do siebie; stroszą się jak dwie prostaczki... I opuściła dłoń, poprawiającą twardo zwinięty kok. Odchrząknęła z naciskiem.

- Chciałybyśmy z panem porozmawiać, panie Vitoller - oświadczyła. Wskazała aktorów, którzy trzymając się od niej z daleka rozkładali scenę, po czym dodała konspiracyjnym szeptem: - Na osobności.

- Ależ oczywiście, droga pani - odparł. - W chwili obecnej mamy kwatery w tutejszym szacownym piwopoju. Czarownice rozejrzały się niepewnie.

- Ma pan na myśli gospodę? - spytała w końcu Magrat.

W głównym holu zamku Lancre było chłodno i wietrznie. A pęcherz nowego szambelana nie stawał się coraz młodszy. Szambelan stał i kulił się pod spojrzeniem lady Felmet.

- Tak - powiedział. - Mamy je tutaj, w samej rzeczy. Mnóstwo.

- I ludzie nic z tym nie robią? - spytała księżna. Szambelan zamrugnął.

- Słucham?

- Ludzie je tolerują?

- Oczywiście - odparł zadowolony. - Uważa się to za szczęście, kiedy czarownica mieszka w wiosce. Słowo daję.

- Dlaczego?

Szambelan zawahał się. Ostatnim razem zwracał się do czarownicy, kiedy pewna przypadłość odbytu zmieniała wychodek w salę tortur. A słoik maści, jaki od

niej dostał, przekształcił świat w miejsce o wiele przyjemniejsze.

- Wygładzają drobne nierówności życia - wyjaśnił.

- Tam, skąd pochodzę, nie pozwalamy mieszkać czarownicom - oznajmiła surowo księżna. - I nie zamierzamy pozwolić im tutaj. Dostarczysz nam ich adresy.

- Adresy, wasza książęca mość?

- Gdzie mieszkają. Sądzę, że nasi poborcy podatkowi wiedzą, gdzie ich szukać.

- Aha... - mruknął nieszczęśliwy szambelan. Książę pochylił się na tronie.

- Mam nadzieję - rzekł - że płacą podatki?

- Ściśle mówiąc, trudno to nazwać płaceniem, wasza wysokość... Zapadła cisza.

- Mów, człowieku - ponaglił książę.

- No więc... One raczej nie płacą... Nigdy nie przyszło nam do głowy... To znaczy... stary król nie uważał... Po prostu nie.

Książę położył dłoń na ramieniu żony.

- Rozumiem - stwierdził chłodno. - Możesz odejść. Szambelan z ulgą skinął mu głową i jak krab wycofał się z sali.

- No tak... - rzekła księżna.

- Istotnie.

- Więc tak twoja rodzina władała królestwem... Zabicie kuzyna było twoim szlachetnym obowiązkiem. Było obroną interesów gatunku. Słabi nie zasługują na przetrwanie.

Książę zadrżał. Już zawsze będzie mu o tym przypominać? Nie miał nic przeciwko zabijaniu ludzi, a przynajmniej wydawaniu rozkazów, by kogoś zabić, i przyglądaniu się, jak są wykonywane. Ale zamordowanie krewniaka jakoś kłuło w gardle, czy raczej - przypominał sobie - w wątrobie.

- Rzeczywiście - wykrztusił. - Niestety, żyje tu chyba wiele czarownic i trudno będzie odszukać te trzy, które były wtedy na wrzosowiskach.

- To bez znaczenia.

- Oczywiście, że nie.

- Weź sprawy we własne ręce.

- Tak, najdroższa.

Weź sprawy we własne ręce. Brał je, bez wątpienia. Kiedy zamykał oczy, widział ciało toczące się po schodach. Czyżby zabrzmiał wtedy, w głębi korytarza,

syk wstrzymywanego oddechu? Był pewien, że nie mieli świadków. Sprawy we własnych rękach! Starał się zmyć krew z dłoni. Gdyby ją zmył, powtarzał sobie, tamto by się nie wydarzyło. Szorował i szorował ręce. Szorował, aż zaczynał krzyczeć.

Babcia nie czuła się dobrze w publicznych lokalach. Siedziała sztywno za swoim porto z cytryną, jakby było tarczą przed pokusami świata. Niania Ogg za to entuzjastycznie kończyła trzeciego drinka. Babcia pomyślała niechętnie, że koleżanka podążała już drogą, która prawdopodobnie doprowadzi ją do tańca na stole, z pokazywaniem halek i śpiewem „Jeża przelecieć się nie da”.

Cały blat stołu zasypany był miedziakami. Vitoller i jego żona siedzieli naprzeciw siebie i liczyli. Przypominało to rodzaj wyścigu.

Babcia przyglądała się pani Vitoller, gdy ta porwała monetę spod palców męża. Kobieta wyglądała na inteligentną i traktowała małżonka niczym pies pasterski ulubioną owcę. Meandry relacji matrymonialnych Babcia знаła jedynie z obserwacji, tak jak astronomowi znana jest czasem powierzchnia odległego i obcego świata. Przyszło jej jednak do głowy, że żona Vitollera musi być bardzo szczególną kobietą, o bezdennych rezerwach cierpliwości i zdolnościach organizacyjnych, a także zwinnych palcach.

- Pani Vitoller - odezwała się wreszcie. - Jeśli wolno zadać zuchwałe pytanie: czy wasz związek został pobłogosławiony owocem? Oboje małżonkowie spojrzeli w pustkę.

- Chodzi jej... - zaczęła Niania Ogg.

- Tak, rozumiem - przerwała jej cicho pani Vitoller. - Nie. Mieliśmy kiedyś córeczkę.

Niewielka chmura zawisła nad stołem. Przez sekundę czy dwie Vitoller zdawał się człowiekiem zwyczajnych rozmiarów i o wiele starszym. Wpatrywał się w niewielki stosik monet przed sobą.

- Bo, widzicie, jest tu pewien chłopiec - wyjaśniła Babcia, wskazując pakunek na rękach Niani Ogg. - Szuka domu. Vitollerowie spojrzeli. Mężczyzna westchnął.

- To nie jest życie dla dziecka - stwierdził. - Ciągle w drodze. Ciągle nowe miasta. Nie ma czasu na edukację. Mówią, że to teraz bardzo ważne.

Jednak nie odwrócił wzroku.

- Dlaczego szuka domu? - zainteresowała się pani Vitoller.

- Nie ma swojego - odparła Babcia. - A w każdym razie takiego, gdzie byłby mile widziany. Znowu zapadła cisza.

- A wy - odezwała się pani Vitoller - pytacie o to dlatego, że jesteście...

- Matkami chrzestnymi - wyjaśniła szybko Niania Ogg. Babcia była nieco poruszona. Coś takiego nigdy nie przyszło-by jej do głowy.

Vitoller nieuważnie bawił się monetami. Żona wyciągnęła rękę nad stołem i dotknęła jego dłoni w bezgłośnym porozumieniu. Babcia odwróciła głowę. Była ekspertem w czytaniu z twarzy, jednak czasami wołała tego nie robić.

- Pieniędzy, niestety, nigdy nie ma za wiele... - zaczął Vitoller.

- Ale wystarczy - dokończyła stanowczo jego żona.

- Tak. Chyba wystarczy. Z radością się nim zaopiekujemy.

Babcia kiwnęła głową i sięgnęła w najgłębsze zakamarki swego płaszcza. Po chwili wyjęła niewielką skózaną sakiewkę i wysypała na stół zawartość. Było tam sporo srebra, a nawet kilka małych złotych monet.

- To powinno rozwiązać sprawę... - szukała właściwego słowa - ...pieluch, ubranek i w ogóle. Wszystkiego.

- Ze stukrotnym naddatkiem, jak sędzę - szepnął słabym głosem Vitoller. - Dlaczego nie wspomnieliście o tym wcześniej?

- Gdybym musiała was kupić, nie bylibyście warci swojej ceny.

- Przecież nic o nas nie wiecie! - przypomniała pani Vitoller.

- Nie wiemy, rzeczywiście - zgodziła się spokojnie Babcia. - Naturalnie, chcielibyśmy wiedzieć, co u niego słychać. Moglibyście pisać do nas listy i tak dalej. Ale kiedy już stąd wyjedziecie, lepiej nie rozpowiadajcie o tym naokoło. Dla dobra dziecka.

Pani Vitoller przyjrzała się dwóm starszym kobietom.

- Kryje się w tym jakaś tajemnica, prawda? - spytała. - Jakaś groźna tajemnica.

Babcia zawahała się i kiwnęła głową.

- Ale wiedza o tym nie wyszłaby nam na dobre? Znowu kiwnięcie.

Weszło kilku aktorów i czar prysnął. Aktorzy mieli zwyczaj wypełniania całej otaczającej ich przestrzeni.

- Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia - powiedziała Babcia. - Zechcecie mi wybaczyć...

- Jak ma na imię? - spytał Vitoller.

- Tom - Babcia prawie się nie wahała.

- John - powiedziała Niania.

Dwie czarownice zmierzyły się wzrokiem. Babcia zwyciężyła.

- Tom John - rzekła stanowczo i wyszła. Za drzwiami spotkała zdyszana Magrat.

- Znalazłam skrzynię - oznajmiła. - W środku były korony i inne takie. Włożyłam ją jak kazałaś, na samo dno.

- Dobrze - pochwaliła koleżankę Babcia.

- Nasza korona w porównaniu z tamtymi wyglądała nędznie!

- Przedstawienie ma swoje prawa. Czy ktoś cię widział?

- Nie, byli zajęci, ale... - Magrat zawahała się i zarumieniła.

- Gadaj, dziewczyno.

- Podszedł do mnie jakiś człowiek i uszczypnął mnie w siedzenie. - Magrat splonęła głęboką czerwienią i uniosła dłoń do ust.

- Naprawdę? - zdziwiła się babcia. - A potem?

- A potem... potem...

- Tak?

- Powiedział... powiedział...

- Co takiego powiedział?

- Powiedział: „Witaj, moja śliczna; co robisz dzisiaj wieczorem?”

Babcia rozważała to przez chwilę.

- Stara Mateczka Whemper nie wychodziła zbyt często, prawda? - spytała.

- Nie - przyznała Magrat. - Miała chorą nogę.

- Ale uczyła cię akuszerki i wszystkiego?

- Aha, tego - domyśliła się Magrat. - Robiłam to wiele razy.

- Ale... - Babcia zawahała się, po omacku szukając drogi przez nieznany teren
- ...nigdy ci nie mówiła o tym, co można określić jako „przedtem”?

- Słucham?

- No wiesz... - W głosie Babci zabrzmiała nuta rozpacz. - O mężczyznach i w ogóle.

Magrat zrobiła minę, jakby właśnie miała wpaść w panikę.

- Co z nimi?

Swego czasu Babcia Weatherwax dokonywała wielu niezwykłych czynów. Wiele ją kosztowało odrzucenie wyzwania. Jednak tym razem zrezygnowała.

- Sądzę - oświadczyła bezzadanie - że przydałoby ci się zamienić na osobności

kilka słów z Nianią Ogg. I to szybko.

Z okna za nimi dobiegły wybuchy śmiechu, brzęk kufli i cienki głos śpiewający:

- ...nawet żyrafę ze stołka, gdy bieda. I tylko jeża... Babcia przestała słuchać.
- Ale nie w tej chwili - dodała.

Trupa wyruszyła w drogę kilka godzin przed zachodem słońca; ich cztery wozy potoczyły się drogą wiodącą na równiny Sto i ku wielkim miastom. W Lancre obowiązywał przepis, nakazujący wszystkim komedianom, szarlatanom i innym potencjalnym przestępcom o zachodzie słońca znaleźć się poza bramami miasta. Nikomu to nie przeszkadzało, ponieważ miasto nie posiadało murów wartych uwagi i nikt nie protestował, kiedy ludzie o zmierzchu przemykali się z powrotem. Ważne, żeby wszystko wyglądało jak należy.

Czarownice przyglądały się im z domku Magrat, używając starej, zielonej kryształowej kuli Niani Ogg.

- Najwyższa pora, żebyś się nauczyła wydobywać z niej dźwięk - mruknęła Babcia. Szturchnęła kulę i obraz zafalował.

- To bardzo dziwne - powiedziała Magrat. - Co oni mieli w tych wozach... Papierowe drzewa, mnóstwo różnych kostiumów i... - Zamachała rękami. - Był tam jeszcze taki wielki obraz obcych stron ze świątyniami i wszystkim, cały zwinięty. Bardzo piękny.

Babcia chrząknęła.

- Pomyślałam sobie, że to cudowne, jak oni wszyscy zmieniają się w królów i innych ludzi, prawda? Istne czary.

- Magrat Garlick, co ty wygadujesz? To tylko farba i papier. Wszyscy przecież widzieli.

Magrat otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, przesłuchała w myślach wynikłą z tego kłótnię i zrezygnowała.

- Gdzie Niania? - spytała tylko.

- Leży na trawniku - wyjaśniła Babcia. - Czuje się trochę słabo. Z zewnątrz dobiegł głos Niani Ogg, która czuła się słabo na całe gardło.

Magrat westchnęła.

- Wiesz co? Jeśli jesteśmy jego matkami chrzestnymi, powinniśmy dać mu trzy dary. To taka tradycja.

- O czym ty mówisz, dziewczyno?

- Trzy dobre czarownice powinny ofiarować dziecku trzy dary. No wiesz, na przykład urodę, mądrość i szczęście. - Magrat nie ustępowała. - Tak się robiło w dawnych czasach.

- Ach, chodzi ci o chatki z pierników i takie rzeczy... - rzuciła obojętnie Babcia.

- Kołowrotki, dynie, skaleczenie w palec, cierń róży i temu podobne. Nigdy nie mogłam się do tego przyzwyczaić.

W zadumie przetarła kryształową kulę.

- Tak, ale... - zaczęła Magrat.

Babcia zerknęła na nią. Oto i cała Magrat, pomyślała. Głowa jak dynia. Za dwie spinki zostanie matką chrzestną dla każdego. Ale pod tym wszystkim ma dobre serce. Opiekuje się kudłatymi zwierzątkami. Martwi się o małe ptaszki wypadające z gniazd.

- Cóż, jeśli ma cię to uszczęśliwić... - wymruczała, zdziwiona własnymi słowami. Przesunęła dłonie nad obrazem oddalających się wozów. - Co chcesz mu dać? Bogactwo? Urodę?

- Pieniądze to nie wszystko. A jeśli odziedziczy wygląd po ojcu, będzie dostatecznie przystojny. - Magrat spoważniała nagle. -Może mądrość?

- Tej musi sam się nauczyć.

- Doskonały wzrok? Dobry głos do śpiewu?

Z trawnika przed domem dobiegł zgrzytliwy, ale entuzjastyczny głos Niani Ogg, obwieszczającej całemu światu, że Laska Maga ma na czubku Gałkę.

- To nieważne - stwierdziła głośno Babcia. - Pamiętaj o głowologii, rozumiesz? Nie warto płać się w to całe bogactwo i urodę. Nie są istotne.

Spojrzała w kulę i bez przekonania skinęła ręką.

- Lepiej idź i sprowadź Nianię, skoro musi nas być trzy. Po długiej chwili Niania - nie bez pomocy - dotarła do pokoju i trzeba było jej wszystko wytłumaczyć.

- Trzy dary, co? - rzekła. - Ostatni raz robiłam takie rzeczy, jak byłam jeszcze młódką. Pamiętam... Co się dzieje? Magrat biegła po pokoju i zapalała świece.

- Musimy stworzyć odpowiednie magiczne otoczenie - wyjaśniła.

Babcia wzruszyła ramionami, ale milczała, nawet wobec tak oczywistej prowokacji. W końcu każda z czarownic czyni magię na własny sposób, a były przecież w domu Magrat.

- A co chcemy mu podarować? - spytała Niania.

- Właśnie o tym dyskutowaliśmy - odparła Babcia.

- Wiem, czego by chciał - oświadczyła Niania. I złożyła propozycję, przyjętą z lodowatym milczeniem.

- Nie rozumiem, jaki miałby z tego pożytek - przyznała po chwili Magrat. - Chyba byłoby mu niewygodnie...

- Podziękujcie nam, kiedy dorośnie. Zapamiętaj moje słowa - rzekła Niania. - Mój pierwszy mąż zawsze powtarzał...

- Coś nieco mniej fizycznego wydaje się bardziej na miejscu

- przerwała Babcia, mierząc Nianię groźnym spojrzeniem. - Nie musisz chyba psuć wszystkiego, Gytho. Dlaczego zawsze...

- Przynajmniej mogę śmiało powiedzieć, że ja... - zaczęła Niania.

Oba głosy opadły do szeptu. A potem zapadła długa, nieprzyjemna cisza.

- Sądzę - oznajmiła Magrat ze sztuczną wesołością - że lepiej będzie, jeśli wrócimy do swoich domków i zrobimy to każda po swojemu. No wiecie. Osobno. Mamy za sobą ciężki dzień i wszystkie jesteśmy trochę zmęczone.

- Dobry pomysł - uznała Babcia i wstała. - Chodźmy, Nianiu Ogg - warknęła. - Mamy za sobą ciężki dzień i wszystkie jesteśmy trochę zmęczone.

Magrat słyszała, jak kłócą się na ścieżce.

Usiadła nieco zasmucona pośród kolorowych świec, ściskając w dłoni flakonik niezwykle silnego taumaturgicznego kadzidła, zamówionego w magazynie sprzętu magicznego w dalekim Ankh-

- Morpork. Szczerze mówiąc, nie mogła się doczekać, kiedy je wypróbuje. Czasami, myślała, byłoby miło, gdyby ludzie zachowywali się trochę bardziej uprzejmie...

Zajrzała w kulę.

No cóż, może przecież zacząć.

- Niech łatwo zdobywa przyjaciół - szepnęła.

Wiedziała, że to niewiele, ale sama nigdy nie mogła sobie z tym poradzić.

Niania Ogg siedziała samotna w kuchni, ze swoim wielkim kocurem na kolanach. Nalała sobie kieliszeczek na dobranoc i poprzez mgłę spowijającą umysł próbowała sobie przypomnieć słowa siedemnastej zwrotki piosenki o jeżu. Pamiętała, że było tam coś o kozach, ale szczegóły pozostawały niedostępne. Czas wolno niszczył pamięć.

Wzniosła kieliszek do niewidocznej obecności.

- Wściekle dobra pamięć... To właśnie powinien mieć - rzekła. - Zawsze będzie pamiętał słowa.

A Babcia Weatherwax, maszerując do domu przez pogrążony w ciemności las, otuliła się chustą i myślała. Dzień był długi i męczący, a najgorszy okazał się teatr. Ludzie udający, że są kimś innym, zdarzenia, które nie były prawdziwe, elementy krajobrazu, które można butem przebić na wylot... Babcia lubiła wiedzieć, na czym stoi, i nie była pewna, czy coś takiego jej odpowiada. Świat zdawał się zmieniać bez chwili przerwy.

Kiedyś nie zmieniał się tak prędko. To oszołamiające.

Szła szybko poprzez ciemność, długim krokiem kogoś, kto jest przynajmniej pewien, że w tę wilgotną i wietrzną noc po lesie spacerują niezwykle i straszne istoty. I że ona jest jedną z nich.

- Niech będzie tym, za kogo się uważa - powiedziała. - Na tym świecie trudno oczekiwać czegoś więcej.

Jak większość ludzi, czarownice nie są zogniskowane w czasie. Różnica polega na tym, że niejasno zdają sobie z tego sprawę i wykorzystują ten fakt. Cenią przeszłość, ponieważ ich częśćka nadal w niej żyje, i widzą cienie, jakie rzuca przed sobą przyszłość.

Babcia wyczuwała kształt przyszłości. Tkwiły w niej noże.

Zaczęło się następnego ranka o piątej. Czterej ludzie przejechali lasem w pobliże domku Babci. Uwiązali konie poza zasięgiem głosu i bardzo ostrożnie przekradli się przez mgłę.

Dowodzący oddziałem sierżant nie był zachwycony swoją misją. Pochodził z Ramtopów i nie miał pojęcia, jak się zabrać do aresztowania czarownicy. Wiedział za to, że czarownicy się to nie spodoba. A jemu nie podobała się myśl o czarownicy, której nie podoba się aresztowanie.

Jego ludzie też byli Ramtoperami. Szli bardzo blisko, gotowi ukryć się za nim na pierwszy znak czegoś bardziej nieoczekiwanego niż drzewo.

Domek Babci we mgle miał kształt grzyba. Ziola w jej zapuszczonym ogrodzie zdawały się poruszać nawet w nieruchomym powietrzu. Były wśród nich rośliny nie spotykane w żadnym innym miejscu w górach; ich cebulki i nasiona sprowadzono tu przez pięć tysięcy mil świata Dysku. Sierżant mógłby przysiąc, że jeden czy dwa

kwiaty zwróciły się w jego stronę. Zadrżał.

- Co teraz, sierżancie?

- My... rozproszymy się - odpowiedział. - Tak. Rozproszymy się. Tak właśnie zrobimy.

Ostrożnie sunęli przez paprocie. Sierżant przykucnął za poręcznym pnem.

- Dobrze - szepnął. - Bardzo dobrze. Złapaliście mniej więcej, o co zasadniczo chodzi. A teraz rozproszymy się znowu, ale tym razem rozproszymy się osobno.

Ludzie narzekali trochę, ale po chwili zniknęli we mgle. Sierżant dał im kilka minut na zajęcie pozycji.

- Dobrze - powiedział. - A teraz...

Urwał.

Zastanowił się, czy ośmieli się krzyknąć, ale uznał, że lepiej tego nie robić.

Wstał. Zdjął hełm, by okazać szacunek, i przez wilgotną trawę poczłapał do tylnych drzwi. Zastukał bardzo delikatnie.

Odczekał kilka sekund, wcisnął hełm na głowę i odwrócił się.

- A niech to - stwierdził. - Nikogo nie ma w domu.

I ruszył z powrotem.

Drzwi się otworzyły. Otworzyły powoli, z możliwie głośnym skrzypieniem. Zwyczajne zaniedbanie nie wywołałoby takich zgrzytów; niezbędne było staranne traktowanie ich ciepłą wodą przez co najmniej kilka tygodni. Sierżant zatrzymał się, a potem odwrócił wolno, starając się poruszać jak najmniejszą liczbą mięśni.

Miał mieszane uczucia co do faktu, że nikt nie stoi w progu. Doświadczenie mówiło mu, że drzwi nie otwierają się same z siebie.

Odchrząknął nerwowo.

- Paskudny masz kaszel - odezwała się Babcia Weatherwax tuż przy jego uchu. - Słusznie zrobiłeś, przychodząc z tym do mnie.

Sierżant spojrzał na nią z wyrazem obłąkanej wdzięczności.

- Ehem - powiedział.

- Co zrobiła? - Księżę nie zrozumiał.

Sierżant wpatrywał się nieruchomo w obszar odsunięty o cztery cale na prawo od książęcego krzesła.

- Dała mi filiżankę herbaty, sir - odpowiedział.

- A co z waszymi ludźmi?

- Oni też dostali.

Książę wstał i otoczył ramieniem okryte rdzewiejącą kolczugą plecy sierżanta. Był w fatalnym nastroju. Wciąż mu się wydawało, że coś szepcze mu do ucha. Na śniadanie podano owsiankę przesoloną i upieczoną z jabłkiem, a kucharz dostał histerii. Od razu można było poznać, że książę jest niezwykle poirytowany: był uprzejmy. A należał do ludzi, którzy są coraz grzeczniejsi, w miarę jak burzy się ich temperament, aż do momentu kiedy słowa „Serdecznie wam dziękuję” tną niczym ostrze gilotyny.

- Sierżancie - zaczął, prowadząc żołnierza przez pokój.

- Słucham, sir.

- Nie jestem pewien, czy wydałem wam jasne rozkazy - rzekł książę głosem węża.

- Sir...

- Możliwe, że niechcący wprowadziłem was w błąd. Zamierzałem powiedzieć: „Sprowadźcie mi czarownicę, w łańcuchach, jeśli to konieczne”, ale może w rzeczywistości powiedziałem raczej „Idźcie i napijcie się herbaty”. Czy coś takiego miało miejsce?

Sierżant zmarszczył czoło. Do dzisiejszego dnia sarkazm nie pojawił się w jego życiu. Doświadczenia z ludźmi, którzy byli na niego źli, przywodziły na myśl raczej wrzaski i czasami parę kijów.

- Nie, sir - zaprzeczył.

- Zastanawiam się więc, dlaczego nie zrobiliście tego, co wam kazałem.

- Sir?

- Podejrzewam, że użyła jakiegoś magicznego słowa, prawda? Słyszałem to i owo o czarownicach. - Książę minioną noc spędził na lekturze pewnych co bardziej ekscytujących dzieł, poświęconych temu tematowi³. Czytał, dopóki obandażowane ręce nie zaczęły drżeć zbyt mocno. - Podejrzewam, że ofiarowała wam wizje nieziemskich rozkoszy? Czy pokazała... - zadygotał - ...mroczne fascynacje i zakazane ekstazy, o których ludzie śmiertelni nie powinni nawet myśleć, oraz demoniczne sekrety, które pogrążyły was w głębinach męskich pożądań?

Książę usiadł i zaczął wachlować się chusteczką.

- Dobrze się czujesz, panie? - spytał niespokojnie sierżant.

- Co? Doskonale, doskonale.

- Jesteś całkiem czerwony, panie.

- Nie zmieniajcie tematu, człowieku - burknął książę i trochę się opanował. -

Przyznajcie: zaproponowała wam hedonistyczne, wyuzdane rozkosze znane tylko adeptom sztuk zmysłowych. Prawda?

Sierżant stanął na baczność i patrzył prosto przed siebie.

- Nie, sir - odparł tonem człowieka, który mówi prawdę i niech się dzieje co chce. - Zaproponowała mi bułeczkę.

- Bułeczkę?

- Tak, sir. Z rodzynekami.

Felmet znieruchomiał, walcząc o spokój wewnętrzny.

- A co na to wasi ludzie? - zdołał w końcu wykrztusić.

- Też dostali po jednej. Wszyscy z wyjątkiem młodego Rogera, który nie może jeść owoców, sir, ze względu na swoje kłopoty.

Książę oparł się o ścianę i zasłonił dłonią oczy. Urodziłem się, by rządzić na równinach, myślał, gdzie wszystko jest płaskie, gdzie nie ma takiej pogody i w ogóle, i gdzie ludzie nie zachowują się, jakby byli z ciasta. Ten sierżant musi mi powiedzieć, co dała Rogerowi.

- Dostał sucharka, sir.

Książę spojrzał przez okno na drzewa. Był zły. Był straszliwie zły. Ale dwadzieścia lat małżeństwa z lady Felmet nauczyło go panować nie tylko nad emocjami, ale też nad instynktami. Nawet drgnienie mięśnia nie zdradzało stanu jego umysłu. Poza tym z mrocznych głębi myśli wynurzało się uczucie, któremu jak dotąd nie poświęcał zbyt wiele czasu: to ciekawość błysnęła płetwą na powierzchni.

Od pięćdziesięciu lat książę doskonale sobie bez niej radził. Ciekawość nie jest cechą pożądaną u arystokratów. Przekonał się wielokrotnie, że lepiej postawić na pewność. A jednak przyszło mu do głowy, że przynajmniej raz ciekawość może się przydać.

Sierżant stał na środku komnaty z obojętną miną człowieka oczekującego rozkazów, który gotów jest stać tak i czekać, dopóki nie zepchnie go dryf kontynentalny. Od wielu lat wiernie służył królom Lancre i było to widoczne: jego ciało stało na baczność, ale brzuch - mimo wysiłków - przyjął postawę „spocznij”.

Wzrok księcia padł na Błazna, siedzącego na stołku obok tronu. Zgarbiony

³ Napisanych przez magów, którzy żyją w celibacie i około czwartej rano miewają dziwaczne pomysły.

trefniś uniósł głowę i bez przekonania potrząsnął dzwoneczkami.

Książę podjął decyzję. Droga postępu, jak się przekonał, polega na znajdowaniu słabych punktów. Starał się nie myśleć, że zaliczają się do nich takie obiekty jak królewskie nerki na szczycie schodów nocą. Skupił się na sprawach będących pod ręką.

...ręka. Szorował i szorował, ale bez skutku. W końcu zszedł do lochów i pożyczył od kata drucianą szczotkę. Też nie pomogła. Było jeszcze gorzej. Im dłużej drapał, tym więcej pojawiało się krwi. Bał się, że w końcu oszaleje...

Wypchnął tę myśl w zakamarki umysłu. Słabe punkty... To jest to. Błazen wyglądał jak idealny słaby punkt.

- Możecie odejść, sierżancie.

- Tak jest. - Żołnierz odmaszerował.

- Błaznie...

- Radujmy się, sir... - odpowiedział nerwowo Błazen i trącił struny swej znienawidzonej mandoliny.

- Właśnie rady mi trzeba, mój Błaznie.

- Dufam, wujaszku...

- Nie jestem twoim wujem. Z pewnością bym o tym pamiętał. - Lord Felmet pochylił się, aż bukszpryt jego nosa znalazł się o kilka cali od przerażonej twarzy Błazna. - Jeśli swoją kolejną wypowiedź zaczniesz od „wujaszku”, „dufam” albo „radujmy się”, gorzko tego pożałujesz.

Błazen bezgłośnie poruszył wargami.

- A co sądzisz o „łaskawco”? - zapytał. Książę wiedział, kiedy może ustąpić.

- Z łaskawcą jakoś przeżyję - rzekł. - I ty również. Ale żadnych podskoków. - Uśmiechnął się zachęcająco. - Jak długo jesteś Błaznem, mój chłopcze?

- Łaskawco złociutki...

- Złociutki... - Książę uniósł dłoń. - Ogólnie rzecz biorąc, raczej nie.

- Łaskawco zło... łaskawy panie. - Błazen nerwowo przełknął ślinę. - Przez całe życie, sir. Siedemnaście lat przy bębenu, od małego. A przede mną mój ojciec. I wujaszek, w tym samym czasie. I mój dziad przed nimi. I jego...

- Wszyscy twoi krewni byli Błaznami?

- Rodzinna tradycja, sir. To znaczy łaskawco. Książę znów się uśmiechnął, a Błazen był zbyt przerażony, by zauważyć, ile zębów odsłaniał ten uśmiech.

- Pochodzisz z tych okolic, prawda?

- Ra... Tak, sir.
- Zatem wiesz wszystko o miejscowych wierzeniach i tak da-lej?
- Chyba tak, sir. Łaskawco.
- Dobrze. A gdzie sypiasz, mój Błaźnie?
- W stajni, sir.
- Od tej chwili wolno ci spać w korytarzu przed moją komnatą - zezwolił łaskawie księżę.
- A niech to!
- A teraz... - głos księcia ściekał na błazna niczym melasa na budyń - opowiedz mi o czarownicach...

Tej nocy Błazen, zamiast na ciepłym, miękkim sianie w stajni, spał na solidnej, królewskiej posadzce w wietrznym korytarzu nad głównym holem.

- To błazeństwo - mruknął do siebie. - Radujmy się... Ale czy dostateczne błazeństwo?

Zdrzemnął się niespokojnie. Zapadł w rodzaj snu, gdzie jakaś mglista postać próbowała zwrócić na siebie jego uwagę. Niewyraźnie słyszał zza drzwi głosy lorda i lady Felmet.

- Przynajmniej nie ma przeciągów - stwierdziła niechętnie księżna.

Księżę usiadł w fotelu i uśmiechnął się do żony.

- I co? - zapytała. - Gdzie są czarownice?

- Szambelan miał chyba rację, ukochana. Czarownice, jak się zdaje, rzuciły urok na miejscową ludność. Sierżant gwardii wrócił z pustymi rękami...

Ręce... Zdusił tę irytującą myśl.

- Musisz go skazać na śmierć - odparła natychmiast. -Jako przykład dla pozostałych.

- Takie działania, moja droga, doprowadzą w końcu do sytuacji, kiedy rozkażemy ostatniemu z żołnierzy poderżnąć sobie gardło jako przykład dla niego samego. Przy okazji... - dodał łagodnie - ostatnio wydaje mi się, że widuję mniej służby. Wiesz, że nie chciałbym się wtrącać...

- Więc się nie wtrącaj - warknęła. -Ja rządzę gospodarstwem. I nie znoszę niedbałości.

- Z pewnością najlepiej wiesz, co robić. Ale...

- Co z tymi czarownicami? Czy będziesz czekał bezczynnie i pozwolisz, by ziarno kłopotów weszło w przyszłości? Co z koroną? Księżę wzruszył ramionami.

- Sądzę, że trafiła na dno rzeki.

- A dziecko? Oddano je czarownicom? Czy składają ofiary z ludzi?

- Nie, jak się zdaje.

Księżna wydawała się nieco rozczarowana.

- Te czarownice - oznajmił księżę - najwyraźniej rzucają uroki.

- To chyba...

- Nie takie, jak zaklęcia magiczne. Cieszą się raczej szacunkiem. Zajmują się leczeniem i tak dalej. To dosyć dziwne. Miejscowi górale boją się ich i są z nich dumni równocześnie. Podjęcie akcji przeciw nim może się okazać dość trudne.

- Mogłabym niemal uwierzyć - odparta księżna - że na ciebie też rzuciły urok.

Księżę istotnie był zaintrygowany. Moc zawsze budzi mroczną fascynację. To był główny powód, dla którego poślubił księżnę.

Nieruchomo wpatrywał się w ogień.

- Doprawdy - rzekła księżna, rozpoznając jadowity uśmiech męża - tobie to się chyba podoba, co? Myśl o niebezpieczeństwie. Pamiętam, kiedy braliśmy ślub; ta lina z węzłami...

Pstryknęła palcami przed zaszkłonymi oczami księcia. Wyprostował się.

- Wcale nie! - krzyknął.

- A więc co zamierzasz zrobić?

- Czekać.

- Czekać?

- Czekać i myśleć. Cierpliwość jest cnotą. Księżę oparł się wygodnie. Uśmiechnął się jak istota, która przesiedziała milion lat na rozgrzanym kamieniu.

A potem, tuż pod okiem, zaczął mu drgać mięsień. Spod bandaża na ręku sączyła się krew.

I znowu księżyc w pełni sunął nad chmurami. Babcia Weatherwax wydoiła i nakarmiła kozy, dołożyła do ognia, zarzuciła ściereczkę na lustro i zza drzwi wyjęła miotłę. Wyszła, zamknęła za sobą tylne drzwi i zawiesiła klucz na gwoździu w wygodce.

To wystarczyło. Tylko raz w całej historii czarów w Ramtopach złodziej włamał

się do domku czarownicy. Czarownica, którą to dotknęło, ukarała go w sposób straszliwy⁴.

Babcia wsiadła na miotle i wyszeptała kilka słów, choć bez większego przekonania. Po kilku próbach zsiadła, poprawiła wiązanie na witkach i spróbowała jeszcze raz. Na końcu kija pojawiła się sugestia błysku, ale zgasła natychmiast.

- A niech to - mruknęła pod nosem Babcia.

Rozejrzała się czujnie, czy nikt nie podgląda. Był tam jedynie borsuk, który wyszedł na polowanie. Słyszając tupot biegnących stóp, wystawił głowę spod krzaka i zobaczył czarownicę pędzącą po ścieżce. W wyciągniętej sztywno w bok ręce trzymała kij miotły. W końcu magia zaskoczyła, Babcia wsiadła niezgrabnie, a miotła poszybowała w nocne niebo z gracją kaczki pozbawionej jednego skrzydła.

Znad drzew dobiegła zduszona klątwa na wszystkich krasnoludzych mechanikach.

Większość czarownic woli mieszkać w samotnych domkach z tradycyjnie zakręconymi kominami i strzechą porośniętą mchem. Babcia Weatherwax uznawała to za właściwe; po co być czarownicą, jeśli ludzie o tym nie wiedzą?

Niania Ogg nie dbała, co ludzie wiedzą, a jeszcze mniej o to, co myślą. Mieszkała w nowym, pełnym bibelotów domku pośrodku Lancre, w samym sercu swojego osobistego imperium. Córkę i synów kolejno przychodziły gotować jej i sprzątać. Każdą płaską powierzchnię zastawiały ozdoby przywiezione przez podróżujących w dalekie krainy członków rodziny. Synowie i wnukowie pilnowali, żeby nie brakło jej drewna, żeby dach nie przeciekał i piec nie dymił; nigdy nie brakło butelek w kredensie ani tytoniu w kap-ciuchu obok fotela na biegunach. Nad kominkiem wisiła deska z wypalonym napisem „Mama”. Żaden tyran w historii świata nie zdobył władzy tak absolutnej.

Niania Ogg miała również kota, wielkiego, ślepego na jedno oko kocura imieniem Greebo. Spędzał on czas na spaniu, jedzeniu i płodzeniu największego kazirodczego kociego szczepu. Kiedy usłyszał, jak miotła Babci ląduje ciężko na podwórzu, otworzył oko niby żółte okno do piekła. Z typowym dla swego gatunku instynktem rozpoznał w Babci nieuleczalnego wroga kotów i dyskretnie przemieścił się pod fotel.

Magrat siedziała już sztywno przy kominku.

⁴ Nie zrobiła nic, ale czasami, kiedy spotykała go we wsi, uśmiechała się lekko i w zadumie. Po trzech tygodniach nie wytrzymała napięcia i targnął się na własne życie; dokładniej, targnął się i przeniósł je na drugi koniec kontynentu, gdzie stał

Jedna z nienaruszalnych zasad magii stwierdza, że praktykujący ją nie mogą zmienić własnego wyglądu na czas dłuższy. Ich ciała nabywają rodzaju morficznej inercji i stopniowo powracają do oryginalnego kształtu. Magrat jednak próbowała. Co rano jej włosy były długie, gęste i blond, ale pod wieczór zawsze zmieniały się w normalne smętne loki. Aby odrobinę poprawić efekt, wplotła w nie fiołki i pierwiosniki. Rezultat różnił się nieco od oczekiwań: wyglądała, jakby doniczka spadła jej na głowę.

- Dobry wieczór - odezwała się Babcia.

- Dobry cię przywiódł księżyc. Ku radości - odpowiedziała Magrat. - Niech gwiazda świeci...

- Jesteś! - zawołała Niania Ogg. Magrat skrzywiła się.

Babcia usiadła i zaczęła wyjmować szpilki, mocujące wysoki kapelusz do koka. Wreszcie dotarło do niej, jak wygląda Magrat.

- Magrat!

Młoda czarownica podskoczyła i ułożyła kościste dłonie na przedzie sukni.

- T... tak? - wyjąkała.

- Co masz na kolanach?

- To mój familiar.

- A co się stało z ropuchą, którą miałaś ostatnio?

- Poszła sobie - mruknęła Magrat. - Zresztą i tak się nie nadawała.

Babcia westchnęła. Magrat już od jakiegoś czasu prowadziła desperackie poszukiwania odpowiedniego familiara. Ale mimo miłości i troski, jaką je otaczała, wszystkie miały jakąś straszliwą skazę, na przykład skłonność do gryzienia, bycia rozdeptywanym, czy też - w przypadkach ekstremalnych - do metamorfozy.

- To już piętnasty w tym roku - zauważyła Babcia. - Nie licząc konia. Co to jest?

- Kamień - zachichotała Niania Ogg.

- Przynajmniej wytrzyma dłużej.

Kamień wysunął głowę i spojrzał na Babcię z lekkim rozbawieniem.

- To żółw - wyjaśniła Magrat. - Kupiłam go na targu w Owczej

Wólce. Jest bardzo stary i zna wiele tajemnic. Tak mówił sprzedawca.

- Znam tego człowieka - rzekła Babcia. - Sprzedaje złote rybki, które rdzewieją na drugi czy trzeci dzień.

- W każdym razie nazwę go Chyżostopy - oznajmiła wyzywająco Magrat. - Mogę, jeśli zechcę.

- Tak, tak. Oczywiście. Jestem pewna - uspokoiła ją Babcia. - A w ogóle co słyszeć, siostry? Minęły już dwa miesiące od ostatniego spotkania.

- Powinno się odbywać przy każdym nowiu księżyca - przypomniała Magrat. - Regularnie.

- Mieliśmy wesele najmłodszej naszej Grame - wyjaśniła Niania Ogg. - Nie mogłam nie pójść.

- A ja całą noc siedziałam przy chorej kozie - oświadczyła z godnością Babcia Weatherwax.

- No tak... - Magrat była pełna wątpliwości. Sięgnęła do torby. - Jeśli mamy zaczynać, zapalmy świece.

Starsze czarownice wymieniły zrezygnowane spojrzenia.

- Mam śliczną nową lampę. Tracie mi przysłał - oznajmiła niewinnie Niania Ogg. - I chciałam dołożyć trochę do ognia.

- Doskonale widzę po ciemku, Magrat - rzekła surowo Babcia. - A ty znowu czytałaś te ciężkie książki. Granity.

- Grimoire'y...

- A ja nie pozwolę, żebyś znowu rysowała po podłodze - ostrzegła Niania Ogg. - Dreen męczyła się przez parę dni, żeby zmyć te, jak im tam, z poprzedniego razu...

- Runy - wyjaśniła Magrat. W jej oczach pojawiło się błaganie. - Chociaż jedną świecę?

- No dobrze - ustąpiła Niania Ogg. - Jeśli masz się od tego poczuć lepiej... Ale tylko jedną. I to porządną, białą. Żadnych wymysłów.

Magrat westchnęła. Chyba niepotrzebnie przyniosła swoją torbę.

- Powinnyśmy sprowadzić jeszcze kilka osób - powiedziała. - Trzy to za mało na przyzwoity sabat.

- Nie wiedziałam, że dalej jesteśmy sabatem. Nikt mi nie powiedział, że to sabat - prychnęła Babcia Weatherwax. - Zresztą po tej stronie gór nie ma już nikogo prócz Staruszki Dismass, a ona ostatnio nigdzie nie wychodzi.

- W mojej wiosce jest wiele młodych dziewcząt... - oświadczyła Magrat. - No wiecie... Może byłyby chętne...

- Dobrze wiesz, że nie tak się to robi - odparła z dezaprobatą Babcia. - Ludzie nie znajdują magii, ona sama do nich przychodzi.

- Tak, oczywiście. Przepraszam.

- No właśnie - stwierdziła Babcia, trochę udobruchana. Nigdy nie opanowała sztuki przepraszania, ale ceniła ją u innych.

- Co sądzicie o naszym nowym księciu? - spytała Niania, żeby oczyścić atmosferę.

Babcia wyprostowała się z powagą.

- Kazał spalić kilka domów w Głupim Ośle. Z powodu podatków.

- To straszne - szepnęła Magrat.

- Stary król Verence też to robił - przypomniała Niania Ogg.

- Był bardzo porywczy.

- Ale zwykle pozwalał ludziom najpierw wyjść - zauważyła Babcia.

- A tak - przyznała Niania, zagorzała rojalistka. - Bywał taki' wielkoduszny. I często płacił za odbudowę. Jeśli nie zapomniał.

- A w każdą Noc Strzeżenia Wiedźm fundował jeleni comber

- westchnęła Babcia. - Regularnie.

- O tak. I miał szacunek dla czarownic, trudno zaprzeczyć -dodała Niania Ogg.

- Często spotykał mnie w lesie, kiedy polował na ludzi. Zawsze zdejmował hełm, zawsze mówił: „Mniemam, że znajduję panią w dobrym zdrowiu, pani Ogg”. A następnego dnia przysyłał lokaja z paroma butelczynami czegoś rozgrzewającego. Prawdziwy król.

- Polowanie na ludzi nie jest dobre - zaprotestowała Magrat.

- Fakt, nie - przyznała Babcia Weatherwax. - Ale polował tylko na takich, którzy zrobili coś złego. Mówił, że oni właściwie to lubią. I często ich puszczał, jeżeli dobrze uciekali.

- No i jeszcze ten jego wielki miecz - dodała Niania Ogg. Atmosfera zmieniła się wyraźnie. Stała się ciepła i mroczna, wypełniając kąty cieniami nie wypowiedzianych sekretów.

- Ach... - mruknęła Babcia Weatherwax. - Jego droit de seigneur...

- Musiał często z niego korzystać. - Niania Ogg wpatrywała się w ogień.

- Ale następnego dnia przysyłał swojego marszałka dworu z sakiewką srebra i koszem smakołyków na wesele - przypomniała Babcia. - Niejedna para mogła dzięki temu rozpocząć nowe życie.

- To prawda - zgodziła się Niania. - A także jedna czy druga osoba samotna.

- Król w każdym calu.

- O czym wy mówicie? - zdziwiła się Magrat. - Przecież każdy lord ma zbrojownię.

Dwie czarownice wynurzyły się na powierzchnię z głębiny mrocznych wspomnień. Babcia Weatherwax wzruszyła ramionami.

-Jeśli tak dobrze myślicie o poprzednim królu - kontynuowała surowym tonem Magrat - dziwię się, czemu was nie martwi, że został zabity. Przynajcie, ten wypadek był bardzo dziwny.

- Tacy już są królowie - odparła Babcia. - Przychodzą i odchodzą. Dobrzy i źli. Jego ojciec otrął króla, którego mieliśmy poprzednio.

- Starego Tharguma - przypomniała Niania. - O ile pamiętam, miał długą rudą brodę. Też był wielkoduszny.

- Tyle że teraz nikomu nie wolno mówić, że Felmet zabił króla - stwierdziła Magrat.

- Co? - zdziwiła się Babcia.

- Przedwczoraj właśnie za to kazał stracić w Lancre kilka osób - wyjaśniła Magrat. - Powiedział, że rozsiewali złośliwe kłamstwa. I że każdy, kto będzie to powtarzał, zwiedzi jego lochy. Ale nie będzie długo ich oglądał. Twierdzi, że Verence zmarł śmiercią naturalną.

- Być zamordowanym to przecież dla króla śmierć naturalna. Nie rozumiem, dlaczego tak się krępuje. Kiedy zabili starego Tharguma, zatknęli jego głowę na kiju, rozpalili wielkie ognisko i wszyscy w zamku przez tydzień chodzili pijani.

- Pamiętam - wtrąciła Niania. - Nosili tę głowę po wioskach, by pokazać, że naprawdę nie żyje. Bardzo przekonujące, uznałam.

Zwłaszcza dla niego. Uśmiechał się. Myślę, że tak właśnie chciałby odejść.

- Sądzę, że na obecnego powinniśmy uważać - oświadczyła Babcia. - Mam wrażenie, że może być za sprytny. To niedobra cecha u królów. I nie przypuszczam, żeby umiał okazywać szacunek.

- W zeszłym tygodniu przyszedł do mnie jakiś człowiek i zapytał, czy chciałabym płacić jakieś podatki - oznajmiła Magrat. - Powiedziałam mu, że nie.

- U mnie też był - przypomniała sobie Niania Ogg. - Ale nasz Jason i nasz Wane wyszli do niego i powiedzieli, że nie mamy ochoty.

- Niski, łysy, w czarnym płaszczu? - spytała z namysłem Babcia Weatherwax.

- Tak - odpowiedziały chórem dwie czarownice.

- Chował się u mnie w malinach. Ale uciekł, kiedy wyszłam zapytać, czego

chce.

- Szczerze mówiąc, dałam mu dwa miedziaki - przyznała się Magrat. - Powiedział, że będzie torturowany, jeśli nie zmusi czarownic do płacenia podatków...

Lord Felmet starannie obejrzał dwie monety. Następnie popatrzył na swojego poborcę podatków. -A więc... Poborca odchrząknął nerwowo.

- No więc, jaśnie panie, to było tak: wytłumaczyłem im, że musimy utrzymywać stałą armię i w ogóle, a one spytały dlaczego, a ja powiedziałem, że z powodu bandytów i w ogóle, a one na to, że bandyci nigdy ich nie zaczepiają.

- A roboty publiczne?

- A tak. No więc wskazałem im konieczność budowy i konserwacji mostów i w ogóle.

- I?

- Powiedziały, że ich nie używają.

- Aha - stwierdził z mądrą miną książę. - Nie mogą przekroczyć płynącej wody.

- Nie byłbym tego pewny, sir. Myślę, że czarownice mogą przekroczyć, co tylko zechcą.

- Czy mówiły coś jeszcze? - spytał książę. Poborca z roztargnieniem miał kraj swojej szaty.

- Owszem, sir. Wspomniałem, że podatki pomagają utrzymać pokój...

- I co?

- Odpowiedziały, że król sam powinien dbać o swoje pokoje, sir. A potem obrzuciły mnie spojrzeniem.

- Jakim spojrzeniem?

Książę podparł dłonią podbródek. Był zafascynowany.

- Trochę trudno je opisać - stwierdził poborca.

Starął się unikać wzroku księcia; miał przemożne uczucie, że kafelkowa podłoga ucieka spod niego we wszystkie strony i pokrywa już dobre kilka akrów. Fascynacja lorda Felmeta była dla niego tym, czym szpilka dla balonu.

- Spróbuj - zachęcił książę. Poborca zaczerwienił się.

- No więc... - zaczął. - Ono nie było miłe.

Co dowodzi, że poborca podatków lepiej radził sobie z liczbami niż ze słowami. Gdyby zakłopotanie, strach, marna pamięć i całkowity brak wyobraźni nie

sprzysięgły się przeciw niemu, powiedziałby coś takiego: „Kiedy byłem mały i mieszkałem u ciotki, to ona zabroniła mi dotykać śmietanki i w ogóle, i odstawiła ją na najwyższą półkę w spiżarni, a wtedy ja przyniosłem stółek i chciałem ją zdjąć, kiedy ciotki nie było w domu, ale ona wróciła, tylko ja nic nie wiedziałem, i nie mogłem dosięgnąć do dzbanka, więc spadł na podłogę i się roztrzaskał, a ona wtedy weszła i popatrzyła na mnie. To było właśnie takie spojrzenie. Ale najgorsze, że one o tym wiedziały”.

- Niemile - powtórzył książę.

- Nie, sir.

Książę zabębnił palcami lewej ręki po poręczy tronu. Poborca chrząknął ponownie.

- Jaśnie panie... Nie zechcesz chyba zmuszać mnie do powrotu, prawda?

- Co? - Książę machnął niecierpliwie ręką. - Nie, nie - zapewnił. - Porozum się tylko z oprawcą, kiedy będziesz wychodził. Zobacz, czy znajdzie dla ciebie miejsce. Poborca skłonił się z wdzięcznością.

- Dzięki, sir. Natychmiast, sir. Jesteś bardzo...

- Tak, tak - rzucił z roztargnieniem lord Felmet. - Możesz odejść.

Pozostał sam w ogromnej sali. Znowu padał deszcz. Od czasu do czasu tynk spadał na kafelki, a ściany trzeszczały, jakby osiadały jeszcze głębiej. Powietrze pachniało starymi piwnicami.

Bogowie, jakże nienawidził tego królestwa!

Było takie małe: ledwie czterdzieści mil długie i może na dziesięć szerokie. Prawie w całości składało się z okrutnych gór o zboczach zielonych od lodu i grzbietach ostrych jak nóż oraz z gęstych, ponurych lasów. Takie królestwo nie powinno sprawiać kłopotów.

Nie mógł tylko zrozumieć uczucia, że ma ono także głębię. Zdawało się, że mieści w swych granicach zbyt wiele geografii.

Wstał i przeszedł przez komnatę na balkon, skąd roztaczał się niezrównany widok na drzewa. Odniósł wrażenie, że drzewa też na niego patrzą.

Wyczuwał ich niechęć. To dziwne, bo ludzie jakoś nie protestowali. Zresztą przeciwko niczemu właściwie nie protestowali. Verence był na swój sposób popularny. Sporo ludzi zjawiało się na pogrzebie; pamiętał rzędy poważnych twarzy. Nie wyglądali na głupich. W żadnym razie. Wyglądali na zajętych innymi sprawami; jakby to, co robią królowie, nie było szczególnie ważne.

Irytowało go to tak samo jak drzewa. Solidne rozruchy, na przykład, byłyby bardziej... bardziej właściwe. Człowiek mógłby pojeździć, powieszać ludzi, powstałoby twórcze napięcie, tak ważne dla rozwoju państwa. Na równinach, kiedy dawało się ludziom kopniaka, odpowiadali kopniakiem. A tutaj, kiedy dać komuś kopniaka, odsunie się tylko i będzie czekał, aż noga człowiekowi odpadnie. Jak królowie mogą przejść do historii, władając takim narodem? Nie można tych ludzi dręczyć, tak samo jak nie można dręczyć materaca.

Podniósł już podatki i spalił parę wiosek, dla zasady, żeby pokazać, z kim mają do czynienia. I właściwie nie uzyskał żadnego efektu.

A teraz jeszcze te czarownice. Nie dawały mu spokoju.

- Błaźnie!

Błażen, który uciął sobie krótką drzemkę za tronem, obudził się przerażony.

- Słucham!

- Podejdz.

Błażen zbliżył się, brzęcząc żałośnie dzwoneczkami.

- Powiedz mi, Błaźnie, czy tu zawsze pada deszcz?

- Dufam, wujaszku...

- Po prostu odpowiedz na pytanie - rzekł lord Felmet z żelazną cierpliwością.

- Czasami przestaje, sir. Żeby zrobić miejsce dla śniegu. A czasem mamy tu naprawdę uporczywe orguliczne mgły - wyjaśnił Błażen.

- Orguliczne? - zdziwił się książę.

Błażen nie mógł się powstrzymać. Jego przerażone uszy słyszały, jak usta wyrzucają:

- Gęste, panie. Od łacianińskiego *orgulum*, co oznacza zupę czy też wywar.

Ale książę nie słyszał. Wysłuchiwanie paplania niższych stanem nie uważał na warte wysiłku.

- Nudzę się, Błaźnie.

- Pozwól, że cię rozbawię, panie, swoimi wesołymi uwagami czy lekkim żartem.

- Spróbuj.

Błażen oblizał wyschnięte wargi. Szczerze mówiąc, tego się nie spodziewał. Król Verence cieszył się, kiedy mógł dać mu kopniaka albo rzucić w głowę butelką. To był prawdziwy król.

- Czekam. Rozśmiesz mnie. Błażen nabrał tchu.

-Jak chcesz, złociutki - wykrztusił. -Jakąż różnicę znajdziesz między sokołem łownym?

Księżę zmarszczył brwi. Błazen uznał, że lepiej nie czekać.

- Takąż, że nóżkę jedną bardziej ma niż drugą - odpowiedział, a potem, ponieważ było to elementem dowcipu, poklepał lekko Felmeta swoim balonem na patyku i brzdęknął w mandolinę.

Wskazujący palec księcia wystukał ostry werbel na poręczy tronu.

- Rozumiem - rzekł władca. - I co dalej?

- To jest... tego... już wszystko - wyjaśnił Błazen. - Mój dziadek uważał, że to jeden z jego najlepszych żartów.

- Śmiem podejrzewać, że opowiadał go nieco inaczej - stwierdził księżę. Wstał. - Przywołaj moich łowczych. Mam ochotę wyruszyć na polowanie. Ty też możesz pojechać.

- Panie, nie potrafię dosiadać konia!

Po raz pierwszy od rana lord Felmet się uśmiechnął.

- Doskonale - rzekł. - Damy ci konia, który nie potrafi nieść jeźdźca. Cha, cha.

Spojrzał na obandażowaną dłoń. W wolnej chwili, postanowił, każe zbrojmistrzowi przysłać mi pilnik.

Przeminął rok. Dni cierpliwie następowały jeden po drugim. Kiedyś, na samym początku multiversum, próbowały mijać wszystkie naraz, ale nic z tego nie wyszło. Tomjon siedział pod rozchwianym stolikiem Hwela i przyglądał się ojcu, który chodził od ściany do ściany wozu i mówiąc machał ręką. Vitoller zawsze machał ręką, kiedy mówił; gdyby związać mu ręce z tyłu, stałby się niemową.

- No dobrze - rzekł. - A może *Królewskie narzeczone*?

- W zeszłym roku - odpowiedział mu głos Hwela.

- Niech będzie. W takim razie dajmy im *Malla, tyrana Klatchu* - postanowił Vitoller. Jego krtań gładko zmieniła przełożenie i głos stał się grzmiący, zdolny wprawić w wibrację szyby po drugiej stronie przeciętnego miejskiego rynku. - „We krwi przybyłem i we krwi *rządzić*, będę, by nikt nie śmiał szturmować tych krwawych murów...”

- Wystawialiśmy to dwa lata temu - oświadczył spokojnie Hwel. - Zresztą ludzie mają już dosyć królów. Chcą się trochę pośmiać.

- Moich królów na pewno nie mają dosyć - zapewnił Vitoller. - Drogi chłopcze, ludzie nie po to przychodzą do teatru, żeby się śmiać. Przychodzą, żeby Przeżywać, Czerpać Naukę, Zachwycać się...

- Śmiać się - stwierdził chłodno Hwel. - Popatrz na ten kawałek.

Tomjon usłyszał szelest papieru i trzeszczenie wikliny, gdy ojciec opuścił swój ciężar na kosz z rekwizytami.

- *Mag swego rodzaju* - przeczytał Vitoller. - *Albo jak sobie chcecie*. Hwel wyciągnął nogi pod stołem i potrącił Tomjona. Wyciągnął go za ucho.

- O co tu chodzi? - zapytał Vitoller. - Magowie? Demony? Chochliki? Kupcy?

- Jestem dość zadowolony ze sceny czwartej w akcie drugim.

- Hwel pchnął malucha w stronę kosza rekwizytów. - Komik Przy Myciu i Dwóch Służących.

- Jakies sceny na łożu śmierci? - spytał Vitoller z nadzieją.

- Nie... ale mogę wstawić żartobliwy monolog w trzecim akcie.

- Żartobliwy monolog?

- No dobrze, jest jeszcze miejsce na mowę w ostatnim akcie

- zapewnił pośpiesznie Hwel. - Napiszę dziś wieczorem. Żaden kłopot.

- I cios sztyletem - zażądał Vitoller, wstając. - Ohydny mord. To zawsze się podoba.

Wyszedł, by dopilnować ustawiania sceny.

Hwel westchnął i sięgnął po pióro. Gdzieś za obwisłymi ścianami z derki leżało miasteczko Wiszący Pies, które pozwoliło się zbudować na występie stromej ściany kanionu. W Ramtopach nie brakowało płaskiego gruntu. Problem w tym, że w większości był pionowy.

Hwel nie lubił tych gór, co musiało dziwić, jako że Ramtopy były odwieczną krainą krasnoludów, a on był krasnoludem. Został jednak dawno wygnany ze swego plemienia, nie tylko z powodu klaustrofobii, ale też skłonności do marzeń. Miejscowy król krasnoludów stwierdził, że nie jest to pożądany talent u kogoś, kto powinien machać kilofem i nie zapominać, w co należy trafić. W rezultacie Hwel otrzymał bardzo małą sakiewkę złota, serdeczne życzenia całego plemienia oraz stanowcze „żegnaj”.

Przypadek zdarzył, że akurat przejeżdżali tamtędy Vitoller ze swymi wędrownymi aktorami i krasnolud poświęcił miedziaka, by zobaczyć spektakl *Smok z równin*. Patrzył nieruchomo i nawet mięsień nie drgnął mu na twarzy, wrócił do siebie,

a rankiem zastukał do wozu Vitollera. Przyniósł pierwszy szkic *Króla spod góry*. Nie była to wybitna sztuka, jednak Vitoller okazał się dostatecznie spostrzegawczy, by w kudłatej głowie zobaczyć wyobraźnię tak potężną, że pozwoli zdobyć świat. Kiedy więc wędrowni aktorzy powędrowali dalej, jeden musiał biec, żeby dotrzymać im kroku...

Cząstki czystego natchnienia bez przerwy przebijają wszechświat. Co jakiś czas któraś z nich trafia w gotów do jej przyjęcia umysł, który następnie odkrywa DNA, formę sonaty na flet albo metodę produkcji żarówek przepalających się dwa razy szybciej. Jednak większość tych cząstek chybia. Większość ludzi przez całe życie nie zostaje trafiona nawet jedną.

Niektórzy mają jeszcze większego pecha. Trafiają w nich bez przerwy.

Taki właśnie był Hwel. Natchnienia, w ilości wystarczającej dla stworzenia pełnej historii sztuki scenicznej, trafiały bezustannie do niewielkiej twardej czaszki, zaprojektowanej przez ewolucję dla funkcji nie bardziej spektakularnych niż wyjątkowa odporność na ciosy topora.

Hwel polizał pióro i nieco zawstydzony rozejrzał się po obozowisku. Nikt nie patrzył. Ostrożnie podniósł *Maga*, odsłaniając drugi stos kart papieru.

Nie była to kolejna chałtura. Każdą stronicę zrosił potem; słowa były wpisane mozaiką kleksów, skreśleń i drobno nabazgranych dopisków. Hwel przyglądał się im przez chwilę, samotny w świecie złożonym tylko z niego, następnej czystej strony i hałaśliwych, grzmiących głosów, które nawiedzały go w snach.

Zaczął pisać.

Uwolniony od nigdy zbyt czujnej uwagi Hwela, Tomjon uchylił wieko kosza z rekwizytami i metodycznie -jak to dziecko - zaczął wypakowywać korony.

Krasnolud wysunął język i prowadził oporne pióro po zaplamionej inkaustem stronie. Znalazł miejsce dla nieszczęśliwie zakochanych, dla zabawnych grabarzy i garbatego króla. Sprawiały mu teraz kłopoty koty i wrotki...

Cichy bełkot sprawił, że uniósł głowę.

- Na miłość bogów, mały - powiedział. - Przecież jest za duża. Schowaj ją.

Dysk wtoczył się w zimę.

Ramtopy zimą trudno uczciwie opisywać jako magiczną, oszronioną krainę czarów, gdzie każdą gałązkę oplata koronka kruchego lodu. Ramtopy zimą nie lubią

żartów; są bramą prowadzącą do pierwotnego mrozu sprzed stworzenia świata. Ramtopy zimą to parę sążni śniegu i lasy zmienione w zbiór cienistych tuneli pod zaspami. To leniwy wicher, któremu nie chce się wiać dookoła ludzi, więc dmucha przez nich na wylot. Pomyśl, że zima może przynosić radość, nigdy nie przyszedł do głowy nikomu z mieszkańców Ramtopów, którzy znają osiemnaście różnych określeń śniegu⁵.

Duch króla Verence'a krążył po murach samotny i głodny. Spoglądał na swe ukochane lasy i wyczekiwał okazji.

Była to zima pełna wróżb. Nocami komety rozbłyskiwały na mroźnym niebie. Za dnia nad krainą przepływały chmury ukształtowane w potężne wieloryby i smoki. We wsi Ostry Grzbiet kotka urodziła dwugłowe kociątko; ponieważ jednak Greebo - dzięki nieustającym wysiłkom - był męskim przodkiem każdego kota przynajmniej od trzydziestu pokoleń, zdarzenie to nie było szczególnie prorocze.

Za to w Głupim Ośle młody kogut zniósł jajo i musiał odpowiedzieć na kilka bardzo kłopotliwych pytań natury osobistej. W Lancre pewien człowiek przysięgał, że spotkał kogoś, kto na własne oczy widział, jak drzewo wstało i poszło przed siebie. Spadł krótki, ulewny deszcz krewetek. Na niebie pojawiały się dziwne światła. Gęsi chodziły tyłem. A nad tym wszystkim płonęły gigantyczne falbany zimnego ognia, Aurory Coriolis, czyli Zorzy Osiowej, której chłodne kolory rozświetlały i zabarwiały śnieg.

Nie było w tym nic dziwnego. Ramtopy ciągnęły się w poprzek gigantycznej, stojącej fali magii Dysku niczym żelazny pręt upuszczony niewinnie na tory metra. Magia bezustannie wyładowywała się w okolicy. Ludzie budzili się nocą, mruczeli: Jeszcze jeden przekłety omen" i zasypiali znowu.

Nadeszła Noc Strzeżenia Wiedźm, znacząc początek nowego roku. I z przerażającą gwałtownością nic się nie wydarzyło.

Niebo było czyste, śnieg głęboki i sypki jak cukier puder.

Zamarznięty las milczał i pachniał metalem. Jedyne, co spadało z nieba, to z rzadka tylko świeży śnieg.

Jakiś człowiek przeszedł przez wrzosowiska od Ostrego Grzbietu do Lancre i nie zobaczył ani jednego błędnego ognika, bezgłowego psa, spacerującego drzewa, widmowego powozu ani komety. Dobrzy mieszczanie musieli zaprowadzić go do tawerny i postawić coś mocniejszego, żeby mógł zaniepokoić nerwy.

⁵ Niestety, żadne z nich nie nadaje się do druku.

Stoicyzm Ramtoperów, rozwijany od lat do formy absolutnej odporności na taumaturgiczny chaos, nie mógł znieść takiej zmiany. Była jak hałas, którego się nie słyszy, dopóki nie ucichnie.

Babcia Weatherwax właśnie go słyszała, opatulona górą kołder w lodowatej sypialni. Noc Strzeżenia Wiedźm jest na Dysku tradycyjnie tą jedyną w roku, kiedy czarownice powinny zostać w domach. Dlatego położyła się wcześniej, w towarzystwie torby jabłek i kamionkowej flaszki z gorącą wodą. Coś jednak wyrwało ją z drzemki.

Zwyczajny człowiek zacząłby przekradać się na dół, być może uzbrojony w pogrzebacz. Babcia tylko objęła rękami kolana i pozwoliła umysłowi wzlecieć.

Tego czegoś nie było w domu. Wyczuwała małe, prędkie umysły myszy i zamglone myśli swoich kóz, leżących w ciepłe przytulnej obórki. Niby sztylet czujności przepłynęła nad dachem chaty sowa na polowaniu.

Babcia skupiła się i jej umysł wypełniło ciche brzęczenie owadów w słomie strzechy i korników w belkach. Nic ciekawego.

Skuliła się mocniej i wyfrunęła do lasu, pogrążonego w ciszy, przerywanej jedynie z rzadka głuchymi uderzeniami śniegu zsuwającego się z gałęzi. Nawet zimą las był pełen życia, zwykle uśpionego w jamach czy hibernującego w dziuplach.

Wszystko jak zwykle. Rozprzestrzeniła się bardziej, na wrzosowiska, ku tajemnym ścieżkom, gdzie wilki biegały bezszelestnie po zamrożonej szreni; dotknęła ich umysłów ostrych jak noże. Wyżej, na ośnieżonych przestrzeniach znalazła tylko stado wermimi⁶.

Wszystko było takie, jakie być powinno, z tym tylko zastrzeżeniem, że nic nie było jak należy. Istniało tam coś... tak, istniało coś żywego, coś młodego i starożytnego, i...

Babcia zbadała w myślach to uczucie. Tak. To jest to. Coś samotnego. Zagubionego. I...

Uczucia nigdy nie są proste. Babcia wiedziała to dobrze. Wystarczy je zerwać, a pod spodem pojawiają się inne...

Coś, co - jeśli szybko nie przestanie być samotne i zagubione - zacznie być bardzo złe.

Wciąż jednak nie mogła tego znaleźć. Wyczuwała już maleńkie umysły

⁶ Wermينيا to małe, czarno-białe zwierzątko, cenione dla swego futra. Jest ostrożniejszym kuzynem leminga: rzuca się jedynie z niewielkich kamyków.

poczwerek pod zamarzniętymi liśćmi. Wyczuwała dżdżownice migrujące poniżej linii zmarzliny. Wyczuwała nawet kilku ludzi, którzy zawsze są najtrudniejsi. Ludzki umysł zajmuje się tyloma myślami równocześnie, że prawie niemożliwa jest jego lokalizacja. To tak jakby próbować przybić mgłę do ściany.

Tam nie... Tam też nie... Wrażenie okrężało ją zewsząd i nie znalazła nic, co by je powodowało. Zsunęła się w dół jak najdalej, do najmniejszych stworzeń w królestwie, i wciąż niczego nie było.

Usiadła na łóżku, zapaliła świecę i sięgnęła po jabłko. Spojrzała na ścianę sypialni.

Nie lubiła przegrywać. Coś tam istniało, coś spijało magię, coś rośło, coś było tak pełne życia, że otaczało cały dom. A jednak nie mogła tego odszukać.

Zredukowała jabłko do ogryzka i odłożyła starannie na podstawkę lichtarza. Potem zdmuchnęła świecę.

Chłodny aksamit nocy znowu okrył pokój. Babcia Weatherwax postanowiła spróbować jeszcze raz. Może patrzyła w złą stronę...

Po chwili leżała na podłodze, naciągając na głowę poduszkę. Pomyśleć tylko: spodziewała się, że to będzie małe...

Zamek Lancre zadygotał. Nie był to gwałtowny wstrząs, ale i nie musiał być, gdyż konstrukcja zamku sprawiała, iż kołysał się nawet przy lekkim wietrzyku. Niewielka wieżyczka pochyliła się wolno i runęła w wypełniony mgłą kanion.

Błazen leżał na posadzce i drżał przez sen. Cenił ten zaszczyt, o ile to był zaszczyt, ale spanie na korytarzu zawsze sprowadzało sny o Gildii Błaznów, w której szarych, surowych ścianach przedrzał siedem lat straszliwej nauki. Posadzka była nieco bardziej miękka niż łóżka w Gildii.

O kilka stóp od niego zabrzęczała lekko zbroja. Halabarda zawibrowała w stalowej rękawicy aż - niby atakujący nietoperz, przecinający ze świstem nocne powietrze - przewróciła się i rozbiła posadzkę obok ucha Błazna.

Błazen usiadł. Zdał sobie sprawę, że ciągle się trzęsie. Tak samo jak podłoga.

W pokoju lorda Felmeta drżenia wytrząsały kaskady kurzu ze starożytnego łoża z baldachimem. Książę obudził się ze snu, w którym ogromna bestia tupiała wokół zamku, i stwierdził ze zgrozą, że może to być prawda.

Portret jakiegoś dawno zmarłego króla spadł ze ściany. Książę wrzasnął.

Błazen stanął w progu, usiłując zachować równowagę na podłodze, która falowała teraz jak morze. Książę z trudem wstał z łóżka i chwycił Błazna za kaftan.

- Co się dzieje? - syknął. - Czy to trzęsienie ziemi?

- Nie miewamy ich w tej okolicy, panie - odparł Błazen i został odtrącony, gdy szeszlong przepłynął wolno po dywanie.

Książę skoczył do okna i spojrzał na oświetlony księżycem las. Drzewa pod czapami śniegu wibrowały wśród ciszy nocy.

Kawał tynku trzasnął o posadzkę. Lord Felmet odwrócił się i tym razem uniósł Błazna nad podłogą.

Wśród wielu dobrodziejstw, z których książę w życiu zrezygnował, znajdowała się także ignorancja. Lubił mieć wrażenie, że wie, co się dzieje. Wspaniałe wątpliwości egzystencji nie kusiły go wcale.

- To czarownice, co? - warknął. Lewy policzek zaczął mu drżeć jak wyrzucona na piasek ryba. - Czekają tam w dole, co? Rzucają na zamek czar Wpływu, co?

- Zaprawdę, wujaszku...

- Rządzą tym krajem, co?

- Nie, panie, nigdy nie...

- Kto cię pytał?!

Błazen dygotał dokładnie w przeciwfazie z zamkiem, był więc jedynym obiektem, który wydawał się doskonale nieruchomy.

- Ehem... Ty, panie - wyjąkał.

- Sprzeczasz się ze mną?

- Nie, panie!

- Tak myślałem. Jesteś z nimi w zмовie, prawda?

- Panie! - Błazen był naprawdę zaszokowany.

- Wszyscy jesteście w zмовie! - krzyknął książę. - Cała wasza banda! Jesteście gromadą hersztów!

Odepchnął Błazna, szarpnięciem otworzył drzwi na taras. Wyszedł na mróz i spojrzał z góry na uśpione królestwo.

- Słyszycie mnie wszyscy?! - wrzasnął. - To ja jestem królem!!! Wstrząsy ustały nagle, zaskakując księcia zupełnie. Odzyskał równowagę i strzepnął pył z nocnej koszuli.

- No właśnie - rzekł.

Ale teraz było jeszcze gorzej. Teraz las nasłuchiwał. Wypowiedziane słowa

rozplynęły się w bezbrzeżnej pustce ciszy.

Na zewnątrz coś się czaiło. Wyczuwał to. Było dość silne, by wstrząsnąć całym zamkiem, a teraz obserwowało go i słuchało.

Książę wycofał się ostrożnie, wymacał za plecami klamkę, wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Pospieszenie zasunął story.

- To ja jestem królem - powtórzył cicho.

Zerknął na Błazna, który uznał, że czegoś od niego oczekuje.

Ten człowiek jest moim władcą i panem, pomyślał. Jadłem jego sól czy jak to tam idzie. W Gildii uczyli mnie, że Błazen powinien być wierny swemu panu do samego końca, kiedy już wszyscy inni go opuszczą. Dobry czy zły - nie ma znaczenia. Każdy przywódca potrzebuje Błazna. Istnieje tylko lojalność. I tyle. Co z tego, że jest chyba całkiem szalony? Jestem jego Błaznem, dopóki jeden z nas nie umrze.

Ze zgrozą spostrzegł, że książę szłocha.

Błazen wyjął z rękawa niezbyt czystą czerwono-żółtą chusteczkę haftowaną w dzwonki. Książę wziął ją z wyrazem dumy i wdzięczności, i wytarł nos. Po czym z obłąkańczą podejrzliwością spojrzał na kawałek materiału.

- Jeśli to sztylet, co przed sobą widzę... - wymamrotał.

- Ehem... Nie, panie. To tylko moja chusteczka. Przyjrzyj się bliżej, z pewnością zauważysz różnicę. Nie ma tylu ostrych krawędzi.

- Dobry błazen - rzucił niejasno książę. Zupełnie zwariował, pomyślał Błazen. Jest o parę kroków od granicy. Tak pokręcony, że można by nim otwierać butelki.

- Uklęknij przede mną, mój Błaźnie.

Błazen ukląkł. Książę położył mu na ramieniu dłoń w brudnym bandażu.

- Czy jesteś lojalny, Błaźnie? Czy można ci ufać?

- Przysięgałem, że będę szedł za swym panem aż do śmierci -zapewnił chrapliwym głosem Błazen.

Książę przysunął swą obłąkaną twarz i Błazen spojrzał wprost w przekrwione oczy.

- Nie chciałem - szepnął konspiracyjnie Felmet. - Zmusili mnie do tego. Wcale nie chciałem...

Drzwi odskoczyły na bok. Framugę wypełniła postać księżnej, prawie tego samego kształtu.

- Leonalu! - warknęła.

Błazna zafascynowała zmiana w oczach księcia: czerwony płomień obłędu zniknął, został wessany do wnętrza i zastąpiony przez lodowate, błękitne spojrzenie, jakie nauczył się już rozpoznawać. Nie oznaczało to, jak szybko zrozumiał, że księżę jest teraz mniej szalony. Nawet chłód jego spokoju był swego rodzaju obłędem.

Księżę miał umysł, który tykał jak zegarek i jak z zegarka regularnie wyskakiwał z niego ptaszek.

Felmet spokojnie podniósł głowę.

- Tak, moja droga?

- Co to wszystko ma znaczyć? - zapytała gniewnie.

- Podejrzewam czarownice.

- Naprawdę nie sądzę... - zaczął Błazen. Spojrzenie lady Felmet nie tylko go uciszyło, ale niemal przybiło do ściany.

- To jest aż nadto oczywiste - rzekła. - Jesteś idiotą.

- Błaznem, pani.

- To również - mruknęła i zwróciła się do męża. - A więc... - Uśmiechnęła się posępnie. - Wciąż się buntują? Księżę wzruszył ramionami.

- Jak mam walczyć z magią?

- Słowami - odpowiedział bez namysłu Błazen i natychmiast tego pożałował.

Oboje spojrzeli na niego.

- Co? - spytała księżna.

Błazen w zakłopotaniu upuścił mandolinę.

- W... w Gildii uczyli nas, że słowa mogą być silniejsze nawet od magii.

- Klaun! - stwierdził księżę. - Słowa to tylko słowa. Krótkie sylaby. Kamienie i kije mogą mi połamać kości... - zamilkł na moment, rozkoszując się tą myślą - ...ale słowa na pewno mnie nie zranią.

- Panie, istnieją słowa, które to potrafią. Kłamca! Uzurpator! Morderca!

Księżę odskoczył nagle i skrzywił się.

- W tych słowach nie ma prawdy - zapewnił pośpiesznie Błazen. - Ale mogą się rozprzestrzeniać jak ogień na torfowisku, a potem palić...

- Prawda! Prawda! - jęknął księżę. - Słyszę je bez przerwy. To czarownice!

- Zatem... Zatem można z nimi walczyć innymi słowami. Słowa nawet czarownice pokonają.

- Jakie słowa? - wtrąciła zamyślona księżna.

- Starucha. - Błazen wzruszył ramionami. - Złe oko. Głupie babsko.

Księżna uniosła brew.

- Nie jesteś zupełnym idiotą - orzekła. - Mówisz o plotce.
- Otóż to, pani. - Błazen przewrócił oczami. W co się wplątał?
- To czarownice - wyszeptał księżę, nie zwracając się do nikogo konkretnego.
- Musimy opowiedzieć światu o czarownicach. Są złe. To przez nie ona ciągle wraca: krew. Nawet papier ścierny nie pomaga.

Ziemia zadrżała raz jeszcze, kiedy Babcia Weatherwax biegła wąską, oblodzoną ścieżką przez las. Śnieżna czapa zsunęła się z gałęzi drzewa prosto na jej kapelusz.

Wiedziała, że to niewłaściwe. Mniejsza o... cokolwiek to było... ale kto słyszał, żeby czarownica wychodziła w Noc Strzeżenia Wiedźm? To wbrew tradycji. Nikt nie wiedział dlaczego, ale przecież nie w tym rzecz.

Dotarła na wrzosowiska, wymiecione wiatrem ze śniegu. Sierp księżyca wisiał nad horyzontem, a jego blade światło rozjaśniało wyrastające wokół góry. Tam trwał inny świat, gdzie nawet czarownice rzadko się zapuszczały; trwał pejzaż pozostawiony z mroźnych narodzin świata: zielonkawy lód, ostre szczyty i głębokie, ukryte doliny. Nie był przeznaczony dla ludzkich istot - nie wrogi, w każdym razie nie bardziej niż wroga jest cegła czy chmura, ale straszliwie, przerażająco obojętny.

A tym razem ją obserwował. Umysł niepodobny do żadnego, jaki w życiu spotkała, poświęcał jej sporą część swej uwagi. Spojrzała na oblodzone zbocza, oczekując niemal, że cień góry poruszy się na tle gwiazd.

- Kim jesteś?! - krzyknęła. - Czego chcesz?!

Głos zagrzmiął echem pośród skał. Wysoko, na szczytach, odpowiedział jej huk lawiny.

W najwyższym punkcie wrzosowisk, gdzie latem w krzewach niczym małe pierzaste idiotki kryły się kuropatwy, stał samotny głaz - mniej więcej w punkcie gdzie stykały się terytoria trzech czarownic, choć nigdy nie wytyczono ich dokładnych granic.

Głaz był wysoki niczym mężczyzna i miał niebieskawy odcień. Uważano go za wyjątkowo magiczny, ponieważ - chociaż był tylko jeden - nikt nigdy nie zdołał go policzyć. Kiedy tylko zauważył, że ktoś przygląda mu się z namysłem, natychmiast przesunął się mu za plecy. Był najbardziej wstydlivym monolitem na świecie.

Był też jednym z licznych punktów wyładowań magii, akumulującej się w Ramtopach. W promieniu kilku sążni od niego nie leżał śnieg, a ziemia parowała lekko.

Na widok Babci głaz zaczął się odsuwać i po chwili obserwował ją podejrzliwie zza drzewa.

Odczekała dziesięć minut, aż Magrat przybiegła ścieżką od Zwariowanego Gronostaja - wioski, której dobroduszni mieszkańcy przyzwyczajali się już do masażu uszu i kwiatowych wywarów homeopatycznych na każdą dolegliwość z wyjątkiem dekapitacji⁷. Młoda czarownica była nieco zdyszana. Narzuciła jedynie szal na nocną koszulę, która - gdyby Magrat miała co odsłaniać - odsłaniałaby wszystko.

- Też poczułaś? - zapytała. Babcia skinęła głową.

- Gdzie Gytha? - zastanowiła się.

Spojrzały na ścieżkę wiodącą do Lancre, gromadki świateł w śnieżnym półmroku.

Trwała zabawa. Światło padało z okien na ulicę. Wąż ludzi wsuwał się i wysuwał z domu Niani Ogg. Z wnętrza dobiegał śmiech, trzask pękającego szkła i krzyki dzieci.

Było oczywiste, że życie rodzinne w tym domu przeżywane jest do granic wytrzymałości.

Dwie czarownice zatrzymały się niepewnie.

- Myślisz, że powinnyśmy wejść? - spytała niespokojnie Magrat. - Przecież nie byłyśmy zaproszone. I nawet nie przyniosłyśmy butelki.

- Mam wrażenie, że mają tam już zbyt wiele butelek - oświadczyła z dezaprobatą Babcia Weatherwax.

Jakiś człowiek wytoczył się na ulicę, czknął i zderzył się z Babcią.

- Szczęśliwej Nocy Strzeżenia Wiedźm, droga pani - wybełkotał, spojrzał na jej twarz i błyskawicznie wytrzeźwiał.

- Panno - syknęła Babcia.

- Najmocniej przepraszam... Babcia wyminęła go z godnością.

- Chodź, Magrat - rozkazała.

Hałas wewnątrz unosił się w okolicach progu bólu. Niania Ogg omijała tradycję

Nocy Strzeżenia Wiedźm, zapraszając do siebie prawie całe miasteczko. Powietrze w pokoju przekraczało już zakres czujników zanieczyszczeń. Babcia nawigowała przez tłum, kierując się dźwiękiem chrapliwego głosu, tłumaczącego całemu światu, że w porównaniu z niewiarygodną liczbą innych zwierząt, jeź ma jednak sporo szczęścia.

Niania Ogg siedziała przy kominku z kwartą w dłoni i akcentowała wyliczanie machnięciami cygara. Na widok Babci uśmiechnęła się szeroko.

- Ho, ho, stara przyjaciółko - zaskrzeczała, przekrzykując gwar. - Jednak się zjawiłaś. Weź sobie drinka. Albo i dwa. Kogo ja widzę! To przecież Magrat! Przysuń sobie krzesło i kopnij tego drania kota.

Greebo, zwinięty w kłębek przy kominku i uchylonym okiem obserwujący zabawę, machnął leniwie ogonem.

Babcia usiadła sztywno: wyprostowane uosobienie przyzwoitości.

- Nie zostaniemy długo. - Zerknęła z ukosa na Magrat, która ostrożnie sięgała do miseczki orzeszków. - Widzę, że jesteś zajęta. Zastanawialiśmy się tylko, czy może zauważyłaś... cokolwiek. Dziś wieczorem. Niedawno.

Niania Ogg zmarszczyła czoło.

- Najstarszy naszego Darrona wymiotował - przypomniała sobie. - Przypiął się do ojcowskiego piwa.

- Jeśli nie wymiotował wyjątkowo obficie - odparła Babcia - nie sądzę, żeby o to właśnie mi chodziło.

Nakreśliła w powietrzu skomplikowany okultystyczny symbol, który Niania całkowicie zignorowała.

- Ktoś próbował tańczyć na stole - powiedziała. - Spadł w sos dyniowy naszej Reet. Uśmialiśmy się setnie.

Babcia poruszyła brwiami i znacząco dotknęła palcem nosa.

- Sugerowałabym raczej sprawy mroczniejszej natury - rzekła posępnie.

Niania Ogg przyjrzała się jej z uwagą.

- Coś ci wpadło do oka, Esme? - próbowała zgadywać. Babcia Weatherwax westchnęła.

- Wyjątkowo niepokojące wydarzenia magicznej tendencji rozgrywają się nawet w tej chwili - oznajmiła głośno.

W pokoju zapadła cisza. Wszyscy patrzeli na czarownice, z wyjątkiem

⁷ Działy. Remedia czarownic zwykle działają, niezależnie od formy podania.

najstarszego syna Darrona, który wykorzystał okazję, by kontynuować swe alkoholowe doświadczenia. Potem, równie szybko jak umilkły, kilkadziesiąt rozmów pospiesznie podjęło akcję.

- Może lepiej by było, gdybyśmy omówiły te sprawy na osobności - zaproponowała Babcia, gdy znowu załała je fala uspokajającego szumu.

Trafiły do pralni, gdzie Babcia próbowała opisać umysł, jaki spotkała.

- Coś tam jest: w górach, w lasach - podsumowała. - I jest bardzo wielkie.

- Wydawało mi się, że kogoś szuka - dodała Magrat. - Wywarło na mnie wrażenie dużego psa.

Babcia myślała przez chwilę. Owszem, jeśli się zastanowić...

- Tak - przyznała. - Coś w tym rodzaju. Wielki pies.

- Smutny.

- Poszukujący.

- I coraz bardziej zły - zakończyła Magrat.

- Właśnie - rzekła Babcia, patrząc z naciskiem na Nianię.

- Może troll... - podpowiedziała Niania Ogg. - Wiecie, zostawiłam tam ponad pół kufła - dodała z wyrzutem.

- Przecież potrafię wyczuć umysł trolla, Gytho - odparła Babcia.

Nie rzuciła tych słów gniewnie. Wypowiedziała je bardzo spokojnie i to właśnie sprawiło, że Niania się zawahała.

- Podobno w górach bliżej Osi żyją naprawdę wielkie trolle

- stwierdziła wolno. - I lodowi giganci, i te wielkie, kosmate jak im tam powyżej linii wiecznych śniegów. Ale nie o nich ci chodzi, prawda...

- Nie.

- Aha.

Magrat zadrżała. Powtarzała sobie, że czarownica całkowicie panuje nad własnym ciałem i że gęsia skórka pod cienką nocną koszulą to tylko wytwór wyobraźni. Kłopot w tym, że miała doskonałą wyobraźnię.

Niania Ogg westchnęła.

- W takim razie lepiej popatrzmy.

I zdjęła pokrywę z miedzianego kociołka.

Niania Ogg nigdy nie używała swojej pralni, jako że wszystkie rzeczy prały jej synowe: plemię poszarzałych, cichych kobiet, których imion nie próbowała nawet zapamiętać. Pralnia zatem pełniła funkcje składziku starych, wyschniętych cebulek,

przepalonych garnków i słoików fermentującego dżemu. Od dziesięciu lat nikt nie rozpałał ognia pod miedzianym kotłem. Woda pod pokrywą była atramentowoczarna i - jak głosiły plotki - bezdenna. Wnukom Niania Ogg opowiadała o żyjących w tej głębi potworach z początków czasu; wierzyła, że trochę strachu i bezsensownej grozy jest ważnym elementem magii dzieciństwa.

Latem wykorzystywała kocioł do chłodzenia piwa.

- Musi wystarczyć. Może powinniśmy wziąć się za ręce - powiedziała. -
Magrat, sprawdź, czy drzwi są zamknięte.

- Co chcesz zrobić? - spytała Babcia.

Znalazły się na terenie Niani Ogg, więc do niej należał wybór.

- Zawsze powtarzam, że dobra Inwokacja nigdy nie zaszkodzi

- odparła Niania. - Od lat już tego nie próbowałam. Babcia Weatherwax zmarszczyła brwi.

- Ale przecież nie można - wtrąciła Magrat. - Nie tutaj. Potrzebny jest kociołek i magiczny miecz. I oktogram. I zioła, i różne rzeczy.

Babcia i Niania porozumiały się wzrokiem.

- To nie jej wina - stwierdziła Babcia. - Wszystko przez grimuary, które jej kupowali. - Zwróciła się do młodszej czarownicy. - To całkiem niepotrzebne. Trzeba użyć głowologii.

Rozejrzała się po starej pralni.

- Trzeba wykorzystać to, co jest pod ręką - stwierdziła.

Wzięła zbielełą kopyść i zważyła ją w dłoni.

- Przyzywamy cię i rozkazujemy z pomocą tego... - Babcia nawet się nie zająknęła - tej ostrej i straszliwej kopyści. Woda w kotle zafalowała lekko.

- Patrz, jak rozrzucamy... - Magrat westchnęła - dość zwietrzałą sodę i niezwykle twarde płatki mydlane ku twej czci. Doprawdy, Nianiu, nie sądzę...

- Cicho! Teraz ty, Gytho.

- Wołam cię i nakazuję posłuszeństwo łysiejącą drucianą szczotką Sztuki i tarą Osłony - zakończyła Niania, wymachując jednym i drugim. Blacha falista odpadła od ramy.

- Cenię szczerość - szepnęła załamana Magrat. - Ale to jednak nie to samo.

- Posłuchaj mnie, dziewczyno - odparła Babcia. - Demony nie przejmują się

zewnątrzną formą rzeczy. Liczy się tylko to, co myślisz.

Magrat spróbowała sobie wyobrazić, że prastara kostka szarego mydła jest najrzadszym z pachnących... zapomniała; może korzeni... w każdym razie z dalekiego Klatchu. Nie było to łatwe. Bogowie tylko wiedzieli, jaki demon zareaguje na takie wezwanie.

Babcia także była odrobinę niespokojna. Nie przepadała za demonami, a cała zabawa z inkantacjami i przyrządami przywodziła jej na myśl magów. Wszystkie te przedmioty pozwalały im czuć się ważnymi. Demony powinny się pojawiać, kiedy są potrzebne. I tyle.

Jednak protokół pozwalał gospodyni wybierać odpowiednie metody, Niania zaś lubiła demony, które były mężczyznami, a przynajmniej takie sprawiały wrażenie.

W tym momencie Babcia na zmianę kusiła i groziła Piekłu łokciem pobielanego drewna. Sama była zdziwiona własną śmiałością.

Woda zabulgotała, znieruchomiła, a potem z cichym puknięciem wezbrała i uformowała głowę. Magrat upuściła mydło.

Była to bardzo przystojna głowa, może o nieco okrutnych oczach i z nosem w kształcie dziobu, ale mimo to przystojna, o surowych rysach. Nie ma w tym nic dziwnego; ponieważ demon jedynie rzutuje własny obraz na tę rzeczywistość, może przecież zrobić to jak należy.

Demon obrócił się wolno: lśniąca czarna statua w niepewnym blasku księżyca.

- A więc? - powiedział.

- Kim jesteś? - zapytała śmiało Babcia. Głowa odwróciła się w jej stronę.

- Moje imię jest niewymawialne w twoim języku, kobieto.

- Ja to osądzę - odparła groźnie Babcia i dodała: - Nie waż się mówić do mnie: kobieto.

- Jak chcesz. Moje imię brzmi: WxrtHltl-jwlpklz - oświadczył demon z wyższością.

- Gdzie byłeś, kiedy rozdawali samogłoski? - wtrąciła Niania Ogg. - Stałeś za drzwiami?

- A zatem, panie... - Babcia zawahała się tylko przez ułamek sekundy - panie WxrtHltl-jwlpklz, zastanawia się pan pewnie, dlaczego przywołaliśmy pana tutaj.

- Nie tak powinnaś mówić - zauważył demon. - Powinnaś powiedzieć...

- Nie gadaj. Ostrzegam, że mamy miecz Sztuki i oktogram Osłony.

- Jak chcesz. Moim zdaniem wyglądają jak tarcza do prania i kopyść.

Babcia rozejrzała się. W rogu pralni stało w sagach drewno na opał, a bliżej wielki i ciężki kozioł. Spojrzała z naciskiem na demona i nie patrząc, mocno uderzyła kopyścią o grubą belkę.

Martwą ciszę, jaka zapadła, zakłócał jedynie odgłos dwóch gładko rozciętych połówek kozła, kołyszących się i rozpadających z wolna w stos drewna.

Twarz demona zachowała obojętność.

- Macie prawo do trzech pytań - oznajmiła.

- Czy coś dziwnego pojawiło się w królestwie? - spytała Babcia.

Głowa zastanowiła się.

- I bez kłamstw - wtrąciła gorączkowo Magrat. - Inaczej oberwiesz szczotką.

- Chodzi o coś dziwniejszego niż zwykle?

- Gadaj wreszcie! - zawołała Niania Ogg. - Nogi mi marzną.

- Nie. Nie ma nic dziwnego.

- Przecież wyczułyśmy to... - zaczęła Magrat.

- Chwileczkę, chwileczkę - przerwała Babcia. Przez moment bezgłośnie poruszała wargami. Demony są jak dziny albo profesorowie filozofii: jeśli nie sformułuje się pytania dokładnie jak trzeba, z radością udzielą absolutnie precyzyjnej i całkowicie mylącej odpowiedzi. - Czy w królestwie jest coś, czego nie było przedtem? - zaryzykowała.

- Nie.

Tradycja mówiła, że można zadać tylko trzy pytania. Babcia próbowała ułożyć takie, które nie może być złośliwie źle zrozumiane. A potem uznała, że prowadzi tę rozmowę w niewłaściwy sposób.

- Co się tu dzieje, do licha? - spytała bardzo wyraźnie. - I nawet nie próbuj się wywinąć, bo cię ugotuję.

Demon jakby się zawahał. Nowe podejście wyraźnie go zaskoczyło.

- Magrat, kopnij tu trochę szczap, dobrze? - poleciła Babcia.

- Protestuję przeciwko takiemu traktowaniu! - W głosie demona zabrzmiała nuta niepewności.

- Nie mamy czasu nóg sobie tu wystawać przez całą noc. Takie słowne gierki są dobre dla magów, ale z nami to całkiem inna para kaloszy.

- Rozpalamy? Bo zimno - mruknęła Niania.

- Posłuchajcie - rzekł demon i tym razem w jego głosie pojawił się ton przerażenia. - Nie wolno nam tak zwyczajnie udzielać informacji z własnej woli.

Istnieją przepisy.

- W tym dzbanku na półce znajdziesz trochę oleju, Magrat - rzuciła Niania.

- Jeśli wam teraz wyznam... - zaczął demon.

- Tak?

- Nikomu nie powiecie?

- Nie piśniemy nawet słówka - obiecała Babcia.

- Nasze usta są zapieczętowane - dodała Magrat.

- W królestwie nie ma nic nowego - wyjaśnił demon. - Ale kraina się rozbudziła.

- Co masz na myśli?

- Jest nieszczęśliwa. Chce króla, który o nią zadba.

- Jak... - zaczęła Magrat, ale Babcia uciszyła ją gestem dłoni.

- Nie chodzi ci o ludzi, prawda? - Lśniąca głowa otrząsnęła się. - Nie, tak myślałam.

- Co... - spróbowała teraz Niania. Babcia przytknęła palec do warg.

Odwróciła się i podeszła do okna pralni, pajęczynowego cmentarza wyblakłych motyli skrzydeł i much z zeszłego lata. Słabe lśnienie za oszronionymi szybami sugerowało, że wbrew wszelkiemu rozsądkowi wkrótce wstanie nowy dzień.

- Możesz nam powiedzieć dlaczego? - zapytała nie odwracając głowy. Wyczuwała jaźń całej krainy... To robiło wrażenie.

- Jestem tylko demonem. Co mogę wiedzieć? Tylko to, co jest, a nie jak i dlaczego.

- Rozumiem.

- Mogę już iść?

- Słucham?

- Proszę!

Babcia wyprostowała się znowu.

- A tak. Biegnij - rzuciła z roztargnieniem. - Dziękujemy.

Głowa się nie poruszyła. Tkwiła w miejscu niby hotelowy portier, który wniósł piętnaście walizek na piąte piętro, pokazał wszystkim, gdzie jest łazienka, poprawił poduszki i czuje, że wyrównał już wszystkie zasłony, które mógł wyrównać.

- Mogłybyście mnie odprawić? Jeśli można prosić... - powiedział demon, kiedy nikt jakoś nie zrozumiał aluzji.

- Co? - spytała Babcia, wyrwana z zamyślenia.

- Czułbym się lepiej, gdybym był właściwie odprawiony. W „biegnij” czegoś mi jednak brakuje.

- Hm... Jeśli ci to sprawi przyjemność. Magrat!

- Tak? - Magrat aż podskoczyła.

Babcia rzuciła jej kopyść.

- Pełnij honory, dobrze?

Magrat chwyciła kopyść za to, co -jak miała nadzieję - Babcia uważała za trzonek. Uśmiechnęła się.

- Oczywiście. Chętnie. Zaraz... Hm... Zniknij, ohydny potworze, w najczarniejszej otchłani...

Głowa uśmiechnęła się z zadowoleniem. Tak to powinno wyglądać.

Rozpuściła się w wodzie kotła niby wosk nad płomieniem. A ostatni wzgardliwy komentarz, niemal zagłuszony wirem, brzmiał:

- Bieeeeegniij...

Babcia wróciła do domu, gdy po śniegu sunął już różowy blask świtu. Kozy niepokoiły się w obórce. Szpaki hałasowały pod dachem. Myszy piszczwały za kredensem w kuchni.

Babcia zaparzyła dzbanek herbaty; miała wrażenie, że każdy dźwięk rozbrzmiewa nieco głośniejsze niż zwykle. Kiedy upuściła łyżeczkę do zlewu, brzęknęło, jakby ktoś młotem uderzył w dzwon.

Zawsze była niespokojna, kiedy uczestniczyła w formach zorganizowanej magii. Czy też, jak sama to określała, nie mogła dojść do siebie. Chodziła po całym domu, szukając czegoś do roboty i zaraz o tym zapominając. Krążyła tam i z powrotem po zimnych kamieniach posadzki.

W takich chwilach umysł wyszukuje sobie najdziwniejsze zajęcia; próbuje w ten sposób uniknąć swego zasadniczego celu, to znaczy myślenia o ważnych sprawach. Jeśliby ktokolwiek to widział, byłby zdumiony poświęceniem Babci, gdy podejmowała takie czyny jak czyszczenie podstawki pod dzbanek na herbatę, wyrywanie starych orzechów z patery na owoce na szafie czy wydłubywanie trzonkiem łyżeczki skamieniałych okruchów chleba ze szczelin w podłodze.

Zwierzęta mają umysły. Ludzie też je mają, chociaż ludzkie umysły są niewyraźne i zamglone. Nawet owady mają: maleńkie, wyraźne punkty światła w

mroku bezumysłowości.

Babcia uważała się za kogoś w rodzaju eksperta od umysłów. I była prawie pewna, że takie obiekty jak krainy ich nie mają.

Przecież nie są żywe, na miłość bogów... Kraj jest, no, jest...

Zaraz, zaraz. Jakaś myśl zakradła się dyskretnie do umysłu Babci i pokornie czekała, aż zwróci na nią uwagę.

Istniała możliwość, by te głuche lasy mogły posiadać umysł. Babcia usiadła z kawałkiem antycznego chleba w dłoni i spojrzała w zadumie na kominek. Okiem duszy spojrzała dalej, na okryte śniegiem aleje drzew. Tak... Nigdy dotąd nie przyszło jej to do głowy. Oczywiście, ten umysł składałby się ze wszystkich małych umysłów, które w nim żyły: owadów, ptaków, niedźwiedzi, a nawet wielkich, powolnych umysłów samych drzew.

Usiadła w fotelu na biegunach, który sam z siebie *zaczai* się kołysać.

Często wyobrażała sobie las jako rozciągnięte na ziemi stworzenie - choć tylko metteforycznie, jak by to określił mag. Stworzenie latem senne i mruczące trzmielami, ryczące i zło w jesiennych wichurach, zimą zwinięte w kłębek i śpiące. Teraz pomyślała, że las jest nie tylko zbiorem innych istot, ale też istotą samą w sobie. I jest żywy, choć nie w taki sposób, w jaki jest żywa na przykład ryjówka.

I jest o wiele powolniejszy.

To z pewnością ważny fakt. Jak często bije serce lasu? Może raz na rok... Tak, to chyba rozsądna ocena. Las wokół domu czeka na jaśniejsze słońce i dłuższe dni, które przepompują miliony garnców soków na kilkaset stóp ku niebu w jednym systolicznym uderzeniu zbyt potężnym i głośnym, by było słyszalne.

W tej właśnie chwili Babcia przygryzła wargę.

Właśnie pomyślała słowo „systoliczny”, a z pewnością nie należało ono do jej słownika.

Ktoś był w jej głowie razem z nią.

Coś.

Czy to ona przed chwilą myślała o tym wszystkim, czy ktoś to pomyślał poprzez nią?

Wbiła wzrok w podłogę i starała się zachować swoje myśli dla siebie. Coś jednak podglądało je tak łatwo, jakby głowa Babci była ze szkła.

Babcia Weatherwax wstała i rozsunęła zasłony.

Stały na tym, co w cieplejszych miesiącach było trawnikiem. I każdy wpatrywał

się w nią.

Kilka minut później otworzyły się frontowe drzwi domku. To niezwykle wydarzenie; jak większość Ramtoperów, Babcia zawsze używała jedynie kuchennego wyjścia. W życiu człowieka są tylko trzy okazje, kiedy wypada przejść przez drzwi frontowe, ale wtedy go przenoszą.

Drzwi otwierały się nie bez trudności, ciągiem bolesnych szarpnięć i uderzeń. Kilka płatków farby opadło w zaspę przed progiem. Zaspą się zapadła. I wreszcie, kiedy drzwi były już w połowie otwarte, zacięły się.

Babcia precyzyjnie się z trudem przez szczelinę i wstąpiła na dziewiczy śnieg. Włożyła na głowę swój spiczasty kapelusz, a na ramiona narzuciła długi czarny płaszcz. Nosiła go, kiedy chciała, by każdy, kto ją zobaczy, nie miał żadnych wątpliwości, że widzi czarownicę.

Przed domem, zasypany śniegiem, stał stary kuchenny stół. Latem przydawał się, by usiąść na nim i zajmować się pracami domowymi, jednocześnie nie spuszczać oka z traktu. Babcia wyciągnęła go, zgarnęła śnieg z siedzenia i usiadła z godnością. Rozstawiła szeroko nogi, a ręce wyzywająco założyła na piersi. Wysunęła podbródek.

Słońce weszło już wysoko, ale jego światło w Dzień Strzeżenia Wiedźm wciąż było słabe i różowe. Połyskiwało na wielkim obłoku pary, unoszącym się nad zebranymi stworzeniami. Nie ruszały się, choć od czasu do czasu któreś stuknęło kopytem czy drapało się.

Nagle Babcia dostrzegła w górze jakiś ruch. Nie zauważyła tego wcześniej, ale gałęzie wszystkich drzew w jej ogródku były tak obciążone ptakami, aż wydawało się, że to wiosna przysłała za wcześnie, choć niezwykle, bo czarno-brązowa.

Grządki, gdzie latem rosły zioła, zajęły wilki. Siedziały albo leżały z wywieszonymi jęzorami. Za nimi przykucnął kontyngent niedźwiedzi, a obok pluton jeleni. W metaforycznych ławach zasiadły roje królików, łasic, werminii, borsuków, lisów i rozmaitych stworzeń, które - mimo że całe życie przeżywają w krwawym układzie drapieżnika i ofiary, zabijania i bycia zabijanym pazurem, szponem i kłem - określane są zwykle jako leśny ludek.

Zapominając o swych zwykłych kulinarnych powiązaniach, tkwiły wszystkie na śniegu i wpatrywały się w nią nieruchomo.

Dwa spostrzeżenia od razu przysły Babci do głowy. Jedno, że jej goście prezentowali niemal pełny przekrój leśnego życia. Drugie - nie mogła się

powstrzymać, żeby o drugim nie powiedzieć głośno.

- Nie wiem, jakie to zaklęcie - rzekła. - Ale coś wam powiem: kiedy przestanie działać, niektóre maluchy będą musiały się pospieszyć.

Żadne nie drgnęło. Żadne nie wydało dźwięku, z wyjątkiem podstarzałego borsuka, który z wyraźnym zakłopotaniem opróżnił pęcherz.

- Posłuchajcie - odezwała się Babcia. - Co mogę na to poradzić? Niepotrzebnie tu przyszliście. On jest nowym władcą. To jego królestwo. Nie mogę się wtrącać. Nie wolno się wtrącać, nie wolno mieszać się w ludzkie rzędy. Sprawa musi sama się rozstrzygnąć, na dobre albo na złe. Taka jest podstawowa zasada magii. Nie można chodzić po świecie i rozkazywać ludziom zaklęciami, bo wciąż trzeba by używać tych zaklęć więcej i więcej.

Odetchnęła zadowolona, że starożytna tradycja odsuwa od władzy adeptów Sztuki i Mądrości. Pamiętała, jakie to uczucie mieć na głowie koronę, nawet przez kilka sekund.

Nie, takie rzeczy jak korony niedobrze oddziaływały na mądre osoby. Lepiej zostawić królowanie ludziom, którym przy próbie myślenia brwi spotykają się nad nosem. W pewnym sensie o wiele lepiej się do tego nadawali.

- Ludzie muszą sami to rozstrzygnąć - dodała. - To ogólnie znany fakt.

Zauważyła, że jeden z większych jeleni spogląda na nią z wyjątkowym powątpiewaniem.

- No tak, owszem, zabił dawnego króla - przyznała. - To przecież naturalne, prawda? Sami dobrze wiecie. Przetrwanie tego... jak mu tam... Przecież nie wiecie nawet, co to jest następca... chyba że uważacie go za gatunek królika.

Zabębniła palcami po kolanie.

- Zresztą stary król nie traktował was chyba przyjaźnie? Urządzał polowania i w ogóle...

Trzysta par oczu przewiercało ją wzrokiem.

- Nic wam nie przyjdzie z tego patrzenia - spróbowała jeszcze raz. - Nie mogę się wtrącać do spraw królów tylko dlatego, że ich nie lubicie. Do czego by to doprowadziło? Zresztą nigdy nie zrobił mi krzywdy.

Starła się unikać wzroku pewnego zezowatego gronostaja.

- No dobrze, jestem samolubna - oświadczyła. - Takie właśnie są czarownice. Życzę miłego dnia.

Rozgniewana wmaszerowała do domu i spróbowała trzasnąć drzwiami.

Utknęły raz czy dwa, co trochę popsuło efekt.

W pokoju zaciągnęła zasłony, usiadła w fotelu na biegunach i zaczęła kołysać się gwałtownie.

- Na tym rzecz polega - mruknęła. - Nie mogę tak chodzić i się wtrącać. Na tym rzecz polega.

Wozy sunęły wolno po wyboistych drogach w stronę kolejnego miasteczka, którego nazwę trupa niezbyt dobrze pamiętała i miała natychmiast zapomnieć. Zimowe słońce wisało nisko nad wilgotnymi, okrytymi mgłą polami kapusty na równinie Sto; cisza podkreślała tylko skrzypienie kół.

Hwel siedział w ostatnim wozie, kiwając zwisającymi na zewnątrz nogami.

Starł się bardzo. Vitoller oddał w jego ręce edukację Tomjona.

- Lepiej sobie z tym radzisz - stwierdził i dodał z typowym dla siebie wyczuciem taktu: - Poza tym pasujesz do niego wzrostem. Ale nic z tego nie wychodziło.

- Jabłko - powtórzył krasnolud i pomachał owocem w powietrzu.

Tomjon uśmiechnął się. Miał już prawie trzy lata i nie wypowiedział ani jednego zrozumiałego słowa. Hwel zaczynał żywić niedobre podejrzenia co do czarownic.

- Przecież jest bystry - zauważyła pani Vitoller. Jechała w wozie i cerowała kolczugę. - Dużo wie, jest posłuszny. Chciałabym tylko, żeby przemówił - dodała cicho, gładząc chłopca po policzku. Hwel wręczył Tomjonowi jabłko, a malec przyjął je z powagą.

- Na pewno czarownice was oszukały - uznał krasnolud. -No wiecie, odmieńcy i co tam jeszcze... Kiedyś takie rzeczy zdarzały się częściej. Moja praprababka opowiadała, że i nam się to przytrafiło. Wróżki zamieniły człowieka i krasnoluda. Podobno nasi niczego nie zauważyli, dopóki nie zaczął sobie rozbijać głowy o sufit...

Mówią, że owoc ten jest niby świat nasz cały

Tak słodki. Aleja powiadam, że jak serce

Tak czerwone z wierzchu, ale w środku bez trudu

Znajdujemy robaka, zgniliznę, zepsucie.

Jakby nie błyszczał owoc, jedno ugryzienie

Wskaże, że niejeden człowiek od wewnątrz gnije.

Oboje odwrócili się równocześnie, spoglądając na Tomjona. Chłopiec kiwnął im głową i spokojnie gryzł jabłko.

- To mowa Czerwia z *Tyrana* - wyszeptał Hwel. Zwykle opanowanie wymowy nagle go puściło. - Niech to piekło...

- Mówił całkiem jak...

- Sprowadzę Vitollera - postanowił Hwel; zeskoczył na ziemię i sadząc przez zamarznięte kałuże pobiegł na czoło karawany. Tam aktor dyrektor gwizdał niemelodyjnie i szedł spacerkiem przed siebie.

- Co tam, b'zugda-hiara⁸? - powitał przyjaciela wesoło.

- Chodź zaraz! On mówi!

- Mówi?

Hwel podrygiwał z emocji.

- Cytuje! - krzyknął. - Musisz to zobaczyć. Mówi całkiem jak...

- Ja? - spytał Vitoller kilka minut później, kiedy zatrzymali wozy w zagajniku bezlistnych drzew przy drodze. - Czy mój głos naprawdę tak brzmi?

- Tak - potwierdziła chórem trupa.

Młody Willikins, który specjalizował się w rolach kobiecych, szturchnął lekko chłopca, stojącego na pustej beczce pośrodku polany.

- Mały, a znasz mój monolog z *Co kto lubi*? Tomjon przytaknął.

- Nie jest martwy, powiadam, ten, co leży pod głazem. Gdyby bowiem Śmierć usłyszał...

Słuchali w zadziwieniu; nieskończone mgły kłębiły się nad mokrymi polami, a czerwona kula słońca wolno zsuwała się z nieba. Kiedy chłopiec skończył, po twarzy Hwela spływały gorące łzy.

- Na wszystkich bogów! - szepnął. - Musiałem być w świetnej formie, kiedy to pisałem. Głośno wytarł nos.

- Czyja tak mówię? - spytał poblady Willikins. Vitoller poklepał go po ramieniu.

- Gdybyś tak to mówił, mój mały - rzekł - nie stałbyś teraz po tyłek w błocie na tych zakazanych polach, mając tylko kapustę do herbaty.

Klasnął w ręce.

- Dosyć! Dosyć! - zawołał. Oddech skraplał się w parę w mroźnym powietrzu. -

Do roboty wszyscy. O zachodzie musimy stanąć pod murami Sto Lat.

Pomrukujący aktorzy otrząsali się z zachwyty i wracali do wozów. Vitoller skinął na krasnoluda i objął go za ramiona, a raczej za czubek głowy.

- I co? - zapytał. - Wasza rasa zna się na magii. Przynajmniej tak się mówi. Co o tym myślisz?

- Cały czas spędza przy scenie, mistrzu. To naturalne, że czegoś się nauczył - odparł Hwel. Vitoller pochylił się nisko.

- Naprawdę w to wierzysz?

- Wierzę, że usłyszałem głos, który moim bazgrołom nadał kształt i wypalił słowa w samym sercu - wyznał z prostotą Hwel. - Wierzę, że usłyszałem głos, który sięgnął poza żalostną formę mojej pisaniny i wypowiedział to, co chciałem, by mówiła, ale brakło mi talentu, by to osiągnąć. Kto wie, skąd się biorą takie rzeczy.

Wpatrywał się spokojnie w zaczerwienioną twarz Vitollera.

- Może odziedziczył to po ojcu - rzekł.

- Ale...

- I kto wie, czego mogą dokonać czarownice? Vitoller poczuł w swej dłoni palce żony. Wyprostował się, zaskoczony i gniewny, a ona pocałowała go w kark.

- Nie dręcz się. Przecież jest jak najlepiej. Twój syn zadeklamował swoje pierwsze słowo.

Nadeszła wiosna i były król Verence wciąż nie mógł się pogodzić z własnym zgonem. Bezustannie krążył po zamku, szukając sposobu na zmuszenie starożytnych kamieni, by go uwolniły.

Starął się także unikać innych duchów.

Champot był w porządku, chociaż trochę męczący. Lecz Verence cofnął się na pierwszy widok Bliźniąt, idących ręką w rękę mrocznymi korytarzami. Ich małe duchy były świadectwem czynów czarniejszych jeszcze niż zwykły zestaw królobójczych nieprzyjemności.

Był również Wędrowny Troglodyta, właściwie mglisty małpolud w futrzanej przepasce biodrowej, który nawiedzał zamek chyba tylko dlatego, że mury zostały zbudowane na jego kurhanie. Bez żadnych dostrzegalnych powodów od czasu do czasu przejeżdżał przez pralnię rydwan z wrzeszczącą kobietą. A co do kuchni...

⁸ Mordercza obelga w krasnoludzim, ale tutaj użyta w znaczeniu pieszczotliwym. Dosłownie: „ozdoba trawnika”.

Któregoś dnia Verence nie wytrzymał, mimo wszystkich argumentów Champota, i podążył za zapachami potraw do wielkiej, gorącej, wysoko sklepionej groty, służącej jako zamkowa kuchnia i rzeźnia. To zabawne, ale od dzieciństwa nigdy nie odwiedzał tego miejsca. Królowie i kuchnie jakoś do siebie nie pasują.

Kuchnia była pełna duchów.

Ale nie duchów ludzi. Ani nawet praludzi.

Były tu jelenie. Były woły. Były króliki, pawie, kuropatwy, owce i świnie. Było nawet kilka okrągłych, niewyraźnych zjaw, nieprzyjemnie przypominających duchy ostryg. Tłoczyły się tak ciasno, że wręcz przenikały nawzajem i łączyły, zmieniając kuchnię w bezgłośny, ruchliwy koszmar pełen przejrzystych i mglistych zębów, futer i rogów. Kilka go zauważyło; zabrzmiały dziwne, beczące odgłosy, metaliczne i zgrzytliwe. Przez wszystkie te zjawy kucharz i jego pomocnicy przechodzili obojętnie, zajęci przygotowywaniem wegetariańskich parówek.

Verence przyglądał się temu przez pół minuty, po czym uciekł. Żałował, że nie ma żołądka, by na czterdzieści lat wsadzić sobie dwa palce w gardło i zwrócić wszystko, co zjadł za życia.

Szukał uspokojenia w stajni, gdzie skowyczały i drapały drzwi ukochane psy myśliwskie, zaniepokojone jego wyczuwaną, ale niewidoczną obecnością.

Ostatnio nawiedzał - nie cierpiał tego słowa - Długą Galerię, gdzie z cieni spoglądały na niego zakurzone portrety dawno zmarłych królów. Żywiłby dla nich cieplejsze uczucia, gdyby nie spotkał kilku bełkoczących w rozmaitych częściach budowli.

Verence zdecydował, że ma po śmierci dwa cele. Pierwszy - wydostać się z zamku i odszukać syna, drugi - zemścić się na księciu. Ale nie zabijać go, postanowił, nawet gdyby znalazł sposób. Wieczność w towarzystwie tego chichoczącego idioty dodałaby śmierci nowej grozy.

Usiadł pod portretem królowej Bemery (670-722). Jej surowa, piękna twarz podobałaby mu się bardziej, gdyby dziś rano nie spotkał dawnej władczyni przechodzącej przez ścianę.

Verence starał się nie przechodzić przez ściany. W końcu człowiek ma swoją godność.

Nagle zdał sobie sprawę, że jest obserwowany.

Obejrzał się.

W drzwiach siedział kot i poddawał go uważnej inspekcji. Był pasiasty, szary i

potwornie gruby...

Nie. Potwornie wielki. Miał tyle blizn, że wyglądał jak pięść okryta sierścią. Uszy przypominały parę podziurawionych kikutów, oczy - dwie żółte szczeliny pełne złośliwości. Wywijał ogonem, kreśląc ciąg znaków zapytania.

Greebo słyszał, że lady Felmet ma białą kotkę, i przybył złożyć wyrazy szacunku.

Verence nigdy nie widział zwierzęcia tak przepelnionego złością. I nie opierał się, kiedy podeszło i spróbowało otrzeć się o jego nogi, mruczając przy tym jak wodospad.

- No, no... - powiedział król.

Pochylił się i spróbował podrapać Greeba między dwoma poszarpanymi skrawkami na głowie. Z ulgą powitał kogoś, kto go widział, nie będąc duchem. A Greebo, wyczuwał to jasno, nie był zwyczajnym kotem. Większość osobników jego rasy w zamku była albo salonowymi pieszczołami, albo płaskouchymi zwierzakami podobnymi do szczurów, na które polowały. Ten kot natomiast należał do siebie samego. Oczywiście, wszystkie sprawiają takie wrażenie, jednak zamiast bezmyślnego zwierzęcego zainteresowania sobą, uchodzącego za ukrytą mądrość tych istot, Greebo promieniował prawdziwą inteligencją. Wydzielał także zapach, który mógłby powalić kogoś przez mur i wywołać chorobę zatok u martwego lisa.

Tylko jeden typ istoty ludzkiej mógł trzymać w domu takiego kota.

Król spróbował przykucnąć i odkrył, że zapada się w podłogę. Wziął się w garść i podpłynął do góry. Miał przeczucie, że kiedy raz zaakceptuje normy eterycznego świata, nie ma już dla niego nadziei.

Tylko bliscy krewni i ci o psychicznych skłonnościach. Tak powiedział Śmierć. Ani jednych, ani drugich nie spotykał w zamku zbyt często. Książę kwalifikował się do pierwszej grupy, ale jego bezustanne zainteresowanie własną osobą powodowało, że był psychicznie tak użyteczny jak marchewka. Co do reszty, tylko kucharz i Błazen się nadawali. Niestety, kucharz prawie cały czas płakał w spiżarni, ponieważ nie pozwalali mu upiec niczego bardziej krwistego niż pasternak. Natomiast Błazen i tak był już kłębkim nerwów i Verence zrezygnował z prób porozumienia.

A teraz... czarownica. Jeśli czarownica nie miała odpowiednich psychicznych skłonności, to on, król Verence, był tylko podmuchem wiatru. Musi sprowadzić czarownicę do zamku. Wtedy...

Miał plan. Miał nawet coś więcej: Plan. Poświęcił mu długie miesiące. Nie miał

nic więcej do roboty, mógł tylko myśleć. W tej kwestii Śmierć miał rację - duchom pozostawały jedynie myśli. I chociaż myśli były dla króla obcym zjawiskiem, jednak brak ciała, które rozpraszałoby go swoimi humorami, dał możliwość rozkoszowania się działalnością umysłową. Nigdy przedtem nie ułożył Planu, przynajmniej nie bardziej skomplikowanego niż „Znajdźmy coś i zabijmy”. A teraz siedział przed nim i mył się językiem... klucz.

- Chodź, kiciu! - zawołał Verence.

Greebo obrzucił go przenikliwym żółtym spojrzeniem.

- Kocie - poprawił się szybko król. Odstąpił i pokiwał palcem.

Przez moment zdawało mu się, że kot nie zareaguje. Lecz, ku jego uldze, Greebo wstał, ziewnął i podreptał ku niemu. Greebo nieczęsto spotykał duchy i zainteresował go ten brodaty mężczyzna z półprzezroczystym ciałem.

Król poprowadził go opuszczonym bocznym korytarzem, w stronę starego składziku pełnego zmurszałych gobelinów i portretów dawno zmarłych władców. Greebo rozejrzał się krytycznie i usiadł pośrodku zakurzonej podłogi, patrząc wyczekująco na króla.

- Jest tu mnóstwo myszy i różnych takich... Przekonasz się - zapewnił Verence. - A deszcz pada przez wybite okno. No i masz gobeliny, możesz w nich spać. Przykro mi - dodał jeszcze i stanął przy drzwiach.

Nad tym właśnie pracował przez długie miesiące. Za życia bardzo dbał o swoje ciało, a po śmierci starał się zachować je w dobrej formie. Aż zbyt łatwo było się zaniedbać i rozmyć na brzegach. W zamku spotykał duchy, które były zaledwie bladymi plamami. Verence jednak miał żelazną wolę; regularnie ćwiczył - w każdym razie w skupieniu myślał o ćwiczeniach - i teraz widmowe mięśnie napinały się wspaniale. Miesiące treningu ektoplazmy doprowadziły go do lepszej kondycji, niż kiedykolwiek wcześniej... tyle że był martwy.

Potem zaczął skromnie, od drobinek kurzu. Pierwsza niemal go zabiła⁹, ale się nie załamał. Przeszedł do ziarenek piasku, potem do całych suszonych groszków. Wciąż nie odważył się wrócić do kuchni, ale bawił się przesalaniem - szczypta po szczypcie - potraw Felmeta. W końcu jednak opanował się i powiedział sobie, że trucizna nie jest rzeczą honorową, nawet użyta przeciwko robactwu.

Teraz naparł całym ciałem na drzwi i każdym mikrogramem swej istoty starał się być możliwie najcięższy. Pot autosugestii spływał mu po nosie i znikał, zanim

spadł na podłogę. Greebo przyglądał się z zaciekawieniem widmowym muskułom, wibrującym na ramionach króla niczym piłki w czasie rui.

Drzwi poruszyły się, zgrzytnęły, przyspieszyły i ze stukiem uderzyły o framugę. Rygiel opadł na miejsce.

Żeby tylko się udało, powiedział sobie Verence. Nigdy nie zdoła sam unieść rygla. Ale czarownica z pewnością przyjdzie szukać swego kota. Musi przyjść...

Błazen leżał na brzuchu na wzgórzach w pobliżu zamku i wpatrywał się w głębię niewielkiego jeziora. Kilka pstrągów wpatrywało się w niego.

Gdzieś na Dysku, podpowiadał mu rozsądek, musi żyć ktoś, komu powodzi się jeszcze gorzej niż jemu. Zastanawiał się, kto to taki.

Nie chciał być Błaznem, ale gdyby nawet, i tak nie miałyby to znaczenia. Od ucieczki ojca nie pamiętał, żeby ktoś w rodzinie zwracał uwagę na jego słowa.

Z pewnością nie dziadek. W najdawniejszych wspomnieniach widział dziadka stojącego nad sobą i każącego powtarzać z pamięci dowcipy. Każdą pointę wbijał mu w pamięć pasem z grubej skóry. To, że pas miał przyczepione dzwoneczki, niewiele pomagało.

Dziadek był twórcą siedmiu oficjalnych nowych dowcipów. Przez cztery lata z rzędu wygrywał honorową czapkę z dzwoneczkami oraz Grand Prix des Idiots Bełkotliwych w Ankh-Morpork, co nikomu innemu się nie udało. Można przyjąć, że uczyniło go to najzabawniejszym człowiekiem w historii. Ciężko na to pracował, trzeba przyznać.

Błazen z dreszczem grozy przypominał sobie, jak w wieku sześciu lat po kolacji podszedł do dziadka i przedstawił mu dowcip, który sam wymyślił. Dowcip opowiadał o kacze.

Zarobił tym na najsolidniejsze lanie w życiu, co nawet wtedy musiało być nie lada wyzwaniem dla starego żartownisia.

- Naucz się, chłopcze... - Pamiętał każde słowo, każde zdanie akcentowane dzwoniącym trzaskiem. - Naucz się, że nie ma rzeczy poważniejszej niż błazeństwa. Od tej chwili nigdy... - starzec przerwał, żeby zmienić rękę - nigdy, nigdy nie opowiesz dowcipu, który nie został zatwierdzony przez Gildię. Kim niby jesteś, żeby decydować, co jest zabawne? Zaprawdę, niech niewydukowani chichoczą z

⁹ To tylko takie powiedzenie.

niewprawnych żartów; to tylko śmiech ignorantów. Nigdy. Nigdy. Żeby cię nigdy nie przyłapał na takich rzeczach.

Potem musiał na nowo uczyć się trzystu osiemdziesięciu trzech dowcipów zatwierdzonych przez Gildię, co było dostatecznie nieprzyjemne, oraz słownika, co było o wiele dłuższe i gorsze.

Później jeszcze został wysłany do Ankh i tam w nagich, posępnych pokojach odkrył, że istnieją inne książki niż ciężka, okuta mosiądzem *Wielka Księga Żartów*. Że wokół jest cały kolisty świat, a w nim mnóstwo ciekawych miejsc i ludzi robiących ciekawe rzeczy, na przykład...

Śpiew. Wyraźnie słyszał śpiew.

Ostrożnie podniósł głowę i aż podskoczył, gdy zabrzęczały dzwonki na jego czapce. Przytrzymał dłońmi zniechęcone błyskotki.

Śpiew rozbrzmiewał nadal. Błazen wyjrzał czujnie zza kępy tawuły, dającej mu doskonałą osłonę.

Śpiew nie był szczególnie udany. Śpiewająca osoba знаła chyba tylko jedno słowo: „la”. Ale zmuszała je do ciężkiej pracy. Melodia sprawiała wrażenie, jakby owa osoba wierzyła, że ludzie w pewnych okolicznościach powinni śpiewać „lalala”, i postanowiła zachowywać się tak, jak świat tego od niej oczekiwał.

Błazen zaryzykował podniesienie głowy nieco wyżej i po raz pierwszy w życiu zobaczył Magrat.

Przerwała właśnie skromny taniec na wąskiej łące i próbowała wpleść we włosy parę stokrotek - bez większych sukcesów.

Błazen wstrzymał oddech. W długie noce na twardych kamieniach śnił o kobietach takich jak ta. Chociaż, jeśli się lepiej zastanowić, to nie o takich; były lepiej wyposażone w okolicach klatki piersiowej, nie miały takich czerwonych i spiczastych nosów, włosy bardziej im falowały. Jednak libido Błazna miało dość rozumu, by odróżnić niemożliwe od teoretycznie osiągalnego; pospiesznie włączyło kilka obwodów filtrujących.

Magrat zbierała kwiaty i rozmawiała z nimi. Błazen wyteżył słuch.

- To wełnisty padownik - mówiła. - I miodny czerwosiej, dobry na zapalenie uszu...

Nawet Niania Ogg, która z sympatią patrzyła na świat, miałaby poważne kłopoty, gdyby chciała powiedzieć coś miłego o głosie Magrat. Jednak w uszy Błazna wlewał się niby balsam.

- ...I fałszywa mandragora, niezrównana przeciwko wzdęciom pęcherza. O... a tutaj jest starczy żabolak... To na zatwardzenie.

Błazen podniósł się niepewnie, cały w dzwoneczkach. Dla Magrat wyglądało to, jakby sama łąka, dotychczas nie kryjąca niczego groźniejszego niż chmury jasnobłękitnych motyli i kilka samodzielnych trzmieli, nagle wypuściła spod ziemi wielkiego czerwono-żółtego demona.

Demon na przemian otwierał i zamykał usta. Na głowie miał trzy groźne rogi.

Jakiś głos w głębi umysłu czarownicy powiedział z naciskiem: powinnaś teraz uciekać niby łagodna gazela; jest to działanie przyjęte w takich okolicznościach.

Natychmiast jednak wtrącił się zdrowy rozsądek. Nawet w najbardziej optymistycznym nastroju Magrat nie śmiała się porównywać się z gazelą, łagodną czy nie. Poza tym, dodał rozsądek, kluczowy problem w uciekaniu jak gazela polega na tym, że najprawdopodobniej bez trudu zdołałaby uciec.

- Ehem... - odchrząknęła zjawa.

Niezdrowy rozsądek, którego - mimo opinii Babci Weatherwax, że Magrat ma zdrowo namieszane w głowie - posiadała wystarczającą ilość, podsunął jej myśl, że niewiele demonów brzęczy żałośnie i wygląda, jakby nie mogło złapać tchu.

- Dzień dobry - powiedziała.

Umysł Błazna także pracował z całych sił. Zaczynała go ogarniać panika.

Magrat nie nosiła tradycyjnego spiczastego kapelusza, jak starsze czarownice, ale respektowała jedną z najbardziej podstawowych zasad tego fachu: nie warto być czarownicą, jeśli się na nią nie wygląda. W jej przypadku oznaczało to wiele srebrnej biżuterii z oktogramami, nietoperzami, pajakami i innymi popularnymi symbolami mistycyzmu. Magrat chętnie pomalowała sobie paznokcie na czarno, gdyby nie obawiała się, że nie znieśnie pogardliwego wzroku Babci Weatherwax.

Błazen zaczynał zdawać sobie sprawę, że zaskoczył czarownicę.

- Oj - stwierdził i ruszył do ucieczki.

- Nie... - zaczęła Magrat, ale Błazen gnał już leśną ścieżką prowadzącą do zamku.

Magrat stała nieruchomo, wpatrzona w bukiet w dłoni. Przeczesala palcami włosy, strącając deszcz zwiędłych płatków.

Wiedziała, że coś ważnego wymknęło się jej z rąk, na podobieństwo wysmarowanego tłuszczem prosiaka w wąskim korytarzu.

Poczuła nieprzepartą ochotę, by zakląć. Znała wiele przekleństw. Mateczka

Whemper miała w tej dziedzinie bogatą wyobraźnię; nawet leśne zwierzęta zwykle biegły ile sił, mijając jej chatkę.

Magrat nie mogła znaleźć jednego słowa, które w pełni wyrażałoby jej uczucia.

- Pieprzę - powiedziała.

Tej nocy znowu była pełnia. Co niezwykle, wszystkie trzy czarownice przybyły wcześniej do stojącego głazu. Był tym tak skrępowany, że ukrył się w krzewach kolcolistu.

- Greebo od dwóch dni nie wrócił do domu - poinformowała Niania Ogg, gdy tylko dotarła na miejsce. - To do niego niepodobne. Nigdzie nie mogę go znaleźć.

- Koty umieją same o sobie zadbać - odparła Babcia Weatherwax. - Państwa tego nie potrafią. Muszę wam o czymś opowiedzieć. Rozpal ogień, Magrat.

- Mmm?

- Powiedziałam: rozpal ogień, Magrat.

- Mmm? Aha. Tak.

Dwie starsze kobiety przyglądały się, jak nieuważnie sunie przez wrzosowisko, z roztargnieniem ciągnąc za suche gałęzie krzaków. Magrat wyraźnie myślała o czymś innym.

- Nie jest sobą - zauważyła Niania Ogg.

- Owszem. To chyba lepiej - stwierdziła krótko Babcia i usiadła na kamieniu. - Powinna je rozpałić, zanim przyszlizemy. W końcu to jej obowiązek.

- Ma dobre chęci... - Niania Ogg obserwowała w zadumie plecy Magrat.

- Też miałam dobre chęci jako dziewczynka, ale to nie powstrzymało ostrego języka Mateczki Filter. Najmłodsza czarownica musi swoje odsłużyć, sama wiesz najlepiej. W dodatku nie nosi kapelusza. Skąd ludzie mają wiedzieć?

- Coś cię dręczy, Esme - domyśliła się Niania. Babcia posępnie kiwnęła głową.

- Miałam wczoraj odwiedziny - wyznała.

- Ja też.

Mimo swych zmartwień, Babcia poczuła lekką irytację.

- Kto? - zapytała.

- Burmistrz Lancre i paru radców. Nie są zadowoleni z króla. Chcą mieć takiego, któremu można zaufać.

- Nie zaufałabym żadnemu królowi, któremu mógłby zaufać radca.

- Tak, ale przyznasz, że to nikomu nie wychodzi na dobre, tyle podatków i zabijanie ludzi. Nowy sierżant jest bardzo prędko, kiedy ma podpalić komuś dom. Stary Verence też to robił, owszem, ale...

- Wiem, wiem. Traktował to bardziej osobiście - przyznała Babcia. - Człowiek czuł, że mu zależy. Ludzie lubią, kiedy ktoś ich docenia.

- Felmet nienawidzi królestwa - podjęła Niania Ogg. - Wszyscy to mówią. Kiedy idą z nim porozmawiać, tylko na nich patrzy, chichocze, pociera dłoń i trochę się krzywi.

Babcia poskrobała się w podbródek.

- Stary król krzyczał na nich i kopniakami wypędzał z zamku. Mawiał, że nie ma czasu dla sklepikarzy i im podobnych - dodała z aprobatą.

- Ale był przy tym bardzo wielkoduszny. I...

- Królestwo się martwi - oznajmiła Babcia Weatherwax.

- Wiem. Przecież mówiłam...

- Nie chodzi o ludzi. Chodzi o królestwo.

Babcia wytłumaczyła. Niania przerywała kilka razy krótkimi pytaniami. Nie przyszło jej nawet do głowy wątpić w to, co usłyszała. Babcia Weatherwax nigdy nie zmyślała.

Po zakończeniu rzekła tylko:

- No tak.

- Jestem tego samego zdania.

- Coś podobnego.

- Właśnie.

- I co zwierzęta zrobiły potem?

- Odeszły. Ono je sprowadziło i ono wypuściło.

- Nikt nikogo nie zjadł?

- Nie zauważyłam.

- Zabawne.

- Zgadza się.

Niania Ogg spoglądała na zachodzące słońce.

- Nie sądzę, żeby wiele królestw tak postępowało - oświadczyła. - Widziałas ten teatr. Królowie i różni tacy zabijają się przez cały czas. Ich królestwa jakoś sobie z tym radzą. Jak to możliwe, że to właśnie nagle się obraziło?

- Jest tu już bardzo długo - stwierdziła Babcia.

- Wszystkie są - odparła Niania tonem doświadczonego studenta. - Każde miejsce leży tam, gdzie jest, od czasu kiedy pierwszy raz tam trafiło. To się nazywa geografia.

- Nie chodzi tylko o ziemię. Ziemia to nie to samo co królestwo. Królestwo powstaje z różnych rzeczy. Idei. Lojalności. Wspomnień. Wszystko to istnieje równocześnie. A potem wspólnie tworzy rodzaj życia. Nie cielesnego, raczej żywą ideę. Zbudowaną ze wszystkich, co żyją, i wszystkiego, co myślą. I co myśleli ludzie przed nimi.

Wróciła Magrat i jak pogrążona w transie zaczęła układać drewno.

- Widzę, że dużo o tym myślałaś - stwierdziła Niania, bardzo wolno i wyraźnie.
- Więc to królestwo chce mieć lepszego króla, tak?

- Nie. To znaczy tak... Posłuchaj... - Pochyliła się. - To nie jest tak, że ono lubi i nie lubi tego samego co ludzie. Zgadza się? Niania Ogg nie była pewna.

- No... Pewnie nie, prawda? - zaryzykowała.

- Nie obchodzi go, czy ludzie są dobrzy, czy źli. Nie sądzę, żeby w ogóle potrafiło to poznać, tak samo jak ty nie poznasz, czy mrówka jest dobrą czy złą mrówką. Ale spodziewa się, że król będzie się o nie troszczył.

- Tak, ale... - odpowiedziała niechętnie Niania. Błysk w oczach Babci zaczynał budzić w niej lęk. - Wielu ludzi zabijało, żeby zostać królem Lancre. Dokonywali różnych mordów.

- Nieważne, nieważne! - Babcia zamachała rękami. Potem zaczęła odliczać na palcach. - Popatrzmy... Po pierwsze, królowie ciągle zabijają się nawzajem, ale to wszystko wynika z przeznaczenia i nie liczy się jako morderstwo. I po drugie, oni zabijali dla królestwa. To jest najważniejsze. Ale ten nowy chce tylko władzy. Królestwa nienawidzi. A królestwo chce być lubiane.

- Zupełnie jak pies - zauważyła Magrat. Babcia spojrzała na nią groźnie, otwierając usta do odpowiedniej riposty... i nagle złagodniała.

- Bardzo podobnie - przyznała. - Psa nie obchodzi, czyjego pan jest dobry czy zły. Ważne, żeby lubił psa.

- No dobrze - zgodziła się Niania Ogg. - Nikt i nic nie lubi Felmeta. Co masz zamiar z tym zrobić?

- Nic. Wiesz, że nie wolno nam się wtrącać.

- Uratowałaś dziecko...

- To nie było wtrącanie!

- Jak tam chcesz. Ale może pewnego dnia on powróci. Znowu przeznaczenie. I kazałaś nam schować koronę. Wszystko tu wróci, zapamiętaj moje słowa. Pospiesz się z tą herbatą, Magrat.

- A co postanowiłaś z radą miejską? - zainteresowała się Babcia.

- Wy tłumaczyłam im, że sami muszą znaleźć jakieś rozwiązanie. Jeśli raz użyjemy czarów, powiedziałam, nigdy się to nie skończy. Sama wiesz.

- Fakt - przyznała Babcia, ale w jej głosie zabrzmiała nuta żalu.

- Ale wiesz co? Wcale im się to nie spodobało. Burczeli coś, kiedy wychodzili.

- Znaście Błazna, który mieszka w zamku? - wyrzuciła z siebie Magrat.

- Taki mały z załzawionymi oczami? - spytała Niania zadowolona, że rozmowa wraca do normalnych tematów.

- Nie taki mały. Jak ma na imię, nie wiecie przypadkiem?

- Wołają na niego Błazen - wyjaśniła Babcia. - To nie jest praca dla mężczyzny, tak biegać z dzwonkami.

- Jego matka była z domu Beldame, mieszkała w stronie Czarnoszkła - przypomniała sobie Niania. Jej wiedza o genealogii Lancre była legendarna. - Za młodu nie była jaka piękność. Niejedno złamała serce. Słyszałam chyba o jakimś skandalu... Ale Babcia ma rację. Kiedy dzień się kończy, Błazen zostaje Błaznem.

- Dlaczego chcesz wiedzieć, Magrat? - zaciekawiła się Babcia.

- No... jedna z dziewcząt we wsi mnie spytała - odparła Magrat, czerwona po uszy.

Niania odchrząknęła i uśmiechnęła się porozumiewawczo do Babci Weatherwax, która z godnością pociągnęła nosem.

- To stała praca - rzekła Niania. - Trudno zaprzeczyć.

- Aha - burknęła Babcia. - Mężczyzna, który przez cały dzień tylko dzwoni, nie nadaje się na męża, ot co.

- Ale zawsze byś... byś wiedziała, gdzie jest - zauważyła Niania, którą zaczynało to bawić. - Wystarczyłoby posłuchać.

- Nigdy nie ufaj mężczyźnie z rogami na kapeluszu. Magrat wstała i wyprostowała się.

- Jesteście parą głupich staruch - oznajmiła cicho. - Wracam do domu.

Bez dalszych słów pomaszerowała ścieżką do swojej wioski. Stare czarownice spojrzały po sobie.

- No tak... - mruknęła Niania.

- To przez te książki, co je dzisiaj czytają - uznała Babcia. -Przegrzewają mózg. Nie podsuwałaś jej żadnych pomysłów, mam nadzieję?

- O co ci chodzi?

- Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Niania wstała.

- Nie rozumiem, dlaczego dziewczyna ma być samotna przez całe życie tylko dlatego, że ty uważasz to za właściwe - rzekła. - Zresztą do czego byśmy doszli, gdyby ludzie nie mieli dzieci?

- Żadna z twoich córek nie została czarownicą. - Babcia także wstała.

- Ale mogły zostać - odparła Niania, trochę zakłopotana.

- Tak, gdybyś pozwoliła im dojść do tego, zamiast zachęcać do rzucania się na mężczyzn.

- Są ładne. Nie można stawiać na drodze ludzkiej natury. Wiedziałaś o tym, gdybyś choć raz...

- Gdybym choć raz co? - spytała bardzo spokojnie Babcia.

Zaszokowane, spoglądały po sobie w milczeniu. Obie wyczuwały napięcie ogarniające ich ciała: bolesne, gorące uczucie, że rozpoczęły coś i muszą to dokończyć choćby nie wiem co.

- Znałam cię, kiedy byłaś pannicą - mruknęła ponuro Niania. - Sztwna byłaś i tyle.

- Przynajmniej większość czasu spędzałam w pozycji pionowej - odpowiedziała Babcia. - Obrzydliwe, ot co. Wszyscy tak uważali.

- Skąd możesz wiedzieć?

- Cała wieś o tobie mówiła.

- O tobie też! Nazywali cię Lodową Dziewicą. Nie słyszałaś pewnie, co? - Niania parsknęła z pogardą.

- Nie będę sobie kalać warg powtarzaniem, jak wołali na ciebie! - krzyknęła Babcia.

- Ach tak? Więc pozwól sobie powiedzieć, moja dobra kobieto...

- Jak śmiesz zwracać się do mnie takim tonem! Nie jestem niczyją dobrą kobietą...

- Co racja, to racja!

Po raz kolejny zapadła cisza. Patrzyły na siebie nos w nos. Ta cisza była o cały poziom kwantowy wrogości wyżej niż poprzednia. Sprawy zaszły za daleko na krzyki. Krzyki się skończyły. Teraz głosy brzmiały cicho; i groźnie.

- Od początku wiedziałam, że nie warto słuchać Magrat -warknęła Babcia Weatherwax. - Te sabaty są wręcz śmieszne. Zjawiają się tu zupełnie nieodpowiednie osoby.

- Cieszę się, że ucieliśmy sobie tę pogawędkę - syknęła Niania Ogg. - Oczyszcza atmosferę. Spojrzała pod nogi.

- Stoi pani na moim terytorium, madam.

- Madam!

Grom zahuczał w oddali. Nieustająca burza Lancre, po krótkiej wycieczce na równiny, powracała w góry na jedyne przedstawienie. Ostatnie promienie słońca jaskrawym blaskiem przebijały chmury. Wielkie krople deszczu zabębniły na spiczastych kapeluszach czarownic.

- Szkoda tracić czas na te głupstwa - oznajmiła Babcia. - Mam ważniejsze sprawy.

- I ja - zapewniła Niania.

- Dobrej nocy pani życzę.

- I pani.

Odwróciły się do siebie plecami i pomaszerowały wśród ulewy.

Nocny deszcz stukał w zasłonięte okna domu Magrat, gdy czarownica przerzucała kartki książek Mateczki Whemper, poświęconych temu, co z braku lepszego określenia można nazwać magią naturalną.

Stara kobieta była kolekcjonerką takich dzieł, a co jeszcze dziwniejsze, sama je pisała - czarownicom rzadko przydaje się umiejętność pisania. Jednak Mateczka Whemper książkę za książką wypełniała swym drobnym, starannym pismem, referując wyniki cierpliwie prowadzonych eksperymentów magii stosowanej. Mateczka Whemper była czarownicą naukowcem¹⁰.

Magrat szukała zaklęć miłosnych. Za każdym razem, kiedy przymknęła oczy, widziała w ciemności czerwono-żółtą postać. Coś musiała z tym zrobić.

Zatrzasnęła książkę i zajrzała do swoich notatek. Przede wszystkim musi

¹⁰ Ktoś musi to robić. Łatwo jest zażądać oka traszki, ale czy chodzi o trąskę pospolitą, plamistą czy wielką grzebieniastą? I które oko? Czy tapioka też się nadaje? Jeśli zastąpimy czymś białko jaja, czy zaklęcie a) poskutkuje, b) nie poskutkuje, c) napar wytopi dno kociołka? Ciekawość Mateczki Whemper w tych sprawach była ogromna i nienasycona**.

** Prawie nienasycona. Została zapewne nasycona podczas ostatniego lotu próbnego, kiedy sprawdzała, czy miotła wytrzyma, jeśli w powietrzu będzie się z niej wyciągać gałazki, jedną po drugiej. Według małego czarnego kruka, którego wytresowała jako czarną skrzynkę, odpowiedź prawie na pewno brzmiała „nie”.

poznać jego imię. Powinna to załatwić stara sztuczka z obieraniem jabłka. Trzeba obrać jabłko tak, żeby otrzymać jeden długi kawałek skórki, i rzucić ją za siebie. Upadnie na podłogę, układając się w jego imię. Miliony dziewcząt próbowały tego sposobu i były nieodmiennie rozczarowane wynikiem, chyba że ukochany miał na imię Scss. Działo się tak dlatego, że nie używały niedojrzałego owocu odmiany Sunset Wonder zerwanego trzy minuty przed południem pierwszego mroźnego dnia jesieni i obranego lewą ręką srebrnym nożem o ostrzu nie szerszym niż pół cala. Mateczka wykonała wiele doświadczeń i w tej sprawie podała bardzo szczegółowe wskazówki. Magrat zawsze trzymała kilka takich jabłek na wszelki wypadek, a teraz taki wypadek właśnie nastąpił.

Odetchnęła głęboko i rzuciła obierzynę przez ramię.

Odwróciła się wolno.

Jestem czarownicą, powiedziała sobie. To zwyczajne zaklęcie. Nie ma się czego bać. Weź się w garść, dziewczyno. Kobieto.

Spojrzała i ze zdenerwowania przygryzła wargę.

- Kto by pomyślał? - powiedziała głośno.

Udało się.

Serce biło jej szybko, kiedy wróciła do notatek. Co dalej? A tak... O świcie zebrać nasienie paproci w jedwabną chusteczkę. Drobne pismo Mateczki Whemper przez dwie strony podawało szczegółowe instrukcje botaniczne, które - dokładnie wypełnione - prowadziły do stworzenia napoju miłosnego. Trzeba go było przechowywać w szczelnie zamkniętej buteleczce na dnie wiadra lodowatej wody.

Magrat otworzyła tylne drzwi. Pioruny ucichły, ale pierwszy szary brzask nowego dnia tonął w nieustającej mżawce. Nadal jednak kwalifikował się jako świt, Magrat zaś była pełna determinacji.

Ciernie szarpały ją za sukienkę, a mokre włosy kleiły się do czoła, gdy maszerowała przez ociekający deszczem las.

Drzewa kołysały się, chociaż nie było wiatru.

Niania Ogg także wyszła wcześniej. I tak nie mogła zasnąć, a poza tym martwiła się o Greeba. Greebo był jednym z jej czułych punktów. Rozumowo zgadzała się wprawdzie, że jest istotnie grubym, chytrym, cuchnącym wielokrotnym gwałcicielem, ale instynktownie wciąż widziała w nim tego małego, puszystego kotka,

jakim był dziesięciolecia temu. To, że kiedyś zapędził wilczycę na drzewo i poważnie przestraszył niedźwiedzicę, która niewinnie kopła ziemię w poszukiwaniu korzonków, nie przeszkadzało Niani martwić się, że przytrafiło mu się coś złego. Wszyscy inni mieszkańcy królestwa zgadzali się, że jedyną rzeczą, zdolną powstrzymać Greeba, jest bezpośrednie trafienie meteorytem.

Teraz, posługując się odrobiną elementarnej magii, podążała jego śladem, choć mógłby to zrobić każdy obdarzony zmysłem powonienia. I *przez* wilgotne uliczki dotarła aż do otwartej bramy zamku.

Przechodząc skinęła głową strażnikom. Żadnemu z nich nie przyszło nawet na myśl, żeby ją zatrzymać, ponieważ czarownice - tak jak pszczołarze i wielkie goryle - chodzą tam, gdzie im się spodoba. Zresztą starsza pani, dzwoniąca łyżką o miskę, nie tworzyła zapewne grupy uderzeniowej armii inwazyjnej.

Życie strażnika zamkowego w Lancre było niewiarygodnie nudne. Jeden z nich, oparty na włócznie, przepuszczając Nianię zapragnął, żeby zdarzyło się coś bardziej ekscytującego. Już wkrótce miał się przekonać, jak bardzo się mylił. Drugi strażnik stanął na baczność i zaszutował.

- Dzień dobry, mamó.

- Dzień dobry, Shawn - odpowiedziała Niania i wkroczyła na wewnętrzny dziedziniec.

Jak wszystkie czarownice, Niania żywiła awersję do wejść od frontu. Dlatego okrążyła twierdzę i weszła do wnętrza przez drzwi kuchenne. Kilka pokojówek dygnęło przed nią uprzejmie. Podobnie ochmistrzyni, w której Niania rozpoznała jedną ze swoich synowych, chociaż imienia nie mogła sobie przypomnieć.

Dlatego właśnie, kiedy lord Felmet wyszedł z sypialni, zobaczył idącą ku niemu korytarzem czarownicę. Nie mogło być wątpliwości: była czarownicą od czubka spiczastego kapelusza po buty. I przychodziła po niego.

Magrat zsunęła się bezradnie ze wzgórką. Była przemoczona do nitki i oblepiona błotem. Ciekawe, pomyślała z goryczą; kiedy się czyta te zaklęcia, zawsze przychodzi na myśl piękny słoneczny ranek późną wiosną. W dodatku zapomniała sprawdzić, jaka to piekielna odmiana tej piekielnej paproci się nadaje.

Drzewo zrzuciło na nią swój ładunek kropel. Magrat odsunęła z czoła mokre włosy i usiadła ciężko na zwałonym pniu, z którego wyrastały wielkie kępy białych,

nieprzyzwoitych grzybów.

A pomysł wydawał się taki dobry. Wiązała z sabatem wielkie nadzieje. Była pewna, że nie należy być czarownicą samotnie, bo wtedy przychodzą do głowy głupie myśli. Marzyła o mądrych dyskusjach na temat naturalnych energii, pod wiszącym na niebie wielkim księżycem... Potem mogłyby wypróbować kilka dawnych tańców, opisanych w książce Mateczki Whemper. Niekoniecznie nago, czy okryte światłem księżyca, jak to pięknie nazywano; Magrat nie miała złudzeń co do kształtu własnego ciała, a starsze czarownice wydawały się solidnie zbudowane pod sukniami. Zresztą nie było to bezwzględnie obowiązkowe. Książki twierdziły, że dawne czarownice tańczyły czasami w sukniach na zmianę. Magrat nie rozumiała, jak można tańczyć na zmianę. Może nie było tam miejsca dla wszystkich równocześnie...

Na pewno jednak Magrat nie spodziewała się pary zgryźliwych staruszek, w najlepszym razie ledwie uprzejmych, które po prostu nie rozumiały nastroju. Oczywiście, na swój sposób starały się być miłe, ale Magrat miała uczucie, że jeśli czarownica jest dla kogoś miła, robi to wyłącznie z sobie znanych powodów.

A kiedy czarowały, wyglądało to tak zwyczajnie jak sprzątanie w domu. Nie nosiły okultystycznej biżuterii. Magrat głęboko wierzyła w moc okultystycznej biżuterii.

Nic się nie udało. Trudno, wraca do domu.

Wstała, otuliła się mokrą suknią, ruszyła przez mglisty las...

...i usłyszała tupot biegnących stóp. Ktoś zbliżał się bardzo szybko, nie dbając, kto go usłyszy. Trzask łamanych gałązek zagłuszało dziwne dzwonienie. Magrat wsunęła się za kapiący deszczem ostrokrzew i ostrożnie wyjrzała przez liście.

To był Shawn, najmłodszy syn Niani Ogg, a metaliczny dźwięk powodowała jego o kilka numerów za duża kolczuga, Lancre nie było bogatym królestwem i przez wieki strażnicy zamkowi przekazywali sobie kolczugi z pokolenia na pokolenie, często na długim kiju. Shawn wyglądał w swojej jak pancerny dog.

Stanęła przed nim na ścieżce.

- Panna Magrat! - zawołał Shawn, unosząc klapę kolczugi, zakrywającą mu oczy. - Chodzi o mamę!

- Co się jej stało?

- On ją zamknął! Powiedział, że przyszła, bo chciała go otruć! A ja nie mogę zejść do lochów, bo tam są sami nowi strażnicy! Mówią, że zakął ją w łańcuchy... - Shawn zmarszczył brwi. - To znaczy, że stanie się coś strasznego. Wie pani, jaka ona jest, kiedy się rozżłości. Nigdy już nie da nam spokoju.

- Dokąd biegłeś? - zapytała Magrat.

- Sprowadzić naszego Jasona, naszego Wane'a, naszego Darrona, naszego...

- Chwileczkę...

- Panno Magrat, a jeśli oni zechcą ją torturować? Wie pani, jaki ona ma język, kiedy się rozłości...

- Myślę - poinformowała Magrat.

- Postawił przy bramach własnych gwardzistów i w ogóle...

- Shawn, czy mógłbyś przez minutę nie gadać?

- Kiedy nasz Jason się dowie, już on zajmie się księciem. Twierdzi, że najwyższy czas, żeby ktoś to zrobił.

Jason był młodym człowiekiem o budowie i - w opinii Magrat - mózgu stada wołów. I chociaż był gruboskórny, nie sądziła, żeby przeżył grad strzał.

- Na razie nic mu nie mów - powiedziała z namysłem. - Może znajdzie się inny sposób.

- Poszukam Babci Weatherwax, dobrze? - spytał Shawn, prze-stępując z nogi na nogę. - Ona będzie wiedzieć, co robić. Jest czarownicą.

Magrat znieruchomiała. Już przedtem sądziła, że jest zła, ale teraz ogarnęła ją wściekłość. Była przemoczona, zmarznięta i głodna, a ten osobnik... Dawniej, uznała, w takiej chwili zalałaby się łzami.

- Oj... - wykrztusił Shawn. - Hm... Nie chciałem... O rany... Hm...

Cofnął się.

- Jeśli przypadkiem spotkasz Babcię Weatherwax - wycodziła Magrat tonem, który wryłby jej słowa na szkło - możesz jej powiedzieć, że zajmę się tą sprawą. A teraz uciekaj, zanim zamienię cię w żabę. I tak jesteś do niej podobny.

Odwróciła się, podciągnęła spódnicę i ruszyła biegiem do swojego domku.

Lord Felmet lubił napawać się cudzym nieszczęściem. Dobrze mu to wychodziło. - Wygodnie, co? - zapytał. Niania Ogg zastanowiła się.

- Znaczący, nie licząc tych kajdan? - spytała.

- Jestem nieczuły na twoje nędzne pochlebstwa - oznajmił książę. - Gardzę twoimi podstępными sztuczkami. Wiedz, że będziesz torturowana.

Słowa nie wywarły jakoś należytego skutku. Niania rozglądała się po lochu lekko zaciekawionym wzrokiem turysty.

- A potem zostaniesz spalona na stosie - dodała księżna.

- Dobrze - odparła Niania.

- Dobrze?

- Strasznie tu zimno. Co to za wielka szafa z kolcami? Książę drżał z podniecenia.

- Aha! - zawołał. - Zaczynasz rozumieć? To, moja droga, jest Żelazna Dziewica. Najnowszy wynalazek. Przekonasz się...

- Mogę ją wypróbować?

- Jestem głuchy na twoje błagania o... - Książę zamilkł. Nerwowy tik wykrzywił mu policzek.

Księżna zbliżyła się, aż jej czerwona twarz znalazła się o kilka cali od nosa Niani.

- Możesz udawać lekceważenie - syknęła. - Ale już wkrótce będziesz się śmiała drugą stroną twarzy.

- Moja twarz ma tylko jedną stronę - zauważyła Niania.

Księżna pieszczotliwie pogładziła tacę z narzędziami.

- Zobaczymy - mruknęła i chwyciła obcęgi.

- I nie myśl nawet, że ktoś przyjdzie ci z pomocą - oznajmił książę. Mimo chłodu pocił się obficie. - Tylko my mamy klucze do tego lochu. Cha, cha. Będiesz przykładem dla wszystkich, którzy rozsiewają o mnie wrogie plotki. Nie waż się krzyczeć, że jesteś niewinna. Przez cały czas słyszę głosy, powtarzające kłamliwie...

Księżna chwyciła go mocno za ramię.

- Dość - warknęła. - Chodź, Leonalu. Pozwolimy, by przez chwilę zastanowiła się nad swym przyszłym losem.

- ...twarze... ohydne kłamstwa... nie było mnie tam, a zresztą on sam upadł... i owsianka zawsze przesolona... - Książę zataczał się wyraźnie.

Drzwi zatrzasnęły się za nimi. Szczęknięty zamki, głucho stuknęły opadające sztaby.

Niania pozostała samotna w mroku. Migocząca na ścianie pochodnia sprawiała tylko, że ciemność wokół stawała się jeszcze bardziej nieprzenikniona. Dziwne metaliczne kształty, projektowane dla celów nie bardziej wyszukanych niż niszczące testy ludzkiego ciała, rzucały nieprzyjemne cienie. Niania Ogg zadrżała w łańcuchach.

- No dobrze - rzuciła. - Widzę cię. Kim jesteś? Król Verence stanął przed nią.

- Widziałam, jak robisz miny za jego plecami - powiedziała Niania Ogg. -
Ledwie zdołałam zachować powagę.

- Nie robiłem min, kobieto. Marszczyłem czoło. Niania spojrzała z ukosa.

- Chyba cię znam. Ty nie żyjesz.

- Wolę określenie „odszedłeś” - stwierdził król.

- Pokłoniłabym się¹¹, ale wiesz, mam na sobie te łańcuchy i w ogóle. Nie
widziałeś tu gdzieś kota?

- Tak. Śpi w komnacie na górze. Niania odetchnęła.

- Czyli wszystko w porządku. Już zaczynałam się martwić. - Rozejrzała się po
lochu. - Co to za wielkie łóżko tam w kącie?

- To ława tortur - odparł król i wyjaśnił jej zastosowanie. Niania Ogg pokiwała
głową.

- Ależ on ma pomysłowy mózdzek - mruknęła.

- Obawiam się, madam, że to ja jestem odpowiedzialny za pani obecne
położenie - wyznał Verence. Usiadł, a w każdym razie zawisł o kilka cali nad
poręcznym kowadłem. - Chciałem ściągnąć tu czarownicę.

- Podejrzewam, że nie znasz się na zamkach?

- Chyba przekraczają jeszcze moje możliwości... Ale z pewnością... -Verence
szerokim gestem wskazał loch, kajdany i Nianię -dla czarownicy to wszystko tylko...

- Lite żelazo - poinformowała Niania. - Ty może i przejdiesz przez nie, aleja
nie potrafię.

- Nie sądziłem... Myślałem, że czarownice znają się na magii-

- Młody człowieku - rzekła Niania. - Będę ci wdzięczna, jeśli przestaniesz
gadać.

- Madam! Jestem królem!

- Jesteś również martwy, więc na twoim miejscu powstrzymałabym się od
wyrażania opinii. A teraz bądź grzecznym chłopcem i nie przeszkadzaj.

Wbrew wszelkim swoim instynktom, król poczuł, że musi posłuchać. Nie
potrafił się sprzeciwić temu głosowi. Przemawiał do niego zza zasłony lat, z dni
spędzonych w pokoju dziecinnym. Echo tego głosu mówiło, że jeśli nie zje
wszystkiego, zaraz pójdzie do łóżka.

Niania Ogg zabrzęczała łańcuchami. Miała nadzieję, że pomoc zjawi się
szybko.

- Ehem... - zaczął niepewnie król. - Sądzę, że winien jestem wyjaśnienie...

- Dziękuję - powiedziała Babcia Weatherwax. A ponieważ Shawn wyraźnie tego oczekiwał, dodała jeszcze: - Bardzo dobrze zrobiłeś. - Tak, psze pani. Psze pani...

- Coś jeszcze?

Shawn w zakłopotaniu miał brzeg swojej kolczugi.

- To nieprawda, co wszyscy mówią o naszej mamie, prawda? - zapytał. - Przecież nie rzuca złych uroków na ludzi. Oprócz rzeźnika Daviesa. I starego Cakebreada, ale on kopnął jej kota. Przecież to nie były takie, jak to powiedzieć, prawdziwe uroki, psze pani.

- Nie mów do mnie „proszę pani”.

- Dobrze, psze pani.

- Mówili takie rzeczy?

- Tak, psze pani.

- No cóż, twoja mama rzeczywiście czasem irytuje ludzi. Shawn przestąpił z nogi na nogę.

- Tak, psze pani, ale oni opowiadają okropne rzeczy też o pani, za pozwoleniem. Babcia zeszywniała.

- Jakie rzeczy?

- Wolałbym nie mówić, psze pani.

- Jakie rzeczy?

Shawn rozważył dostępne posunięcia. Nie miał zbyt wielu możliwości.

- Różne rzeczy, które nie są prawdziwe, psze pani - oświadczył, jak najszybciej zaznaczając swoje stanowisko. - Najróżniejsze. Na przykład że stary Verence był niedobrym królem, a pani pomogła mu sięść na tronie, i że pani sprowadziła ostrą zimę zeszłego roku, i że krowa Norbuta nie daje mleka, odkąd pani na nią spojrzała. Same kłamstwa, psze pani - dodał lojalnie.

- Zgadza się - odparła Babcia.

Zamknęła drzwi przed dyszącym chłopakiem, przez chwilę stała zamyślona, po czym wróciła na fotel.

- Zgadza się - orzekła po chwili. A jeszcze później dodała:

¹¹ Czarownice nigdy nie dygają.

- To stara miotła, ale nie możemy pozwolić, żeby ludzie tak traktowali czarownice. Kiedy straci się szacunek, jest się nikim. Nie pamiętam, żebym patrzyła na krowę Norbuta. Kto to jest Norbut?

Wstała, z haka za drzwiami zdjęła swój spiczasty kapelusz i przed lustrem umocowała go kilkoma groźnymi spinkami.

Wsuwały się na miejsca po kolei, niepowstrzymane niby gniew boży.

Zniknęła w obórcę i wróciła ze swoim płaszczem. Kiedy go nie używała, służył za okrycie chorym kozom. Dawno temu był z czarnego aksamitu. Teraz był po prostu czarny. Został starannie i powoli spięty zmatowiałą srebrną broszką.

Żaden samuraj, żaden błędny rycerz nie ubierał się nigdy tak ceremonialnie.

Wreszcie Babcia wyprostowała się, zbadała swe mroczne odbicie w szkłe, rzuciła mu pełen satysfakcji uśmieszek i wyszła tylnymi drzwiami.

Atmosferę zagrożenia jedynie odrobinę rozproszył odgłos jej biegania tam i z powrotem, kiedy próbowała uruchomić miotłę.

Magrat także przyglądała się sobie w lustrze. Wykopała z szafy jaskrawozieloną suknię, uszytą tak, by równocześnie odsłaniała i przylegała. Byłaby taka, gdyby Magrat miała coś, co można odsłaniać albo do czego przylegać. Aby naprawić co bardziej widoczne braki, wcisnęła z przodu parę zwiniętych pończoch. Starła się także rzucić czar na włosy, ale te były z natury czaroodporne i zaczynały już odzyskiwać swój naturalny wygląd.

Magrat spróbowała również nałożyć makijaż. Wynik trudno by nazwać niekwestionowanym sukcesem. Brakowało jej praktyki. Nie była pewna, czy nie przesadziła z cieniem do powiek.

Szyję i palce przyozdobiła taką ilością srebra, że wystarczyłoby na pełny serwis obiadowy, a na to wszystko narzuciła czarny płaszcz podszyty czerwonym jedwabiem.

W pewnym oświetleniu i ze starannie dobranego kąta, Magrat nie była nieatrakcyjna. Czyjej przygotowania poprawiły wygląd, jest rzeczą dyskusyjną. Na pewno jednak cienka warstwa pewności siebie otuliła jej drżące serce.

Wyprostowała się i obróciła przed lustrem. Grona amuletów, magicznej biżuterii i okultystycznych bransolet zawieszonych na rozmaitych częściach ciała pobrzękiwały przy każdym ruchu. Aby nie dostrzec zbliżającej się czarownicy,

nieprzyjaciel musiałby być nie tylko ślepy, ale także głuchy jak pień.

Wróciła do swego warsztatu i obejrzała to, co raczej dyskretnie i nigdy w obecności Babci nazywała Narzędziami Sztuki. Był wśród nich nóż z białą rękojeścią, używany do przygotowywania magicznych składników. Był też nóż z czarną rękojeścią, wykorzystywany przy magicznych rytuałach. Magrat wyryła w rękojeściach tyle run, że wciąż groziło im złamanie. Oba noże z pewnością były potężne, ale...

Magrat z żalem potrząsnęła głową, przeszła do kuchni i chwyciła nóż do chleba. Coś jej mówiło, że w takich czasach solidny, ostry nóż do chleba jest prawdopodobnie najlepszym przyjacielem każdej dziewczyny.

- Moim małym oczkiem - rzekła Niania Ogg - widzę coś, co zaczyna się na K. Duch króla rozejrzał się ze znużeniem.
 - Kolce - zaproponował.
 - Nie.
 - Kciukozgniot?
 - Ładna nazwa. Do czego to służy?
 - Taka śruba na palec - wyjaśnił król i zademonstrował.
 - Nie, to nie to - stwierdziła Niania.
 - Duszący kłębek? - zapytał z desperacją.
 - To jest na D, a poza tym nie wiem, co to takiego - odparła Niania Ogg. Verence uprzejmie wskazał narzędzie i wytłumaczył, jak się go używa.
 - Stanowczo nie.
 - Karzący Rozżarzony But?
 - Coś za dobrze znasz te nazwy - stwierdziła surowo Niania. - Na pewno nie używałeś tych rzeczy za życia?
 - Wykluczone, Nianiu - zapewnił duch.
 - Chłopcy, którzy kłamią, trafiają w nieprzyjemne miejsca - ostrzegła.
 - Prawdę mówiąc, większość z nich sprowadziła tu osobiście lady Felmet - przekonywał król. Jego położenie i tak było raczej niepewne i wołał nie martwić się dodatkowo o jakieś nieprzyjemne miejsca.
- Niania pociągnęła nosem.
- No dobrze - rzekła udobruchana. - To były „kleszcze”.

- Przecież to są obcęgi, nie... - zaczął Verence, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język.

W dorosłym życiu nie bał się żadnego człowieka, bestii ani połączenia ich obu, ale głos Niani budził wspomnienia szkoły i pokoju dziecinnego, srogich poleceń wydawanych przez sztywne damy w długich spódnicach, a także zdrowego jedzenia - głównie szarego i brązowego. Wtedy wydawało się niestrawne, ale dzisiaj myślał o nim jak o ambrozji.

- Pięć do zera dla mnie - oświadczyła z zadowoleniem Niania.

- Oni niedługo wrócą - przypomniał król. - Jesteś pewna, że nic ci nie grozi?

- A gdybym nie była, to w czym mógłbyś mi pomóc? Brzęknęły odsuwane rygle.

Kiedy miotła Babci niepewnie zniżała się do lądowania, przed zamkiem czekał już spory tłumek. Ludzie umilkli. A gdy czarownica ruszyła do bramy, rozsunęli się, by zrobić jej miejsce. Niosła pod pachą kosz jabłek.

- W lochach jest czarownica - szepnął jej ktoś do ucha. - Podobno straszliwie ją torturują.

- Bzdura - rzuciła Babcia. - To niemożliwe. Przypuszczam, że Niania Ogg przysłała doradzić królowi czy coś w tym rodzaju.

- Podobno Jason Ogg zwołuje braci - oznajmił załęczniony kramarz.

- Szczerze wam radzę, wracajcie do domów - powiedziała Babcia Weatherwax. - Prawdopodobnie zaszło nieporozumienie. Wszyscy wiedzą, że nie można uwięzić czarownicy wbrew jej woli.

- Tym razem sprawy zaszły za daleko! - zawołał któryś z wieśniaków. - Najpierw te pożary i podatki, a teraz to. Wszystko przez czarownice. To się musi skończyć. Znam swoje prawa.

- A jakie to prawa? - spytała Babcia.

- Prawo przekładania, dojenia krowy, gadania, prawo do resztek, do bójek, do miodu i szpuntu - wymienił posłusznie wieśniak.

- I do zbierania żołądzi co drugi rok. I prawo do wypasania dwóch trzecich kozy na wspólnych łąkach. Dopóki on jej nie spalił. A to była wspaniała koza.

- Daleko można zajść, kiedy tak dobrze zna się swoje prawa - pochwaliła go Babcia. - Ale teraz idź do domu.

Odwróciła się i spojrzała na bramę. Na warcie stało dwóch wyjątkowo czujnych strażników. Babcia podeszła bliżej i wbiła wzrok w jednego z nich.

- Jestem bezbronną handlarką jabłek - oznajmiła głosem, który bardziej by się nadawał do wypowiedzenia średniej wojny. - Pozwól mi przejść, skarbie.

Ostatnie słowo kryło w sobie ostrze.

- Nikomu nie wolno wchodzić do zamku - odparł strażnik.

- Rozkaz księcia.

Babcia wzruszyła ramionami. O ile pamiętała, gambit handlarki jabłek poskutkował tylko raz w całej historii czarodziejskiej sztuki. Ale był tradycyjnym otwarciem.

- Znam cię, Champecie Poldy - rzekła. - Pamiętam, że kładłam do grobu twojego dziadka, a ciebie przyjmowałam na świat.

- Obejrzała się na gapiów, zebranych kawałek dalej, potem na strażnika, którego twarz zmieniała się już w maskę grozy. Pochyliła się do niego. - Pokazałam ci pierwszą kryjówkę w tym padole łez, i na wszystkich bogów, jeśli teraz staniesz mi na drodze, pokażę ci twoją ostatnią.

Włócznia brzęknęła cicho, wypadając z zeszywniałych palców strażnika. Babcia poklepała go pocieszająco po ramieniu.

- Nie przejmuj się - powiedziała. - Masz, zjedz jabłko.

Zrobiła krok i druga włócznia zagroziła jej drogę. Z zaciekawieniem podniosła głowę.

Drugi strażnik nie pochodził z Ramtopów. Ten miejski najemnik został tu ściągnięty, gdy zaszła potrzeba uzupełnienia przerzedzonych w ostatnich latach szeregów. Twarz pokrywała mu siatka blizn. Kilka z nich ułożyło się w coś, co miało przypominać wzdorczy uśmiech.

- Więc to jest magia czarownic, tak? - zapytał. - Słaba. Może wystraszyć tych wiejskich głupków, kobieto, ale mnie wcale nie przeraża.

- Myślę, że wiele trzeba, żeby przestraszyć takiego silnego chłopaka jak ty - powiedziała Babcia, sięgając do kapelusza.

- I nie próbuj mnie zagadywać. - Strażnik patrzył prosto przed siebie, kołysząc się lekko na piętach. - Stare baby dyrygujące ludźmi! Powinno się z tym skończyć.

- Jak sobie życzysz. - Babcia odsunęła włócznię.

- Posłuchaj! Mówiłem chyba... - zaczął strażnik, chwytając Babcię za ramię.

Jej dłoń przesunęła się szybko; patrzącym zdawało się niemal, że pozostała

nieruchoma. Ale nagle strażnik trzymał się za rękę i jęczał.

Babcia wsunęła spinkę na miejsce i ruszyła biegiem.

- Zaczniemy od prezentacji narzędzi - oznajmiła z satysfakcją księżna.

- Już widziałam - odparła Niania Ogg. - Przynajmniej te, które zaczynają się na K, S, T i W.

- Zobaczymy, jak długo zdołasz utrzymać ten lekki ton rozmowy - warknęła księżna. - Rozpal ogień, Felmet.

- Rozpal ogień, Błaźnie - polecił książę.

Błażen ruszył powoli. Nie tego się spodziewał. Torturowanie ludzi nie mieściło się w jego planach. Zadawanie z zimną krwią bólu starszym paniom nie było jego sprawą. A już zadawanie bólu czarownicom, i to z krwią w dowolnej temperaturze, nie było sprawą nawet bliższych i dalszych krewnych.

- To mi się nie podoba - mruknął pod nosem.

- Świetnie - stwierdziła Niania Ogg, obdarzona doskonałym słuchem. - Zapamiętam, że ci się nie podobało.

- Co to ma znaczyć? - spytał ostro książę.

- Nic takiego - odparła Niania. - Długo to potrwa? Nie jadłam jeszcze śniadania.

Błażen zapalił zapalkę. W powietrzu koło niego nastąpiło leciuteńkie zawirowanie i płomyk zgasł. Zaklął i wziął następną. Tym razem drżącą dłonią doniósł ją aż do paleniska, nim także zapłonęła jaśniej i zgasła.

- Pospiesz się, człowieku! - krzyknęła księżna, rozkładając narzędzia.

-Jakoś nie chce się zapalić - wymruczał Błażen, kiedy płomyk następnej zapalki wyciągnął się w jasną smugę i zgasł.

Książę wyrwał mu z ręki pudełko i upięścienioną dłonią uderzył w twarz.

- Czy żaden mój rozkaz nie może być wypełniony?! - wrzasnął. - Kaleka na duchu! Słabeusz! Daj pudełko!

Błażen cofnął się. Ktoś, kogo nie widział, szeptał mu do ucha słowa, których nie mógł zrozumieć.

- Wyjdź - rozkazał książę. - Dopilnuj, żeby nam nikt nie przeszkadzał.

Błażen potknął się o stopień, odwrócił się i z ostatnim, badawczym spojrzeniem w stronę Niani, wyskoczył za drzwi. Podskakiwał jeszcze trochę, z

przyzwyczajenia.

- Ogień nie jest niezbędny - oświadczyła księżna. - Po prostu pomaga. A teraz, kobieto, czy się przyznasz?

- Do czego? - zapytała Niania.

- Wszyscy wiedzą, do czego. Zdrada. Złowrogie czary. Udzielanie pomocy wrogom króla. Kradzież korony...

Ciche brzęknięcie kazało im się obejrzeć. Zakrwawiony sztylet spadł z ławy, jakby ktoś próbował go podnieść, ale brakło mu siły. Niania usłyszała, jak duch króla przeklina pod nosem.

- ...i rozpowszechnianie fałszywych plotek - dokończyła księżna.

- ...sól w moim jedzeniu - dodał książę, nerwowo zerkając na obandażowaną dłoń. Wciąż miał wrażenie, że w lochu przebywa ktoś czwarty.

- Jeśli się przyznasz - rzekła księżna - zostaniesz tylko spalona na stosie. I proszę, żadnych dowcipnych uwag.

- Jakie fałszywe plotki?

- Na temat przypadkowej śmierci króla Verence'a - wyszeptał chrapliwie Felmet.

Powietrze znowu zawirowało.

Niania siedziała z głową przechyloną w bok, jakby słuchała głosu, który tylko ona mogła usłyszeć. Ale książę też był pewien, że coś słyszy... Może nie głos, raczej odległy szum wiatru.

- Nie wiem o niczym fałszywym - powiedziała. - Wiem, że go zabiłeś, że wbiłeś mu sztylet w plecy. Działo się to na szczycie schodów. - Przerwała nasłuchując i zaraz dodała: - Tuż obok zbroi z piką. I powiedziałeś: Jeśli ma się stać, niechby przynajmniej stało się niezwłocznie" czy coś takiego. A potem wyrwałeś sztylet króla z pochwy u pasa... ten sam sztylet, który leży tutaj na podłodze... i...

- Kłamiesz! Nie było żadnych świadków! Sprawdziliśmy... Niczego nie mogli zobaczyć! Słyszałem coś w ciemności, ale nikogo nie było! Nie mogło być nikogo, widzącego cokolwiek! - krzyczał książę.

Żona spojrzała na niego groźnie.

- Siedź cicho, Leonalu. Myślę, że w tych czterech ścianach możemy zrezygnować z wymówek.

- Kto jej powiedział? Może ty?

- I uspokój się. Nikt jej nie powiedział. Na miłość bogów, przecież jest

czarownicą. One potrafią wykryć takie rzeczy. Jasne spojrzenie czy coś...

- Jasnowidzenie – poprawiła ją Niania.

- Które wkrótce utracisz, moja dobra kobieto. Chyba że zdradzisz nam, kto jeszcze wie o tym. I pomożesz nam w kilku innych kwestiach - zagroziła ponuro księżna. - A uczynisz to, wierz mi. Jestem bardzo doświadczona w takich sprawach.

Niania rozejrzała się. W lochu robiło się tłoczno. Król Verence dyszał wręcz wściekłością i był niemal widzialny. Uparcie próbował pochwycić sztylet. Za nim jednak byli też inni: falujące, złamane sylwetki, nie tyle duchy, ile wspomnienia, bólem i grozą wtopione w materię murów.

- Mój własny sztylet! To dranie! Zabili mnie moim własnym sztyletem! - wołał duch króla Verence'a, unosząc widmowe ramiona i wzywając cały tamten świat, by był świadkiem jego ostatecznego poniżenia. - Dajcie mi siłę...

- Owszem - zgodziła się Niania. - Warto spróbować.

- A teraz zaczniemy - rzekła księżna.

- Co? - Strażnik nie zrozumiał.

- Powiedziałam, że przyszedłam tu sprzedać moje piękne jabłka - powtórzyła Magrat.

- Jakiś targ się odbywa czy co?

Strażnik był bardzo nerwowy, gdyż jego kolegę właśnie zabrali do lazaretu. Nie po to zgłosił się do tej pracy, żeby mieć do czynienia z czymś takim.

Po chwili coś mu zaświtało.

- Nie jesteś czarownicą, prawda? - zapytał, sięgając niezręcznie po pikę.

- Oczywiście, że nie. Wyglądam na czarownicę?

Strażnik spojrzał na jej okultystyczne bransolety, podszewkę płaszcza i twarz. Twarz była szczególnie niepokojąca. Magrat zużyła mnóstwo pudru, by uczynić ją bladą i interesującą. Puder komponował się z tuszem do rzęs, co strażnikowi kojarzyło się z dwoma muchami, które rozbiły się w cukiernicy. Odruchowo skrzyżował palce, by odepchnąć urok cienia do powiek.

- Zgadza się - mruknął niepewnie.

Umysł strażnika zmagał się z problemem. Była czarownicą. Ostatnio sporo się mówiło o tym, że czarownice są szkodliwe dla zdrowia. Dostał rozkaz, żeby nie przepuszczać żadnych czarownic, ale nikt nawet nie wspomniał o handlarkach

jabłek. Handlarki jabłek to żaden kłopot. Kłopoty sprawiają czarownice. Powiedziała, że jest handlarką jabłek, a przecież nie będzie podważała słowa czarownicy.

Zadowolony z tego zastosowania logiki, odstąpił na bok i szerokim gestem wskazał jej przejście.

- Wchodź, handlarko jabłek - powiedział.

- Dziękuję - rzuciła słodkim głosem Magrat. - Może chcesz jabłko?

- Nie, dziękuję. Nie skończyłem jeszcze tego, co je dostałem od tej drugiej czarownicy. - Zawahał się. - Nie, nie od czarownicy. Od handlarki jabłek. Tak, handlarki jabłek. Sama tak mówiła.

- Dawno przechodziła?

- Parę minut...

Babcia Weatherwax wcale się nie zgubiła. Nie należała do osób, które się kiedykolwiek gubią. Po prostu w tej chwili wiedziała co prawda dokładnie, gdzie się znajduje, ale nie była pewna lokalizacji wszystkich innych miejsc. Właśnie znowu dotarła do kuchni, doprowadzając do załamania kucharza, który usiłował upiec kawałek selera. Fakt, że kilka osób próbowało kupić od niej jabłka, nie poprawiał jej nastroju.

Magrat tymczasem znalazła drogę do głównej sali, o tej porze całkiem pustej, jeśli nie liczyć dwóch strażników grających w kości. Nosili liberię osobistej gwardii Felmeta i przerwali grę, gdy tylko pojawiła się Magrat.

- No, no... -Jeden z nich uśmiechnął się złośliwie. - Może dotrzymasz nam towarzystwa, ślicznotko¹².

- Szukam drogi do lochów - wyjaśniła Magrat, dla której słowa „molestowanie seksualne” były tylko pustym zbiorem sylab.

- Coś podobnego! - Strażnik mrugnął do kolegi. - Myślę, że moglibyśmy ci pomóc.

Wstali i zajęli miejsca z jej boków. Wyczuwała intensywny zapach zwierzęcego piwa oraz bliskość dwóch podbródków, o które można by zapalać zapalki. Gorączkowe sygnały zewnętrznych części umysłu zaczęły przełamywać jej żelazną wiarę, że złe rzeczy przytrafiają się tylko złym ludziom.

¹² Nikt nie wie, dlaczego mężczyźni mówią takie rzeczy. Lada chwila pewnie powie jeszcze, że lubi takie bojowe dziewczyny.

Sprowadzili ją schodami w dół, w labirynt wilgotnych, łukowo sklepionych korytarzy. Magrat szukała pośpiesznie jakiegoś sposobu, by uprzejmie zrezygnować z ich towarzystwa.

- Muszę was uprzedzić - powiedziała - że nie jestem, jak może się wydawać, zwykłą handlarką jabłek.

- Coś takiego...

- W rzeczywistości jestem czarownicą.

Nie zrobiło to na nich wrażenia, na jakie liczyła. Gwardziści spojrzeli po sobie.

- No i dobrze - rzekł pierwszy. - Zawsze się zastanawiałem, jak to jest, kiedy się pocałuje czarownicę. Tutaj mówią, że zmienia człowieka w żabę.

Drugi szturchnął go lekko.

- W takim razie... - zaczął powolnym, poważnym tonem człowieka, który wierzy, że to, co powie za chwilę, będzie niewiarygodnie śmieszne - ...już dawno musiałeś którąś pocałować.

Krótki rechot urwał się nagle. Jakaś siła pchnęła Magrat na ścianę, skąd mogła podziwiać zbliżenie nozdrzy gwardzisty.

- Posłuchaj mnie uważnie, maleńka - powiedział. - Nie jesteś pierwszą czarownicą, jaką tu mamy... jeśli jesteś czarownicą. Ale może będziesz mieć szczęście i wyjdiesz stąd, jeśli będziesz dla nas miła. Rozumiesz?

Gdzieś w pobliżu rozległ się krótki, wysoki krzyk.

- To, rozumiesz - rzekł gwardzista - była czarownica, która miała pecha. Wszystkim nam możesz wyświadczyć przysługę, jasne? Naprawdę miałaś szczęście, że nas spotkałaś.

Jego ręka zaprzestała swej niedawno rozpoczętej badawczej wędrówki.

- Co to? - zwrócił się do bladej twarzy Magrat. - Nóż? Nóż? Musimy potraktować sprawę poważnie. Prawda, Hron?

- Trzeba ją zakneblować i związać - wtrącił pośpiesznie Hron. - Nie potrafiały rzucać czarów, kiedy nie mogą mówić ani machać rękami.

- Zabierzcie od niej łapy!

Cała trójka spojrzała w głąb korytarza, na Błazna. Brzęczał ze złości.

- Puśćcie ją natychmiast! - krzyknął. - Bo się na was poskarżę!

- Aha, poskarżysz na nas, co? - parsknął Hron. - A kto cię będzie słuchał, czerwony głupku?

- Mamy tu czarownicę - oświadczył drugi gwardzista. - Więc lepiej idź sobie

dzwonić gdzie indziej. - Zwrócił się do Magrat. - Lubię takie bojowe dziewczyny - powiedział, błędnie, jak się okazało.

Błazen zbliżył się z miną człowieka śmiertelnie rozgniewanego.

- Powiedziałem, żebyś ją puścił.

Hron wyjął miecz i mrugnął do kolegi.

Magrat uderzyła. Był to nie planowany, instynktowny cios, którego energia została poważnie zwiększona ciężarem pierścieni i bransolet. Dłoń zetknęła się ze szczęką prześladowcy i obróciła go dwa razy, zanim z cichym westchnieniem złożył się bezwładnie pod ścianą. Dziwnym przypadkiem miał na twarzy odcisnięte kilka istotnych w okultyzmie symboli.

Hron wytrzeszczył na niego oczy, po czym spojrzał na Magrat. Podniósł miecz w tej samej chwili, gdy wpadł na niego rozpędzony Błazen. Zwalili się na ziemię. Jak większość drobnych mężczyzn, Błazen w walce polegał na wstępnym szalonym impecie, który powinien zapewnić mu przewagę. Tracił głowę w dalszych etapach. Walka zapewne źle by się dla niego skończyła, gdyby Hron nagle nie uświadomił sobie, że szyję uciska mu ostrze kuchennego noża.

- Puść go - rozkazała Magrat, odgarniając włosy z oczu. Zesztywniał.

- Zastanawiasz się pewnie, czy naprawdę potrafię ci poderznąć gardło - wysapała Magrat. -Ja też tego nie wiem. Pomyśl, jaką będziemy mieli zabawę sprawdzając.

Wolną ręką chwyciła Błazna za kołnierz i postawiła na nogi.

- Skąd dobiegł krzyk? - spytała, nie odrywając wzroku od gwardzisty.

- Z tamtej strony. Trzymają ją w izbie tortur i wcale mi się to nie podoba. Posunęli się za daleko. Nie mogłem wejść do środka, więc pobiegłem kogoś poszukać...

- Znalazłeś mnie - zauważyła Magrat.

- Ty - zwróciła się do Hrona. - Zostań tutaj. Albo uciekaj, nie obchodzi mnie to. Ale nie próbuj iść za nami.

Pokiwał głową, a potem spoglądał, jak oddalają się korytarzem.

- Drzwi są zamknięte - oznajmił Błazen. - Dochodzą różne dźwięki, ale drzwi są zamknięte.

- Przecież to lochy...

- Ale nie powinny chyba być zamknięte od środka!

Drzwi okazały się nie do pokonania. Od wewnątrz dobiegała cisza - gęsta,

wibrująca cisza, przeciskająca się szczelinami i rozlewająca w korytarzu - cisza gorsza jeszcze od krzyków.

Błazen przestępował z nogi na nogę, a Magrat badała szorstką powierzchnię drzwi.

- Naprawdę jesteś czarownicą? - zapytał. - Tak mówili, ale czy to prawda? Wcale nie wyglądasz jak czarownica, wyglądasz... to znaczy... - Zaczerwienił się. - Nie jak stara wiedźma, ale absolutnie cudownie...

Zamilkł.

Całkowicie panuję nad sytuacją, powiedziała sobie Magrat. Nigdy nie sądziłam, że tak będzie, ale myślę precyzyjnie i jasno.

I uświadomiła sobie całkowicie precyzyjnie, że jej podkładki zsunęły się do pasa, głowa budzi uczucie, jakby założyła tam gniazdo rodzina niehigienicznych ptaków, a makijaż nie tylko się rozmazuje, wręcz ścieka jak wodospad. Suknię miała rozdartą w kilku miejscach, ręce posiniaczone i z jakichś powodów czuła się tak wspaniale, jakby cały świat miała u swych stóp.

- Lepiej się cofnij, Verence - powiedziała. - Nie jestem pewna, co z tego wyjdzie.

Usłyszała, że Błazen gwałtownie wciąga powietrze.

- Skąd znasz moje imię?

Magrat obejrzała drzwi. Dąb był stary, liczył sobie wiele stuleci, ale wyczuwała odrobinę soków pod powierzchnią, którą lata zahartowały w coś niemal tak twardego jak kamień. W normalnych okolicznościach to, co zamierzała Magrat, wymagało całego dnia kreślenia planów i worka egzotycznych składników. Przynajmniej tak zawsze sądziła. Teraz skłonna była w to wątpić. Jeśli można przywołać demona w kotle, to można zrobić wszystko.

Uświadomiła sobie, o co pytał Błazen.

- Och... Pewnie gdzieś je usłyszałam.

- Nie przypuszczam. Nigdy go nie używam. Wiesz, przy księciu nie jest to wygodne imię. To przez mamę. Matki lubią dawać synom imiona królów. Dziadek zawsze powtarzał, że takie imię jest mi całkiem na nic i nie powinienem biegać...

Magrat kiwnęła głową. Okiem zawodowca rozglądała się po mrocznym tunelu.

Miejsce nie wyglądało obiecująco. Dębowe deski tkwiły tu od lat, odcięte od

zegara pór roku.

Z drugiej strony... Babcia mówiła kiedyś, że wszystkie drzewa są jednym drzewem czy coś w tym rodzaju. Magrat wydawało się, że rozumie, choć nie była całkiem pewna, co to oznacza. Na zewnątrz trwała wiosna. Duch życia, jaki pozostał w drewnie, musiał być tego świadom. A jeśli zapomniał, ktoś musiał mu powiedzieć.

Przycisnęła dłonie do drzwi i zamknęła oczy. Próbowала wyobrazić sobie przejście przez drewno, poza zamek, do cienkiej warstwy gleby na zboczach, do powietrza, do słońca...

Błazen widział tylko, że Magrat stoi nieruchomo. Potem włosy wolno stanęły jej sztorcem. Rozniósł się zapach gnijących liści.

I nagle, bez ostrzeżenia, ów młot, który potrafi miękki jak gąbka grzyb przebić przez sześć cali kamiennego chodnika albo pognać węgorza przez tysiące mil wrogiego oceanu do konkretnego górskiego stawu, uderzył poprzez Magrat w drzwi.

Odsunęła się oszołomiona, walcząc z gorączkowym pragnieniem, by zagłębić stopy w kamieniu i wypuścić liście. Błazen ją przytrzymał i wstrząs niemal go powalił.

Magrat wsparła się o lekko brzęczącą podporę. Tryumfowała. Udało jej się! I to bez żadnych dodatkowych pomocy! Gdyby tylko inne mogły to zobaczyć...

- Nie podchodź - ostrzegła Błazna. - Mam wrażenie, że dałam... dość dużo.

Błazen obejmował ramionami jej chude ciało i był zbyt wstrząśnięty, by wykrztusić choć słowo. Ale ktoś jednak odpowiedział.

- W samej rzeczy - przyznała Babcia Weatherwax, wynurzając się z mroku. - Sama nigdy bym na to nie wpadła. Magrat wytrzeszczyła na nią oczy.

- Byłaś tu cały czas?

- Tylko kilka minut. - Babcia zerknęła na drzwi. - Niezła technika - pochwaliła. - Ale to stare drewno. I było w ogniu, jak sędzę. Dużo w nim żelaznych gwoździ i takich tam. Nie sędzę, żeby to zadziałało. Ja spróbowałabym raczej z kamieniami, ale...

Przerwało jej ciche pacnięcie. Potem następne, a potem cała ich seria, jakby nagle spadł deszcz budynku.

Drzwi bardzo powoli wypuszczały liście.

Babcia przyglądała im się przez moment, po czym spojrzała w przestraszone oczy Magrat.

- Uciekamy! - krzyknęła.

Chwyciły Błazna i pobiegły ukryć się za dogodnym filarem.

Drzwi zatrzeszczały ostrzegawczo. Kilka desek wygięło się w roślinnej agonii; trysnął grad kamiennych odprysków, kiedy gwoździe, usunięte niby ciernie z rany, rykoszetowały na murach. Błazen schylił się, gdy zamek wirując przefrunął mu nad głową i roztrzaskał się o ścianę.

Dolne części desek wysunęły badawczo białe korzenie, sunące po mokrych kamieniach do najbliższej szczeliny, by się w nią zagłębić. Dziury po sękach nabrzmiały, strzeliły gałęziami, trafiły w kamienną futrynę i rozepchnęły ją na boki. A przez cały czas rozbrzmiewał niski huk, odgłos komórek drzewa, próbujących opanować pędzącą przez nie falę pierwotnego życia.

- Gdybym ja to robiła - rzekła Babcia Weatherwax, kiedy zapadł się fragment stropu korytarza - załatwiłabym to inaczej. Nie krytykuję cię - zastrzegła. - Całkiem rozsądne działanie. Myślę tylko, że może trochę przesadziłaś.

- Przepraszam - wtrącił Błazen.

- Nie radzę sobie z kamieniami - wyjaśniła Magrat.

- No cóż, kamienie wymagają wyrobionego smaku...

- Przepraszam - powtórzył Błazen.

Obie czarownice spojrzały na niego. Cofnął się.

- Czy nie powinniście kogoś ratować? - zapytał.

- Rzeczywiście - przyznała Babcia. - To prawda. Chodźmy, Magrat. Zobaczmy, w co ona się wplątała.

- Słyszałem krzyki - dodał Błazen, który wciąż miał wrażenie, że nie traktują sprawy z należytą powagą.

- Nic dziwnego - odparła Babcia. Odsunęła go na bok i przestąpiła nad korzeniem. - Gdyby mnie ktoś zamknął w lochu, na pewno byłoby krzyki.

W celi unosiły się chmury kurzu. W nikłym świetle jedynej żagwi Magrat niewyraźnie dostrzegła dwie postacie, kryjące się w najdalszym kątku. Większość mebli leżała poprzewracana na podłodze; nie wyglądały na ostatnie osiągnięcia w dziedzinie wygody. Niania Ogg siedziała spokojnie w czymś, co wyglądało na dyby.

- Nie spieszyłyście się - zauważyła. - Wyciągnijcie mnie z tego, dobrze? Kurcz mnie łapie.

Był również sztylet.

Wirował wolno pośrodku celi, połyskując, gdy ostrze odbijało światło.

- Mój własny sztylet! - wołał duch króla głosem, który tylko czarownice mogły usłyszeć. - Tyle czasu, a ja nic nie wiedziałem! Załatwili mnie moim własnym nożem!

Kołysząc sztyletem, postąpił o krok w stronę królewskiej pary. Cichy bełkot wyrwał się z warg księcia, zadowolony, że udało mu się wymknąć.

- Dobrze sobie radzi, prawda? - rzuciła Niania, kiedy Magrat pomagała jej się uwolnić.

- Czy to dawny król? Oni go widzą?

- Chyba nie.

Król Verence zachwiał się pod ciężarem. Był już za stary na zabawę w poltergeista. To dobre dla młodych.

- Niech tylko porządnie go złapię - mruczał. - A żeby to...

Sztylet wysliznął się z niematerialnego uchwytu, brzęknął o podłogę. Babcia Weatherwax podeszła szybko i postawiła na nim stopę.

- Martwi nie powinni zabijać żywych - oświadczyła. - Byłby to niebezpieczny jak mu tam... precedens. Przede wszystkim byłibyśmy w mniejszości.

Księżna pierwsza otrząsnęła się ze zgrozy. Widziała noże sunące w powietrzu i eksplodujące drzwi, a teraz te kobiety urągały jej w jej własnym lochu. Nie była pewna, jak powinna reagować na zjawiska nadprzyrodzone, ale miała dokładne wyobrażenie, co należy uczynić z trzecim punktem.

Usta księżnej otworzyły się niby brama czerwonego piekła.

- Straż! - wrzasnęła. Zauważyła Błazna, stojącego niepewnie przy drzwiach. - Błaznie! Wołaj straż!

- Są zajęci. A my już wychodzimy - powiedziała Babcia. - Które z was jest księciem?

Skulony w kucki Felmet wpatrywał się w nią przekrwionymi oczami. Wąski strumyk śliny ściekał mu z kącika ust. Książę zachichotał.

Babcia przyjrzała mu się dokładniej. Z głębi załzawionych oczu coś odpowiedziało jej wyzywającym spojrzeniem.

- Nie zamierzam dawać ci pretekstu - oznajmiła cichym głosem. - Ale byłoby dla ciebie lepiej, gdybyś opuścił kraj. Abdykował albo co.

- Na czyją korzyść? - spytała lodowatym tonem księżna. - Czarownicy?

- Nie - rzekł książę.

- Co powiedziałeś?

Książę wyprostował się, strzepnął z ubrania trochę kurzu i spojrzał na Babcie. Jądro chłodu w głębi jego oczu rozrosło się wyraźnie.

- Odmówiłem. Myślisz, że przestraszą mnie tanie kuglarskie sztuczki? Jestem

królem prawem zdobywcy i nie możesz tego zmienić. To chyba jasne, czarownico.

Zbliżył się.

Babcia obserwowała go uważnie. Nigdy jeszcze nie spotkała się z niczym podobnym. Ten człowiek był wyraźnie obłąkany, ale w sercu jego szaleństwa tkwiła przeraźliwa, zimna logika, jądro czystego międzygwiazdowego lodu pośrodku paleniska. Uważała go za słabeusza pod cienką skorupą siły, ale prawda była inna. Gdzieś w głębi jego umysłu, poza horyzontem zdarzeń racjonalności, samo ciśnienie obłędu wykuło jego szaleństwo w coś twardszego niż diament.

- Jeśli pokonasz mnie magią, wtedy magia będzie rządzić -oznajmił ksiązę. - A tego nie możesz zrobić. Każdy król koronowany z twoją pomocą znajdzie się w twojej władzy. Zawiedźmiony, można powiedzieć. Kto magią wojuje, od magii ginie. I magia cię zniszczy. Wiesz o tym. Cha, cha.

Babcia zacisnęła pięści, aż pobielały jej palce. Ksiązę podszedł bliżej.

- Możesz mnie zabić - rzekł. - Może nawet potrafisz znaleźć

kogoś na moje miejsce. Ale naprawdę musi być błaznem, gdyż będzie wiedział, że wciąż spogląda na niego twoje złe oko. I jeśli cię nie zadowoli, jego życie straci wartość. Możesz zaprzeczać, ale on będzie pamiętał, że władza za twoim przyzwoleniem. A wtedy nie będzie żadnym królem. Prawda?

Babcia odwróciła wzrok. Pozostałe czarownice cofnęły się, gotowe do uniku.

- Pytałem, czy to prawda?

- Tak - przyznała Babcia. - To prawda...

- Tak.

- ...ale jest ktoś, kto może cię pokonać.

- Dziecko? Niech wróci, kiedy dorośnie. Młodzieniec z mieczem, w pogoni za swoim przeznaczeniem. - Ksiązę parsknął. - Bardzo romantyczne. Ale mam wiele lat na przygotowania. Niech spróbuje.

Tuż obok pięść króla Verence'a przecięła powietrze i nie zdołała trafić.

Ksiązę pochylił się, aż jego nos znalazł się o cal od nosa Babci.

- Wracajcie do swoich kociołków, wiedźmy - szepnął.

Babcia Weatherwax kroczyła korytarzami zamku Lancre jak wielki rozłożyszony nietoperz; śmiech księcia odbijał się echem w jej głowie.

- Mogłaś zesać mu bąble albo co - stwierdziła Niania Ogg. - Hemoroidy są

niezłe. I dozwolone. Dalej by rządził, tyle że na stojąco. To zawsze dobry żart.

Babcia Weatherwax milczała. Gdyby wściekłość była ciepłem, jej kapelusz stanąłby w płomieniach.

- Co prawda byłby od tego jeszcze gorszy. - Niania biegła, żeby dotrzymać jej kroku. - To samo z bólem zębów. Zerknęła z ukosa na nieruchomą twarz Babci.

- Nie musisz się martwić - powiedziała. - Nic mi właściwie nie zrobili. Ale dziękuję.

- Nie martwię się o ciebie, Gytho Ogg - warknęła Babcia. - Przyszłam tylko dlatego, że Magrat się bała. Zawsze powtarzam, że jeśli czarownica sama nie potrafi o siebie zadbać, nie powinna nazywać siebie czarownicą.

- Sądziłam, że Magrat dobrze sobie poradziła z drzewem.

- Wyrabia się.

Babcia rozejrzała się czujnie po korytarzu i pochyliła do ucha Niani.

- Nie chciałam sprawiać mu satysfakcji - szepnęła - ale pobił nas.

- No nie wiem - odparła Niania. - Nasz Jason i kilku mocnych chłopców mogłoby...

- Widziałas jego strażników? Nie tacy jak dawniej. To twardzi ludzie.

- Mogłybyśmy trochę chłopcom pomóc...

- Nic z tego. Ludzie sami muszą rozwiązywać takie sprawy.

- Jeśli tak twierdzisz, Esme... - zgodziła się potulnie Niania.

- Twierdzę. Magia jest po to, żeby nią władać, nie żeby władała.

Niania kiwnęła głową. Po chwili przypomniała sobie obietnicę i z gruzu na podłodze podniosła nieduży kamień.

- Już myślałem, że zapomniałaś - odezwał się duch króla za jej uchem.

Kawałek dalej Błazen biegł w podskokach za Magrat.

- Mogę cię znowu zobaczyć? - zapytał.

- No... sama nie wiem - odparła Magrat, choć serce śpiewało jej z radości.

- Może dziś wieczorem?

- Och nie. Dziś wieczorem będę bardzo zajęta.

Zamierzała zwinąć się w łóżku z kubkiem gorącego mleka i notatkami Mateczki Whemper na temat astrologii doświadczalnej, ale instynkt podpowiadał jej, że każdy starający powinien pokonywać liczne trudności, by bardziej mu zależało.

- Więc jutro wieczorem? - nie ustępował Błazen.

- Jutro będę chyba myła włosy.

- Mogę mieć wolne w piątkową noc.
- Widzisz, nocami mamy wiele pracy...
- Zatem po południu.

Magrat zawahała się. Może instynkt się mylił?

- No... - powiedziała.
- Koło drugiej. Na łące przy stawie, dobrze?
- No...
- Więc do zobaczenia. Zgoda? - zapytał desperacko.

- Błaznie! - Głos księżnej odbił się echem w korytarzu, a po twarzy Błazna przemknął wyraz grozy.

- Muszę iść - szepnął. - Na łące, zgoda? Włożę coś takiego, żebyś mnie rozpoznała. Zgoda?

- Zgoda - powtórzyła Magrat, zahipnotyzowana mocą jego uporu. Potem odwróciła się i pobiegła za czarownicami.

Przed zamkiem rozgrywało się istne pandemonium. Tłum, który tkwił pod murami, kiedy przybyła Babcia, rozrósł się znacznie. Przez nie strzeżoną teraz bramę wlał się do wnętrza i uderzał falami o mury dziedzińca. Nieposłuszeństwo obywatelskie było w Lancre zjawiskiem nowym, ale mieszkańcy kraju opanowali już podstawowe zasady, jak na przykład potrząsanie w górze sierpami i grabiami, połączone z prostymi ruchami w górę i w dół, z towarzyszeniem groźnych min i okrzyków „Precz”. Tylko kilku, którzy nie całkiem pojęli, o co chodzi, wymachiwało flagami i wiwatowało. Zaawansowani adepci szukali już wzrokiem łatwopalnych budynków wewnątrz murów. Sprzedawcy ciastek i kielbasek w bułce pojawili się znikąd¹³ i handlowali żwawo. Już niedługo ktoś pewnie czymś rzuci.

Trzy czarownice stały u szczytu schodów prowadzących do głównej bramy twierdzy i obserwowały morze głów.

- Jest nasz Jason! - zawołała radośnie Niania Ogg. - I Wane, i Darron, i Kev, i Trev, i Nev...

- Zapamiętam ich twarze - zapewnił lord Felmet. Stanął im za plecami i objął przyjaźnie. - A widzicie moich łuczników na murach?

- Widzę - odparła ponuro Babcia.
- Więc uśmiechnij się i pomachaj. Żeby ludzie widzieli, że wszystko jest w

¹³ Zawsze się pojawiają. Wszędzie. Nikt nie widzi, skąd przybywają. Jedyne logiczne wyjaśnienie stwierdza, że ich wyposażenie składa się ze straganu, papierowej czapeczki i małej maszyny czasu z napędem gazowym.

najlepszym porządku.

Czyż bowiem nie odwiedziłaś mnie dzisiaj w sprawach państwowych?

Pochylił się Babci do ucha.

- Masz setki możliwości - szepnął. - Ale ich skutek zawsze będzie taki sam. - Odsunął się. - Nie jestem człowiekiem nierozsądnym - dodał uprzejmie. - Jeśli przekonacie ludzi, żeby zachowywali się spokojnie, może dam się przekonać i złagodzę nieco moje rządy. Oczywiście niczego nie obiecuję.

Babcia milczała.

- Uśmiech i machaj - rozkazał książę.

Babcia uniosła rękę i zademonstrowała krótki grymas, nie mający żadnego związku z humorem. Potem zmarszczyła brwi i szturchnęła Nianię Ogg, która machała i szczyrzyła zęby jak szalona.

- Nie musisz przesadzać - syknęła.

- Ale tam jest nasza Reet i Sharleen z dziećmi - wyjaśniła Niania. - Hej, hej!

- Cicho bądź, stara miotło - warknęła Babcia. - I opanuj się!

- Świetnie. Dobra robota - pochwalił książę. Również uniół ręce, a właściwie rękę. Druga wciąż go bolała. Wczoraj w nocy znowu spróbował tarki, ale bez rezultatu.

- Ludu Lancre! - zakrzyknął. - Nie lękajcie się! Jestem waszym przyjacielem. Będę was chronił przed czarownicami. Zgodziły się zostawić was w spokoju!

Babcia przyglądała mu się z ukosa. To jeden z tych maniaków depresyjnych, myślała. W górę i w dół, jak coś tam. W jednej chwili cię zabije, w następnej spyta, czy dobrze się czujesz.

Uświadomiła sobie, że Felmet spogląda na nią wyczekująco.

- Słucham?

- Powiedziałem: teraz proszę szanowną Babcię Weatherwax, by powiedziała kilka słów. Cha, cha.

- Tak powiedziałeś?

- Tak.

- Posunąłeś się o wiele za daleko.

- Posunąłem się, to prawda. - Książę zachichotał. Babcia zwróciła się do tłumu. Ludzie ucichli.

- Idźcie do domu - powiedziała. Nadal trwała cisza.

- To wszystko? - zapytał lord Felmet.

- Wszystko.
- A co z przysięgami wiecznej wierności?
- Co z nimi? Gytho, przestań tak wymachiwać!
- Przepraszam.
- A teraz my też musimy już iść - oznajmiła Babcia.
- Przecież tak miło nam się rozmawia - zaprotestował książę.
- Chodź, Gytho - rzuciła lodowato Babcia. - Gdzie się podziała Magrat?

Zawstydzona Magrat podniosła głowę. Pochłonęła ją rozmowa z Błaznem, choć była to taka rozmowa, gdzie obie strony wiele czasu poświęcają na przyglądanie się własnym butom i przecieranie paznokci. Dziewięćdziesiąt procent prawdziwej miłości to mocne, czerwieniące uszy zakłopotanie.

- Wychodzimy - oznajmiła Babcia.
- Pamiętaj, piątek po południu - szepnął Błazen.
- Jeśli zdołam - odparła Magrat.

Niania Ogg uśmiechnęła się domyślnie.

Babcia Weatherwax zbiegła po schodach i przecisnęła się przez tłum. Dwie pozostałe podążały za nią. Kilku roześmianych strażników pochwyciło jej wzrok i natychmiast tego pożałowało. Jednak tu i tam zabrzmiał ledwie skrywany pogardliwy śmieszek. Babcia przemknęła przez bramę, po zwodzonym moście i po ulicach miasta. Idąc szybko, mogła pokonać większość ludzi biegiem.

Za nimi książę roześmiał się głośno. Przekroczył ostatni maniakałny szczyt swojego szaleństwa i teraz zsuwał się szybko ku dnu rozpacz.

Babcia nie zatrzymywała się, dopóki nie minęła granic miasteczka. Pod przyjaznym liściastym stropem lasu zeszła z drogi i siadła ciężko na pniu. Ukryła twarz w dłoniach.

Dwie czarownice zbliżyły się do niej niespokojnie. Magrat poklepała ją delikatnie po ramieniu.

- Nie załamuj się - powiedziała. - Obie uważamy, że bardzo dobrze się zachowałaś.
- Nie załamuję się, tylko myślę - odparła Babcia. - Idźcie sobie.

Niania Ogg uniosła brwi i spojrzała na Magrat ostrzegawczo. Oddaliły się na bezpieczną odległość, choć przy obecnym nastroju Babci nawet sąsiedni wszechświat mógł się okazać zbyt bliski. Usiadły na omszałym glazie.

- Dobrze się czujesz? - spytała Magrat. - Nic ci nie zrobili, prawda?

- Nawet nie tknęli mnie palcem. - Niania pociągnęła nosem.

- To nie są prawdziwi władcy - dodała. - Stary król Gruneweld, na przykład, nie marnowałby czasu na wymachiwanie narzędziami i groźby. Od razu: łup, łup! Igły pod paznokcie i żadnego gadania. Żadnych złowrogich śmiechów. To był prawdziwy król. Bardzo łaskawy.

- Groził, że cię spali.

- Na to bym się nie zgodziła. Zauważyłam, że masz amanta.

- Słucham?

- Taki młody człowiek z dzwonkami - wyjaśniła Niania. -I twarzą kopniętego spaniela.

- Ach, ten. - Magrat zaczerwieniła się pod resztką makijażu.

- Wiesz, to taki sobie chłopak. Wszędzie za mną chodzi.

- To może być kłopotliwe, co?

- Poza tym jest taki mały... I ciągle podskakuje - dodała Magrat.

- Dobrze mu się przyjrzałaś? - spytała stara czarownica.

- Słucham?

- Nie. Tak myślałam. To bardzo mądry człowiek, ten Błazen. Powinien zostać jednym z tych... aktorów.

- Nie rozumiem.

- Następnym razem spójrz na niego jak czarownica, nie jak kobieta - poradziła Niania i porozumiewawczo szturchnęła Magrat pod żebro. - Dobra robota z tymi drzwiami - dodała. - Nieźle sobie radzisz, nie ma co. Mam nadzieję, że powiedziałaś mu o Greebo.

- Obiecał, że natychmiast go wypuści, Nianiu. Babcia Weatherwax prychnęła głośno.

- Słyszałyście śmieszki w tłumie? - zapytała. - Ktoś chichotał.

Niania Ogg usiadła obok niej.

- I paru wytykało nas palcami - powiedziała. - Wiem.

- Nie można tego tolerować.

Magrat przysiadła na drugim końcu pnia.

- Są inne czarownice - przypomniała. - Wiele czarownic mieszka w Ramtopach. Mogłyby pomóc.

Jej dwie koleżanki spojrzały po sobie z bolesnym zaskoczeniem.

- Nie sądzę, żebyśmy musiały posuwać tak daleko - mruknęła Babcia. - Prosić

o pomoc...

- Bardzo niedobra praktyka - przytaknęła Niania Ogg.
- Przecież poprosiłyście demona, żeby wam pomógł - przypomniała Magrat.
- Wcale nie - zaprzeczyła Babcia.
- Właśnie. Wcale nie.
- Rozkazałyśmy mu, żeby współpracował.
- Dokładnie.

Babcia Weatherwax wyciągnęła nogi i przyjrzała się swoim butom. To były dobre, mocne buty, nabijane gwoździami, z półksiężycowymi podkówkami. Trudno było uwierzyć, że szewc je uszył; ktoś raczej położył zelówkę i je zbudował.

- Wiecie, jest taka czarownica pod Skundem - oświadczyła. -Siostra Jakaś...jak jej było... Jej syn wyjechał i został marynarzem. No wiesz, Gytho, ta co pociąga nosem i kładzie pokrowce na oparciach foteli, jak tylko człowiek sobie usiadzie...

- Grodley - odpowiedziała Niania Ogg. - Wysuwa mały palec, kiedy pije herbatę, i ciągle upuszcza chusteczkę.

- Tak. Właśnie. Nie zniżyłam się do rozmowy z nią od czasu tej sprawy z szubienicą; pamiętasz. Myślę, że z rozkoszą przyjechałaby tutaj, niuchała wszędzie, zaglądała i wtykała palce. I tłumaczyła, co powinniśmy robić. A tak: pomagać. Ładnie byśmy wyglądały, gdybyśmy wszystkim chcieli pomagać.

- Tak jest. A pod Skundem drzewa rozmawiają z ludźmi i spacerują po nocach - poinformowała Niania. - Nie pytają nawet o pozwolenie. Fatalna organizacja.

- Nie tak świetna, jaką mamy tutaj? - spytała Magrat. Babcia wstała.

- Wracam do domu - oznajmiła.

Istnieją tysiące powodów, dla których magia nie rządzi światem. Nazywają się czarownice i magowie, myślała Magrat, wychodząc za starszymi koleżankami na drogę.

Był to zapewne wspaniały plan Natury, pozwalający jej się bronić. Dopilnowała, by każdy obdarzony talentem magicznym był tak skłonny do współpracy jak niedźwiedź z bólem zębów. W ten sposób groźna moc rozpraszała się w przypadkowych sprzeczkach i sporach. Oczywiście, istniały różnice stylu. Magowie mordowali się w wietrznych korytarzach, czarownice zwyczajnie wyrzynały się na ulicach. I wszyscy byli egocentryczni jak wirujący bąk. Nawet kiedy pomagają innym, rozmyślała Magrat, robią to przede wszystkim dla siebie. Szczerze mówiąc,

są jak duże dzieci.

Oprócz mnie, pomyślała z dumą.

- Jest bardzo zdenerwowana, prawda? - zwróciła się do Niani Ogg.

- No cóż, to poważny problem. Im bardziej przyzwyczajasz się do magii, tym bardziej chcesz z niej korzystać. I tym bardziej staje ci na drodze. Kiedy zaczynałaś, pewnie nauczyłaś się od Mateczki Whemper paru zaklęć i bez przerwy ich używałaś.

- No tak. Wszyscy tak robią.

- Ogólnie znany fakt - zgodziła się Niania. - Ale gdy lepiej opanujesz Sztukę, przekonasz się, że najtrudniejsza jest ta magia, z której w ogóle nie korzystasz.

Magrat rozważyła tę tezę.

- To żeń? - spytała.

- Nie wiem. Nigdy go nie widziałam.

- Kiedy byliśmy w lochach, Babcia wspominała, że mogłam spróbować z kamieniami. To chyba bardzo trudna magia.

- Wiesz, Mateczka nie bardzo interesowała się kamieniami. Ale to nie takie trudne. Trzeba poszturczać ich wspomnienia. No wiesz, z dawnych czasów, kiedy były gorące i płynne.

Przerwała nagle i gwałtownie sięgnęła do kieszeni. Chwyliła odłamek zamkowego kamienia i odetchnęła z ulgą.

- Już się bałam, że zapomniałam o nim. - Wyjęła kamień. - Możesz wyjść.

Był ledwie widoczny w jasnym blasku dnia: lekkie migotanie powietrza pod drzewami.

Król Verence zamrugął. Nie był przyzwyczajony do dziennego światła.

- Esme! - zawołała Niania. - Ktoś tu chciałby z tobą porozmawiać.

Babcia odwróciła się powoli i spod zmrużonych powiek spojrzała na ducha.

- Widziałam cię chyba w lochu... - stwierdziła. - Kim jesteś?

- Verence, król Lancre - oznajmił duch i skłonił się nisko. - Czy mam zaszczyt zwracać się do Babci Weatherwax, najczcigodniejszej z czarownic?

Wzmiankowano już, że choć Verence pochodził z długiej linii królów, nie był jednak zasadniczo głupi. W dodatku przez ponad rok nie poświęcał uwagi problemom ciała, co dokonało prawdziwych cudów. Babcia Weatherwax uważała się za osobę całkowicie odporną na pochlebstwa, lecz król fachowo aplikował jej równoważnik dziennej produkcji cechu piekarzy sporego państwa. Pokłon był szczególnie dobrym pociągnięciem.

Babci Weatherwax drgnął kącik ust. Skłoniła się sztywno w odpowiedzi, gdyż nie była całkiem pewna, jak ma reagować na określenie „najczcigodniejsza”.

- Ja nią jestem - przyznała. - Możesz wstać - dodała z królewską miną.

Król Verence pozostał na klęczkach, mniej więcej dwa cale ponad poziomem gruntu.

- Błagam o pomoc - rzekł.

- Zaraz... A jak się wydostałeś z zamku?

- Szacowna Niania Ogg zechciała mi dopomóc - wyjaśnił król. - Pomyślałem, że skoro jestem przykuty do kamieni Lancre, to mogę udać się tam, gdzie kamienie podążają. Obawiam się, że skorzystałem z pewnych nieuczciwych sztuczek, by ten cel osiągnąć. Obecnie kryję się pod jej fartuchem.

- Nie ty pierwszy - rzuciła odruchowo Babcia Weatherwax.

- Esme!

- I błagam cię, Babciu Weatherwax, byś przywróciła mojego syna na tron.

- Przywróciła?

- Wiesz, o co mi chodzi. Czy jest w dobrym zdrowiu?

Babcia kiwnęła głową.

- Kiedy ostatni raz Patrzyłyśmy, jadł właśnie jabłko.

- Jego przeznaczeniem jest, by został królem Lancre.

- No tak. Hm... Wiesz, przeznaczenie to ciężka sprawa.

- Zatem nie pomożesz? Babcia zrobiła zboląłą minę.

- To by było wtrącanie - stwierdziła. - A wtrącanie się do polityki zawsze źle się kończy. Kiedy raz człowiek zacznie, nie może przestać. To podstawowa zasada magii. Nie wolno tak sobie zadzierać z podstawowymi zasadami.

- Zatem nie pomożesz?

- No... Oczywiście, pewnego dnia, kiedy chłopiec podrośnie...

- Gdzie jest teraz? - zapytał nagle król. Czarownice unikały patrzenia sobie w oczy.

- Dopilnowałyśmy, żeby bezpiecznie opuścił kraj - wyjaśniła zakłopotana Babcia Weatherwax.

- Z dobrą rodziną - dodała szybko Niania Ogg.

- Jacy to ludzie? - chciał wiedzieć król. - Nie pospolitacy, mam nadzieję?

- Absolutnie - oznajmiła Babcia stanowczo, gdy przed oczami wyobraźni pojawił się jej Vitoller. - Wcale nie pospolici. Bardzo niepospolici. Hm.

Oczami szukała pomocy u Magrat.

- Byli Thespianami - oznajmiła z mocą Magrat. Jej głos emanował taką aprobatą, że król odruchowo pokiwał głową.

- Aha - powiedział. - To dobrze.

- Naprawdę? - szepnęła Niania. - Nie wyglądali na takich.

- Nie okazuj swojej ignorancji, Gytho Ogg - skarciła ją Babcia. Zwróciła się do ducha. - Przepraszam za to zajście, wasza wysokość. Ona zwyczajnie się popisuje. Nawet nie wie, gdzie leży Thespia.

- Gdziekolwiek leży, mam nadzieję, że potrafią wyszkolić młodego człowieka w sztuce wojny - rzekł Verence. - Znam Felmeta. Za dziesięć lat okopie się tutaj jak żaba w kamieniu.

Verence spojrzał kolejno na czarownice.

- Do jakiego królestwa powróci? Słyszałem, czym się ono staje już dzisiaj. Czy chcecie przez lata patrzeć, jak z wolna zmienia się w coś ponurego i zaniedbanego?

Duch króla rozpułynał się, lecz głos wisiał w powietrzu, delikatny jak zefir.

- Pamiętajcie, siostry- powiedział jeszcze. - Król i jego kraj to jedno.

I zniknął.

Kłopotliwą ciszę przerwała Magrat, wycierając nos.

- Jedno co? - spytała Niania Ogg.

- Musimy coś przedsięwziąć - oświadczyła Magrat zduszonym z emocji głosem. - Zasady czy nie zasady.

- To bardzo irytujące - stwierdziła cicho Babcia.

- Tak, ale co chcesz zrobić?

- Rozważyć te kwestie. Pomyśleć o wszystkim.

- Myślałaś już ponad rok.

- Jedno co? To jedno co? - dopytywała się Niania.

- Nie wystarczy tylko reagować - orzekła Babcia Weatherwax. - Należy...

Od strony Lancre na drodze pojawił się wóz. Turkotał i podskakiwał.

- ...starannie rozważyć wszystkie możliwości.

- Po prostu nie wiesz, co robić, prawda? - zgadła Magrat.

- Bzdura. Ja...

- Nadjeżdża wóz, Babciu.

Babcia Weatherwax wzruszyła ramionami.

- Wy, młodzi, nie zdajecie sobie sprawy z jednego... - zaczęła.

Czarownice nigdy nie przejmowały się bezpieczeństwem na drodze. Ruch, jaki występował na szlakach wokół Lancre, albo je omijał, albo - gdy było to niemożliwe - czekał, aż zjedą z drogi. Babcia Weatherwax od dzieciństwa uznawała to za prawo natury. Nie zginęła odkrywając, że tak nie jest, jedynie dzięki refleksowi Magrat, która ściągnęła ją do rowu.

Był to bardzo interesujący rów. Mieszkały w nim ruchliwe, podobne do korkociągów stworzenia, będące bezpośrednimi potomkami istot żyjących w pierwotnej zupie Stworzenia. Ktokolwiek sądził, że woda jest nieciekawa, mógł spędzić w tym rowie pouczające pół godziny z silnym mikroskopem. Rów miał też w sobie pokrzywy, a teraz również Babcię Weatherwax.

Nieprzytomna z wściekłości przedarła się przez zielsko i wynurzyła z rowu niczym Wenus Anadyomene, tyle że starsza i pokryta rzęsą wodną.

- T-t-t... - powiedziała, wskazując drżącym palcem oddalający się wóz.

- To był młody Neshley spod Inkcap - wyjaśniła Niania Ogg z pobliskiego krzaka. - Jego rodzina zawsze była trochę zwariowana. Nic dziwnego, matka była z Whipple'ów.

- Najechał na nas!

- Mogłaś zejść mu z drogi - zauważyła Magrat.

- Zejść mu z drogi?! - oburzyła się Babcia. - Jesteśmy czarownicami! To nam ludzie schodzą z drogi! - Wygramoliła się na drogę, wciąż wskazując palcem daleki wóz. - Na Hokiego, pożałuje, że się urodził...

- Był sporym dzieckiem, o ile pamiętam - wtrącił krzak. - Jego matka strasznie się męczyła przy porodzie.

- Nigdy jeszcze niczego takiego nie przeżyłam. Nigdy - oznajmiła Babcia, drżąc niby cięciwa łuku. - Ja go nauczę najeżdzać na nas, jakbyśmy... jakbyśmy... jakbyśmy byli zwyczajnymi ludźmi!

- On już to umie - stwierdziła Magrat. - Pomóż mi wyciągnąć Nianię z tego krzaka, dobrze?

- Zamienię go...

- Ludzie nie mają już szacunku i tyle - burczała Niania, gdy Magrat pomagała jej wyrwać się z cierni. - Wszystko to z powodu króla, który jest jednym. Ot co.

- Jesteśmy czarownicami! - wrzasnęła Babcia, wygrażając pięścią niebiosom.

- Tak, tak - zgodziła się Magrat. - Harmoniczna równowaga wszechświata i wszystkiego. Wydaje mi się, że Niania jest trochę zmęczona.

- Goja robiłam przez cały czas? - spytała Babcia retorycznie z gestem, który nawet Vitollera przyprawiłby o spazm zazdrości.

- Niewiele - przyznała Magrat.

- Śmieją się ze mnie! Śmieją się! Na moich własnych drogach! W moim własnym kraju! - krzyczała Babcia. - Dość tego!

Nie zniosę kolejnych dziesięciu takich lat! Nie zniosę nawet jednego dnia!

Drzewa wokół zakołysały się; kurz z drogi wzniósł się wirującymi kształtami, próbującymi odsunąć się od niej jak najdalej. Babcia Weatherwax wyciągnęła długie ramię, na jego końcu wyprostowała jeden długi palec, a na jego czubku z zakrzywionego paznokcia strzeliła nagle iskra oktarynowego ognia.

Pół mili dalej cztery koła wozu odpadły równocześnie.

- Zadzierasz z czarownicą, tak?!! - wrzasnęła Babcia do drzew. Niania wstała z wysiłkiem.

- Lepiej ją łapmy - szepnęła do Magrat.

Obie skoczyły na Babcie i przycisnęły jej ręce do tułowia.

- Ja mu pokażę, co potrafi czarownica! - krzyczała.

- Tak, tak, dobrze, bardzo dobrze - uspokajała ją Niania. - Ale może nie w tej chwili i nie w ten sposób, co?

- Wiedźmy, tak?!! - wrzeszczała Babcia. - Ja mu...

- Przytrzymaj ją, Magrat - poleciła Niania Ogg i podwinęła rękaw. - Takie rzeczy zdarzają się najlepiej wyszkolonym - wyjaśniła i z zamachu wymierzyła Babci policzek, który obie je oderwał od ziemi. Taką groźną, finałową nutą mógłby się skończyć wszechświat.

Przerywając chwilę ciszy, jaka nastąpiła zaraz potem, Babcia Weatherwax powiedziała:

- Dziękuję.

Z demonstracyjną godnością obciągnęła suknię i dodała:

- Mówiłam poważnie. Spotkamy się dzisiaj przy głazie i uczynimy to, co konieczne. Tak.

Poprawiła spinki w kapeluszu i niezbyt pewnym krokiem ruszyła w stronę domu.

- A co z zasadą niewtrącania się do polityki? - spytała Magrat, wpatrzona w plecy Babci.

Niania Ogg masowała obolałe palce.

- Na Hokiego, ta kobieta ma szczękę jak kowadło - mruknęła. - Co mówiłaś?
- Pytałam, co z zasadą niewtrącania się do polityki.
- Aha. - Niania ujęła dziewczynę pod rękę. - Rzecz w tym - tłumaczyła - że kiedy lepiej opanujesz Sztukę, przekonasz się, że jest też inna zasada. Esme przestrzegała jej przez całe życie.
- Jak ona brzmi?
- Kiedy łamiesz zasady, łam je mocno i na dobre. - Niania Ogg wyszczerzyła dziąsła, groźniejsze jeszcze od zębów.

Książę uśmiechnął się ponad lasem. - To działa - stwierdził. - Ludzie burzą się przeciw czarownicom. Jak ty to robisz, Błaźnie?

- Żarty, wujaszku. I plotki. Ludzie są i tak prawie gotowi, żeby uwierzyć. Wszyscy szanują czarownice. Rzecz w tym, że nikt ich specjalnie nie lubi.

Piątek po południu, pomyślał. Muszę zdobyć jakieś kwiaty. I mój najlepszy kostium, ten ze srebrnymi dzwoneczkami. O rety.

- To nas cieszy. Sprawuj się tak dalej, Błaźnie, a pasuję cię na rycerza.

To był dowcip numer 302 i Błażen wiedział, że nie należy pozostawiać otwarcia bez pointy.

- Radujmy się, wujaszku - powiedział znużonym głosem, nie zważając na grymas bólu, jaki pojawił się na obliczu księcia. - Mimo że pasowanie (bicie pasem) nie jest powodem do uciechy. Ale choć wielu rycerzy jest błażnami, czy koniecznie...

- Tak, tak, dobrze - przerwał mu lord Felmet.

Czuł się dzisiaj o wiele lepiej. Dostał wieczorem nie przesoloną owsiankę, a zamek sprawiał wrażenie przyzwyczajenia pustego, bez żadnych głosów na granicy słyszalności.

Usiadł na tronie. Po raz pierwszy wydał mu się całkiem wygodny.

Księżna zajęła miejsce u jego boku. Oparła brodę na rękę i w skupieniu obserwowała Błażna. Trochę go to niepokoiło. Z księciem wiedział, na czym stoi: musiał tylko przeczekać, aż oblęd znowu wyniesie władcę na poziom uprzejmości. Za to księżna budziła w nim prawdziwe przerażenie.

- Okazuje się, że słowa są niezwykle potężne - powiedziała.

- W samej rzeczy, pani.

- Musiałeś długo studiować.

Błazen przytaknął. Potęga słów pozwoliła mu przetrwać piekło Gildii. Magowie i czarownice używali słów jak narzędzi, żeby osiągnąć swoje cele, ale według Błazna słowa były celem samym w sobie.

- Słowa potrafią zmienić świat - oświadczył. Zmrużyła oczy.

- Już to mówiłeś. Nadal nie jestem przekonana. Silni ludzie zmieniają świat. Silni ludzie i ich czyny. Słowa są jak marcepan na torcie. Naturalnie, ty wierzysz, że słowa są ważne. Jesteś słaby i nie masz nic innego.

- Wasza wysokość się myli.

Tłuste palce księżnej zabębniły po poręczy tronu.

- Byłoby dla ciebie lepiej, gdybyś potrafił uzasadnić tę opinię - rzekła.

- Pani, księżę zamierza wyciąć lasy, czyż nie?

- Drzewa gadają o mnie - szepnął lord Felmet. - Słyszę, jak mruczą do siebie, kiedy wyruszam na przejażdżkę. Powtarzają kłamstwa na mój temat.

Księżna i Błazen porozumieli się wzrokiem.

- Jednakże - podjął Błazen - plan ten spotkał się z fanatyczną opozycją.

- Co?

- Ludziom się to nie podoba. Księżna nie wytrzymała.

- Co nas to obchodzi?! - ryknęła. - My tu rządzymy! Zrobiamy, co im każemy, albo zostaną bezlitośnie straceni!

Błazen zatańczył, podskoczył i uspokajająco uniósł dłonie.

- Ależ najdroższa, skończą nam się poddani - mruknął księżę.

- Nie trzeba, nie trzeba - tłumaczył z desperacją Błazen. - To wcale nie jest konieczne. Należy tylko... - Przerwał na moment, bezgłośnie i szybko poruszając wargami. - Należy wprowadzić w życie dalekosiężny i ambitny plan rozwoju rolnictwa, zapewnienia dodatkowych miejsc pracy w tartakach, uzyskania terenów pod zabudowę oraz walki z bandytyzmem.

Tym razem to księżę był zdumiony.

- I jak mam tego dokonać?

- Wyciąć drzewa.

- Przecież mówiłeś...

- Siedź cicho, Leonalu - przerwała mu księżna. Skierowała na Błazna kolejne długie, pełne zadumy spojrzenie. - A jak - podjęła w końcu - należy zabrać się do burzenia domów tych, których się nie lubi?

- Rozwój budownictwa miejskiego - odparł Błazen.

- Myślałam, żeby je spalić.

- Higieniczny rozwój budownictwa miejskiego.

- I posypać ziemię solą.

- Radujmy się... Sądzę, że to higieniczny rozwój budownictwa miejskiego połączony z programem ochrony środowiska. Niezłym pomysłem byłoby posadzenie tam paru drzew.

- Żadnych drzew! - krzyknął Felmet.

- To drobiazg. I tak nie przeżyją. Najważniejsze, żeby je posadzić.

- Ale chciałabym też podnieść podatki - oznajmiła księżna.

- No cóż, wujaszku...

- Nie jestem twoim wujaszkiem.

- Ciotuniu?

- Nie.

- Zatem... łaskawco... musisz przecież sfinansować swój ambitny program rozwoju państwa.

- Słucham? - wtrącił ksiązę, który znowu nie zrozumiał.

- Chodzi mu o to, że wycinanie drzew kosztuje - wyjaśniła księżna.

Uśmiechnęła się do Błazna. Po raz pierwszy spojrzała na niego, jakby był czymś innym niż obrzydliwym małym karaluchem. W jej wzroku nadal był spory element karalucha, lecz teraz wzrok ów stwierdzał raczej: dobry karaluch, nauczyl się służyć.

- Interesujące - mruknęła. - A czy słowa mogą zmienić przeszłość?

Błazen zastanowił się.

- Chyba nawet łatwiej - uznał. - Przeszłość jest przecież tym, co ludzie pamiętają, a wspomnienia to tylko słowa. Kto wie, jak zachowywał się król tysiąc lat temu? Są tylko wspomnienia i opowieści. I sztuki, naturalnie.

- A tak. Widziałem kiedyś sztukę - przypomniał sobie Felmet.

- Dużo zabawnych ludzi w raj tuzach. Dużo krzyków. Widzom się podobało.

- Twierdzisz, że historia jest tym, co opowiada się ludziom? Błazen rozejrzał się po sali tronowej i odnalazł króla Gruneberry'ego Dobrego (906-967).

- Był dobry? - spytał wskazując palcem. - Kto to wie dzisiaj? A w czym był dobry? Ale do końca świata pozostanie Gruneberryem Dobrym.

Ksiązę pochylił się na tronie. Oczy mu błysnęły.

- Chcę być dobrym władcą - oznajmił. - Chcę, żeby ludzie mnie lubili. I żeby

dobrze mnie wspominali.

- Załóżmy - przerwała księżna - że są inne kwestie, podlegające kontrowersji. Kwestie prawdy historycznej, która... jest zamglona.

- Nie zrobiłem tego - zapewnił pospiesznie książę. - On się pośliznął i upadł. I tyle. Mnie tam nawet nie było. Zaatakował mnie. To była samoobrona. I tyle. Pośliznął się i upadł w samoobronie. - Głos opadł do szeptu. -W tej chwili nie przypominam sobie szczegółów tej sprawy.

Felmet potarł swoją prawą dłoń, którą już chyba nie mógłby chwycić sztyletu.

- Uspokój się, mężu - rzuciła księżna. - Wiem, że tego nie zrobiłeś. Z pewnością pamiętasz, że nie było mnie tam razem z tobą. To właśnie ja nie podałam ci sztyletu.

Książę zadrżał.

- Do rzeczy, Błaźnie - rzekła lady Felmet. - Mówiłam właśnie, że być może, pewne sprawy winny zostać właściwie opisane.

- Łaskawco... To, że nie było cię tam w owej chwili? - spytał wesoło Błażen.

To prawda, że słowa są potężne. Jedną z ich umiejętności to zdolność wymykania się z ust, zanim mówiący zdąży je powstrzymać. Gdyby słowa były małymi owieczkami, Błażen by patrzył, jak skaczą beztrąsko pod miotacz ognia wzroku księżnej.

- Gdzie nie było? - spytała.

- Nigdzie - zapewnił pospiesznie Błażen.

- Durniu! Każdy gdzieś jest.

- Chciałem powiedzieć, że byłaś, pani, wszędzie oprócz szczytu schodów.

- Których schodów?

- Żadnych. - Błażen zaczynał się pocić. - Wyraźnie pamiętam, że cię tam, pani, nie widziałem. Księżna przyjrzała mu się groźnie.

- Żebyś tylko nie zapomniał - ostrzegła.

Potarła dłonią podbródek. Rezultatem był odgłos drapania.

- Rzeczywistość to tylko słowa, powiadasz. A zatem słowa to rzeczywistość. Ale jak słowa mogą stać się historią?

- To była bardzo dobra sztuka. Ta, którą widziałem - szepnął rozmarzony Felmet. - Były walki, ale nikt naprawdę nie zginął. I parę mów, bardzo dobrych moim zdaniem.

Od strony księżnej znów zabrzmiał dźwięk papieru ściernego.

- Błaźnie - odezwała się.
- Pani?
- Umiałbyś napisać sztukę? Sztukę, która obiegnie cały świat, która będzie pamiętana, kiedy plotki już dawno umilkną?
- Nie, pani. Potrzebny jest szczególny talent.
- Ale potrafiłbyś znaleźć kogoś, kto go posiada?
- Są tacy ludzie, pani.
- Znajdź jednego - szepnął książę. - Najlepszego. Znajdź najlepszego. Prawda wyjdzie na jaw. Znajdź go.

Burza odpoczywała, chociaż nie miała na to ochoty. Przez dwa tygodnie studiowała słynny antycyklon nad Okrągłym Morzem, zjawiała się codziennie i kręciła przy chłodnym froncie, wdzięczna za każdą okazję wyrwania drzewa albo przeniesienia w trąbie powietrznej jakiegoś domku do dowolnego osiągalnego szmaragdowego grodu. Ale wielkie załamanie pogody nie nadeszło.

Pocieszała się myślą, że nawet słynne burze przeszłości - na przykład Wielki Szkwał z roku 1789 albo huragan Zelda i jej Zdumiewające Spadające Żaby - na pewnym etapie kariery doznawały podobnych trudności.

Poza tym miała niezłe występy w stylu pantomimy na równinach, przynosząc milionom wczesny śnieg i odmrożenia. Dość filozoficznie traktowała konieczność powrotu w te okolice, gdzie nie miała do roboty nic poza kołysaniem wrzosów. Gdyby pogoda była ludźmi, ta burza spędzałaby czas w papierowej czapeczce za ladą hamburgerowego piekła.

Aktualnie obserwowała trzy postacie, sunące wolno przez wrzosowiska, z determinacją zdążające ku nagiemu spłachetkowi ziemi, gdzie stał głaz. To znaczy zwykle stał, choć w tej chwili nie był widoczny.

Burza rozpoznała w tych postaciach przyjaciół i koneserów, powitała je więc krótkim gromem. Został on całkowicie zignorowany.

- Te przekłete kamienie zniknęły - oznajmiła Babcia Weatherwax. - Wszystkie, ile ich tu było.

Twarz miała bladą. Gdyby ją portretował malarz, byłby z pewnością neurotykiem. Wyglądała niezwykle rzeczowo. I chodziło raczej o złe rzeczy.

- Rozpal ogień, Magrat - rzuciła odruchowo.

- Wszystkim nam dobrze robi filiżanka herbaty - stwierdziła Niania Ogg, mamrocząc to zdanie jak mantrę. Sięgnęła w głębiny swego płaszcza. - Z odrobiną czegoś na rozgrzewkę - dodała, wyjmując niewielką butelkę jabłeczniaka.

- Alkohol jest oszustem i plami duszę - oznajmiła bohaterko Magrat.

- Nigdy go nie ruszam - zapewniła Babcia Weatherwax. - Musimy zachować czyste umysły, Gytho.

- Kropelka do herbaty to żadne picie - zapewniła Niania. - To lekarstwo. Zimny tu wiatr, siostry.

Wypiły w milczeniu. Po chwili odezwała się Babcia.

- Wiesz co, Magrat? Najlepiej się znasz na sabatach. Równie dobrze możemy to załatwić jak należy. Co dalej?

Magrat zawahała się. Raczej nie ośmieli się zaproponować tańca nago.

- Jest pieśń - powiedziała. - W hołdzie księżycowi w pełni.

- Nie jest w pełni - zauważyła Babcia. - On... ten... jak mu... pęcznieje.

- Przybiera - podpowiedziała usłużnie Niania.

- Myślę, że to w hołdzie księżyców w pełni ogólnie - zaryzykowała Magrat. - A potem musimy wznieść naszą świadomość. Obawiam się, że księżyc w pełni jest jednak niezbędny. Księżyce w ogóle są bardzo ważne.

Babcia przyjrzała jej się z uwagą.

- To jest to nowoczesne czarownictwo? - spytała.

- Między innymi, Babciu. Jest tego o wiele więcej. Babcia Weatherwax westchnęła.

- Każdej wedle gustu, jak sędzę. Ale niech mnie rozerwie, jeśli pozwolę tej błyszczącej kuli z kamienia mówić mi, co mam robić.

- Jasne. Do licha z tym wszystkim - zgodziła się Niania. - Rzućmy na kogoś urok.

Błazen sunął ostrożnie przez ciemne korytarze. Nie miał ochoty ryzykować. Magrat dość obrazowo opowiedziała mu o zwykłym nastroju Greeba, pożyczył więc z zamkowego składu dziedzicznych kolczug parę rękawic i coś w rodzaju metalowego kaptura.

Dotarł do komnaty, ostrożnie odsunął rygiel, pchnął drzwi i odskoczył pod ścianę.

Korytarz pociemniał trochę, gdy bardziej intensywna ciemność w komnacie rozlała się i zmieszała z jaśniejszą ciemnością na zewnątrz. Poza tym nic. Liczba wypadających przez drzwi prychających, rozwścieczonych kuł morderczego futra wynosiła zero. Błazen odetchnął z ulgą i wśliznął się do wnętrza.

Greebo spadł mu na głowę.

Miał za sobą długi dzień. Pokój nie oferował takich radości życia, jakich Greebo nauczył się oczekiwać i wymagać. Jedyną ciekawostką, odkrytą przed południem, okazała się kolonia myszy. Całe ich generacje przegryzały się przez bezcenny gobelin przedstawiający historię Lancre. Dotarły już do króla Murune (709-745), którego spotkał tragiczny los¹⁴, kiedy je spotkał także.

Greebo naostrzył sobie pazury o popiersie jedyne w Lancre panującego wampira, królowej Grimnir Palowniczk (1514-1553, 1553-1557, 1557-1562, 1562-1567 i 1568-1573). Dokonał porannych ablucji na portrecie nieznanego władcy, który zaczynał się już rozpuszczać. A teraz był znudzony i w dodatku zły.

Przejechał pazurami tam, gdzie powinny się znajdować uszy Błazna, ale nagrodą był jedynie metaliczny zgrzyt.

- Kto jest dobrym kiciuniem? - zapytał Błazen. - Mru mru mru mru mrr.

To zaintrygowało Greeba. Oprócz Niani Ogg nikt tak do niego nie mówił. Wszyscy inni nazywali go „Auuwynochastądwrednydraniu!” Pochylił się więc ostrożnie, zaciekawiony nowym zjawiskiem.

Z punktu widzenia Błazna, odwrócony koci pysk spłynął wolno z góry. Miał wyraz złowrogiego zaciekawienia.

- Kicia cię do domciu? - rzucił z nadzieją Błazen. - Kicia patsi: dźwiciunie są otwarte.

Greebo zacisnął chwyt. Znalazł przyjaciela.

Błazen bardzo ostrożnie wrzucił ramionami, odwrócił się i ruszył z powrotem. Przeszedł przez główny hol, na dziedziniec, obok wartowni i przez bramę, skinąwszy głową - delikatnie - strażnikom.

- Przeszedł tu jakiś człowiek z kotem na głowie - zauważył jeden z nich po minucie czy dwóch namysłu.

- Widziałeś, kto to był?

- Chyba Błazen.

¹⁴ Ów los wiązał się z rozpalonym do czerwoności pogrzebaczem, wygodką, dziesięcioma funtami żywych węgorzy, trzymilowym pasem zamrażającej rzeki, butelką wina, parą tulipanowych cebulek, licznymi trującymi kropkami do uszu,

Znowu zapadła cisza. Drugi strażnik poprawił halabardę.

- Paskudna robota - stwierdził. - Ale pewnie ktoś musi się tym zajmować.

- Nie będziemy rzucać żadnych uroków. To prawie nigdy nie wychodzi, kiedy nie wiemy, że je rzuciłaś.

- Poślemy mu podobną do niego lalkę z powbijanymi szpilkami.

- Nie, Gytho.

- Musimy tylko zdobyć jego paznokcie - upierała się Niania.

- Nie.

- Albo jego włosy albo cokolwiek. Szpilki już mam.

- Nie!

- Rzucanie uroków i klątwy są moralnie naganne i fatalnie oddziałują na karmę - oznajmiła Magrat.

- A ja i tak go przeklnę - postanowiła Niania. - Po cichutku. Mogła mnie tam śmierć spotkać w tym lochu.

- Nie będziemy go przeklinać. Zastąpimy go. Co zrobiłaś ze starym królem?

- Zostawiłam kamień na stole w kuchni. Nie mogłam już tego wytrzymać.

- Nie rozumiem dlaczego - zdziwiła się Magrat. - Był bardzo miły... jak na ducha.

- Do niego nic nie mam. Chodzi o innych.

- Innych?

- „Proszę cię, wynieś kamień z zamku, dobra mateczko, żebym mógł go nawiedzać”, mówił - wyjaśniła Niania Ogg. - „Piekielnie tu nudno, pani Ogg, wybaczcie wulgarne słowo”. I wyniosłam, oczywiście. Podejrzewam, że inni podsłuchiwali. Hej ho, pomyśleli, wszyscy na pokład, pora na krótkie wakacje. Nie mam nic przeciwko duchom, zwłaszcza duchom z królewskiej krwi - zastrzegła lojalnie. - Ale mój domek to nie dla nich miejsce. Rozumiecie, w pralni jakaś kobieta w rydwanie wrzeszczy jak najęta. I co? W spiżarni para małych dzieciaków. I ludzie bez głów w całym domu. Ktoś jęczy pod zlewem, a jeszcze taki mały włochoaty wędruje dookoła i wygląda na zagubionego. Tak być nie powinno.

- Najważniejsze, że nie ma go tutaj - stwierdziła Babcia. - Nie chcemy tu żadnych mężczyzn.

- To duch, nie mężczyzna - zauważyła Magrat.
- Nie musimy wchodzić w szczegóły - odparła lodowato Babcia.
- Ale nie możesz starego króla posadzić z powrotem na tronie. Duchy nie mogą rządzić. Nie mógłby przecież nosić korony. Przeleciałaby przez niego.
- Zastąpimy księcia królewskim synem. To właściwa sukcesja.
- Och, przecież już o tym mówiliśmy - rzuciła lekceważąco Niania. - Za jakieś piętnaście lat, może... Ale...
- Dzisiaj - rzekła Babcia.
- Dziecko na tronie? Nie przetrwa nawet piętnastu minut.
- Nie dziecko. Dorosły mężczyzna. Pamiętasz Aliss Demurrage?

Przez chwilę trwała cisza. Potem Niania Ogg usiadła ciężko.

- Niech mnie piekło... - szepnęła. - Nie chcesz chyba tego próbować?
- Właśnie taki mam zamiar.
- Niech mnie piekło - powtórzyła cicho Niania. - Zastanowiłaś się?
- Tak.
- Posłuchaj, Esme. Wiesz sama, że Czarna Aliss była jedną z najlepszych. Znaczą się, ty też jesteś świetna w tym, no, w głowo-logii, w myśleniu i w ogóle. Ale Czarna Aliss, wiesz, ona zwyczajnie brała i robiła swoje.
- Chcesz powiedzieć, że nie potrafię, tak?
- Przepraszam bardzo - wtrąciła Magrat.
- Nie. Nie. Oczywiście, że nie. - Niania nie zwróciła na nią uwagi.
- I dobrze.
- Tylko... ona była, no wiesz, najczciwniejszą z czarownic, jak mówił król.
- Najczcigodniejszą - poprawiła Babcia, która sprawdziła to słowo. - Nie najczciwniejszą.
- Przepraszam! - powtórzyła Magrat, tym razem głośniejszym głosem. - Kto to była Czarna Aliss? I - dodała szybko - żadnych znaczących spojrzeń i gadania tak, żebym nie zrozumiała. W tym sabacie uczestniczą trzy czarownice. Pamiętajcie o tym.
- Żyła długo przed tobą - wyjaśniła Niania Ogg. - Właściwie nawet przede mną. Mieszkała pod Skundem. Bardzo potężna czarownica.
- Jeśli wierzyć plotkom - dodała Babcia Weatherwax.
- Kiedyś zmieniła dynię w królewską karocę - oświadczyła Niania.
- Na pokaz. Komu to pomoże, jeśli zjawi się na balu pachnąc jak ciasto z dyni?

A ta sprawa ze szklanym pantofelkiem... niebezpieczna moim zdaniem.

- Ale największe jej dokonanie - ciągnęła Niania, nie zważając na słowa Babci - to uśpienie całego pałacu na pełne sto lat, dopóki... - Zawahała się. - Nie mogę sobie przypomnieć. Chodziło o krzewy róż, a może coś z kołowrotkiem? Zdaje się, że jakaś księżniczka miała ukłuć... Nie, to książę. Właśnie.

- Ukłuć księcia? - zaniepokoiła się Magrat.

- Nie. On miał ją pocałować. Bardzo romantyczna była ta Czarna Aliss. W jej zaklęciach zawsze tkwiła odrobina romansu. Najbardziej lubiła Dziewczę spotykające Żabę.

- Dlaczego nazywali ją Czarną Aliss?

- Przez paznokcie - wyjaśniła Babcia.

- I zęby - dodała Niania Ogg. - Aliss uwielbiała słodczy. Mieszkała w prawdziwej chatce z piernika. W końcu dwójka dzieciaków wepchnęła ją do pieca. Szokujące.

- I zamierzasz uśpić cały zamek? - spytała Magrat.

- Ona nigdy nie uśpiła zamku. To tylko bajki starych bab. -Babcia spojrzała znacząco na Nianię. - Po prostu zakołysała trochę czas. To nie takie trudne, jak się wydaje. Wszyscy to robią. Czas jest jak guma. Można go naciągnąć, jak komu wygodnie.

Magrat już chciała powiedzieć, że to nieprawda, że czas jest czasem, każda sekunda trwa dokładnie sekundę, to przecież jej obowiązek...

Ale zaraz przypomniała sobie tygodnie, które przemknęły w mgnieniu oka, i popołudnia trwające całą wieczność. Minuty ciągnące się godzinami i godziny, które minęły tak szybko, że nawet tego nie zauważyła.

- To tylko odczucie - powiedziała. - Prawda?

- O tak. Oczywiście. Jak wszystko. A jaka to różnica?

- Sto lat to byłaby jednak przesada - zauważyła Niania.

- Myślę, że piętnaście to ładna, okrągła liczba - uznała Babcia. - Pod koniec chłopak będzie miał prawie osiemnaście. Rzucimy zaklęcie, pojedziemy po niego, on zmanifestuje swoje przeznaczenie i wszystko skończy się dobrze i miło.

Magrat powstrzymała się od komentarza. Przyszło jej bowiem do głowy, że przeznaczenia wydają się łatwe, kiedy się o nich rozmawia. Jednak trudno na nich polegać, kiedy w grę wchodzi żywi ludzie. Ale Niania Ogg pochyliła się i dołączyła jej do herbaty kolejną solidną porcją jabłkowej brandy.

- Mogłoby się udać - powiedziała. - Trochę spokoju i ciszy przez piętnaście lat.

O ile przypominam sobie zaklęcie, musisz przelecieć dookoła zamku, zanim zapieje kur.

- Nie o tym myślałam - wyznała Babcia. - To by się nie zgadzało. Felmet ciągle byłby królem i państwo by chorowało. Nie. Chciałam raczej przesunąć całe królestwo.

Uśmiechnęła się promiennie.

- Całe Lancre? - upewniła się Niania.

- Tak.

- Piętnaście lat w przyszłość?

- Tak.

Niania zerknęła na miotłę Babci. Była solidnie wykonana i trwała, jeśli nie liczyć drobnych kłopotów z rozruchem, ale wszystko ma swoje granice.

- To ci się nie uda - uznała Niania. - Nie na tym... Dookoła całego królestwa? To aż po Proszkonóż i w dół do Wywrotki Drumlina. Nie zdołasz wziąć ze sobą takiego zapasu magii.

- Pomyślałam o tym - odparła Babcia.

Znów uśmiechnęła się promiennie. Był to przerażający widok.

Wyjawiła im swój plan. Był straszny.

W minutę później wrzosowisko było już puste. Czarownice ruszyły do swoich zadań. Przez chwilę panowała cisza, przerywana tylko piskami nietoperzy i z rzadka szelestem wiatru we wrzosach.

Potem z pobliskiej błotnistej kałuży rozległ się bulgot. Bardzo powoli, oblepiony mchem głaz wynurzył się na powierzchnię i z głęboką nieufnością spenetrował widnokrąg.

Greebo świetnie się bawił. Z początku myślał, że jego nowy przyjaciel zabiera go do domku Magrat, ale z jakiegoś powodu zboczyli w ciemnościach ze ścieżki i ruszyli na spacer po lesie. Po jednym z najciekawszych - zdaniem Greeba - kawałków. Był to wzniesiony teren, bogaty w ukryte dziury i niewielkie, głębokie bagienka, nawet w piękną pogodę spowity mgłami. Greebo często tu zaglądał w nadziei, że jakiś wilk wybierze to miejsce na dzienną kryjówkę.

- Myślałem, że koty umieją same trafić do domu - wymruczał Błazen.

W duchu przeklinał sam siebie. Łatwo mógł zanieść nieszczęsne stworzenie do domu Niani Ogg, oddalonego ledwie o parę ulic, niemal w cieniu zamku. Ale

wpadł na pomysł, że dostarczy je do Magrat. To zrobi na niej wrażenie, uznał. Czarownice bardzo lubią koty. A potem będzie musiała zaprosić go na filiżankę herbaty czy czegoś innego...

Postawił nogę w kolejnej kałuży. Coś poruszyło się pod stopą. Błazen odskoczył na wielki grzyb.

- Posłuchaj, kocie - rzekł. - Musisz zejść ze mnie. Potem możesz poszukać drogi do domu, a ja pójdę za tobą. Koty dobrze widzą w ciemności i zawsze znajdują drogę - dodał z nadzieją.

Sięgnął nad głowę. Greebo zatopił pazury w jego rękę, co miało być przyjaznym ostrzeżeniem. Z zaskoczeniem odkrył, że przez kolczugę nie osiąga spodziewanego rezultatu.

- Dobry kotek. - Błazen postawił go na ziemi. - Idź, szukaj domu. Dowolnego domu.

Uśmiech Greeba niknął powoli, aż pozostał jedynie kot. Było to niemal równie niesamowite jak sytuacja odwrotna.

Greebo przeciągnął się i ziewnął, by ukryć zakłopotanie. Został nazwany „dobrym kotkiem” w samym środku swoich ulubionych terenów łowieckich. Mogło to poważnie zaszkodzić jego reputacji.

Zniknął w poszyciu.

Błazen wytrzeszczył oczy w ciemności. Zaświtało mu w głowie, że choć lubił lasy, jednak lubił je na odległość. Przyjemna była świadomość, że gdzieś są; niestety, lasy wyobraźni różnią się od lasów rzeczywistych, w których - na przykład - człowiek się zgubił. Rośnie w nich więcej potężnych dębów i mniej kolczastych krzaków. Ponadto przejawiają tendencję ukazywania się w świetle dnia, a drzewa nie mają groźnych twarzy i długich, ostrych gałęzi. Drzewa wyobraźni są dumnymi gigantami puszczy. Natomiast większość tutejszych drzew sprawiała wrażenie roślinnych gnomów, zwykłych podpórek dla huby i bluszczu.

Błazen przypominał sobie niejasno, że można wykryć, z której strony leży Oś, badając, która strona pni jest porośnięta mchem. Szybkie badanie pobliskich pni dowodziło, że wbrew klasycznym zasadom geografii, Oś leży wszędzie.

Greebo zniknął.

Błazen westchnął, zdjął osłonę z kolczugi i brzęcząc cicho ruszył na poszukiwanie jakiegoś wzniesienia. Wydało mu się to niezłym pomysłem. Ziemia, po której stąpał, wydawała się drzeć. Był pewien, że nie powinna tego robić.

Magrat unosiła się na miotle kilkaset stóp ponad obrotową granicą Lancre, spoglądając w dół na morze mgieł, skąd z rzadka sterczał czubek jakiegoś drzewa podobny do obrośniętej wodorostami skały w czasie przypływu. Wydęty księżyc sunął nad nią; pewnie znowu przybierał. Porządny wąski rogalik byłby lepszy. Bardziej odpowiedni.

Zadrżała. Zastanowiła się, gdzie jest teraz Babcia Weatherwax.

Miotła starej czarownicy była powszechnie znana i budziła lęk na niebie Lancre. Babcia dość późno poznała lot i po krótkim okresie nieufności polubiła go jak mucha gnijący rybi łeb. Problem jednak polegał na tym, że każdy lot Babcia pojmowała jako prostą linię łączącą punkty A i B; nie mogła pogodzić się z faktem, że inni użytkownicy powietrza też mają jakieś prawa; to proste zjawisko zmieniło trasy lotów migracyjnych na całym kontynencie. Przyspieszona ewolucja wśród miejscowego ptactwa stworzyła generację latającą na grzbiecie, by czujnie obserwować całe niebo.

Głęboka wiara Babci, że wszystko powinno schodzić jej z drogi, dotyczyła też innych czarownic, wysokich drzew, a czasem także gór.

Babcia zmusiła również żyjące pod górami krasnoludy, by z lęku o życie zwiększyły szybkość jej miotły. Wiele jajek zostało złożonych w powietrzu przez niczego nie podejrzewające ptaki, które nagle zauważyły pędzącą ku nim Babcie, spoglądającą groźnie znad kija miotły.

- Ojej - zmartwiła się Magrat. - Mam nadzieję, że nikogo nie trafiła.

Nocny wietrzyk obrócił ją wolno w powietrzu, niby kurka na dachu. Zadrżała lekko i spojrzała czujnie na oświetlone księżycowym blaskiem góry, wysokie Ramtopy, których ośnieżone granie i pokryte lodem wąwozy nie uznawały żadnego króla ani kartografa. Lancre otwierało się na świat jedynie z krawędziowej strony; pozostałe jego granice były zębate jak paszcza wilka i o wiele bardziej niedostępne. Z tej wysokości Magrat mogła objąć wzrokiem całe królestwo...

Coś zawarczało w górze, podmuch zakręcił nią znowu, a zniekształcony dopplerowsko głos krzyknął:

- Nie gap się, dziewczyno!

Ścisnęła kolanami gałązki i pchnęła miotłę wyżej.

Kilka minut zajęło jej zrównanie się z Babcią Weatherwax, która leżała niemal

na swojej miotle, by zmniejszyć opór wiatru. Ciemne wierzchołki drzew migały w dole, gdy Magrat dogoniła ją wreszcie. Babcia odwróciła się do niej, przytrzymując ręką kapelusz.

- W samą porę - rzuciła. - W tej zostało najwyżej parę minut lotu. Podlec bliżej i do roboty.

Wyciągnęła rękę. Magrat również. Miotły dygotały i kołysały się w strumieniach aerodynamicznych. Czarownice się dotknęły.

Magrat poczuła mrowienie, gdy moc popłynęła po ramieniu¹⁵. Miotła Babci skoczyła do przodu.

- Zostaw mi trochę! - zawołała Magrat. - Muszę wrócić na dół!

- To nie będzie trudne! - Babcia Weatherwax przekrzykiwała wycie wiatru.

- Ale wrócić bezpiecznie!

- Jesteś czarownicą, prawda? Przy okazji, zabrałaś kakao? Tu, w górze, można zamarznąć!

Magrat pokiwała głową i wolną ręką przekazała kosz.

- Świetnie! - stwierdziła Babcia. - Dobra robota. Spotkamy się przy moście na Lancre.

Wyprostowała palce.

Magrat została w tyle, szarpana wiatrem, mocno ściskając miotłę, która - jak się obawiała - miała tyle siły nośnej co drewniane polano. Z pewnością zbyt mało, by wyrwać dorosłą kobietę z objęć grawitacji.

Opadając wolno w stronę lasu, Magrat pomyślała, że fakt, iż Babcia nie chciała się przejąć jej problemami, był jednak rodzajem komplementu. Sugerował, że jej zdaniem potrafi rozwiązać je samodzielnie.

Przyszedł czas na któreś z zaklęć Przemiany.

Magrat skoncentrowała się.

No cóż, chyba się udało.

Żaden śmiertelnik nie dostrzegłby zmiany. Magrat osiągnęła jedynie zestrojenie procesów psychicznych. Z oszołomionej, lekko przestraszonej kobiety, szybującej ku nieprzyjaznej ziemi, zmieniła się w kobietę aktywną, optymistyczną, myślącą pozytywnie, która panuje nad własnym życiem, bierze za nie pełną odpowiedzialność i ogólnie wie, skąd przychodzi. Niestety to, dokąd zmierza, nie zmieniło się wcale. Tyle że Magrat poprawiło się samopoczucie.

Wbiła pięty w gałązki i zmusiła miotłę, by w jednym krótkim zrywie zużyła ostatnie resztki mocy i poleciała zygzakiem kilka stóp nad koronami drzew. Kiedy znowu opadła i zaczęła ryc bruzdę wśród liści, Magrat skupiła się, wszystkich bogów lasu, którzy akurat słuchają, poprosiła o miękkie lądowanie i runęła w dół.

Na Dysku znanych jest około trzech tysięcy ważniejszych bogów, a uczeni teologowie co tydzień odkrywają nowych. Oprócz drobniejszych bóstw skał, drzew i wody, w Ramtopach działają dwa. Pierwszy, Hoki, półczłowiek, półkoziół i złośliwy żartowniś, został wygnany z Dunmanifestin za zrobienie Ślepemu lo, przywódcy bogów, starego dowcipu z wybuchającą jemiolą. Drugi, Herne Ścigany, to strachliwe i zalęknione bóstwo małych kudłatych zwierzątek, których przeznaczeniem jest zakończyć życie z chrupnięciem i krótkim piskiem...

Każdy z nich mógł być sprawcą niewielkiego cudu, jaki oto nastąpił. Albowiem - w lesie pełnym zimnych kamieni, ostrych pni i ciemnych krzewów - Magrat wylądowała na czymś miękkim.

Babcia tymczasem, na drugim etapie swej podróży, przyspieszała w stronę gór. Wypiła żałośnie letnie kakao i z właściwą sobie dbałością o czystość środowiska zrzuciła butelkę, przelatując nad górskim jeziorem.

Okazało się, że zdaniem Magrat pożywny posiłek składa się z dwóch kanapek z jajkiem i rzeżuchą i z odkrojoną skórką, oraz - co Babcia zauważyła, zanim wiatr je porwał - dwóch listków pietruszki, ułożonych starannie na każdej z nich. Babcia przyglądała się kanapkom przez chwilę. Po czym je zjadła.

Rozwarła się przed nią rozpadlina, wciąż wypełniona zimowym śniegiem. Jak maleńka iskierka na tle ogromu Ramtopów, Babcia wdarła się w labirynt gór.

Daleko za nią Magrat usiadła i odruchowo wyjęła z włosów gałązkę. Kilka łokci za nią w deszczu liści opadła na ziemię miotła.

Jęk i ciche, nierówne dzwonienie skłoniło ją, by rozejrzeć się w mroku. Niewyraźna postać na kolanach wyraźnie czegoś szukała.

- Wylądowałam na tobie? - spytała Magrat.
- Ktoś wylądował - odparł Błazen. Przeczozgali się bliżej siebie.
- To ty?
- To ty!
- Co tu robisz?
- Radujmy się... Szedłem sobie po ziemi - wyjaśnił Błazen. - Wiesz, wielu ludzi

¹⁵ Prawdopodobnie pierwsza próba tankowania miotły w powietrzu.

to robi. To znaczy, jestem pewien, że już wcześniej to się zdarzało. Nic oryginalnego. Pewnie to z braku wyobraźni, ale cóż, zawsze mi wystarczało.

- Zraniłam cię?

- Mam wrażenie, że jeden czy dwa dzwonki nigdy już nie będą takie same.

Błazen pogrzebał w stosie liści i w końcu odszukał swoją znenawidzoną czapkę. Czapka zastukała.

- Całkiem zmiażdżona, tuszę - stwierdził, ale wsadził ją na głowę. Najwyraźniej poczuł się lepiej. - Deszcz tak, grad tak, nawet kamień - kontynuował. - Ryby czy żaby, w porządku. Kobiety nigdy, aż do dzisiaj. Czy coś takiego może się powtórzyć?

- Masz strasznie twardą głowę - stwierdziła Magrat, podnosząc się z ziemi.

- Skromność nie pozwala mi na komentarz - odparł Błazen, opamiętał się i dodał szybko: - Łaskawco.

Spoglądali na siebie, a ich myśli pędziły jak szalone.

Magrat myślała: Niania kazała dobrze się mu przypatrzeć. Patrzę. I wygląda tak samo: mały, chudy człowieczek w zabawnym kostiumie trefnisia; właściwie garbus.

I naraz - jak często się zdarza, gdy kilka przypadkowych wypukłości na chmurze może w oku patrzącego zmienić się nagle w galeon czy wieloryba - Magrat uświadomiła sobie, że Błazen wcale nie jest mały. Jest co najmniej średniego wzrostu, ale udaje niskiego garbiąc ramiona, krzywiąc nogi i chodząc przykucnięty, przez co wygląda, jakby bez przerwy chciał podskakiwać.

Ciekawe, co jeszcze zauważyła Gytha Ogg, pomyślała zaintrygowana.

Błazen roztarł ramię i uśmiechnął się krzywo.

- Pewnie nie masz pojęcia, gdzie jesteśmy - mruknął.

- Czarownice nigdy się nie gubią - odparła z godnością. - Choć mogą chwilowo zostać wprowadzone z błęd. Lancre jest chyba tam. A teraz przepraszam, muszę poszukać wzgórza.

- Żeby zobaczyć, gdzie jesteśmy?

- Żeby zobaczyć kiedy. Dziś w nocy dzieje się wiele czarów.

- Naprawdę? W takim razie będę ci towarzyszył - postanowił rycersko Błazen, spojrzawszy na pełen drzew mrok, dzielący go od posadzki w korytarzu. - Nie chciałbym, żeby coś ci się stało.

Pochylona nad miotłą Babcia pędziła nad graniami i przepaściami. Wychylała

się na boki w nadziei, że poprawi to trochę sterowanie, które pogarszało się nie wiedzieć czemu. Poderwany podmuchem lecącej miotły śnieżny pył wznosił się i skręcał w dziwne kształty. Wzniesione fale złodowaciałego śniegu, przez całą zimę zawieszone nad lodowcowymi dolinami, zadrżały i rozpoczęły powolny, bezgłośny upadek. Czasami przelot akcentował huk lawiny.

Babcia spojrzała w dół, na pejzaż mroźnej śmierci i groźnego piękna. Wiedziała, że kraina także na nią patrzy, tak jak drzemiący człowiek może patrzeć na komara. Zastanowiła się, czy ziemia wie, co ona robi. I czy możliwy upadek uczyni bardziej miękkiem. Natychmiast skarciła się za tę słabość. Nie, kraina nie była taka. Nie targowała się. Kraina dawała i brała bez litości. Pies zawsze najmocniej gryzie dłoń weterynarza.

Aż wreszcie przebiła się, przemknęła nad ostatnim szczytem tak nisko, że butem nabrała śniegu. A potem runęła ku nizinom.

Mgła, nigdy zbyt daleka od gór, powróciła, ale tym razem postarała się i stworzyła przed Babcią gęste, srebrzyste morze. Babcia jęknęła.

Gdzieś wśród tego morza dryfowała Niania Ogg, od czasu do czasu pociągając z butelki dla ochrony przed zimnem.

Szczęśliwie stało się tak, że Babcia - z kapeluszem i stalowosiwymi włosami ociekającymi wilgocią, z butami sypiącymi bryłkami lodu - usłyszała daleki, stłumiony głos, entuzjastycznie tłumaczący niewidocznemu niebu, że jeź ma o wiele mniej powodów do zmartwienia niż jakikolwiek inny ssak. Niczym sokół, który dostrzegł w trawie coś małego i puszystego, niczym wędrowny międzygwiazdny wirus grypy, który właśnie zauważył przepływającą w pobliżu błękitną planetę, Babcia przesunęła kij i pomknęła w dół przez gęste kłęby.

- Tutaj! - wrzasnęła, pijana szybkością i uniesieniem. Jej głos pięćset stóp niżej odebrał przechodzącemu wilkowi apetyt na kolację.

Niania Ogg z pewnym wahaniem złapała ją za rękę i obie miotły pomknęły w górę, ku czystemu, rozgwieżdżonemu niebu.

Dysk jak zawsze sprawiał wrażenie, że Stwórca zaprojektował go specjalnie do oglądania z góry. Pasma srebrzystych i białych obłoków ciągnęły się ku krawędzi, skręcone obrotami świata w tysiącmilowe kręgi. Za pędzącymi miotłami dach mgły zwinął się w tunel białego oparu, tak że patrzący bogowie - a patrzeli z całą pewnością - widzieli przerażający lot jako bruzdę na niebie.

Na tysiącu stóp, wciąż nabierając wysokości, dwie czarownice klóciły się

znowu.

- To był głupi pomysł - skarżyła się Niania. - Nigdy nie lubiłam wysokości.

- Zabrałaś coś do picia?

- Pewnie. Przecież mówiłaś.

- I co?

- Wypiłam to - odparła Niania. - Siedzieć tu w górze, w moim wieku... Nasz Jason by się wściekł. Babcia zgrzytnęła zębami.

- Trudno. Przekaż moc - powiedziała. - Moja już się kończy. Zdumiewające...

Głos Babci przeszedł w krzyk, gdy bez żadnego ostrzeżenia miotła zawirowała nagle i zniknęła z zasięgu wzroku.

Błazen i Magrat siedzieli na pniu na niewielkim wzgórku w lesie. Światła Lancre płonęły całkiem niedaleko, ale żadne z tych dwojga nie proponowało, by opuścić to miejsce. Powietrze między nimi aż iskrzyło od nie wypowiedzianych myśli i szalonych domysłów.

- Długo jesteś Błaznem? - spytała uprzejmie Magrat. Zarumieniła się w ciemności. W tej atmosferze pytanie zabrzmiało wyjątkowo nieuprzejmie.

- Przez całe życie - odparł z goryczą Błazen. - Już w kołysce bawiłem się dzwonekami.

- Pewnie przechodzą z ojca na syna?

- Nieczęsto widywałem ojca. Kiedy byłem mały, odszedł, by zostać błaznem u władców Quirnu. Pokłócił się z dziadkiem. Wracał od czasu do czasu, żeby odwiedzić mamę.

- To straszne.

Dzwonki brzęknęły smutnie, gdy Błazen wruszył ramionami. Niezbyt wyraźnie pamiętał, że ojciec był niewysokim, wesołym człowiekiem z oczami jak dwie ostrzygi. Czyn tak odważny, jak przeciwstawienie się seniorowi rodu, zupełnie nie leżał w jego naturze. Dźwięk potrząsanych w gniewie dwóch kompletów dzwoneków wciąż nawiedzał Błazna we wspomnieniach, które i bez tego pełne były nieprzyjemnych scen.

- Mimo wszystko - zaczęła Magrat głosem wyższym niż zwykle, z vibrato niepewności - to pewnie szczęśliwe życie. Wiesz, skłanianie ludzi do śmiechu.

Kiedy nie usłyszała odpowiedzi, spojrzała na Błazna. Twarz miał jak wykutą z

kamienia. Cicho, jakby mówił do siebie, zaczął opowiadać.

Opowiadał o Gildii Błaznów i Trefnisiów w Ankh-Morpork.

Większość odwiedzających brała początkowo jej budynek za siedzibę Gildii Skrytobójców, która w rzeczywistości dysponowała zespołem miłych, przestronnych pawilonów tuż obok (skrytobójcy zawsze mieli dużo pieniędzy). Młodzi błażni, pracując ciężko nad materiałem w pokojach zawsze, nawet w środku lata lodowato zimnych, często słyszeli młodych skrytobójców bawiących się za murem. Zazdrościli im, choć - oczywiście - liczba wesołych głosów malała w miarę zbliżania się końca semestru (skrytobójcy wierzyli w egzaminy konkursowe).

Zresztą wiele odgłosów przebijało się przez wysokie, ponure, ślepe mury. Intensywnie wypytując służbę, młodzi błażni wyrabiali sobie wyobrażenie miasta. Na zewnątrz były tawerny i parki; był cały ruchliwy świat, w którym studenci i uczniowie rozmaitych Gildii i College'ów odgrywali swoje role - albo wyczyniając w nim różne sztuczki, albo biegając po nim z krzykiem, albo podrzucając jego części w górę. Rozbrzmiewał tam śmiech, który nie dbał o Pięć Kadencji czy Dwanaście Infleksji. Oraz - chociaż uczniowie w swoich pokojach dyskutowali nad prawdziwością tych wieści - istniał podobno nieautoryzowany humor, żarty opowiadane w stylu wolnym, bez żadnych odniesień do *Wielkiej Księgi Żartów* ani do wskazówek Rady.

Tam, poza ciemnymi murami, ludzie opowiadali sobie dowcipy, nie pamiętając nawet o Lordach Chaotyczności.

Taka myśl otrzeźwiała. Nie dosłownie, ponieważ w Gildii alkohol był zakazany. Ale otrzeźwiałaby, gdyby nie był.

Nie istniało miejsce trzeźwiejsze niż Gildia.

Rozgoryczony Błazen wspominał potężnego, czerwonego na twarzy brata Dowcipnisia, wieczory poświęcone nauce Wesołych

Anegdot i długie poranki w lodowatej sali gimnastycznej, gdzie zapamiętywali Osiemnaście Pośliżnięć i zaakceptowaną trajektorię śmietankowego tortu. I żonglerkę. Żonglerkę! Żonglerki uczył brat Wic, człowiek zimny i twardy. I to nie fakt, że Błaznowi źle szło żonglowanie, doprowadzał go do wścieklej furii. Błaznom powinno źle iść żonglowanie, zwłaszcza żonglowanie zabawnymi obiektami, takimi jak torty śmietankowe, płonące pochodnie czy bardzo ostre tasaki. Tym, co doprowadzało brata Wica do czerwonej, obłąkanej wściekłości, był fakt, że Błaznowi źle idzie żonglowanie, ponieważ sobie z nim nie radzi.

- Nie chciałbyś zostać kimś innym? - zainteresowała się Magrat.

- A jaki jest wybór? - odparł Błazen. - Nie widziałem nikogo, kim mógłbym zostać.

Uczniowie błazeńscy w ostatnim roku nauki mogli wychodzić na miasto, choć ze straszliwie długim spisem zakazów. Skacząc żałośnie po ulicach, Błazen po raz pierwszy zobaczył magów, sunących godnie jak strojne okręty. Widział ocalałych skrytobójców, eleganckich, roześmianych młodych ludzi odzianych w czarny jedwab, lśniący jak noże pod nim ukryte. Widział kapłanów w fantastycznych kostiumach, z lekka tylko zniekształconych przez gumowe ofiarne fartuchy, noszone podczas ważniejszych nabożeństw. Przekonał się, że każdy zawód i zajęcie miało swój strój. I po raz pierwszy uświadomił sobie, że jego uniform został starannie i pracowicie zaprojektowany w jednym tylko celu: by noszący go człowiek wyglądał na kompletnego durnia.

Mimo to wytrwał. Całe życie poświęcił wytrwaniu.

Wytrwał jedynie dlatego, że nie miał absolutnie żadnego talentu, a gdyby zrezygnował, dziadek obdarłby go żywcem ze skóry. Uczył się autoryzowanych żartów, aż w głowie mu dzwoniło. Wstawał przed świtem i ćwiczył żonglerkę, aż trzeszczały łokcie. Perfekcyjnie opanował komiczny słownik, aż rozumieli go tylko najstarsi lordowie. Podskakiwał i fikał z niezłomną, posępną determinacją i zakończył naukę jako najlepszy z roku. Otrzymał za to Pęcherz Honorowy. Po powrocie do domu wrzucił go do wygodki.

Magrat milczała.

- A jak ty zostałeś czarownicą? - zapytał Błazen.

- Słucham?

- No wiesz, chodziłaś do szkoły albo co?

- Aha. Nie. Mateczka Whemper zeszła pewnego dnia do wioski, ustawiła wszystkie dziewczęta w rzędzie i wybrała mnie. Widzisz, Sztuki się nie wybiera. To ona wybiera ciebie.

- No tak, ale kiedy naprawdę stajesz się czarownicą?

- Chyba wtedy, kiedy inne czarownice zaczną cię tak traktować. - Magrat westchnęła. - Jeśli w ogóle zaczną - dodała. - Myślałam, że tak będzie, kiedy rzuciłam ten czar w korytarzu. Był naprawdę dobry.

- Radujmy się, toż to rytuał przejścia - stwierdził Błazen, nie mogąc się powstrzymać.

Magrat spojrzała na niego chłodno. Zakaszała.

- Inne czarownice, czyli te dwie starsze damy? - upewnił się, zapadając w swój zwykły posępny nastrój.

-Tak.

- Bardzo silne osobowości, jak przypuszczam.

- Bardzo - przyznała z uczuciem Magrat.

- Ciekawe, czy знаły mojego dziadka. Magrat wpatrzyła się w swoje stopy.

- Tak naprawdę są całkiem miłe - zapewniła. - Tylko że, no, kiedy się jest czarownicą, nie myśli się o innych. To znaczy myśli się, ale człowieka nie obchodzą ich uczucia, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. Przynajmniej dopóki się o tym nie pomyśli.

Znowu spojrzała na stopy.

- Ty taka nie jesteś - stwierdził Błazen.

- Słuchaj, wolałabym, żebyś przestał pracować dla księcia -oświadczyła desperacko Magrat. - Wiesz, jaki on jest. Torturuje ludzi, pali domy i w ogóle.

- Przecież jestem jego błaznem - odparł Błazen. - Błazen musi być lojalny wobec swego pana. Aż do śmierci. Obawiam się, że to tradycja, a tradycje są bardzo ważne.

- Przecież ty nawet nie chciałeś być błaznem!

- Nienawidzę tego. Ale to nie ma nic do rzeczy. Jeśli przyszło mi zostać błaznem, będę takim, jak należy.

- To głupie - stwierdziła Magrat.

- Wolałbym: błazeńskie. Błazen przysunął się bliżej.

- Jeśli cię pocałuję - zapytał - zmienisz mnie w żabę?

Magrat znowu spojrzała na swoje stopy. Przesunęły się pod suknią, zakłopotane poświęcaną im uwagą.

Wyczuwała cienie Gythy Ogg i Esme Weatherwax, siedzące po obu stronach. Widmo Babci spojrzało na nią groźnie. *Czarownica panuje nad każdą sytuacją.*

Paniuje, poprawiła wizja Niani Ogg i przez chwilę gestykulowała, co wiązało się z licznymi porozumiewawczymi uśmiechami i machaniem rękami.

- Trzeba będzie się przekonać - odpowiedziała Magrat.

Los przeznaczył temu pocałunkowi, by stał się najniezwyklejszym w historii.

Czas, jak zauważyła Babcia Weatherwax, jest przeżyciem subiektywnym. Dla Błazna lata spędzone w Gildii były wiecznością, a godziny z Magrat na wzgórzu minęły jak kilka minut. Natomiast nad Lancre dwie garści sekund jak karmel

rozciągnęły się w godziny grozy.

- Łód! - wrzasnęła Babcia. - Jest oblodzona!

Niania Ogg pojawiła się z boku, na próżno usiłując zgrać kurs i prędkość z wirującą, skaczącą miotłą. Oktarynowe iskry strzelały z zamarzniętych, pozwieranych gałązek. Niania pochyliła się i chwyciła Babcię za spódnicę.

- Mówiłam, że to głupie! - krzyknęła. - Przeleciałaś przez całą tę mgłę, a potem w górę, w zimne powietrze, tępą miotłą!

- Puść moją spódnicę, Gytho Ogg!

- Łap moją! Coś ci się pali z tyłu!

Przebiły warstwę chmur i wrzasnęły chórem, gdy porośnięty krzakami grunt wyrzucił się znikąd i wymierzył prosto w czarownice.

I przeleciał obok.

Niania spojrzała w dół, w czarną perspektywę, na dnie której dostrzegła spienioną białą wodę.

Przeleciały nad krawędzią wąwozu Lancre.

Niebieski dym unosił się z miotły, ale Babcia trzymała się mocno. Skręciła z wysiłkiem.

- Co ty wyprawiasz?! - zawołała Niania.

- Mogę lecieć wzdłuż rzeki! - odpowiedziała Babcia, przekrzykując trzask płomieni. - Nie martw się!

- Przesiadaj się, słyszysz! Wszystko skończone, nie zrobisz tego!

Za Babcią nastąpił niewielki wybuch, a kilka garści płonących gałązek oderwało się i wirując opadło w głębię wąwozu. Miotła szarpnęła w bok. Niania chwyciła Babcię za ramiona, gdy jasny płomień przepalił następne wiązanie.

Płonący kij wystrzelił Babci pomiędzy nóg, skręcił w powietrzu i pomknął prosto w górę, ciągnąc za sobą smugę iskier i wydając dźwięk jak mokry palec przesuwany po krawędzi kieliszka.

Niania leciała głową w dół, trzymając Babcię za ramiona. Obie spojrzały na siebie i krzyknęły.

- Nie dam rady cię podciągnąć!

- A ja na pewno nie zdołam się wspiąć. To chyba jasne. Nie bądź dzieckiem, Gytho!

Niania rozważyła tę sugestię. I puściła.

Trzy małżeństwa i awanturicza młodość dały Niani Ogg uda, którymi mogłaby

łupać orzechy kokosowe. Wyzywając siłę ciężenia, ciasną pętlą pchnęła miotłę w dół. Przed sobą widziała spadającą jak kamień Babcię Weatherwax. Jedną ręką przytrzymywała kapelusz, drugą starała się nie dopuścić, by grawitacja zajrzała jej pod spódnicę. Niania przyspieszyła, aż zatrzeszczała miotła, pochwyciła spadającą czarownicę w pasie i szarpiąc za kij wyrównała lot. Odetchnęła.

Ciszę, jaka nastąpiła, przerwała Babcia Weatherwax.

- Nigdy więcej tego nie rób, Gytho Ogg.

- Obiecuję.

- A teraz zawróć. Lecimy do Mostu Lancre, zapomniałaś? Niania posłusznie wykręciła miotłą, po drodze zamiatając ściany wąwozu.

- Przed nami jeszcze całe mile - zauważyła.

- Zamierzam tego dokonać - oznajmiła Babcia. - Przed nami długa noc.

- Obawiam się, że nie dość długa.

- Czarownica nie zna słowa „porażka”, Gytho.

Wysztzereliły nad otwarty teren. Horyzont był linią złotego blasku - to powolny świt Dysku sunął po ziemi, niszcząc przedmieścia nocy.

- Esme - odezwała się Niania Ogg.

- Co?

- To znaczy „brak sukcesu”.

Przez chwilę leciały w lodowatej ciszy.

- Mówiłam, jak to się... metaforycznie - wyjaśniła Babcia.

- Aha. No tak. Mogłaś uprzedzić.

Linia światła była szersza, jaśniejsza. Po raz pierwszy cień zwątpienia wdarł się w myśli Babci, zaskoczony, że znalazł się w tak obcym otoczeniu.

- Zastanawiam się, ile jest w Lancre kogutów - rzuciła cicho.

- To znowu takie, jak to się... pytanie?

- Tak tylko się zastanawiam.

Niania Ogg wiedziała. Były trzydzieści dwa zdolne do piania. Wiedziała, ponieważ policzyła je wczoraj wieczorem - dzisiaj wieczorem - i wydała Jasonowi polecenia. Miała piętnaścioro dorosłych dzieci oraz niezliczone wnuki i prawnuki, a oni dostali prawie cały wieczór na zajęcie pozycji. To powinno wystarczyć.

- Słyszałaś coś? - spytała Babcia. - Od strony Ostrego Grzbietu. Niania spojrzała niewinnie na pokrytą oparem ziemię. W tak ранней godzinie głos niósł się daleko.

- Co?

- Tak jakby „urk”.

- Nie.

Babcia odwróciła się.

- O tam - zawołała. - Tym razem na pewno słyszałam. Coś w rodzaju „ku-ka-aaa-argh”.

- Nic nie słyszałam, Esme. - Niania Ogg uśmiechnęła się do nieba. - Przed nami Most Lancre.

- I tam! Wprost pod nami! Wyraźny pisk!

- Na pewno ptaki śpiewają przed świtem. Patrz, już tylko pół mili.

Babcia spojrzała gniewnie na tył głowy koleżanki.

- Dzieje się coś dziwnego - oświadczyła.

- Nie mam pojęcia, Esme.

- Ramiona ci się trzęsą!

- Nad wąwozem zgubiłam szal. A trochę tu chłodno. Już prawie jesteśmy.

Babcia rozglądała się gniewnie. Jej myśli przemierzały labirynt mrocznych podejrzeń. Musi rozszyfrować tę zagadkę. Jak tylko będzie miała czas.

Pod nimi przepłynęły wolno mokre belki głównego połączenia Lancre ze światem zewnętrznym. Z oddalonej o pół mili kurzej farmy zabrzmiał chór zduszonych pisków i głuchy stuk.

- A to? Co to było twoim zdaniem?

- Jakiś szkodnik w kurniku. Ostrożnie, schodzimy w dół.

- Kpisz ze mnie?

- Cieszę się, Esme. Przejdiesz za to do historii, wiesz? Spłynęły na most.

Babcia Weatherwax zeskoczyła lekko i poprawiła strój.

- No... tak - rzuciła nonszalancko.

- Jesteś lepsza niż Czarna Aliss. Wszyscy tak powiedzą - mówiła dalej Niania Ogg.

- Niektórzy ludzie powiedzą wszystko - stwierdziła Babcia. Spojrzała przez poręcz na spieniony nurt w dole, a potem w górę, na daleki występ, na którym wznosił się Zamek Lancre.

- Myślisz, że naprawdę powiedzą? - spytała z pozorną obojętnością.

- Zapamiętaj moje słowa.

- Hm.

- Ale nie zapominaj, że musisz jeszcze dopełnić zaklęcie. Babcia Weatherwax skinęła głową. Stała twarzą ku wschodzącemu słońcu, wzniosła ręce i dopełniła zaklęcie.

Jest prawie niemożliwe, żeby w słowach oddać nagły upływ piętnastu lat i dwóch miesięcy.

Łatwiej dokonać tego obrazami. Można wtedy wykorzystać kalendarz z mnóstwem spadających kartek albo zegar, którego wskazówki kręcą się coraz szybciej, aż całkiem się rozmywają. Albo drzewa, w kilka sekund okrywające się kwiatami i owocami.

No wiecie... Albo słońce zmienia się w ognisty pas na niebie, a dni i noce migoczą szybko, jak w zepsutym stroboskopie; albo kostiumy widoczne w sklepie z ubraniami naprzeciwko znikają i pojawiają się szybciej niż na striptizerce, która w jeden wieczór musi obsłużyć dziesięć knajp.

Istnieje wiele sposobów, jednak żaden z nich nie jest tu konieczny, gdyż żadna z tych rzeczy się nie wydarzyła.

Słońce istotnie przeskoczyło kawałek w bok, drzewa po krawędziowej stronie wąwozu wydawały się nieco wyższe, a Niania nie mogła się pozbyć wrażenia, że ktoś ciężki właśnie na niej usiadł, spłaszczył ją zupełnie, a potem rozprostował na nowo.

Stało się tak dlatego, że królestwo nie przeniosło się w czasie w normalnym sensie tego słowa, sugerującym migotanie nieba i przyspieszone zdjęcia. Przemieściło się wokół czasu, co jest metodą bardziej elegancką, łatwiejszą w realizacji i zaoszczędzającą długich poszukiwań laboratorium naprzeciwko sklepu z ubraniami, który przez sześćdziesiąt lat trzyma na wystawie ten sam manekin, co tradycyjnie jest najbardziej czasochłonnym i kosztownym zabiegiem w całym przedsięwzięciu.

Pocałunek trwał ponad piętnaście lat. Nawet żaby tego nie potrafią.

Błazen odsunął się. Oczy mu się zaszkliły, na twarzy miał wyraz oszołomienia.

- Poczułaś, że cały świat zadrżał? - zapytał. Magrat spojrzała nad jego ramieniem w las.

- Chyba jej się udało - stwierdziła.
- Co takiego? Zawahała się.
- Nie, nic. Nic ważnego.
- Spróbujemy jeszcze raz? Mam wrażenie, że poprzednio nie zrobiliśmy tego jak należy.

Magrat kiwnęła głową.

Tym razem trwało to tylko piętnaście sekund. Wydawało się, że dłużej.

Drżenie przebiegło po zamku; wstrząsnęło tacą, z której książę Felmet jadł owsiankę - ku swej radości nie przesoloną.

Poczuły je duchy, tłoczące się teraz w domu Niani Ogg niby drużyna rugby w budce telefonicznej.

Rozprzestrzeniło się do wszystkich kurników w królestwie i liczne ręce rozluźniły uścisk. Trzydzieści dwa fioletowe na dziobach koguty nabrały tchu i zaczęły pisać jak oszalałe. Ale było już za późno, za późno...

- Wciąż mi się wydaje, że coś knułaś - oświadczyła Babcia Weatherwax.
- Może jeszcze herbaty? - zaproponowała uprzejmie Niania Ogg.
- Nie będziesz mi nic dolewać? - upewniła się Babcia. - To przez ten drink tak się wczoraj zachowałam. Nigdy bym się nie podjęła czegoś takiego. To straszne.
- Czarna Aliss by tego nie dokonała - stwierdziła z podziwem Niania. - Owszem, zaliczyła sto lat, zgadza się, ale przesunęła tylko jeden zamek. Uważam, że z zamkiem każdy dałby sobie radę.

Babcia rozpogodziła się nieco.

- I dopuściła, żeby tyle zielska wyrosło na brzegach - zauważyła skromnie.
- Właśnie.
- Znakomita robota! - zawołał z zachwytem król Verence. - Wszyscy sądzimy, że doskonała. Przebywając na płaszczyźnie eterycznej, mieliśmy okazję przyglądać się bardzo dokładnie.

Niania Ogg obejrzała tłoczące się za nim duchy, których nie spotkał zaszczyt siedzenia przy - a częściowo w - kuchennym stole.

- Wy wszyscy wyniesiecie się do wygodki - oznajmiła. - Bezczelni! Oprócz

dzieciaków - dodała. - Mogą zostać, biedne maleństwa.

- Proszę zrozumieć... Tak przyjemnie jest znaleźć się poza zamkiem - wyjaśnił król.

Babcia Weatherwax ziewnęła.

- A teraz - rzekła - musimy *znaleźć* chłopca. To następny krok.

- Poszukamy go zaraz po obiedzie.

- Obiedzie?

- Będzie kura - poinformowała Niania. - A ty jesteś zmęczona. Poza tym porządne poszukiwanie zajmuje dużo czasu.

- Będzie w Ankh-Morpork - stwierdziła Babcia. - Zapamiętaj moje słowa. Wszyscy tam trafiają. Zaczniemy od Ankh-Morpork. Kiedy w grę wchodzi przeznaczenie, nie trzeba ludzi szukać. Wystarczy na nich poczekać w Ankh-Morpork.

Niania rozpromieniła się.

- Nasza Karen wyszła za tamtejszego oberżystę - poinformowała. - Nie widziałam jeszcze dziecka. Miałabyśmy darmowy wikt i mieszkanie.

- Nie musimy tam jechać. Rzecz w tym, żeby to on przyjechał tutaj. To miasto ma w sobie coś takiego... Jest jak ściek.

- To pięćset mil stąd! - zawołała Magrat. - Nie będzie cię całe wieki!

- Nic nie poradzę - odparł Błazen. - Książę udzielił mi specjalnych instrukcji. Ufa mi.

- Ha! Pewnie chce sprowadzić więcej żołnierzy!

- Nie. Nic takiego. Nie aż tak źle. - Błazen zawahał się. Wprowadził Felmeta w świat słów. Przecież to chyba lepsze niż walenie ludzi mieczami? Czy nie zyska się w ten sposób na czasie? Czy w tych okolicznościach to nie najlepsze wyjście?

- Nie musisz jechać! Nie chcesz jechać!

- To nie ma nic do rzeczy. Obiecałem mu lojalność...

- Tak, wiem. Dopóki nie umrzesz. Ale przecież wcale w to nie wierzysz! Sam mówiłeś, jak bardzo nienawidzisz całej Gildii i wszystkiego!

- No tak. A jednak muszę to zrobić. Dałem słowo. Magrat była bliska tupania nogami, choć nie upadła jeszcze aż tak nisko.

- Akurat kiedy zaczęliśmy się lepiej poznawać! - krzyknęła. - Jesteś żalosny!

Błazen zmrużył oczy.

- Byłbym żalosny, gdybym złamał słowo - oznajmił. - Jestem może wyjątkowo nierozsądny. Trudno. W każdym razie wracam za parę tygodni.

- Czy nie rozumiesz? Proszę cię, żebyś go nie słuchał.

- Powiedziałem już, że mi przykro. Nie będę mógł cię zobaczyć przed wyjazdem, prawda?

- Będę myła włosy - odparła chłodno Magrat.

- Kiedy?

- Zawsze.

Hwel rozmasował grzbiet nosa i ze znużeniem popatrzył na poplamiony woskiem papier. Sztuka nie szła mu najlepiej.

Rozpracował już spadający żyrandol, znalazł miejsce dla złoczyńcy noszącego maskę, by ukryć swe okaleczenie, napisał na nowo jeden z zabawniejszych fragmentów, by uwzględnić fakt, iż bohater przyszedł na świat w walizce. Tylko klauni sprawiali mu kłopot. Zmieniali się za każdym razem, kiedy o nich pomyślał. Wolał ich tradycyjnie dwójkami, ale teraz zjawił się skądś trzeci i Hwel nie potrafił wymyślić dla niego żadnych śmiesznych kwestii.

Pióro zgrzytając sunęło po ostatniej karcie papieru, próbując zarejestrować głosy płynące przez rozmarzony umysł Hwela i wydające się tak śmiesznymi.

Wysunął czubek języka. Pot zrosił mu czoło.

Oto mój gabinecik, pisał. Z takim gabinecikiem można zejść bardzo daleko. I pragnąłbym, żebyś ruszył już teraz. A jeśli w karecie odjechać nie możesz, to odjedź w złości. A skoro i to za szybko dla cię, to odjedź w tej chwili i w złości. Zaraz... Ołówka nie masz? Kredkę...

Hwel ze zgrozą spojrzał na słowa. Na papierze wydawały się całkiem bezsensowne, bez związku. A jednak... A jednak wśród publiczności umysłu...

Zanurzył pióro w kałamarzu i ruszył w pościg za echami.

DRUGI KLAUN: Zgadza się, szefie.

TRZECI KLAUN (trzymający lejek z pęcherzem): Tru tu!

Hwel zrezygnował. Owszem, to było śmieszne, wiedział, że to śmieszne. W snach słyszał śmiech widzów. Ale nie nadawało się do niczego. Nie teraz. Może nigdy. Tak jak ten drugi pomysł z dwoma klaunami, jednym chudym, drugim

grubym... *Zaprawdę w niezły pasztet mię wpakowałeś, Stanleigh...* Śmiał się do bólu w piersi, a reszta trupy przyglądała mu się zdumiona. Ale w snach ta scena była przezabawna.

Odłożył pióro i przetarł oczy. Pewnie już prawie północ, a życiowe przyzwyczajenie kazało oszczędzać świece. Chociaż, prawdę mówiąc, stać ich było teraz na tyle świec, ile zdołają wypalić. Choćby Vitoller zaprzeczał.

Cztery gongi uderzyły na mieście, a nocni strażnicy oznajmiali, że to istotnie północ i że -jak należy przypuszczać - panuje spokój. Wielu z nich zdołało nawet skończyć zdanie, zanim ich napadnięto.

Hwel otworzył okiennice i wyrżał na Ankh-Morpork.

Przyjemnie byłoby stwierdzić, że o tej porze roku miasto prezentowało się najlepiej. Nie byłoby to prawdą. Miasto prezentowało się najbardziej typowo.

Rzeka Ankh, kloaka połowy kontynentu, była szeroka i zamulona, kiedy docierała do granic miasta. Zanim je opuściła, już nie płynęła, raczej się sączyła. Ze względu na wiekowe osady mułu, łóżysko znajdowało się wyżej niż niektóre nisko położone tereny i teraz, gdy topniejące śniegi spowodowały przybór, liczne nędzne dzielnice doświadczyły powodzi, jeśli wolno użyć tego słowa wobec cieczy, którą można nosić w siatce. Taka powódź zdarzała się co roku i doprowadziłaby do ruiny system ścieków i kanałów; tym lepiej zatem, że miasto prawie ich nie posiadało. Każdy z mieszkańców po prostu trzymał na podwórzu płaskodenną łódź, a od czasu do czasu dobudowywał w domu nowe piętro.

Powszechnie uznawano, że miasto jest bardzo zdrowe. Niewiele zarazków potrafiło tu przetrwać.

Hwel spojrzał na morze mgły, w którym budynki stały niby konkursowe zamki z piasku w czasie przypływu. Pochodnie i oświetlone okna tworzyły miłe wzory na lśniącej powierzchni. Ale jego uwagę przyciągała jasność bliższa niż inne.

Na skrawku ziemi położonej nieco wyżej na brzegu, zakupionym przez Vitollera za bajeczną sumę, powstawał nowy budynek. Rósł nawet nocą, niby grzyb - Hwel widział ogień w koszach na rusztowaniach. Wynajęci rzemieślnicy, a nawet niektórzy aktorzy, nie pozwalali, by przeszkodziło im w pracy zwykłe ściemnienie nieba.

Nowe budynki rzadko pojawiały się w Ankh-Morpork. A ten był nawet nowym typem budynku.

To Disk.

Z początku Vitollerem wstrząsnął ten pomysł, jednak Tomjon zaczął go przekonywać. A każdy wiedział, że kiedy chłopak się przyłoży, skłoni wodę, żeby płynęła pod górę.

- Przecież zawsze wędrowaliśmy, chłopcze - mówił Vitoller głosem pełnym rozpacz, głosem człowieka, który wie, że w końcu przegra w tej dyskusji. - Nie mogę tak nagle się osiedlić. W moim wieku...

- Wcale ci to nie wychodzi na dobre - oświadczył stanowczo Tomjon. - Wszystkie te zimne noce i mroźne poranki. Lat ci nie ubywa. Powinniśmy się gdzieś zatrzymać i niech ludzie do nas przychodzą. Sam wiesz, jakie tłumy mamy ostatnio. Sztuki Hwela są słynne.

- To nie moje sztuki przyciągają tłumy - stwierdził wtedy Hwel. - To aktorzy.

- Nie wyobrażasz sobie chyba, że będę siedział przy kominku w ciasnym pokoju, sypiał na puchowym łóżku i takie bzdury - rzekł Vitoller, ale wtedy zobaczył wyraz twarzy żony i poddał się.

Potem wynikła jeszcze sprawa samego teatru. Skłonienie wody, by płynęła pod górę, było dziecinną sztuczką w porównaniu z wyrwaniem Vitollerowi pieniędzy. Ale rzeczywiście ostatnio powodziło im się doskonale. Odkąd Tomjon podrośł na tyle, żeby włożyć perukę i wypowiedzieć dwa słowa bez załamania głosu.

Hwel i Vitoller patrzyli, jak stają pierwsze belki drewnianego rusztowania.

- To wbrew naturze - skarżył się wsparty na lasce Vitoller. - Tak schwytać ducha teatru, zamknąć go w klatce. To go zabije.

- Sam nie wiem - odparł bez przekonania Hwel.

Tomjon starannie opracował swoje plany. Zanim choć słowem wspomniał o nich ojcu, cały wieczór poświęcił Hwelowi. I teraz myśli krasnoluda wirowały szaleńczo, przewidując możliwości ruchomych dekoracji, kulis, kotar i cudownych maszynerii, które nawet bogów mogą opuścić z nieba, i zapadni, potrafiących wynieść demony z piekieł. Hwel nie bardziej był zdolny protestować przeciw nowemu teatrowi, niż małpa zrezygnować z plantacji bananów.

- To paskudztwo nie ma nawet nazwy - burczał Vitoller. - Powinienem go nazwać Kopalnia złota, tyle pieniędzy mnie kosztuje. Chciałbym tylko wiedzieć, skąd je brać...

Proponowali zresztą wiele nazw, ale żadna nie odpowiadała Tomjonowi.

- Ona musi oznaczać wszystko - oświadczył. - Ponieważ wszystko znajdzie się we wnętrzu. Cały świat na scenie, rozumiecie? I Hwel powiedział wtedy, wiedząc, że

o to właśnie chodzi:

- Dysk.

A teraz Disk był prawie gotów, a on nie skończył jeszcze nowej sztuki.

Zamknął okno, wrócił do biurka, chwycił pióro i przysunął nową ryzę papieru.

Pewna myśl przyszła mu do głowy: Cały świat naprawdę był sceną - dla bogów...

Zaczął pisać.

Cały Dysk Teatrem jest jedynie, zanotował. A mężczyźni wszyscy i kobiety to zaledwie aktorzy. Popelniał błąd i przerwał; spadła kolejna cząstka natchnienia i pchnęła jego myśli na całkiem nowe tory.

Spojrzał na słowa na papierze i dopisał: *Prócz tych, co sprzedają prażoną kukurydze.*

Po chwili skreślił wszystko i spróbował jeszcze raz: *Niczym scena w Teatrze jest Świat, na której wszelkie Osoby są aktorami.*

Tak chyba było lepiej.

Zastanowił się chwilę i podjął z wysiłkiem: *Czasami wchodzi. Czasami schodzą.*

Chyba tracił wątek. Czas, czas... Potrzebował wręcz nieskończoności.

Z sąsiedniego pokoju rozległ się stłumiony krzyk i głucho uderzenie. Hwel upuścił pióro i ostrożnie uchylił drzwi.

Poblady chłopiec siedział na łóżku. Uspokoił się, kiedy wszedł krasnolud.

- Hwel...

- Co jest, mały? Koszmary?

- Bogowie, to było straszne! Znów je widziałem! Przez moment myślałem nawet, że...

Hwel, który z roztargnieniem zbierał części ubrania rozrzucone po całym pokoju, znieruchomiał. Wiedział, że sny są ważne. Ze snów biorą się pomysły.

- Że co? - zapytał.

- To coś... Wiesz, byłem wewnątrz czegoś, jakby kuli, a nade mną pochyłały się trzy straszliwe twarze.

- Tak?

- Tak. I wszystkie zawołały „Cześć ci...”, a potem zaczęły się kłócić o moje imię. W końcu powiedziały „Wszystko jedno, przyszedł królu, cześć ci”. A jedna zapytała, dokąd ten król ma przyjść. Któraś z dwóch pozostałych zawołała: „Po prostu przyszedł, dziewczyno! Takie właśnie rzeczy powinno się mówić w tej sytuacji,

więc mogłabyś się postarać". Wszystkie się zbliżyły i jedna z nich stwierdziła: Jest trochę chudy. To pewnie przez to zagraniczne jedzenie", a najmłodsza na to: „Nianiu, przecież ci mówiłam, że nie ma żadnej Thespii". Potem sprzeczały się trochę i jedna z tych starszych zapytała: „On nas chyba nie słyszy, prawda? Rzuca się trochę i przewraca z boku na bok", a druga: Jakoś nigdy nie mogłam w niej ustawić dźwięku, Esme". I jeszcze trochę się posprzeczały, wszystko zaszło mgłą i... i wtedy się obudziłem - dokończył niepewnie chłopiec. - To było straszne, bo za każdym razem, kiedy przysuwały się do kuli, ona tak jakby wszystko powiększała i widziałem tylko oczy i nosy.

Hwel podciągnął się na brzeg wąskiego łóżka.

- Zabawna rzecz, takie sny - stwierdził.

- W tym nie było nic zabawnego.

- Nie, ale wiesz, zeszłej nocy przyśnił mi się taki niski, krzywonogi człowieczek. Miał na głowie mały czarny kapelusz i szedł tak, jakby w butach miał pełno wody.

Tomjon uprzejmie pokiwał głową.

- Tak? I co?

- To już wszystko. I nic. Miał taką laseczkę, którą kręcił i... no wiesz... to było niesamowicie...

Głos krasnoluda ucichł z wolna. Na twarzy Tomjona pojawił się wyraz uprzejmego i lekko pobłażliwego zdziwienia. Ten wyraz Hwel umiał już rozpoznawać i się go lękać.

- W każdym razie było to bardzo zabawne - dokończył, w części do siebie. Wiedział, że nigdy nie przekona reszty zespołu. Jeśli nie ma w tym tortu, twierdzili, to nie jest śmieszne.

Tomjon zsunął nogi z łóżka i sięgnął po spodnie.

- Już nie zasnę - oznajmił. - Która godzina?

- Po północy. Wiesz, co twój ojciec mówi, kiedy za późno kładziesz się do łóżka.

- Wcale się nie kładę. - Tom wciągnął buty. -Ja tylko wcześniej wstaję. Wczesne wstawanie jest bardzo zdrowe. A teraz wychodzę, żeby zdrowo się czegoś napić. Możesz iść ze mną - dodał. - Żeby mnie przypilnować. I

Hwel przyjrzał mu się z powątpiewaniem.

- Wiesz także, co twój ojciec mówi o piciu - rzekł.

- Wiem. Powiedział, że kiedy był młody, robił to bez przerwy. Mówił, że zupełnie spokojnie potrafił żłopać piwo przez całą noc, wracać do domu o piątej rano i rozbijać okna. Mówił też, że był prawdziwym zawadiaką; nie to co dzisiejsze wymoczki, które nie potrafią utrzymać w sobie tego, co wypiją. - Tomjon poprawił przed lustrem dublet i dodał: - Wiesz, Hwel, odpowiedzialne zachowanie to coś, co przychodzi z wiekiem. Jak żylaki.

Hwel westchnął. Tomjon miał legendarną pamięć do nie przemyślanych uwag.

- No dobrze - zgodził się. - Ale tylko po jednym. W jakimś przyzwoitym miejscu.

- Obiecuję. - Tomjon założył kapelusz. Miał w nim piórko. - A przy okazji: jak się żłopie?

- To chyba znaczy, że większość się rozlewa.

Jak woda w rzece Ankh była gęściejsza i objawiająca więcej charakteru od zwykłej rzecznej wody, tak i atmosfera w Załatonym Bębnie była cięższa od zwykłej. Przypominała suchą mgłę.

Tomjon i Hwel obserwowali, jak wylewa się na ulicę. Drzwi otworzyły się gwałtownie i jakiś człowiek wyszedł przez nie tyłem, nie dotykając właściwie gruntu, dopóki nie uderzył o mur po drugiej stronie ulicy.

Olbrzymi troll, zatrudniany przez właścicieli lokalu do pilnowania porządku, wywłókł jeszcze i rzucił na bruk dwa bezwładne ciała, kopiąc przy tym raz czy dwa w co bardziej miękkie miejsca.

- Myślę, że to właściwe miejsce dla zawadiaków. Jak sądzisz? - zapytał Tomjon.

- Na to wygląda - mruknął Hwel.

Zadrżał. Nie cierpiał tawern. Ludzie zawsze stawiali mu kufle na głowie.

Wśliznęli się do wewnątrz, gdy troll, w poszukiwaniu ukrytych drogocенności, potrząsał trzymanym za nogę pijakiem.

Picie w Bębnie porównywano do nurkowania w bagnie. Tyle że w bagnie aligatory nie opróżniają najpierw kieszeni ofiary. Dwieście oczu obserwowało nowo przybyłych, przeciskających się w stronę baru, setka ust znieruchomiła w trakcie picia, przeklinania i błagania, dziewięćdziesiąt dziewięć czoł zmarszczyło się w wysiłku ustalenia, czy przybysze należą do kategorii A, ludzi, których należy się bać, czy

B, ludzi, którzy powinni się bać.

Tomjon przeszedł między klientami, jakby był właścicielem lokalu. Z typową dla młodych brawurą zastukał w kontuar. Brawura nie była cechą zwiększającą szansę przeżycia pod Załatany Bębem.

- Dwa kufle najlepszego piwa, karczmarzu! - zawołał głosem tak idealnie dobranym, że nim jeszcze ucichło echo słów, zdumiony barman posłusznie nappełnił pierwszy kufel.

Hwel podniósł głowę. Po prawej stronie stał niezwykle potężny mężczyzna, noszący na sobie zewnętrzne części ciał kilku solidnych byków i dość łańcuchów, by przycumować okręt. Miał twarz wyglądającą niczym plac budowy porośnięty włosami. I ta twarz pochylała się nad krasnoludem.

- Niech mnie piekło... - powiedziała. - To przekłeta ozdoba trawnikowa.

Hwel zeszytywniał. Mieszkańcy Morpork byli dość kosmopolityczni, jednak przejawiali swobodny, rzeczowy stosunek do ras niehumanicznych, mianowicie tłukli je cegłą po głowie i wrzucali do rzeki. Nie dotyczyło to trollów, ma się rozumieć. Trudno jest żywić rasowe uprzedzenia wobec istot mających siedem stóp wzrostu i potrafiących przegryzać mury. W każdym razie trudno je żywić długo. Ale istoty wzrostu trzech stóp były wręcz stworzone do dyskryminacji.

Olbrzym postukał Hwela w czubek głowy.

- Gdzie twoja wędka, ozdobo trawnikowa? - zapytał. Barman pchnął kufle po mokrym kontuarze.

- Proszę - rzucił ze złośliwym uśmiechem. - Jeden kufel. I jedno pół kufła.

Tomjon otworzył już usta, by przemówić, ale Hwel szturchnął go ostrzegawczo w kolano. Nie przejmować się, nie przejmować, wymknąć się jak najszybciej, to jedyny sposób...

- A gdzie twoja spiczasta czapeczka? - spytał brodac. Sala ucichła. Zapowiadało się niezłe przedstawienie.

- Pytałem, gdzie twoja czapeczka, gapciu? Barman sięgnął pod ladę i na wszelki wypadek ścisnął leżącą tam pałkę nabijaną gwoździemi.

- Ehem... - powiedział.

- Mówiłem do tej ozdoby trawnikowej. Mężczyzna chwycił swój kufel i powoli wylał resztki na głowę krasnoluda.

- Nie będę tu więcej pijał - mruknął, kiedy to również nie przyniosło skutku. - Nie dość, że wpuszczają tu małpy, to jeszcze kurdupli...

Cisza w tawernie nabrała nowej intensywności. Zwykły odsuwany stółek rozbrzmiewał niczym zgrzyt zagłady. Wszystkie oczy spojrzały w drugi koniec sali, gdzie siedział jedyny klient Załatanego Bębna, zaliczający się do kategorii C.

To, co Tomjon wziął za stary worek oparty o ladę, wyciągnęło ręce i... i drugie ręce, tyle że to były nogi. Smętne, giętke oblicze zwróciło się do mówiącego z wyrazem melancholijnym niczym

mgły ewolucji. Zabawne wargi się rozsunęły. Ale w zębach nie było już absolutnie nic zabawnego.

- Ehem... - powtórzył barman, przestraszony dźwiękiem własnego głosu w tej straszliwej małpiej ciszy. - Na pewno nie to chciałeś powiedzieć, prawda? Nie o małpach, prawda? Właściwie nie, prawda?

- Co to jest, do licha? - syknął Tomjon.

- Myślę, że to orangutan - odparł Hwel. - Małpa.

- Małpa to małpa - stwierdził brodacz, co słysząc kilku bardziej przewidujących klientów Bębna zaczęło przesuwać się do drzwi. - Znaczy: co z tego? Ale przekłete ozdoby trawnikowe...

Pięść Hwela uderzyła na poziomie krocza.

Krasnoludy mają reputację straszliwych wojowników. Każda rasa istot trzystopowego wzrostu, która preferuje topory i rusza do bitwy jak do konkursu drwali, wkrótce staje się znana. Jednak lata pracy piórem zamiast młotem zmniejszyły nieco siłę jego ciosów. I pewnie zakończyłby tu swój żywot, gdyż wielkolud wrzasnął i wyrwał miecz zza pasa, gdyby para delikatnych, skórzastych dłoni natychmiast mu go nie wyrwała i z niewielkim tylko wysiłkiem nie zgięła wół¹⁶.

Kiedy olbrzym warknął i odwrócił się, ramię przypominające pęk kijów od miotły ściągniętych gumą i porośniętych rudą sierścią rozwinęło się po skomplikowanej krzywej i trzepnęło go w szczękę z taką siłą, że uniósł się na kilka cali i wyładował na stole.

Stół uderzył w sąsiedni stół i przewrócił parę ław. Impet okazał się wystarczający, by doprowadzić do wybuchu mocno już spóźnionej bójki, zwłaszcza że wielkolud przyszedł z kolegami. Ponieważ nikt nie zdradzał ochoty do atakowania

¹⁶ W tym miejscu czytelnikom należy się wyjaśnienie. Bibliotekarz magicznego księgozbioru Niewidocznego Uniwersytetu zmienił się w orangutana kilka lat wcześniej, w wyniku magicznego wypadku w tej podatnej na wypadki akademii. Od tego czasu stanowczo się sprzeciwia! wszelkim płynącym z dobrego serca próbom przemienienia go na powrót w człowieka. Przede wszystkim dłuższe ręce i chwytne stopy ułatwiały pracę na wyższych półkach, a bycie małpą sprawiało, że nie musiał się przejmować sprawami ducha. Ponadto z satysfakcją odkrył, że nowe ciało - choć pozornie przypominające gumowy worek pełen wody - dawało mu trzy razy większą siłę i dwukrotnie większy zasięg ramion niż stare.

małpy, która sennie porwała z półki butelkę i odbiła dno o kontuar, klienci walili tego, kto stał najbliżej. Dla zasady. Tak nakazuje etykieta podczas bójk w tawernie.

Hwel wszedł pod stół i pociągnął za sobą Tomjona, który przyglądał się z zaciekawieniem.

- Więc to robią zawadiacy... Zawsze się zastanawiałem...

- Myślę, że rozsądnie byłoby teraz wyjść - stwierdził stanowczo krasnolud. - Zanim, no wiesz... zanim zaczną się kłopoty.

Huknęło - to ktoś wylądował na stole nad nimi. Brzęknęło tłuczone szkło.

- Myślisz, że to prawdziwe zawadiactwo, czy tylko zabawa? - spytał z uśmiechem Tomjon.

- Za chwilę to będzie mord, mój chłopcze. Tomjon skinął głową i wyczołgał się w sam środek bitwy. Hwel usłyszał, jak uderza czymś o kontuar i krzyczy, prosząc o ciszę. W panice zakrył głowę rękami.

- Ja nie chciałem... - zaczął.

Wołanie o ciszę w trakcie bójk w tawernie było wydarzeniem tak rzadkim, że ciszy Tomjon się doczekał. I ciszę wypełnił.

Hwel drgnął, słysząc, jak rozbrzmiewa głos chłopca, pełen pewności siebie i emocji pierwszej klasy.

- *Bracia! Ale czy braćmi nazwać mogę was wszystkich, kiedy tej nocy...*

Krasnolud wysunął głowę. Zobaczył Tomjona na stołku, z ręką wyciągniętą przed siebie w klasycznej pozie deklamacyjnej. Ludzie wokół znieruchomieli w akcie spuszczenia sobie nawzajem solidnego lania. Wszyscy patrzeli na chłopca.

W dole, na poziomie blatu, wargi Hwela poruszały się w doskonałej synchronizacji ze słowami Tomjona, gdy recytował znajomą mowę. Krasnolud zaryzykował jeszcze jedno spojrzenie.

Walczący wyprostowali się, wypięli piersi, poprawili tuniki, popatrzyli na siebie przepraszając. Wielu z nich wręcz stanęło na baczność.

Nawet Hwel poczuł, jak wrze mu krew, a przecież sam pisał te słowa. Męczył się nad nimi pół nocy, wiele lat temu, kiedy Vitoller poinformował, że potrzebuje dodatkowych pięciu minut w trzecim akcie *Króla Ankh*.

- Nagryzmol nam coś, co dodaje ducha - powiedział. - Trochę odwagi, woli walki. No wiesz. Żeby rozgrzać krew i dodać godności naszym przyjaciołom ze zniżkowych miejsc. I dość długie, żebyśmy zdążyli zmienić dekoracje.

Hwel wtedy trochę się wstydził tej sztuki. Sławna bitwa pod Morpork, jak

podejrzewał, składała się z około dwóch tysięcy ludzi zagubionych na mokradłach w zimny, wilgotny dzień i rąbiących się nawzajem zardzewiałymi mieczami. Co by powiedział ostatni król Ankh bandzie obdartych żołnierzy, wiedzących, że są okrażeni, a wróg ma przewagę liczebną i taktyczną? Coś z zębem, coś ostrego, coś jak łyk brandy dla konającego; żadnej logiki, żadnych wyjaśnień, tylko słowa, które potrafią sięgnąć wprost do mózgu zmęczonego żołnierza, szarpnąć za jądra i postawić na nogi.

A teraz widział skutek.

Zaczynało mu się wydawać, że ściany runęły, że zimna mgła sunie nad mokradłami, dusi wszelkie głosy i słysząc tylko niecierpliwe wrzaski ścierwojadów...

I ten głos.

Sam napisał te słowa, były jego, żaden na wpół obłąkany król nigdy tak nie mówił. Napisał je, żeby wypełnić przerwę, wepchnąć za zasłonę zamek z malowanej derki na drewnianym rusztowaniu. A ten głos zdzierał z jego słów pył węgla i wypełniał salę diamentami.

Ja stworzyłem te słowa, myślał Hwel. Ale nie do mnie należą. Są jego.

Popatrzcie tylko na tych ludzi. U żadnego z nich nawet nie błysnie myśl o patriotyzmie. Ale gdyby Tomjon ich poprosił, ta banda pijaków poszłaby do szturm na pałac Patrycjusza. I pewnie by go zdobyła.

Mam nadzieję, że jego usta nigdy nie wpadną w niewłaściwe ręce...

Kiedy ucichły ostatnie sylaby, gorącym echem wypalając ślad w każdym umyśle na sali, Hwel otrząsnął się, wyczołgał z ukrycia i stuknął Tomjona w kolano.

- Chodźmy stąd, głuptasie - szepnął. - Zanim przestanie działać.

Mocno chwycił chłopca za rękę, wręczył oszołomionemu barmanowi dwa bezpłatne bilety na przedstawienie i ruszył do wyjścia. Zatrzymał się dopiero na sąsiedniej ulicy.

- Chyba całkiem dobrze sobie poradziłem? - spytał Tomjon.

- Chyba aż za dobrze. Chłopiec zatarł ręce.

- Świetnie. A gdzie pójdziemy teraz?

- Jeszcze nie masz dość?

- Noc jeszcze młoda!

- Nie. Noc jest już martwa. To dzień jest młody - odparł pośpiesznie krasnolud.

- W każdym razie ja jeszcze nie wracam. Nie znasz jakiegoś bardziej gościnnego miejsca? Przecież nawet nic nie wypiliśmy. Hwel westchnął.

- Tawerna trolli - mówił dalej Tomjon. - Słyszałem o nich. Podobno jest jedna na Mrokach¹⁷. Chciałbym obejrzeć tawernę trolli.

- One są tylko dla trolli, chłopcze. Płynna lawa do picia, muzyka dla kamiennego ucha i kamienie o smaku serowym.

- A bary krasnoludów?

- Nie spodobałyby ci się - zapewnił z przekonaniem Hwel. - Poza tym nie mógłbyś się wyprostować.

- Tak nisko?

- Spójrz na to z innej strony: pomyśl, jak długo potrafiłbyś śpiewać o złocie?

- Jest żółte i brzeczy zdrowo, i można za nie kupować - zaczął na próbę Tomjon. Przeciskali się przez tłum na placu Pękniętych Księżyców. - Jakies cztery sekundy.

- Właśnie. Przez pięć godzin musiałbyś się powtarzać.

Hwel ponuro kopnął kamyk. Za poprzedniego pobytu w mieście odwiedził kilka barów krasnoludów i mu się nie podobały. Z jakiegoś powodu jego pobratymcy, którzy w domu nie robili nic bardziej naganego niż kopanie rud żelaza, i polowanie na małe zwierzęta, w mieście czuli się zobowiązani do noszenia kolczug zamiast bielizny, paradowania z toporami za pasem i przedstawiania się takimi imionami jak na przykład Timkin Grzmiące Trzewia. No i nikt nie mógł pokonać miejskich krasnoludów w żłopaniu. Czasami w ogóle nie trafiali do ust.

- Zresztą - dodał - wyrzuciliby cię, bo jesteś zanadto kreatywny. Słowa brzmią: „Złoto, złoto, złoto, złoto, złoto, złoto”.

- A jest refren?

- „Złoto, złoto, złoto, złoto, złoto”.

- Opuściłeś „złoto”.

- Tak, bo chyba nie jestem stworzony na krasnoluda.

- Jesteś stworzony na ozdobę trawnikową - stwierdził Tomjon. Hwel z sykiem wciągnął powietrze.

- Przepraszam - powiedział szybko Tomjon. - Myślałem, że ojciec...

- Znam twojego ojca od bardzo dawna - odparł Hwel. - Byliśmy razem w dobrych i złych chwilach, a tych złych było o wiele więcej niż dobrych. Zanim się uro... - Zawahał się. - To były trudne czasy - wymamrotał. - Co chciałem

¹⁷ Mroki to historyczna część Ankh-Morpork, uznawana za znacznie bardziej niegościnną i o znacznie gorszej reputacji niż reszta miasta. Zawsze zdumiewa to przyjezdnych.

powiedzieć... Na pewne rzeczy trzeba zapracować.

- Tak. Przepraszam.

- Widzisz, to... - Hwel zatrzymał się u wylotu ciemnej uliczki. - Słyszałeś coś?

Zajrzeli w głąb zaułka, po raz kolejny demonstrując, że niedawno przybyli do miasta. Morporkianie nie zaglądają do zaułków, kiedy słyszą dziwne odgłosy. Kiedy widzą cztery ruchliwe postacie, instynkt nie pcha ich do pomocy, a w każdym razie nie do pomocy temu, który przegrywa i znajduje się z niewłaściwego końca czyjegoś buta. Ani nie krzyczą „Hej!” A przede wszystkim nie robią zdziwionej miny, kiedy napastnicy - zamiast uciekać w zawstydzeniu - okazują im niewielki kartonik.

- Co to jest? - spytał Tomjon.

- To klaun! - zawołał Hwel. - Napadli klauna!

- Licencja Złodziejska? - Tomjon obejrzał kartonik przy świetle.

- Tak jest - potwierdził przywódca trójki. - Tylko nie liczcie, że was też załatwimy. Wracamy już do domu.

- Zgadza się - dodał jeden z pomocników. - To przez to coś... kwotę.

- Przecież go kopaliście!

- Nie, nie bardzo. Nie nazwałbym tego prawdziwym kopaniem.

- Raczej trącanie stopą i tyle - dodał trzeci złodziej.

- Każdemu co mu się należy. On też solidnie przyłożył Ronowi, prawda?

- Właśnie. Niektórzy nie umieją się zachować.

- Wy bezduszne... - zaczął Hwel.

Tomjon ostrzegawczo położył mu dłoń na głowie. Odwrócił w rękę kartonik.

Napis na nim informował:

J.H. „Flanelostopy” Boggis i Bratankowie Dyplomowani Złodzieje

Stara Firma

(Zał. AM 1789)

Wszelakie typy kradzieży wykonywamy Profesjonalnie
i Dizgretnie

Oczyszczanie domów. Czynne 24 godz.

Wykonamy każde zlecenie

PYTAJ O ZNIŻKI RODZINNE

- Chyba jest w porządku - stwierdził z wahaniem. Hwel, który pomagał ofierze wstać, znieruchomiał nagle.

- W porządku?! - ryknął. - Okraść człowieka?!
 - Wystawimy mu kwit, ma się rozumieć - zapewnił Boggis. -Właściwie to miał szczęście, że trafiliśmy na niego pierwsi. Niektórzy z nowych w fachu zupełnie nie mają wyczucia¹⁸.
 - Pastuchy - zgodził się bratanek.
 - Ile ukradliście? - spytał Tomjon.
- Boggis wyjął zza pasa sakiewkę klauna, zajrzał do środka i zbladł.
- Niech to piekło pochłonie - mruknął. Bratankowie zbliżyli się.
 - Ale wpadliśmy...
 - Drugi raz w tym roku, stryju. Boggis spojrzał gniewnie na ofiarę.
 - A skąd miałem wiedzieć? Nie mogłem! Popatrzcie tylko na niego; ile byście się spodziewali przy nim znaleźć? Parę miedziaków, zgadza się? Przecież w ogóle byśmy go nie ruszyli, ale wracaliśmy już do domu. Człowiek chce zrobić komuś przysługę i co z tego ma?
 - A ile miał? - zainteresował się Tomjon.
 - To musi być ze sto srebrnych dolarów! - jęknął Boggis i machnął sakiewką. - Przecież to nie moja skala! Nie moja klasa! Nie dam sobie rady z takimi pieniędzmi. Żeby tyle kraść, trzeba być w Gildii Prawników albo co. Przekroczyłem swoją kwotę.
 - Więc mu oddaj - zaproponował chłopiec.
 - Ale wypisałem pokwitowanie!
 - One wszystkie mają, no wiesz, takie numerki - wyjaśnił młodszy z bratanków.
 - Gildia potem sprawdza, tak jakby... Hwel chwycił Tomjona za rękę.
 - Przepraszam na moment - rzucił załamanemu złodziejowi i pociągnął chłopca na drugą stronę ulicy.
 - No dobra - rzekł. - Kto tu zwariował? Oni? Ja? Ty? Tomjon wytłumaczył.
 - To jest legalne?
 - W pewnym sensie. Fascynujące, prawda? Jakiś człowiek w oberży mi o tym

¹⁸ Stosowany w Ankh-Morpork godny zazdrości system licencjonowanych przestępców powstał przede wszystkim dzięki obecnemu Patrycjuszowi, lordowi Vetinari. Doszedł on do wniosku, że jedynym sposobem zapewnienia spokoju w mieście z milionem mieszkańców jest uznanie rozmaitych gangów i gildii złodziejskich, nadanie im profesjonalnego statusu, zapraszanie przywódców na wystawne bankiety, zezwolenie na rozsądny poziom przestępczości, po czym obarczenie przywódców gildii odpowiedzialnością za jego przestrzeganie, pod karą utraty nowo nabytych praw obywatelskich wraz ze sporą częścią skóry. Udało się. Przestępcy, jak się okazało, tworzyli znakomite siły policyjne. Nieautoryzowani złodzieje przekonywali się szybko, że zamiast jednej nocy w celi czeka ich raczej wieczność na dnie rzeki. Pozostał jednak problem rozdziału przestępstw i statystyki. Powstał więc złożony system rocznych budżetów, pokwitowań i koncesji gwarantujący, że a) każdy członek gildii uzyskuje godziwy dochód i b) żaden z obywateli nie zostanie napadnięty więcej niż ustaloną liczbę razy. Wielu przewidujących mieszkańców wręcz starało się zostać ofiarami odpowiedniego minimum kradzieży, napadów itp. na początku roku finansowego, często w zaciszu własnego domu. To pozwalało im przez resztę roku bezpiecznie chodzić po ulicach. Wszystko działało niezwykle regularnie i skutecznie, co jeszcze raz dowodzi, że

opowiadał.

- Ale ten tutaj ukradł za dużo?

- Na to wygląda. Jak rozumiem, Gildia bardzo surowo przestrzega przepisów.

Ofiara napadu jęknęła cicho. I zabrzęczała.

- Przypilnuj go - powiedział Tomjon. - A ja wszystko załatwię.

Wrócił do wyraźnie zmartwionych złodziei.

- Mój klient uważa - oświadczył - że sytuacja mogłaby zostać rozwiązana, gdybyście zwrócili mu pieniądze.

- Tak... - Boggis traktował ten pomysł jak całkiem nową teorię kreacji kosmosu. - Ale pokwitowanie, rozumiesz, musimy je wypełnić, czas, miejsce, podpisy i wszystko...

- Mój klient sądzi, że moglibyście ewentualnie okraść go, powiedzmy, z pięciu miedziaków - zaproponował gładko Tomjon.

- Wcale tak nie sędzę, do licha! - wrzasnął Błazen, który powoli wracał do siebie.

- Co oznacza dwa miedziaki jako zysk firmy plus koszt trzech miedziaków za czas, opłaty...

- Zużycie pałki - dodał Boggis.

- Właśnie.

- Przyzwóicie. Bardzo przyzwóicie. - Boggis spojrzał nad głowę Tomjona na Błazna, który był już całkiem przytomny i bardzo zły. - Wyjątkowo przyzwóicie - powtórzył głośno. - Dyplomatycznie. Bardzo zobowiązany... - Przyjrzał się Tomjonowi. - A może coś dla szlachetnego pana? - zaproponował. - W tym miesiącu mamy specjalną ofertę na CUG. Praktycznie bezbolesne. Nic pan nie poczuje.

- Prawie nie przebija skóry - dodał starszy bratanek. - A do tego wybór kończyny.

- W tej dziedzinie zostałem już dobrze obsłużony - zapewnił Tomjon.

- Aha. No tak. Cóż, w tej sytuacji... Nie ma sprawy.

- Pozostaje tylko - podjął Tomjon, gdy złodzieje zaczęli się oddalać - kwestia opłat prawnych.

Delikatna szarość u kikuta nocy zalewała całe Ankh-Morpork. Tomjon i Hwel

siedzieli naprzeciw siebie przy stole w swojej kwaterze i liczyli.

- Według mnie trzy srebrne dolary i osiemnaście miedziaków zysku - stwierdził Tomjon.

- To zdumiewające - oświadczył Błazen. - Znaczy się to, jak zaproponowali, że pójdą do domu i przyniosą pieniądze... Kiedy wygłosiłeś do nich mowę o prawach człowieka.

Jeszcze raz posmarował maścią głowę.

- A ten najmłodszy się rozplakał - dodał. - Niewiarygodne.

- To przechodzi - uspokoił go Hwel.

- Jesteś chyba krasnoludem?

Hwel uznał, że nie może zaprzeczyć.

- Domyślam się, że jesteś błaznem - rzekł.

- Tak. To te dzwonki, prawda? - spytał zmęczonym głosem Błazen i rozmasował żebra.

- Tak, dzwonki też. - Tomjon uśmiechnął się krzywo i kopnął Hwela pod stołem.

- Jestem wam bardzo wdzięczny - zapewnił Błazen. Wstał i skrzywił się. - Naprawdę chciałbym się jakoś odwdziżyć. Jest tu jakaś otwarta gospoda?

Tomjon stanął obok niego przy oknie i wskazał ulicę.

- Widzisz wszystkie te szyldy gospod?

- Tak. O rany, są ich setki...

- Zgadza się. A widzisz ten na końcu, taki niebiesko-biały?

- Tak, chyba tak.

- No więc o ile wiem, to jedyna w okolicy, którą w ogóle czasem zamykają.

- Proszę więc, pozwól zaprosić się na drinka. Przynajmniej tyle mogę zrobić. I jestem pewien, że twój mały przyjaciel też chciałby coś wyłopać.

Hwel ścisnął krawędź blatu i otworzył usta, by ryknąć.

I znieruchomiał.

Patrzył na obu, Błazna i Tomjona. Usta wciąż miał otwarte.

Zamknął je z trzaskiem.

- Coś się stało? - zatroskał się Tomjon.

Hwel odwrócił głowę. Miał za sobą ciężką noc.

- Zwyczajne złudzenie - mruknął. - Chętnie bym się czegoś napił - dodał. - Z przyjemnością ożłopię się jak wściekły. Właściwie, pomyślał, po co się bronić?

- Wytrzymam nawet śpiewy - stwierdził.

- Jakie było następne słowo? - Chyba „złoto”.

- Aha.

Hwel zajrzał niepewnie do kufła. Pijaństwo miało swoje zalety: zatrzymywało fale natchnienia.

- I opuściłeś „złoto” - dodał.

- Gdzie? - zdziwił się Tomjon. Miał na głowie błazeńską czapkę.

Hwel zastanowił się.

- Mam wrażenie - stwierdził w skupieniu - że między „złotem” a „złotem”. I uważam... - Raz jeszcze zajrzał do kufła. Był pusty: przerażający widok. - Uważam...

- spróbował znowu, aż wreszcie zrezygnował i wygłosił kwestię zastępczą: - Uważam, że wypiłbym jeszcze jeden.

- Kolej na mój krzyk - oświadczył Błazen. - Cha, cha, cha. Mój pisk. Cha, cha, cha.

Spróbował wstać i uderzył głową w sufit.

W półmroku tuzin toporów zostało ujęte mocniej. Ta część Hwela, która była jeszcze trzeźwa i przerażona widząc, że reszta jest pijana, kazała mu pomachać ręką w stronę oczu, spoglądających na nich spod ściągniętych brwi.

- Wszystko w porządku - oznajmił barowi w całości. - On nie chciał... To bardzo zabawny ten... głupek. Błazen. Bardzo zabawny Błazen aż z... skądś tam.

- Z Lancre - odpowiedział Błazen i usiadł ciężko na barze.

-Właśnie. Daleko jechał skądś tam, brzmi to jak choroba stóp. Nie umie się zachować. Nie zna krasnoludów.

- Cha, cha, cha - powiedział Błazen, trzymając się za głowę. - Tam skąd pochodzę, ich liczba jest dosyć... dosyć... niska!

Hwel poczuł, że ktoś stuka go w ramię. Odwrócił się i spojrzał na surowe, obrośnięte oblicze pod stalowym hełmem. Krasnolud podrzucał znacząco siekierkę.

- Poradź swojemu przyjacielowi, żeby był trochę mniej zabawny - poradził. - Albo będzie bawił demony w piekle. Hwel przyjrzał mu się poprzez alkoholowy opar.

- Kim jesteś? - zapytał.

- Grabpot Gromowy Dech - odparł krasnolud, uderzając pięścią o kolczugę na piersi. - I powiadam... Hwel przyjrzał się bliżej.

- Zaraz... Ja cię znam! - zawołał. - Masz manufakturę kosmetyków przy Hobfast. W zeszłym tygodniu kupowałem u ciebie podkład.

Cień paniki przemknął po twarzy Gromowego Dechu. Pochylił się do Hwela.

- Ciszej, ciszej - szepnął.

- Zgadza się. Było tam napisane: Wytwórnia Elfickich Perfum Oraz Rózu i S-ka.

- Świetny towar - oświadczył Tomjon, próbując powstrzymać ześlizgiwanie się z wąskiej ławy. - Zwłaszcza numer 19, Trupia Zieleń. Ojciec przysięga, że jest najlepszy. Pierwsza klasa.

Krasnolud w zakłopotaniu zważył w ręku broń.

- No... Właściwie... - powiedział. - Och. Ale... Tak. Dziękuję. Wyłącznie najlepsze ingrediencje, gwarantowane.

- Tym je siekasz, co? - wtrącił z niewinną miną Hwel, wskazując topór. - Czy może masz dzisiaj wolne?

Brwi Gromowego Dechu zjeżyły się znowu niby zjazd karaluchów.

- Zaraz, czy wy jesteście z teatru?

- To właśnie my - potwierdził Tomjon. - Wędrowni aktorzy. Nie, stojący w miejscu aktorzy - poprawił się. - A teraz zjeżdżający z ławy aktorzy.

Krasnolud upuścił topór i usiadł. Nagły entuzjazm złagodził jego surową twarz.

- Byłem w zeszłym tygodniu - powiedział. - Bardzo mi się podobało. Była taka dziewczyna i ten chłopak, ale ona wyszła za tego starucha, a potem był jeszcze jeden, i powiedzieli, że nie żyje, więc

ona uciekła i wypita truciznę, ale później się okazało, że ten jeden był naprawdę tym drugim, ale nie mógł jej powiedzieć, bo... - Gromowy Dech przerwał i wytarł nos. - Bardzo tragiczne. Płakałem przez całą drogę do domu. Nie wstydzę się wam przyznać. Była taka blada.

- Numer 19 i warstwa pudru - oznajmił wesoło Tomjon. - I trochę brązowego cienia do powiek.

- Co?

- I parę chustek pod kamizelką - dodał.

- O czym on mówi? - zwrócił się krasnolud do towarzyszy. Hwel uśmiechnął się w głąb kufła.

- Daj im monolog Gretaliny, mały - rzucił.

- Dobra.

Tomjon wstał, walnął głową w sufit, usiadł, po czym w ramach kompromisu ukląkł na podłodze. Przycisnął dłonie do tego, co - przy niewielkiej zmianie chromosomów - byłoby jego łonem.

- *Kłamiesz, zwąc łatem...* - zaczął.

Zebrani krasnoludowie słuchali w milczeniu. Któryś upuścił topór i wszyscy głośno go uciszyli.

- *...i śnieg topnieje. Żegnaj* - zakończył Tomjon. - Wypija fiolkę, upada za blanki. Zejść po drabinie, zdjąć suknię, włożyć kaftan Śmiesznego Strażnika Drugiego, odczekać, wejście z lewej kulisy. *Cóż to, dobry...*

- Chyba wystarczy - przerwał mu Hwel cichym głosem. Kilku krasnoludów roniło łzy do hełmów. Grzmiał chór wycieranych nosów.

Gromowy Dech przetarł oczy chusteczką z kolczugi.

- To najsmutniejsze słowa, jakie w życiu słyszałem - oświadczył. Spojrzał na Tomjona. - Zaraz... - Coś sobie uświadomił. - To mężczyzna. A ja się prawie zakochałem w tej dziewczynie na scenie. - Szturchnął Hwela. - Nie jest on trochę elfem, co?

- Absolutny człowiek - odparł Hwel. - Znam jego ojca. Raz jeszcze przyjrzał się uważnie Błaznowi, który obserwował ich z rozdziawionymi ustami.

Nie, pomyślał. Zwykły przypadek.

- To jest gra - wyjaśnił. - Dobry aktor może być każdym.

Czuł wzrok Błazna, przewiercający mu kark.

- No tak, ale przebierać się za kobietę to już trochę... - mruknął z powątpiewaniem Gromowy Dech.

Tomjon zsunął buty i klęknął na nich, a jego twarz znalazła się na jednym poziomie z obliczem krasnoluda. Przyglądał mu się badawczo przez kilka sekund, po czym przekształcił własne rysy.

I nagle w barze znalazło się dwóch Gromowych Dechów. To fakt, jeden z nich klęczał i najwyraźniej był ogolony.

- Cóż to, coś to! - odezwał się Tomjon głosem krasnoluda.

Pozostali bywalcy lokalu uznali to za prześmieszny dowcip. Mieli raczej niewyrafinowane poczucie humoru. Kiedy zebrali się wokół dziwnej pary, Hwel poczuł delikatne klepnięcie w ramię.

- Wy dwaj jesteście z teatru? - zapytał Błazen, już prawie trzeźwy.

- Zgadza się.

- W takim razie przejechałem pięćset mil, żeby was znaleźć.

Był, jak by zanotował Hwel w didaskaliach, Ten Sam Dzień, Później. Stuki młotków, asystujące narodzinom teatru Disk z jego kolebki rusztowań, uderzały Hwela w głowę i przebijały się na drugą stronę.

Pamiętał, że pili. Tego był pewien. Krasnoludy postawiły im jeszcze wiele kolejek, a Tomjon wcielał się w kolejne postacie. Potem wszyscy poszli do innego baru, który dobrze znał Gromowy Dech, potem do klatchiańskiej jadłodajni, a potem wszystko przesłoniła mgła...

Żłopanie nie szło mu za dobrze. Za dużo alkoholu trafiało do ust.

Sądząc po smaku, jaki w nich czuł, jakaś niewstrzemiężliwa nocna istota także zaliczyła bezpośrednie trafienie.

- Dasz radę? - spytał Vitoller.

Hwel cmoknął wargami, żeby pozbyć się tego smaku.

- Ja myślę - stwierdził Tomjon. - Brzmiało interesująco, kiedy opowiadał. Niedobry król rządzi z pomocą złych czarownic. Burze. Upiorne lasy. Prawowity Następca Tronu staje do Walki na Śmierć i Życie. Błysk Sztyletu. Krzyki i zamieszanie. Zły król ginie. Dobro zwycięża. Biją dzwony.

- Mogę zorganizować deszcz różanych płatków - obiecał Vitoller. - Pewien dobrze znany mi człowiek zdobędzie je za rozsądną cenę.

Hwel bębnił palcami po stole. Uwagę całej trójki ściągał worek srebra, który Błazen wręczył krasnoludowi. Już sama ta kwota wystarczała, by zakończyć budowę Disku. A była mowa o większych sumach. Patronat - tak to brzmiało.

- Zgodzisz się, prawda? - spytał Vitoller.

- Jest w tym coś... - przyznał Hwel. - Ale... sam nie wiem.

- Nie próbuję na ciebie naciskać - zapewnił Vitoller. Trzy pary oczu znowu spojrzały na worek pieniędzy.

- Trochę to podejrzane - stwierdził Tomjon. - To znaczy owszem, Błazen jest raczej przyzwoity. Ale kiedy mówi... To dziwne. Usta wypowiadają słowa, a oczy mówią coś innego. I wolałby, mam wrażenie, żebyśmy uwierzyli oczom.

- Z drugiej strony - wtrącił pospiesznie Vitoller - komu to zaszkodzi? Liczą się sztuki srebra... Hwel podniósł głowę.

- Co? - zapytał sennie.

- Powiedziałem, że liczy się sztuka i gra - wyjaśnił Vitoller.

Znowu zapadła cisza, zakłócana tylko bębnieniem palców Hwela. Worek srebra jakby jeszcze urósł. Wydawało się wręcz, że wypełnia cały pokój.

- Rzecz w tym... - zaczął Vitoller, niepotrzebnie głośno.

- Moim zdaniem... - zaczął równocześnie Hwel. Obaj urwali.

- Ty pierwszy. Przepraszam.

- To nic ważnego. Mów.

- Chciałem powiedzieć, że i tak stać nas na budowę Dysku - stwierdził Hwel.

- Tylko na ściany i scenę. Nic więcej. Nie wystarczy na zapadnię ani na maszynę do opuszczania bogów z nieba. Ani na obrotową scenę, ani na wentylatory do wiatru.

- Kiedyś radziliśmy sobie bez tego - przypomniał Hwel. - Pamiętasz, jak było za dawnych czasów? Mieliśmy tylko parę desek i trochę pomalowanej derki. Ale duch w nas płonął. Kiedy potrzebny był wiatr, sami musieliśmy go zrobić. Oczywiście - dodał ciszej - dobrze by było kupić maszynę do fal. Mam taki pomysł ze statkiem rozbitym na wyspie, gdzie taki...

- Przykro mi. - Vitoller pokręcił głową.

- Przecież mieliśmy tłumy na widowni! - zawołał Tomjon.

- Pewnie, chłopcze. Pewnie. Ale płacili po pół miedziaka. A rzemieślnicy chcą srebra. Jeśli chcieliśmy być bogatymi ludźmi... być bogaci - poprawił się - powinniśmy urodzić się jako stolarze. - Vitoller poruszył się niespokojnie. - I tak już jestem winien Trollowi Chrystofrazowi zbyt wiele.

Hwel i Tomjon wytrzeszczyli oczy.

- To przecież ten, co wrywa ludziom ręce i nogi - szepnął Tomjon.

- Ile mu jesteś winien? - zapytał Hwel.

- Nie ma się czym martwić - zapewnił Vitoller. - Odsetki płacę w terminie. Mniej więcej.

- Tak, ale ile on chce?

- Rękę i nogę.

Krasnolud i chłopiec wpatrywali się w niego ze zgrozą.

- Jak mogłeś postąpić tak...

- Zrobiłem to dla was! Tomjon zasługuje na lepszą scenę, nie powinien rujnować sobie zdrowia sypianiem w wozach, nie znając rodzinnego domu. A ty, mój drogi, też musisz gdzieś osiąść, mieć wszystkie te rzeczy, które mieć powinienes,

zapadnie i... maszynę do fal i tak dalej. Wy mnie na to namówiliście, ale pomyślałem: mają rację. Co to za życie, ciągle w drodze, dwa przedstawienia dziennie dla bandy wieśniaków, a potem chodzić w kółko i nadstawiać kapelusza. Co to za przyszłość? Pomyślałem, że musimy znaleźć sobie jakieś miejsce, porządne, z wygodnymi fotelami dla arystokracji, dla ludzi, którzy nie rzucają na scenę ziemniaków. Powiedziałem sobie: do diabła z kosztami. Chciałem, żebyście...

- Dobrze, dobrze! - wrzasnął Hwel. - Napiszę ją!

- A ja w niej zagram - obiecał Tomjon.

- Pamiętajcie, że was nie zmuszam. To wasza decyzja.

Hwel za stołem zmarszczył czoło. Musiał przyznać, że w historii było kilka niezłych elementów. Na przykład trzy czarownice. Dwie by nie wystarczały, czterech byłoby za dużo. Mogłyby mieszać się w przeznaczenie ludzkości i w ogóle. Dużo dymu i zielone światło. Wiele można osiągnąć z trzema czarownicami. Aż dziw, że nikt dotąd o tym nie pomyślał.

- Czyli mogę powiedzieć temu Błaznowi, że się zgadzamy? - upewnił się Vitoller.

I oczywiście z porządną burzą nie może się nie udać. Miał jeszcze ten numer z duchem, który Vitoller wyciął z *Jak sobie chcecie*, tłumacząc, że nie stać go na muślin. Mógłby też wprowadzić Śmierć. Młody Dafe świetnie by zagrał Śmierć, ucharakteryzowany na białą i w koturnach...

- Mówił, że skąd przyjechał? - zapytał.

- Z Ramtopów - odparł aktor. - Jakieś małe królestwo, o którym nikt nie słyszał. Nazwa brzmi jak choroba płuc.

- Droga tam zajmie miesiące.

- Ale chciałbym pojechać - oświadczył Tomjon. - Tam się urodziłem.

Vitoller spojrzał na sufit. Hwel wbił wzrok w podłogę. Wszystko było lepsze niż patrzeć sobie w oczy.

- Tak przecież mówileś - przypomniał chłopiec. - Kiedy byliście na trasie w górach.

- Tak, ale nie pamiętam gdzie - odparł Vitoller. - Wszystkie te górskie miasteczka wydawały mi się takie same. Więcej czasu spędzaliśmy na przepychaniu wozów przez strumienie i wciąganiu pod górę niż na scenie.

- Mógłbym zabrać paru młodszych chłopaków i zrobilibyśmy sobie wakacje. Wystawilibyśmy stare numery. A i tak byłibyśmy z powrotem na Dzień Duchowego

Ciasta. Ty mógłbyś zostać i pilnować teatru, a my byśmy wrócili na wielkie otwarcie. - Tomjon uśmiechnął się do ojca. - Dobrze by im to zrobiło - stwierdził niewinnie. - Sam mówiłeś, że ci młodzi w ogóle nie wiedzą, co to jest życie aktora.

- Hwel musi jeszcze napisać sztukę - zauważył Vitoller. Hwel milczał. Wpatrywał się w pustkę. Po chwili jego ręka sięgnęła pod dublet i wyjęła plik kartek. Potem zniknęła gdzieś koło pasa, by położyć na stole zakorkowany kałamarz i pęk piór.

Przeglądali się, jak - nie patrząc na nich - krasnolud wygładził papier, otworzył kałamarz, zanurzył w nim pióro, uniósł je - zawisło w powietrzu niby jastrząb czekający na ofiarę - i zaczął pisać.

Vitoller skinął na Tomjona.

Jak najciszej wyszli z pokoju.

Po południu przynieśli pod drzwi tacę zjedzeniem i ryzę papieru.

W porze herbaty taca wciąż była na miejscu. Papier znikł. Kilka godzin później przechodzący członek trupy zameldował, że słyszał krzyk: „To nie może działać! Jest tłem do przodu!” i stuk jakiegoś przedmiotu ciśniętego o ścianę.

W porze kolacji Vitoller usłyszał wołanie o więcej świec i świeże pióra.

Tomjon usiłował wcześniej iść spać, ale sen nie przychodził, spłoszony odgłosami twórczej pasji z sąsiedniego pokoju. Dobiegały stamtąd pomruki o balkonach i czy świat naprawdę potrzebuje maszyn do fal. Reszta była milczeniem, jeśli nie liczyć nieustannego skrobienia pióra.

W końcu Tomjon zasnął. I śnił.

- *Do roboty. Czy tym razem mamy wszystko ?*

- *Tak, Babciu.*

- *Rozpal ogień, Magrat.*

- *Tak, Babciu.*

- *Dobrze. Teraz sprawdzimy...*

- *Wszystko tu spisałam, Babciu.*

- *Umiem czytać, moja droga. Dziękuję ci uprzejmie. Co my tu mamy... „Czarodziejski krąg zawieźmy wkoło kotła, wrzucmy doń zbójczych jądów pełną dłoń...” Co to niby ma być?*

- *Nasz Jason zarznął wczoraj świnię, Esme.*

- Jak dla mnie to całkiem dobre flaki, Gytho. Gdybym miała osądzać, to zostało w nich jeszcze parę solidnych posiłków.

- Babciu, proszę!

- W Klatchu jest wielu głodujących, którzy nie kręciliby na nie nosem, o! co... No dobrze, dobrze. „Kukurydza, soczewica niechaj kocioł ten nasyci”? A co z ropuszykiem?

- Babciu, proszę... Opóźniasz wszystko. Wiesz, że Mateczka była przeciwna zbędnemu okrucieństwu. Białko roślinne to doskonały zamiennik.

- To znaczy, że żabiego oka i bagnistego węża szczęki też nie będzie?

- Nie, Babciu.

- Ani tygrysiej scuchłego trzewa?

- Tutaj.

- Co to jest, do diabła? Wybacz mój klatchiański...

- To jest trzewo tygrysicy. Nasz Wane dostał je u kupca z obcych stron.

- Jesteś pewna?

- Nasz Wane specjalnie pytał, Esme.

- Dla mnie wygląda jak każde inne trzewo. Zresztą niech będzie. „Dalej! żwawo! hasa! hej! Buchaj, ogniu! Kotle, wrz... ”Dlaczego kocioł nie wrze, Magrat!

Tomjon obudził się drżący. Pokój zasłoniła ciemność. Na dworze kilka gwiazd przebijało swymi promieniami miejską mgłę, od czasu do czasu rozlegał się gwizd jakiegoś złodzieja czy rabusia, zajętych swoimi absolutnie legalnymi interesami.

W sąsiednim pokoju panowała cisza, ale chłopiec widział pod drzwiami wąski pasek światła świecy.

Wrócił do łóżka.

Za mętną rzeką Błazen także się obudził. Zatrzymał się w Gildii Błaznów, nie z własnego wyboru, ale po prostu książkę na nic innego nie dał mu pieniędzy. Zresztą sen i tak nie przychodził. Chłodne mury budziły zbyt wiele wspomnień. Poza tym, kiedy wyęczał słuch, słyszał stłumione szlochy i czasem jęki z pokoiów studentów, którzy ze zgrozą rozmyślali o czekającym ich życiu.

Poprawił twardą jak kamień poduszkę i ułożył się, by zapaść w niespokojny sen. Może śnić.

- Dla nadania konsystencji. Ale nie pisze tu, jakiej konsystencji.

- Mateczka Whemper sugerowała, żeby wypróbować to w kubku zimnej wody, jak karmel.

- *Jakiż to pech, że nie przynieśliśmy kubka, Magrat.*
- *Musimy się spieszyć, Esme. Noc już prawie minęła.*
- *Tylko nie miejcie do mnie pretensji, jeśli się coś nie uda. Jak dalej... „Małpi włos... „Kto ma małpi włos?Dziękuję, Gytho, chociaż bardziej mi to wygląda na koci włos. Ale mniejsza z tym. „Małpi włos, potem cykuta”, a jeśli to prawdziwa cykuta, to naprawdę bardzo się zdziwię, „z marchwi sok i język z buta... „Rozumiem, to taki żart...*

- *Proszę, szybciej!*
- *Dobrze, dobrze. „Sowi lot i blask świetlika. Zagotować i niech pyka”.*
- *Wiesz, Esme, to wcale nie jest takie złe.*
- *Przecież tego się nie pije, głupia najczcigodniejsza!*

Tom usiadł na łóżku. To znowu one, te same twarze, kłótlive głosy zniekształcone przez czas i przestrzeń.

Nawet kiedy spojrzał w okno, gdzie światło nowego dnia zalewało miasto, wciąż słyszał głosy dudniące w oddali, jak cichnący z wolna grom...

- *Ja na przykład nie uwierzyłam w ten język z buta.*
- *Ciągle jest strasznie rzadkie. Może trzeba dodać trochę mąki ?*
- *To bez znaczenie. Albo jest już w drodze, albo nie...*

Tomjon wstał i splukał twarz wodą z miski.

Cisza kłębiła się w pokoju Hwela. Tomjon wciągnął ubranie i otworzył drzwi.

Pokój wyglądał, jakby spadł w nim śnieg: wielkie i ciężkie płatki, które spłynęły we wszystkie kąty. Hwel siedział przy swoim niskim stole, z głową złożoną na pliku kartek. Chrapał.

Tomjon przeszedł przez pokój na palcach i podniósł przypadkową kulę zgniecionego papieru. Wygładził kartkę i przeczytał:

KRÓL: Teraz zawieszę moją koronę na tym krzaku, a wy mi powiecie, gdyby ktoś chciał ją ukraść. Dobrze? WIDZOWIE: Tak!

KRÓL: Gdybym tylko mógł znaleźć swojego konika... (Pierwszy Zabójca, wyskakuje zza skały)

PUBLICZNOŚĆ: Za tobą! (Pierwszy Zabójca znika)

KRÓL: Próbujecie żartować z waszego dobrego Króla, wy niegrzeczne...

Potem było mnóstwo skreśleń i wielki kleks. Tomjon odrzucił kartkę i podniósł następną.

KRÓL: Jest li to ~~kaczka~~ ~~nóż~~ sztylet, co za ~~obek~~ ~~z przodu~~ przed sobą widzę z

zwróconą do mnie ku mej dłoni dziobem rąkojeścią?

PIERWSZY MORDERCA: Wierzę, że to nie on. ~~O nie, wcale.~~

DRUGI MORDERCA: Prawdę rzeczesz, panie. ~~O tak, te on!~~

Sądząc po fałdach na papierze, tę kartkę ciśnięto o ścianę wyjątkowo mocno. Hwel wytłumaczył kiedyś Tomjonowi swoją teorię natchnień i wyglądało na to, że tej nocy spadały gęsto jak grad.

Zafascynowany możliwością wejścia w proces twórczy, Tomjon obejrzał jeszcze trzecią zaniechaną próbę:

KRÓLOWA: Na bogów, jakiś głos dochodzi! Może to mąż mój powraca! Szybko, do garderoby i nie czekaj na rozkaz wyjścia!

MORDERCA: Ależ pokojówka twoja wciąż nosi moje pantofle!

POKOJÓWKA (otwierając drzwi): Arcybiskup, wasza wysokość.

KAPŁAN (spod łóżka): Na mą duszę!

(Wrzawa i zamieszanie)

Tomjon zastanawiał się przez chwilę, jak można zamieszać wrzawę. Z wizyt w kuchni pamiętał, że mieszanie zwykle opóźnia wrzenie. Widać Hwel sądził inaczej.

Podkraść się do stołu i bardzo ostrożnie wyciągnął plik kartek spod głowy śpiącego krasnoluda, opuszczając ją delikatnie na poduszkę.

Na pierwszej stronie przeczytał:

~~Verence, Felmet, Wigilia Pomniejszych Bóstw, Noc Długich Noży, Sztyletów Królów, autorstwa Hwela z trupy Vitollera. Komedia Tragedia w ośmiu pięciu, sześciu trzech dziewięciu aktach.~~

Osoby: Felmet, dobry król.

Verence, zły król.

Wethewacs, zła czarownica.

Hogg, także zła czarownica.

Magerat, syrena...

Tomjon przewrócił stronę.

Scena: ~~Bawialnia, Statek na morzu, Ulica w Psedopolis,~~ Burza na wrzosowisku. Wchodzą trzy czarownice...

Chłopiec czytał przez chwilę, po czym zajrzał na koniec.

Szlachetni państwo, to dla was tańczymy. Królowi zdrowia i szczęścia życzymy.

(Wychodzą wszyscy śpiewając tralala itd. Deszcz różanych płatków. Dzwonią dzwony. Bogowie zstępują z niebios, demony wynurzają się z piekieł, wiele hałasu z obrotową sceną itd.)

KONIEC

Hwel chrapał.

W jego snach bogowie powstawali i padali, statki sunęły chytrze i sprytnie po płóciennym morzu, obrazki skakały i zmieniały się w ruchome wizje, ludzie fruwały na linach, a potem bez lin, ogromne okręty iluzji walczyły ze sobą na wyobrażonych niebach, morza rozstępowały się, kobiety przecinano na pół, tysiąc fachowców od efektów specjalnych chichotało i bełkotało bezładnie. A on biegł przez to wszystko, rozkładając w rozpacz ramiona, wiedząc, że nic z tego nie istnieje, że naprawdę ma tylko kilka desek, parę łokci płótna i trochę farby, w które chwytą przyzywające go, szturmujące umysł wizje.

Tylko we śnie jesteśmy wolni. Na jawie musimy się spieszyć.

- To dobra sztuka - pochwalił Vitoller. - Oprócz ducha.
- Duch zostaje - oświadczył posępnie Hwel.
- Ale ludzie zawsze gwizdzą i rzucają czymś na scenę. Poza tym sam wiesz, jak ciężko potem się pozbyć kredowego proszku z kostiumów.
- Duch zostaje. To sceniczna konieczność.
- Mówiłeś, że to sceniczna konieczność w poprzedniej sztuce.
- Bo była.
- I w *Jak sobie chcecie*, i w *Magu z Ankh* i całej reszcie.
- Lubię duchy.

Stali obok siebie i przyglądali się, jak krasnoludzcy rzemieślnicy montują maszynę do fal. Składała się z sześciu długich wrzecion, pokrytych krętymi płóciennymi spiralami malowanymi w odcienie błękitu, zieleni i bieli. Wrzeciona rozciągały się na całą szerokość sceny. System osi i pasów prowadził do koła napędowego za kulisą. Kiedy spirale obracały się równocześnie, ludzie o słabych żo-

ładkach musieli odwracać wzrok.

- Bitwy morskie - szepnął zachwycony Hwel. - Rozbitkowie. Trytony. Piraci!
- Zgrzytające łożyska, chłopcze - stęknął Vitoller i mocniej wsparł się na lasce.
- Koszty obsługi. Nadgodziny.

- Rzeczywiście, wygląda na niezwykle... skomplikowaną - przyznał Hwel. - Kto ją zaprojektował?

- Taki spryciarz z ulicy Chytrych Rzemieślników. Leonard z Quirmu. Właściwie to jest malarzem. Ale zajmuje się takimi rzeczami... To jego hobby. Przypadkiem usłyszałem, że od miesiący pracuje nad taką maszyną. I kupiłem ją natychmiast, kiedy tylko stwierdził, że nie będzie latała.

Patrzeli, jak obracają się sztuczne fale.

- Nadal chcesz jechać? - spytał w końcu Vitoller.
- Tak. Tomjon jest jeszcze trochę dziki. Musi go przypilnować ktoś starszy.
- Będę za tobą tęsknił, chłopcze. Nie wstydzę się przyznać. Zawsze byłeś dla mnie jak syn. A właściwie ile masz lat? Nigdy nie mówiłeś.
- Sto dwa.

Vitoller smętnie pokiwał głową. On miał sześćdziesiąt i artretyzm dawał mu się już we znaki.

- W takim razie byłeś dla mnie jak ojciec - rzekł.
- W końcu wszystko się wyrównuje - stwierdził nieco zakłopotany Hwel. - Połowa wzrostu, dwa razy tyle lat. Można powiedzieć, że średnio żyjemy tak długo jak ludzie.

Aktor westchnął.

- Szczerze mówiąc, nie wiem, co zrobię bez ciebie i Tomjona u boku.
- To tylko na lato. Wielu chłopców zostaje. Właściwie zabieramy tylko uczniów. Sam powiedziałeś, że przyda im się takie doświadczenie.

Vitoller wydawał się zasmucony, a w chłodnym powietrzu na wpeł ukończonego teatru także mniejszy niż zwykle, niczym balon dwa tygodnie po balu. Z roztargnieniem przesunął laską kilka wiórów.

- Starzejemy się, mistrzu Hwelu. A przynajmniej - poprawił się -ja robię się stary, a ty starszy. Słyszeliśmy nieraz północne dzwony.
- To fakt. Nie chcesz, żeby jechał, prawda?
- Z początku byłem cały za tym. Sam wiesz. A potem pomyślałem: to działa przeznaczenie. Akurat kiedy wszystko dobrze się układa, zawsze trafia się jakieś

przekłęte przeznaczenie. Rozumiesz, on właśnie stamtąd pochodzi. Gdzieś z gór. A teraz los wzywa go z powrotem. Już go nie zobaczę.

- Przecież to tylko na lato... Vitoller uniósł dłoń.

- Nie przerywaj mi. Wzięło mnie na świetną dramatyczną mowę.

- Przepraszam.

Stuk, stuk... Laska rozgarniała drewniane wióry, podrzucała je w powietrze.

- Chciałem powiedzieć: wiesz przecież, że nie jest krwią z mojej krwi.

- Ale jest twoim synem - oznajmił Hwel. - Cała ta sprawa z dziedzicznością nie jest znowu tak ważna.

- Ładnie, że mi to mówisz.

- Nie żartuję. Spójrz na mnie. Nie powinienem pisać sztuk. Krasnoludy na ogół nie umieją nawet czytać. Na twoim miejscu nie martwiłbym się tym przeznaczeniem. Moim przeznaczeniem było zostać górnikiem. Przeznaczenie myli się w połowie przypadków.

- Ale sam powiedziałeś, że wygląda jak ten Błazen. Co prawda ja tego nie zauważyłem.

- Światło musi być odpowiednie.

- Może to działa jakieś przeznaczenie?

Hwel wzruszył ramionami. Przeznaczenie bywało zabawne, nie można było mu ufać. Kiedy człowiek... krasnolud... myślał już, że je dopadł, okazywało się czym innym: zbiegiem okoliczności albo wyrokiem opatrności... Można było zaryglować przed nim drzwi, a ono stało za plecami. Kiedy już było przybite, odchodziło z młotkiem.

Często wykorzystywał przeznaczenie. Na narzędzie w dramacie nadawało się nawet lepiej od ducha. Nie ma nic lepszego od przeznaczenia, żeby stara fabuła ruszyła z kopyta. Ale błędem jest wierzyć, że można dostrzec jego kształt. A już wyobrażać sobie, że da się nad nim zapanować...

Babcia Weatherwax spojrzała z irytacją w kryształową kulę Niani Ogg. Kula nie prezentowała się najlepiej, będąc pływakiem do sieci rybackiej, wykonanym z zielonkawego szkła i przywiezionym z obcych stron przez jednego z synów Niani. Zniekształcała wszystko, nie wyłączając - jak podejrzewała Babcia - prawdy.

- Stanowczo wyruszył w drogę - orzekła po chwili. - Na wozie.

- Ognisty biały rumak byłby zdecydowanie lepszy - zauważyła Niania Ogg. - No wiecie. W pięknym czapraku i w ogóle.

- Czy ma czarodziejski miecz? - Magrat wyciągnęła szyję, żeby zobaczyć.

Babcia Weatherwax odsunęła się trochę na bok.

- Wy dwie tylko wstyd przynosicie - oznajmiła. - W głowie się nie mieści: czarodziejskie rumaki, ogniste miecze... Gapicie się jak dwie dziewczki od krów.

- Czarodziejski miecz jest bardzo ważny - zapewniła ją Magrat. - Trzeba go mieć. Mogłybyśmy taki zrobić - westchnęła rozmarzona. - Z żelaza gromu. Znam odpowiednie zaklęcie. Bierze się żelazo gromu - dodała niepewnie - a potem robi się z niego miecz.

- Nie chcę mieć z tym do czynienia - odparła Babcia. - Można całymi dniami czekać, aż to draństwo uderzy, a potem prawie urywa rękę.

- I truskawkowe znamię - dodała Niania Ogg, nie zwracając uwagi na to, że jej przerwano.

Jej dwie koleżanki umilkły z zaciekawione.

- Truskawkowe znamię - powtórzyła. - To jeden z tych elementów, które trzeba mieć, jeśli jest się księciem powracającym, by odebrać swoje królestwo. Żeby wszyscy wiedzieli. Oczywiście nie mam pojęcia, skąd mają wiedzieć, że jest truskawkowe.

- Nie znoszę truskawek - oświadczyła Babcia i znowu spojrzała w kryształ.

W popękanej zielonej głębi, pachnącej dawnymi homarami, maleńki Tomjon ucałował rodziców, uścisnął ręce albo objął resztę członków trupy i wspiał się do pierwszego wozu.

Musiąco zadziałać, powiedziała sobie. Inaczej przecież by nie przyjeżdżał. Ci pozostali to pewnie oddział jego zaufanych towarzyszy. Rozsądnie: ma przed sobą pięćset mil przez niespokojne ziemie. Wszystko może się zdarzyć.

Zbroje i miecze na pewno są w wozach.

Zauważyła u siebie isierkę zwątpienia i natychmiast postarała się ją stłumić. To chyba jasne, że nie ma innego powodu, by tu jechał. Zaklęcie rzuciłyśmy dokładnie tak, jak należy. Wszystko było na miejscu. Z wyjątkiem składników. I większej części poezji. Pora też chyba nie była odpowiednia. A Gytha zabrała prawie wszystko do domu, dla kota, a to na pewno nie jest właściwe.

Ale on jest już w drodze. To, co nic nie mówi, nie kłamie.

- Nakryj kulę, kiedy skończysz, Esme - poprosiła Niania. - Zawsze się boję, że

ktoś będzie mnie podglądał w kąpiele.

- Jest w drodze. - Babcia zarzuciła na kulę kawałek czarnego aksamitu.

Satysfakcja w jej głosie była tak potężna, że wystarczyłaby do mielenia mąki.

- To długa droga - zauważyła Niania. - Wiele może się zdarzyć pomiędzy suknią a szafą. Może spotkać bandytów.

- Przypilnujemy go - zapewniła Babcia.

- Nie powinniśmy. Jeśli ma być królem, musi sam walczyć - rzekła Magrat.

- Nie chcemy, żeby marnował siły - odparła z wyższością Niania. - Ma być sprawny i świeży, kiedy tu dotrze.

- A potem, mam nadzieję, pozwolimy mu toczyć walki po swojemu?

Babcia klasnęła w dłonie.

- Oczywiście - zapewniła. - Pod warunkiem że będzie wygrywał.

Spotkały się w domu Niani Ogg. Kiedy Babcia wyszła przed świtem, Magrat została jeszcze, oficjalnie żeby pomóc przy sprzątanu.

- Co z niewtrącaniem się? - zapytała.

- O co ci chodzi?

- Dobrze wiesz, Nianiu.

- To nie jest prawdziwe wtrącanie się - odparła z zakłopotaniem starsza czarownica. - To tylko pomaganie sprawom toczyć się jak należy.

- Sama w to nie wierzysz.

Niania usiadła i zaczęła bawić się poduszką.

- Widzisz, całe to niewtrącanie się jest dobre w normalnej sytuacji - wyjaśniła. - Łatwo się nie wtrącać, kiedy się nie musi. A potem nagle trzeba się zatroszczyć o rodzinę. Nasz Jason stoczył kilka bójek z powodu tego, co ludzie opowiadali. Naszego Shawna wyrzucili z wojska. I myślę sobie, że kiedy posadzimy na tronie nowego króla, będzie nam coś niecoś winien. To chyba uczciwe.

- Ale w zeszłym tygodniu sama mówiłaś... - Magrat przerwała, zaskoczona tą demonstracją pragmatyzmu.

- Tydzień w magii to bardzo długo. Na przykład piętnaście lat. W każdym razie Esme jest zdecydowana, a ja nie mam ochoty jej przeszkadzać.

- Chcesz powiedzieć, że zasada niewtrącania się to coś w rodzaju złożenia ślubu, że nie będzie się pływać. I absolutnie nigdy nie łamiesz tej przysięgi, dopóki nie znajdziesz się w wodzie?

- Lepsze to niż utonąć - stwierdziła Niania Ogg.

Sięgnęła nad kominek i zdjęła glinianą fajkę, podobną do kotła ze smołą. Zapaliła ją kawałkiem drewna z paleniska. Greebo przyglądał jej się uważnie ze swej poduszki.

Magrat z rozłargnieniem uniosła z kuli zasłonę i spojrzała w głąb.

- Myślę - rzekła - że nigdy nie zrozumieć czarownictwa. Już mam wrażenie, że mi się udało, i wtedy ono się zmienia.

- Jesteśmy tylko ludźmi. - Niania Ogg dmuchnęła błękitnym dymem do komina. - Wszyscy są tylko ludźmi.

- Mogę pożyczyć kryształ? - spytała nagle Magrat.

- Nie krępuj się. - Niania uśmiechnęła się. - Pokłóciłaś się z tym młodym człowiekiem?

- Naprawdę nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Nie widziałam go tu od tygodni.

- Och, księżę posłał go, by... - Magrat urwała nagle, po czym podjęła: - Posłał go po to czy owo. Ale w ogóle mnie to nie obchodzi.

- To widzę. Weź kulę, oczywiście.

Magrat odetchnęła z ulgą, kiedy bez przeszkód wróciła do domu. Nocą i tak nikt nie bywał na wrzosowiskach, ale przez ostatnie kilka miesięcy sprawy układały się coraz gorzej. Poza ogólną podejrzliwością wobec czarownic, sporo ludzi w Lancre, kontaktujących się ze światem zewnętrznym, zaczynało sobie uświadamiać, że albo a) wydarzyło się więcej, niż dotąd słyszeli, albo b) coś się dzieje z czasem. Niełatwo było to wykazać¹⁹, ale kilku kupców, którzy pokonali górskie szlaki od zimy, wyglądało na starszych niż powinni. Co prawda spodziewano się zwykle w Ramtopach niewyjaśnionych zjawisk, a to ze względu na ich wysoki potencjał magiczny, ale znikające w ciągu jednej nocy parę lat to jednak przesada.

Zaryglowała drzwi, zamknęła okiennice i ostrożnie ułożyła zieloną szklaną kulę na kuchennym stole.

Skoncentrowała się...

¹⁹ Z powodu systemu rejestracji czasu w rozmaitych państwach, królestwach i miastach. Jeśli bowiem na obszarze stu mil kwadratowych ten sam rok jest Rokiem Małego Nietoperza, Przewidywanej Małpy, Łownej Chmury, Krów Tłustych, Trzech Jasnych Ogierów i ma przynajmniej dziewięć numerów, określających czas, jaki upłynął od** kiedy rozmaici królowie, prorocy i niezwykle zdarzenia byli koronowani, urodzili się lub nastąpiły, w dodatku każdy rok ma inną liczbę miesięcy, niektóre nie mają tygodni, a jedno z państw nie uznaje dnia jako dopuszczalnej miary czasu, można być pewnym tylko jednego: że dobry seks nigdy nie trwa dość długo***.

** W kalendarzu Teokracji Muntabu lata odlicza się w dół, nie w górę. Nikt nie wie dlaczego, ale nie jest chyba dobrym pomysłem zostać tam, żeby się przekonać.

Błazen drzemał pod namiotem na rzecznej barce, płynącej w górę Ankh ze stałą prędkością dwóch mil na godzinę. Nie była to porywająca metoda podróży, ale w końcu dostarczała człowieka na miejsce.

Zdawało się, że nic mu nie grozi, chociaż rzucał się i wiercił przez sen.

Magrat zastanowiła się, jak to jest, przez całe życie robić to, czego się nie lubi. To jak być martwym pomyślała, tylko gorzej, bo jest się żywym i trzeba to znosić.

Uważała Błazna za człowieka słabego, źle pokierowanego i bardzo potrzebującego mocnego kręgosłupa. Tęskniła za nim. Chciałaby, żeby już wrócił, żeby mogła nie chcieć więcej go oglądać.

Nastąpiło długie, gorące lato.

Nie spieszyli się. Między Ankh-Morpork i Ramtopami leżał spory kawał kraju. Zabawa była - Hwel musiał to przyznać - całkiem dobra. A zabawa nie jest słowem, którego krasno-ludy zbyt często używają.

Jak sobie chcecie podobało się. Jak zawsze. Uczniowie przechodzili samych siebie. Zapominali kwestii, robili żarty. W Sto Lat cały trzeci akt *Gretaliny i Melliasa* odegrali w dekoracjach drugiego aktu *Wojen Magów*, ale nikt jakoś nie zauważył, że najwspanialsza scena miłosna w historii dzieje się na tle fali pływowej zalewającej kontynent. Było to możliwe, ponieważ Tomjon grał Gretalinę. Efekt był tak niepokojący, że Hwel kazał mu zmienić rolę w następnym teatrze, jeśli można tak nazwać wynajętą stodołę. Efekt zgrzytał jak zbroja płytowa razem z hełmem, gdyż rolę Gretaliny zagrał młody Wimsloe, nieco prostoduszny, ze skłonnością do jąkania się i piegami, które pewnie znikną z wiekiem.

Następnego dnia w bezimiennej wiosce pośrodku nieskończonego morza kapusty pozwolił Tomjonowi zagrać Starego Miskina w *Jak sobie chcecie*. W tej roli zawsze błyszczał Vitoller, a nie mógł jej zagrać nikt poniżej czterdziestki, chyba że Stary Miskin miałby nosić poduszkę pod kaftanem i namalowane zmarszczki.

Hwel nie uważał się za starego. W wieku dwustu lat jego ojciec wciąż kopał trzy tony rudy dziennie.

Teraz jednak poczuł się stary. Patrzył, jak Tomjon kuśtyka po scenie i przez jedną chwilę rozumiał, co to znaczy być starym człowiekiem, zakonserwowanym w

*** Z wyjątkiem szczepu Zabingo z Wielkiego Nefu, ma się rozumieć.

winie, prowadzącym wojny, o które nikt już nie dbał. Co to znaczy trzymać się krawędzi późnego średniego wieku w strachu przed runięciem w przepaść starości - ale tylko jedną ręką, ponieważ drugą trzeba pokazywać dwa palce Śmierci. Oczywiście, wiedział to, kiedy pisał te kwestie. Ale nie rozumiał.

Ta sama magia nie przeniknęła jakoś do nowej sztuki. Spróbowali jej kilka razy, tak tylko, żeby zobaczyć, jak pójdzie. Widzowie patrzyli w skupieniu, a potem szli do domu. Nie chciało im się nawet czymś rzucić. Nie uważali tej sztuki za złą. W ogóle za nic jej nie uważali.

Ale przecież znalazły się w niej wszystkie niezbędne składniki. Historia pełna była ludów, które wymierzały złym władcom zasłużoną karę. Czarownice zawsze ściągały publiczność. Rola Śmierci była wyjątkowo udana, z kilkoma świetnymi tekstami. Wystarczyło zmieszać wszystko razem... i składniki jakby się wzajemnie znosiły, stawały prymitywnym sposobem zajęcia na kilka godzin sceny.

Późno w noc, kiedy obsada już spała, Hwel siadał w wozie i gorączkowo poprawiał. Przesłuchiwał sceny, obcinał kwestie, dodawał kwestie, wprowadził klauna, włączył jeszcze jedną bitwę, podregulował efekty specjalne. I wciąż nie było wyników. Sztuka przypominała cudowne, złożone malowidło, ucztę wrażeń z bliska, ale z pewnej odległości już tylko barwną plamę.

Kiedy cząstki natchnienia spadały gęsto, próbował nawet zmienić styl. Wstając rano, aktorzy zwykle znajdowali nieudane eksperymenty, dekorujące trawę wokół wozów niby wyjątkowo odcytane grzyby.

Tomjon zachował jedną z najdziwniejszych prób:

PIERWSZA CZAROWNICA: Spóźnia się.

(Pauza)

DRUGA CZAROWNICA: Obiecał, że przyjdzie.

(Pauza)

TRZECIA CZAROWNICA: Obiecał, że przyjdzie, i nie przyszedł. To moja ostatnia jaszczurka. Zachowałam ją dla niego. A on nie przyszedł.

- Myślę - zwrócił się do Hwela później, przy zwijaniu obozu - że powinienś trochę przystopować. Wykonałeś zamówienie. Nikt nie powiedział, że to musi błyszczeć.

- Ale wiesz, że może. Gdybym tylko zrozumiał, czego brakuje.

- Jesteś całkiem pewien w sprawie tego ducha? - spytał Tomjon.

Rzucił linę w sposób wyraźnie dowodzący, że on nie jest pewien.

- Duchy niczemu nie przeszkadzają - burknął Hwel. - Scena z duchem jest chyba najlepsza, jaką napisałem.

- Zastanawiałem się tylko, czy to odpowiednia dla niej sztuka...

- Duch zostaje. I bierzmy się do roboty.

Dwa dni później, kiedy niebiesko-biały mur Ramtopów zaczął przesłaniać osiowy horyzont, trupa została zaatakowana. Zdarzenie nie było szczególnie dramatyczne. Właśnie przepchnęli wozy przez bród i odpoczywali w cieniu zagajnika, gdy nagle drzewa zaowocowały bandytami.

Hwel zobaczył szereg sześciu poplamionych i zardzewiałych mieczy. Ich właściciele nie mieli chyba pewności, co dalej robić.

- Mamy tu gdzieś pokwitowanie... - zaczął. Tomjon szturchnął go w bok.

- Nie wyglądają na złodziei Gildii - szepnął. - Myślę, że to niezależna grupa.

Miło byłoby powiedzieć, że przywódca rabusiów był czarnobrodym, zawadiackim brutalem z czerwoną chustą na głowie, złotym kolczykiem i podbródkiem, którym można by czyścić garnki. Pokusa takiego opisu jest właściwie nie do odparcia. Tym bardziej że taki był w samej rzeczy. Hwel uznał, że drewniana noga to już może przesada, nie mógł jednak zaprzeczyć, że człowiek ten dobrze przestudiował swoją rolę.

- No, no - odezwał się herszt bandytów. - Cośmy tu spotkali i czy mają jakieś pieniądze?

- Jesteśmy aktorami - odparł Tomjon.

- Co powinno być odpowiedzią na oba pytania - dodał Hwel.

- I żadnych docinków - zaznaczył zbójca. - Bywałem w miastach, bywałem... I potrafię rozpoznać docinki... - Odwrócił się do swoich ludzi i uniósł brew, by zaznaczyć, że następne zdanie będzie dowcipne. - Jeśli nie będziecie posłuszni, też potrafię rzucić kilka uwag... ostrych.

Za nim trwała martwa cisza - dopóki zniecierpliwiony nie machnął jataganem.

- Wystarczy - rzucił, przekrzykując chór niepewnych śmiechów. - Zabierzemy wszystkie drobne, drogocенności, żywność i ubrania, jakie przy was znajdziemy.

- Mogę coś powiedzieć? - spytał Tomjon. Towarzysze odsunęli się od niego.

Hwel uśmiechnął się pod nosem.

- Chcesz prosić o litość, co? - odgadł bandyta.

- Tak jest.

Hwel wbił ręce w kieszenie i spojrzał w niebo, pogwizdując cichutko. Starał się powstrzymać maniacki uśmiech. Domyślał się, że pozostali aktorzy wpatrują się w Tomjona wyczekująco.

Na pewno wygłosi monolog łaski z *Opowieści Trolla*, pomyślał...

- Chciałbym tylko zauważyć, że... - Tomjon zmienił pozę, jego głos zabrzmiał głębiej, prawa ręka wysunęła się w dramatycznym geście. - Wartość człowieka nie leży w czynach zbrojnych ni w głodzie strasliwym rabunku...

Znowu będzie jak wtedy, kiedy próbowali nas okraść w Sto Lat, myślał Hwel. Jeśli zechcą nam oddać miecze, co, u licha, możemy z nimi zrobić? W dodatku to takie krępujące, gdy zaczynają płakać.

W tej właśnie chwili świat wokół nich nabrał zielonkawego odcienia. Hwel miał wrażenie, że na samej granicy słyszalności rozbrzmiewają słowa.

- Tam są ludzie z mieczami, Babciu!

- ...wać klingami błyszczącymi cud tego świata - mówił Tomjon. Głosy z granicy wyobraźni także mówiły.

- Żaden mój król nie będzie nikogo o nic błagał. Podaj ten dzbanek z mlekiem, Magrat.

- ...serce współczucia, pocałunek...

- To prezent od mojej ciotki.

- ...ów klejnot klejnotów i koron koronę. Zapadła cisza. Jeden czy dwóch bandytów szlochało cicho, ocierając oczy pięściami.

- To wszystko? - zapytał herszt.

Po raz pierwszy w życiu Tomjon był całkowicie zaskoczony.

- No... Tak - przytaknął. - Hm... Chciałbyś, żebym powtórzył?

- To była dobra przemowa - pochwalił bandytę. - Ale nie wiem, co ma wspólnego ze mną. Jestem człowiekiem praktycznym. Oddajcie, co tam macie cennego.

Jego miecz uniósł się do poziomu grdyki Tomjona.

- Wy wszyscy! Nie stójcie tam jak idioci! Bo chłopak oberwie. Uczeń Wimsloe podniósł rękę.

- Czego? - spytał herszt.

- Czy... Czy na pewno uważnie pan słuchał?

- Nie będę się powtarzał! Albo zaraz usłyszę brzęk monet, albo wy usłyszycie chlupot krwi!

W rzeczywistości jednak usłyszeli świst wysoko w górze, a potem trzask, kiedy dzbanek z mlekiem, oszroniony po locie na dużej wysokości, runął z nieba prosto na szpic hełmu herszta.

Pozostali napastnicy raz tylko spojrzeli na rezultat i uciekli.

Aktorzy przyglądali się leżącemu bandycie. Hwel szturchnął butem bryłę zamrożonego mleka.

- No, no... - rzekł słabym głosem.

- W ogóle nie zwrócił uwagi... - szepnął Tomjon.

- Urodzony krytyk - wyjaśnił krasnolud.

Dzbanek był niebiesko-biały. To zabawne, że w takich chwilach niektóre szczegóły wbijają się w pamięć. Dzbanek był w przeszłości kilkakrotnie rozbity i starannie posklejany. Ktoś naprawdę go lubił.

- Mieliśmy tu do czynienia - oznajmił Hwel, przywołując na pomoc ostatnie resztki logiki - z jakąś nietypową trąbą powietrzną. Najwyraźniej.

- Przecież dzbanki mleka nie spadają z nieba - zaprotestował Tomjon, demonstrując zadziwiający ludzki talent zaprzeczania temu, co oczywiste.

- Nic o tym nie wiem. Słyszałem o żabach, rybach i kamieniach - odparł Hwel.

- Nic nie wyklucza naczyń kuchennych. To po prostu jeden z niezwykłych fenomenów. W tej części świata zdarzają się cały czas. Nie ma w nich nic niezwykłego.

Wrócili do wozów i ruszyli w nietypowym milczeniu. Młody Wimsloe zebrał wszystkie odłamki dzbanka, jakie znalazł, schował je starannie w skrzyni z rekwizytami i do wieczora obserwował niebo w nadziei na cukiernicę.

Wozy wspinały się na suche zbocza Ram topów - maleńkie pyłki w zamglonym szkle kryształowej kuli. - Nic im nie grozi? - upewniła się Magrat.

- Włóczę się po całej okolicy - odparła Babcia. - Może i potrafią grać, ale sporo musieliby się nauczyć o podróżowaniu.

- To był ładny dzbanek - stwierdziła Magrat. - Teraz już się takiego nie dostanie. Gdybyś powiedziała, co planujesz, to przecież było żelazko na półce.

- Życie to nie tylko dzbanki na mleko.
- U góry był pomalowany w stokrotki. Babcia zignorowała ją.
- Myślę - oznajmiła - że pora już przyrzeć się temu nowemu królowi. Z bliska. Zarechotała.

- Zarechotałaś, Babciu - zauważyła posępnie Magrat.
- Wcale nie! To był... - Babcia szukała właściwego słowa - ...chichot.
- Założę się, że Czarna Aliss też rechotała.
- Musisz uważać, żebyś nie skończyła jak ona - odezwała się Niania Ogg, siedząca przy ogniu. - Na starość zrobiła się trochę dziwna. Zatrutowała jabłka i takie różne...
- Nie wydziwiajcie, zachichotałam, tylko trochę... trochę szorstko - parsknęła Babcia. Czula, że niepotrzebnie stara się bronić. - Zresztą nie ma nic złego w rechotaniu. Byle z umiarem.

- Myślę - rzekł Tomjon - że się zgubiliśmy. Hwel spojrzał na gorące, liliowe wrzosowisko, ciągnące się aż do strzelistych Ramtopów. Nawet w środku lata porce śniegu powiewały z najwyższych szczytów. Był to pejzaż opisanego piękna.

Pszczoly pracowały pilnie - a przynajmniej starały się wyglądać i brzęczeć, jakby pracowały - w tymianku przy drodze. Cienie chmur przesunęły się po górskich łąkach. Panował ten rodzaj głębokiej, głuchej ciszy, jaki cechuje środowiska nie tylko pozbawione ludzi, ale też wcale ich nie potrzebujące.

Drogowskazów też nie.

- Zgubiliśmy się dziesięć mil temu - odparł Hwel. - Musi być jakieś inne słowo na określenie naszej obecnej sytuacji.

- Mówiłeś, że góry są zryte krasnoludzkimi sztolniami. I że krasnolud w górach zawsze wie, gdzie się znalazł.

- Mówiłem: pod ziemią. Chodzi o warstwy i formacje skalne. Nie na powierzchni. Pejzaż zasłania.

- Moglibyśmy wykopać dziurę - zaproponował Tomjon.

Ale dzień był ładny, droga wiała się między kępami chwastów i sosen, strażniczek lasu; pozwolili więc mułom podążać własnym tempem. Hwel był przekonany, że droga musi przecież dokądś prowadzić.

Ta geograficzna fikcja wielu wędrowców doprowadziła do zguby. Drogi wcale

nie muszą dokądś prowadzić. Muszą tylko gdzieś się zaczynać.

- Naprawdę się zgubiliśmy, prawda? - zapytał po chwili Tomjon.

- Na pewno nie.

- Więc gdzie jesteśmy?

- W górach. Są całkiem wyraźne w każdym atlasie.

- Powinniśmy się zatrzymać i kogoś spytać.

Tomjon rozejrzył się po okolicy. Gdzieś zawyla samotna siewka, a może to był borsuk - Hwel nie bardzo się orientował w sprawach natury, przynajmniej w tych, które działy się powyżej warstwy piaskowca. W promieniu wielu mil nie było żadnej ludzkiej istoty.

- O kogo ci chodzi? - zapytał sarkastycznie.

- O tę staruszkę w zabawnym kapeluszu. - Tomjon wskazał palcem. -

Obserwuję ją. Ile razy na nią spojrzę, chowa się za krzakami.

Hwel odwrócił się i popatrzył na kołyszący się krzak jeżyny.

- Hej tam, dobra matko! - zawołał. Krzak wypuścił oburzoną głowę.

- Czyja matko? - zapytała. Hwel zawahał się.

- To tylko takie powiedzenie, pani... panno...

- Pani - burknęła Babcia Weatherwax. - Jestem biedną staruszką zbierającą chrust - dodała wyzywająco.

Odchrząknęła.

- Laboga - podjęła. - Nastraszyliście mnie, młody paniczku. Moje biedne stare serce.

Z wozów odpowiedziała jej cisza. Wreszcie Tomjon zapytał:

- Słucham?

- Co? - Babcia nie zrozumiała.

- Twoje biedne stare serce co?

- Co z moim biednym starym sercem? - zdziwiła się Babcia, która nie była przyzwyczajona do udawania staruszki i miała dość ograniczony repertuar. Tradycja jednak nakazywała, by podążający za przeznaczeniem młodzi następcy tronu otrzymywali pomoc od tajemniczych staruszek zbierających chrust. A Babcia nie lekceważyła tradycji.

- Po prostu pani o nim wspomniała - wyjaśnił Hwel.

- Może. Ale to nieważne. Laboga. Szukacie Lancre, jak sądzę - rzekła kwaśno Babcia, chcąc jak najszybciej przejść do rzeczy.

- Owszem - przyznał Tomjon. - Cały dzień.

- Zajechaliście za daleko. Cofnijcie się o jakieś dwie mile i skręćcie w prawo, obok kępy sosen.

Wimsloe pociągnął Tomjona za rękaw.

- Kiedy s-spotykasz ta-ta-tajemniczą staruszkę na drodze -szepnął - musisz jej za-za-zaproponować p-poczęstunek. Albo po-pomóc p-przejąć rzekę.

- Muszę?

- Inaczej b-będziesz miał p-p-pecha. Tomjon uśmiechnął się uprzejmie do Babci.

- Czy zjesz z nami posiłek, ma... stara ko... droga pani? Babcia zastanowiła się.

- A co macie?

- Soloną wieprzowinę. Pokręciła głową.

- Dziękuję bardzo - rzuciła łaskawie - ale mam od niej wzdęcia.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła przez krzaki.

- Gdybyś chciała, moglibyśmy ci pomóc przejść przez rzekę! - krzyknął za nią Tomjon.

- Jaką rzekę? - zdziwił się Hwel. -Jesteśmy na wrzosowisku. Przez całe mile nie może tu być żadnej rzeki.

- Le-le-lepiej je mieć p-p-po swojej stronie - wyjaśnił Wim-sloe. - W-wtedy po-po-pomagają.

- Może trzeba było ją poprosić, żeby zaczekała, a my poszukamy jakiejś rzeki - zaproponował ironicznie krasnolud.

Znaleźli zakręt. Dotarli do lasu poprzecinanego tyłoma traktami, że przypominał torowisko. Był to las, w którym podróżny ma wrażenie, że drzewa odwracają się i obserwują, jak przejeżdża, a niebo wydaje się bardzo wysokie i dalekie od ziemi. Mimo upału wilgotny, nieprzenikniony półmrok panował wśród pni drzew, tłoczących się przy drodze tak gęsto, jakby chciały całkiem ją zadeptać.

Wkrótce zgubili się znowu i uznali, że zgubienie gdzieś, gdzie nawet nie widać, co to za miejsce, jest jeszcze gorsze niż zgubienie na otwartym terenie.

- Mogła udzielić dokładniejszych instrukcji - stwierdził Hwel.

- Na przykład: spytajcie następnej wiedźmy - odparł Tomjon. - Popatrz tam.

Stał na koźle.

- Hej tam, stara... dobra... Magrat odrzuciła chustę.

- Zwykła, biedna zbieraczka chrustu - burknęła. Na dowód podniosła do góry gałązkę. Kilka godzin oczekiwania w towarzystwie jedynie drzew nie poprawiło jej humoru.

Wimsloe szturchnął Tomjona, który rozciągnął wargi w uśmiechu.

- Zechciałabyś zjeść z nami obiad, sta... dobra ko... panienko? - zapytał. - Niestety, mamy tylko soloną wieprzowinę.

- Mięso fatalnie wpływa na system trawienny - oznajmiła Magrat. - Gdybyście mogli obejrzeć wnętrza swoich jelit, bylibyście przerażeni.

- Ja na pewno - mruknął Hwel.

- Czy wiecie, że dorosły mężczyzna przez cały czas nosi w układzie pokarmowym do pięciu funtów nie strawionego mięsa? - spytała Magrat, której wykłady o żywieniu całej rodziny zmuszały do ukrywania się w piwnicach, póki nie odeszła. - Podczas gdy nasiona sosnowych szyszek i pestki słonecznika...

- Nie ma tu przypadkiem jakiejś rzeki, przez którą moglibyśmy ci pomóc się przedostać? - przerwał rozpaczliwie Tomjon.

- Nie żartuj. Jestem ubogą zbieraczką chrustu, laboga. Tu i tam podniosę jakąś gałązkę albo skieruję zagubionych wędrowców na drogę do Lancre.

- Aha - szepnął Hwel. - Właśnie myślałem, że do tego dojdziemy.

- Na rozstajach skręćcie w lewo, a potem w prawo przy wielkim pękniętym głazie. Nie możecie go przeoczyć.

- Świetnie. Nie będziemy cię zatrzymywać. Na pewno masz dużo chrustu do zebrania i w ogóle.

Gwizdnął i popędził muły, które poczłapały wolno.

Godzinę później wjechali w teren usiany glazami wielkości domu. Hwel odłożył lejce i założył ręce na piersi. Tomjon popatrzył na niego zdziwiony.

- Co ty właściwie robisz? - zapytał.

- Czekam - odparł ponuro krasnolud.

- Wkrótce będzie ciemno.

- To długo nie potrwa.

Niania Ogg poddała się w końcu i wyszła zza skały.

- Solona wieprzowina, jasne? - oznajmił surowo Hwel. - Bierzesz albo do widzenia. A teraz mów: którądy do Lancre?

- Prosto, przy wąwozie w lewo, potem jedziecie szlakiem prowadzącym do mostu. Nie da się zabłądzić - odparła natychmiast Niania.

Hwel chwycił lejce.

- Zapomniałaś o laboga.

- Do licha. Przepraszam. Laboga.

- I jesteś ubogą zbieraczką chrustu, jak przypuszczam?

- Trafieś, chłopcze. - Niania uśmiechnęła się promiennie. -Szczerze mówiąc, właśnie miałam zacząć. Tomjon szturchnął krasnoluda.

- Zapomniałeś o rzece - szepnął. Hwel spojrzał gniewnie.

- A tak - zgodził się. - Możesz tu zaczekać, a my poszukamy jakiejś rzeki.

- Żeby ci pomóc przejść - dodał Tomjon.

Niania Ogg obdarzyła go uśmiechem.

- Mamy doskonały most. Ale nie odmówię podwiezienia. Przesuńcie się.

Ku irytacji Hwela, podciągnęła spódnicę i wdrapała się na kozioł między niego i Tomjona. Potem wierciła się przez chwilę jak nóż do ostryg, aż zajęła połowę siedzenia.

- Wspomniałeś wieprzowinę. Musztardy pewno nie macie?

- Nie - mruknął krasnolud.

- Nie cierpię solonej wieprzowiny bez przypraw. Ale dajcie ją tu mimo wszystko.

Wimsloe bez słowa wręczył jej kosz z kolacją trupy. Niania uniosła pokrywę i zbadała zawartość.

- Ten ser jest już dość stary. Trzeba go szybko zjeść. A co jest w bukłaku?

- Piwo - odparł Tomjon ułamek sekundy przed Hwelem, który powiedział: - Woda.

- Słabe - uznała po chwili Niania.

Sięgnęła do fartucha po kapciuch z tytoniem.

- Ktoś ma ogień? - zapytała.

Kilku aktorów wyjęło wiązki zapalek. Niania kiwnęła głową i schowała kapciuch.

- Dobrze - stwierdziła. - A czy ktoś ma tytoń?

Pół godziny później wozy zadudniły na moście, minęły przygraniczne pola i lasy, stanowiące większą część królestwa.

- To jest to? - spytał Tomjon.

- No, nie wszystko - zapewniła Niania, która spodziewała się nieco większego entuzjazmu. - O wiele więcej leży za tamtymi górami. Ale to jest płaski kawałek.

- To ma być płaski?

- Stosunkowo płaski - zgodziła się Niania. -A powietrze jest znakomite. Tam stoi pałac, skąd roztacza się wspaniały widok na całą okolicę.

- To znaczy na lasy.

- Spodoba ci się tutaj.

- Kraj jest dość mały.

Niania zastanowiła się. Prawie całe życie spędziła w granicach Lancre i zawsze wydawało jej się w sam raz.

- Przytulny - powiedziała. - Wszędzie wygodnie.

- Wszędzie gdzie? Niania poddała się.

- Wszędzie blisko.

Hwel milczał. Powietrze było rzeczywiście znakomite, spływające z niepokonanych zboczy Ramtopów niczym kąpiel dla płuc, pachnące żywicą wysokich lasów. Przejechali przez bramę do czegoś, co tu, w górach, nazywano pewnie miastem. Kosmopolita, jakim stał się krasnolud, uznał jednak, że na równinach kwalifikowałoby się jako otwarty teren.

- Tam jest gospoda - zauważył z powątpiewaniem Tomjon. Hwel podążył wzrokiem za jego spojrzeniem.

- Tak - przyznał po chwili. - Chyba jest.

- Kiedy wystawimy sztukę?

- Nie wiem. Myślę, że pošlemy kogoś do zamku z wiadomością, że już jesteśmy. - Hwel poskrobał się po brodzie. - Błazen mówił, że król, czy kto tam będzie, zechce przeczytać tekst.

Tomjon rozejrzał się dookoła. Miasteczko Lancre wyglądało na spokojne. Nie sprawiało wrażenia miejsca, z którego aktorów wypędza się o zmierzchu. Potrzebna mu była populacja.

- To stolica królestwa - poinformowała Niania Ogg. - Zauważcie pięknie zaprojektowane ulice...

- Ulice?

- Ulicę - poprawiła się Niania. - A także domy w dobrym stanie, o rzut kamieniem od rzeki...

- Rzut?

- Zrzut - ustąpiła Niania. - Zadbane wysypiska, popatrz, jak również rozległe...

- Madam, przyjechaliśmy dostarczyć miastu rozrywki, a nie je kupować.

Niania Ogg spojrzała z ukosa na Tomjona.

- Chciałam tylko, żebyście się przekonali, jak tu ładnie.

- Ta obywatelska duma przynosi pani zaszczyt - przyznał

Hwel. - A teraz proszę zejść z wozu. Jestem pewien, że ma pani jeszcze trochę chrustu do zebrania. Laboga.

- Dziękuję za przekąskę. - Niania zeszła na ziemię.

- Za posiłki - poprawił Hwel. Tomjon trącił go dyskretnie.

- Powinieneś być grzeczniejszy. Nigdy nie wiadomo. - Zwrócił się do Niani. - Dziękujemy, dobra... O, zniknęła.

- Przyjechali wystawiać teatr - oznajmiła Niania. Ku jej irytacji, Babcia Weatherwax nie przerywała obierania fasoli.

- I co? Masz zamiar coś powiedzieć? Dowiadywałam się różnych rzeczy - przypomniawszy. - Zbierałam informacje. A nie siedziałam i nie robiłam zupy...

- Gulaszu...

- To rzeczywiście bardzo ważne - parsknęła Niania.

- Jaki to teatr?

- Nie mówili. Chyba coś dla księcia.

- A po co mu teatr?

- Też nie powiedzieli.

- To zapewne tylko podstęp, żeby dostać się do zaniku -stwierdziła z mądrą miną Babcia. - Bardzo sprytny pomysł. Widziałas, co mają w wozach?

- Skrzynie, toboły i różne takie.

- Są pełne pancerzy i mieczy, możesz mi wierzyć. Niania Ogg była pełna wątpliwości.

- Jak dla mnie, to nie wyglądali na żołnierzy. Byli okropnie młodzi i pryszczaci.

- Sprytnie. Przypuszczam, że w połowie sztuki król wyjawia swoje przeznaczenie tam, gdzie wszyscy będą go widzieć. Dobry plan.

- Jest jeszcze coś. - Niania zaczęła gryźć strączek fasoli. - Jemu nie bardzo się tu podobało.

- Na pewno się podobało. Ma to we krwi.

- Przyprowadziłam ich najładniejszą drogą. Nie zrobiła na nim wrażenia.

Babcia zawahała się.

- Pewnie był podejrzliwy wobec ciebie - uznała. - Albo zbyt oszołomiony, żeby mówić.

Odłożyła miskę fasoli i w zadumie spojrzała na drzewa.

- Czy masz jeszcze w zamku kogoś z rodziny? - spytała.

- Shirl i Daff pomagają w kuchni, odkąd kucharz stracił rozum.

- To dobrze. Porozmawiam z Magrat. Powinnyśmy chyba obejrzeć ten teatr.

- Idealna - pochwalił ksiązę.

- Dziękuję - odparł Hwel.

- Doskonale oddałeś ten straszny wypadek. Jakbyś tam był. Cha, cha, cha.

- Ale cię nie było, prawda? - Lady Felmet spojrzała na krasnoluda podejrzliwie.

- Użyłem wyobraźni - wyjaśnił pospiesznie Hwel.

Księżna przyglądała mu się z miną sugerującą, że wyobraźnia może się uważać za szczęśliwą, jeśli nie zostanie wywleczone na dziedziniec, by wytłumaczyć się czterem dzikim koniom i kawałkowi łańcucha.

- Zgadza się doskonale. - Ksiązę przewracał strony jedną ręką. - Dokładnie, dokładnie jak było.

- Jak będzie - syknęła księżna. Ksiązę przewrócił kolejną stronicę.

- Ty też tu jesteś - oznajmił. - Zdumiewające. Słowo w słowo, tak właśnie będę to pamiętał. Widzę, że wprowadziłeś także Śmierć.

- Zawsze popularny - zapewnił Hwel. - Publiczność go oczekuje.

- Jak szybko możecie ją wykonać?

- Wystawić. Robiliśmy już próby. Kiedy tylko zechcesz, panie.

A potem możemy się stąd wynieść, pomyślał Hwel, jak najdalej od twoich oczu podobnych do dwóch surowych jajek i od tej baby jak góra w czerwonej sukni, i od zamku, który działa jak magnes dla wiatru. Ta sztuka nie przejdzie do historii jako jedna z moich najlepszych, to pewne.

- Mówiliśmy, że ile wam zapłacimy? - zapytał ksiązę.

- Wasza wysokość wspominał o kolejnych stu sztukach srebra.

- Sztuka jest ich warta.

Hwel wyszedł szybko, zanim księżna zaczęła się targować. Ale czuł, że

chętnie by dopłacił, żeby tylko stąd wyjechać. Przytulne, akurat... Bogowie, jak ktoś może lubić takie królestwo?

Błazen czekał na łące z sadzawką pośrodku. Patrzył smętnie w niebo i zastanawiał się, gdzie, u licha, jest Magrat. Przecież mówiła, że to ich miejsce; nie zmieniał sytuacji fakt, że korzystało z niego również kilkanaście krów. Pojawiła się w zielonej sukni i fatalnym humorze.

- O co chodzi z tą sztuką? - zapytała. Błazen siadł ciężko na pniu wierzby.

- Nie cieszysz się, że mnie widzisz?

- No... Tak. Oczywiście. A ta sztuka?

- Mój pan chce czegoś, co przekona ludzi, iż jest prawowitym królem Lancre.

Chyba przede wszystkim jego samego.

- I po to pojechałeś do miasta?

- Tak.

- To obrzydliwe!

- Wolałabyś metody księżnej? - zapytał spokojnie Błazen. - Ona uważa, że powinna zwyczajnie każdego zabić. I potrafi to robić. A wtedy wybuchną walki i w ogóle. Wielu ludzi zginie. W ten sposób będzie łatwiej.

- Gdzie twoja odwaga?

- Słucham?

- Czy nie chciałbyś zginąć szlachetnie dla sprawy?

- Wolałbym raczej żyć dla niej spokojnie. Wam, czarownicom, łatwo mówić, bo możecie robić, co chcecie. Aleja nie mam wyboru.

Magrat usiadła obok niego. Dowiedz się wszystkiego o tej sztuce, przykazała jej Babcia. Porozmawiaj ze swoim brzęczącym przyjacielem. Odpowiedziała jej: Jest bardzo lojalny. Może mi nic nie zdradzić. A Babcia na to: Nie pora na połowiczne środki. Jeśli będzie trzeba, uwieść go.

- Kiedy się odbędzie ta sztuka? - zapytała, przysuwając się bliżej.

- Radujmy się... Nie wolno mi tego wyznać - odparł Błazen. - Książę powiedział: nie powtarzaj czarownicom, że to jutro wieczorem. Tak powiedział.

- Ja bym nie mówiła - zgodziła się Magrat.

- O ósmej.

- Rozumiem.

- Ale przedtem kieliszek sherry, o siódmej trzydzieści, jak tuszę.
- Przypuszczam, że nie powinienes mi też mówić, kto jest zaproszony.
- Zgadza się. Większość dygnitarzy z Lancre. Sama rozumiesz, że ci tego nie powiedziałem.

- To prawda.
- Myślę jednak, że masz prawo wiedzieć, o czym ci nie mówię.
- Słuszna uwaga. Czy jest jeszcze ta mała furtka na tyłach? Ta, co prowadzi do kuchni?

- Ta, która często jest nie strzeżona?
- Właśnie.
- Och, ostatnio prawie jej nie pilnujemy.
- Jak myślisz, czy ktoś będzie tam stał na straży jutro koło ósmej?
- Ja mógłbym tam być.
- To dobrze.

Błazen odsunął wilgotny nos wścibskiej krowy.

- Książę się was spodziewa - dodał.
- Sam mówiłeś, że miałyśmy nie wiedzieć.
- Powiedział, że nie wolno mi niczego wam zdradzić. Ale potem dodał: „Przyjdą i tak; mam nadzieję, że przyjdą”. To właściwie dziwne. Był w świetnym humorze, kiedy to mówił. Hm... Możemy się spotkać po przedstawieniu?

- O niczym więcej nie wspominał?
- Owszem, coś o pokazaniu czarownicom ich przyszłości. Nie zrozumiałem.
Naprawdę chciałbym cię zobaczyć. Kupiłem...

- Myślę, że mogę wtedy myć włosy - odparła mgliście Magrat. - Przepraszam, ale naprawdę muszę już iść.

- Tak, ale kupiłem ci prę... - wyznał Błazen, patrząc za oddalającą się postacią.

Zgarbił się, kiedy zniknęła między drzewami. Spojrzał na naszyjnik, zwinięty ciasno w drżących palcach. Musiał przyznać, że był wyjątkowo niegustowny, ale ona takie właśnie lubiła: srebro i czaszki. Kosztował zbyt wiele.

Krowa, zmyłona rogatą czapką, wsadziła mu język do ucha.

To prawda, pomyślał Błazen. Czarownice naprawdę robią ludziom niemiłe rzeczy.

Nadeszła jutrzejsza noc i pełne wątpliwości czarownice okrężną drogą ruszyły do zamku.

- Jeśli on chce, żebyśmy tam były, to ja nie idę - oznajmiła Babcia. - On ma jakiś plan. Używa na nas głowologii.

- Coś się dzieje - przyznała Magrat. - Wczoraj w nocy kazał swoim ludziom podpalić trzy domy w naszej wsi. Zawsze to robi, kiedy jest w dobrym humorze. A ten nowy sierżant aż za dobrze sobie radzi z zapalkami.

- Nasza Daff widziała rano, jak ci aktorzy ćwiczą - dodała Niania Ogg, niosąca torbę orzechów i skórzany bukłak, z którego dochodził mocny, ostry zapach. - Mówiła, że to same krzyki, ciosy sztyletem, a potem zastanawianie się, kto to zrobił, i długie kawałki, kiedy ludzie bardzo głośno mruczą coś do siebie.

- Aktorzy - rzuciła z pogardą Babcia. - Jakby świat nie był dostatecznie pełen historii, bez wymyślania nowej.

- I w dodatku strasznie krzyczą - stwierdziła Niania. - Tak głośno, że człowiek sam siebie nie słyszy.

Głęboko w kieszeni fartucha ukryła także nawiedzony kamień z zamku. Król wchodził do teatru gratis.

Babcia kiwnęła głową. Warto będzie to zobaczyć, pomyślała. Nie miała pojęcia, co zaplanował Tomjon, ale wrodzone wycucie dramatu zapewniało ją, że chłopiec musi zrobić coś ważnego. Może zeskoczy ze sceny, rozważała, i zakłuje księcia na śmierć... Uświadomiła sobie, że właśnie na to liczy.

- Cześć, hm, jak ci tam - mruknęła pod nosem. - Przyszły gdzieś królu, cześć ci.

- Ruszajmy - rzuciła Niania. - Bo wypiją całe sherry.

Błazen czekał markotnie za wiklinową furtką. Rozpromienił się, widząc Magrat, i przybrał wyraz uprzejmego zdziwienia na widok dwóch pozostałych.

- Nie będziecie chyba sprawiać kłopotów? - zapytał. - Nie chcę tu kłopotów. Proszę.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - rzekła królewskim tonem Babcia i weszła do środka.

- Uważaj, dzwońcu. - Niania szturchnęła Błazna pod żebro. - Mam nadzieję, że nie zatrzymywałeś naszego dziewczęcia do późna.

- Nianiu! - Magrat była zaszokowana.

Błazen odpowiedział przerażonym, przymilnym grymasem, typowym dla wszystkich młodych ludzi, gdy spotykają uparte starsze panie wygłaszające komentarze na temat ich życia osobistego.

Starsze czarownice podążyły w głąb zamku. Błazen chwycił dłoń Magrat.

- Wiem, skąd będzie dobrze widać - szepnął. Zawahała się.

- Spokojnie. Przy mnie będziesz całkiem bezpieczna.

- Tak, owszem. - Magrat starała się spojrzeć mu przez ramię i sprawdzić, gdzie zniknęły koleżanki.

- Wystawiają sztukę na dworze, na wielkim dziedzińcu. Będziemy doskonale widzieć z wieży przy bramie. Nie będzie nikogo oprócz nas. Zaniósłem tam trochę wina i w ogóle.

Kiedy wciąż nie była pewna, dodał szybko:

- Jest tam również cysterna wody i palenisko, którego czasem używają gwardziści. Na wypadek gdybyś chciała umyć włosy.

Zamek pełen był gości stojących z tymi uprzejmymi, zakłopotanymi minami, jak często ludzie, którzy widzą się przez cały dzień, a potem widzą się znowu w niezwykle okolicznościach towarzyskich. Na przykład na biurowym przyjęciu. Czarownice przemknęły nie zauważone i znalazły sobie miejsca na ławach stojących rzędami na dziedzińcu, przed pospiesznie złożoną sceną.

Niania Ogg podsunęła Babci orzechy.

- Chcesz jednego?

Radca miejski Lancre wyminął ją i grzecznie wskazał miejsce po lewej stronie.

- Ktoś tu siedzi? - zapytał.

- Tak - odparła Niania.

Radca spojrział niepewnie na pozostałe, szybko się zapelniające ławy, a potem na wyraźnie puste siedzenie przed sobą. Podniósł szatę, wyraźnie zdecydowany.

- Myślę, że wkrótce rozpocznie się początek sztuki. Zatem pani przyjaciele, kiedy już przyjdą, muszą znaleźć sobie inne miejsca - oświadczył i usiadł.

Po kilku sekundach zbladł nagle. Zaczął dzwonić zębami. Złapał się za brzuch

i jęknął²⁰.

- Mówiłam - rzuciła Niania, kiedy odchodził kulejąc. - Po co w ogóle pytać, jeśli nie słucha się odpowiedzi? - Podsunęła torbę przed puste miejsce. - Orzecha?

- Nie, dziękuję. - Król Verence machnął widmową ręką. - Przelatują przeze mnie, niestety.

- *Szlachetni państwo, zechciejcie wysłuchać...*

- Co to? - zdziwiła się Babcia. - Kim jest ten człowiek w rajtuzach?

- To Prolog - wyjaśniła Niania. - Musi wystąpić na początku, żeby wszyscy wiedzieli, o czym jest sztuka.

- Nie rozumiem ani słowa - burknęła Babcia. - A co to właściwie znaczy „prolog”?

- Odmiana robaka.

- Ładnie, nie ma co. Wychodzi robak i nas wita. Od razu człowiek wpada w odpowiedni nastrój. Rozległo się chóralne „psst”.

- Orzechy są strasznie twarde. - Niania wypłuła jeden na dłoń. - Do tego będę musiała zdjąć but.

Babcia zatoneła w niezwykłym, nerwowym milczeniu. Starła się słuchać Prologu. Teatr ją niepokoił. Miał w sobie magię, ale nie należącą do niej, nie będącą w jej władaniu. Teatr zmieniał świat, wypowiadał zdania, które były czymś innym, niż były. Ale to nie wszystko... Ta magia nie była własnością adeptów magii. Panowali nad nią ludzie zwyczajni, nie znający reguł. Zmieniali świat, ponieważ po zmianie brzmiał lepiej.

Księżę i księżna siedzieli na tronach pod samą sceną. Babcia widziała, jak księżę odwrócił się lekko; zobaczyła jego uśmiech.

Chcę świata takiego, jaki jest, pomyślała. Chcę przeszłości takiej, jaka była. A była o wiele lepsza niż teraz.

Zagrała orkiestra.

Hwel wyrżał zza kolumny i skinął na Wimsloe'a i Brattsleya. Obaj wykuśtykali w blask pochodni.

STARZEC (Mędrzec): *Co stało się z krainą?*

STARUSZKA (Babka): *To zgroza...*

²⁰ Bystry czytelnik domyślił się pewnie, że powodem dolegliwości był król Verence, siedzący na tym miejscu. Nie to, że człowiek ów z zimną krwią użył sformułowania „rozpocznie się początek”. A tak być powinno.

Krasnolud obserwował ich przez chwilę zza kulisy, poruszając bezgłośnie wargami. Potem ruszył do wartowni, gdzie reszta jego zespołu czekała w ostatnich, pospiesznych stadiach wkładania kostiumów.

Hwel wydał z siebie tradycyjny ryk inspicjenta.

- No już - rozkazał. - Żołnierze króla, migiem. I czarownice... Gdzie są te przeklęte czarownice? Młodzi uczniowie stanęli przed nim.

- Zgubiłem kurzajkę!

- W kociołku jest pełno jakiegoś paskudztwa!

- Coś mieszka w mojej peruce!

- Spokój, spokój! - wrzasnął Hwel. - Na premierze wszystko będzie w porządku.

- Dziś jest premiera, Hwel!

Hwel porwał ze stolika garść kitu i nasadził kurzajkę jak pomarańcz. Podejrzana słomiana peruka została wbita na głowę właściciela, razem z trzodą i wszystkim, a pobieżne badanie kociołka doprowadziło do wniosku, że jest pełen właśnie odpowiedniego paskudztwa, co kto ma do takiego paskudztwa?

Na scenie gwardzista upuścił tarcze, schylił się po nią i upuścił włócznie. Hwel wzniósł oczy do nieba i zmówił cichą modlitwę do bogów, którzy akurat patrzą.

Już zaczynało się psuć. Na wcześniejszych próbach były drobne problemy, to fakt. Hwel jednak widział w życiu jedną czy dwie monumentalne katastrofy, a ta zapowiadała się na najgorszą. Zespół był roztrzęsiony jak worek homarów.

Usłyszał, że dialog na scenie cichnie. Pognał do kulisy.

- ...pomścić grozę twego ojca zgonu... - syknął i biegiem wrócił do drżących czarownic. I jęknął. Wrzawa i zamieszanie... Ta trójka powinna terroryzować królestwo. Do wejścia została najwyżej minuta.

- No dobra! - zawołał. - Kim jesteście? Złymi prorokiniami, tak?

- Tak, Hwel - odpowiedzieli posłusznie.

- Powiedzcie, kim jesteście - zażądał.

- Jesteśmy złymi prorokiniami, Hwel.

- Głośniej!

- Złe prorokinie!

Hwel przespacerował się wzdłuż szeregu i odwrócił na pięcie.

- I co będziecie robić?

Druga Czarownica podrapał się w zamieszkaną perukę.

- Będziemy przeklinać ludzi? - zaryzykował. - Tak stoi w tekście.

- Nie SŁYSZĘ cię!

- Będziemy przeklinać ludzi! - krzyknęli chórem, stając na baczność.

Wpatrywali się wprost przed siebie, żeby uniknąć jego spojrzenia.

Hwel zawrócił.

- Kim jesteście?

- Prorokiniami, Hwel.

- Jakimi prorokiniami?

- Jesteśmy pokątnymi starymi prorokiniami! - huknęli, wyraźnie nabierając ducha.

- A jakimi pokątnymi starymi prorokiniami?

- Złymi, pokątnymi starymi prorokiniami!

- Spiskujecie?

- Tak!

- Skrywacie się?

- Tak!

Hwel wyprostował się na całą wysokość, co prawda niewielką.

- Kim jesteście?! - ryknął.

- Jesteśmy spiskującymi, skrytymi, pokątnymi starymi prorokiniami!

- Tak jest!

Wskazał drżącym palcem scenę, zniżył głos i dokładnie w tej chwili cząstka natchnienia przemknęła przez atmosferę i wbiła się w kreatywny ośrodek jego mózgu, wywołując słowa:

- A teraz idźcie tam i sprawcie im piekło! Nie dla mnie. Nie dla cholernego kapitana. - Przesunął niedopałek wymaginanego cygara z jednego kącika ust w drugi, odsunął nie istniejący hełm i wychrypiał: - Ale dla kaprała Walkowskiego i jego pieska.

Patrzyli na niego z niedowierzaniem.

Ktoś potrząsnął arkuszem blachy i czar przysł.

Hwel westchnął. Dorastał w górach, gdzie burze przechadzały się między szczytami na nogach błyskawic. Pamiętał burze, które pozostawiały góry w innym kształcie i kładły całe lasy. Arkusz blachy to jednak nie to samo, choćby potrząsany z entuzjazmem.

Choć raz, pomyślał. Choć raz pozwólcie mi zrobić to jak należy.

Otworzył oczy.

- Czego tu jeszcze stoicie?! - ryknął do czarownic. - Na scenę i przeklnijcie ich!

Patrzył, jak odbiegają. I wtedy Tomjon postukał go w głowę.

- Hwel, nie ma korony.

- Hm... - odparł krasnolud, zajęty w myślach budową maszyn do grzmotu i błyskawic.

- Nie ma korony, Hwel. Muszę nosić koronę.

- Oczywiście, że jest. Ta duża, z czerwonym szkłem, imponująca. Używaliśmy jej w tym mieście z dużym rynkiem...

- Chyba ją tam zostawiliśmy.

Znowu blaszanym dźwiękiem zahuczał grom, ale ta część Hwela, która żyła sztuką, dosłyszała coraz wolniejszy dialog na scenie. Skoczył do kulisy.

- ...zdusiłam dziecię niejedno... - syknął i pognął z powrotem.

- No to poszukaj innej - powiedział. - W skrzyni z rekwizytami. Jesteś Złym Królem i musisz mieć koronę. Do roboty, chłopcze. Wchodzisz za parę minut. Improvizuj.

Tomjon powędrował do skrzyni. Dorastał wśród koron, wielkich złotych koron z drewna i gipsu, zdobionych najpiękniejszym szkłem. Ząbkując gryzł kapelusze Władzy. Jednak większość z nich została w Dysku.

Wymował ze skrzyni sztylety z chowanym ostrzem, czaszki i wazy, warstwy czasu... Aż na samym dnie palce trafiły na coś cienkiego i w kształcie korony, czego nikt nie chciał nosić, gdyż było zbyt mało do korony podobne.

Przyjemnie byłoby stwierdzić, że drgnęła mu pod palcami. Może rzeczywiście drgnęła.

Babcia siedziała nieruchoma jak posąg i niemal tak samo zimna. Ze zgrozą uświadamiała sobie powagę sytuacji.

- To my - powiedziała. - Przy tym głupim kociołku. To mamy być my, Gytho.

Niania Ogg zamarła z orzechem w połowie drogi do dziąseł.

- Nigdy nie rozbiłam niczyjego statku! - zapewniła. - Przecież właśnie powiedziały, że chcą rozbić statek. To nie ja! Na wieży Magrat dźgnęła Błazna łokciem.

- Zielony puder - powiedziała, patrząc na Trzecią Czarownicę. -Ja przecież tak nie wyglądam. Nie wyglądam, prawda?

- Absolutnie - zapewnił Błazen.

- I te włosy!

Błazen wyrżał między blankami niby nadgorliwy gargulec.

- To chyba słoma - stwierdził. - I to niezbyt czysta. Zawahał się, skubiąc mech z kamieni. Zanim wyjechał z miasta, poprosił Hwela o kilka odpowiednich słów, jakie mógłby powiedzieć młodej damie. W drodze do domu uczył się ich na pamięć. Nadeszła pora... Teraz albo nigdy.

- Chciałbym zapytać, czy mogę cię porównać do dnia w pełni lata. Bo widzisz... dwunasty czerwca był całkiem ładny i... Ojej. Już cię nie ma...

Król Verence zacisnął palce na brzegu ławy; zagłębiły się w drewno. Tomjon wkroczył na scenę. - To on, prawda? To mój syn? Nie rozłupany orzech wypadł z dłoni Niani Ogg i potoczył się po kamieniach. Kiwnęła głową.

Verence zwrócił ku niej swą wychudłą, przejrzystą twarz.

- Ale co on robi? Co mówi?

Niania pokręciła głową. Król słuchał z otwartymi ustami, jak Tomjon - kuśtykając bokiem po scenie - wygłasza swój wielki monolog.

- Myślę, że on ma być tobą - stwierdziła niechętnie Niania.

- Przecież nigdy tak nie mówiłem! Dlaczego ma garb na plecach? Co z jego nogą? - Posłuchał chwilę i dodał ze zgrozą: - I na pewno nigdy czegoś takiego nie zrobiłem. Ani tego. Dlaczego mówi, że zrobiłem?

Rzucił Niani błagalne spojrzenie. Wzruszyła ramionami.

Król zdjął z głowy widmową koronę i przyjrzał jej się z bliska.

- Nosi moją koronę! Spójrz, to ona! I opowiada, że uczyniłem te... - Zamilkł, by wysłuchać ostatniego kupletu. - No dobrze, to akurat rzeczywiście mogłem zrobić. Faktycznie, podpaliłem parę domów. Wszyscy tak robią. I dzięki temu rozwija się przemysł budowlany.

Wcisnął koronę na skronie.

- Dlaczego mówi o mnie takie rzeczy?

- To sztuka - odparła Niania. - Jest, jak to się mówi, zwierciadłem życia.

Babcia odwróciła się powoli, by spojrzeć na publiczność. Jak oczarowani

wpatrywali się w aktorów. Słowa opływały ich w nieruchomym powietrzu. To była prawda. Prawdziwsza nawet niż rzeczywistość. To była historia. Może i fałszywa, ale to nie miało nic do rzeczy.

Nigdy nie poświęcała słowom wiele czasu. Uważała je za nazbyt niematerialne. Teraz tego żałowała. Słowa w istocie były niematerialne, ustępliwe jak woda, ale też potężne jak woda. A teraz spływały na widzów, podmywały brzegi prawdy i unosiły ze sobą przeszłość.

To my tam siedzimy, myślała. Wszyscy wiedzą, jakie jesteśmy naprawdę, ale zapamiętają to na scenie - trzy bełkoczące toboły w spiczastych kapeluszach. Wszystko, czego dokonaliśmy, kim byliśmy, przestanie istnieć.

Zerknęła na ducha króla. Cóż, nie był gorszy niż inni królowie. Owszem, mógł spalić jakiś dom od czasu do czasu, jakby z roztargnieniem, ale tylko kiedy naprawdę coś go rozgniewało; mógł z tego zrezygnować, kiedy tylko zechciał. Tam, gdzie zranił świat, pozostawiał rany, które można uleczyć.

Kto napisał ten Teatr, musiał znać się na magii. Nawet ja wierzę w to, co się dzieje, a przecież wiem, że nie ma w tym odrobiny prawdy.

To Sztuka będąca Zwierciadłem Życia.. I dlatego wszystko jest na odwrót.

Przegrałyśmy. W żaden sposób nie możemy się temu przeciwstawić, nie stając się właśnie takie, jakie nie jesteśmy.

Niania Ogg szturchnęła ją mocno.

- Słyszałaś? - szepnęła. -Jedna powiedziała, że wsadzamy dzieci do kotła! One mnie oczerniają! Nie będę tu siedzieć spokojnie i słuchać, że gotuję dzieci w kotle.

Babcia chwyciła ją za chustę.

- Nic nie rób - syknęła. - Tylko pogorszysz sytuację.

- „Dwa paluszki małych dzieciak Zaduszonych”, tak powiedziały. Na pewno chodzi o młodą Millie Hipwood, która bała się powiedzieć matce i poszła zbierać chrust. Mała urodziła się prawie uduszona. Ale wyrosła na piękną dziewczynę. I ma wszystkie palce. To oszustwo!

- Słowa - mruknęła Babcia na wpół do siebie. - Tylko one pozostały. Słowa.

- Patrz, teraz wchodzi jakiś człowiek z trąbą. Co on robi? Aha, koniec Aktu Pierwszego.

Słowa nie pójdą w zapomnienie, myślała Babcia. Mają w sobie moc. To wściekle dobre słowa, jak na słowa.

Znowu zahuczał grom, zakończony głośnym trzaskiem, jaki wydaje na przykład arkusz blachy upuszczony przez kogoś i uderzający o ścianę.

W świecie poza sceną upał przygniatał ziemię niczym wielka poduszka, wyciskając życie nawet z powietrza. Babcia zauważyła, jak strażnik nachyla się do ucha księcia. Nie, nie przerwie przedstawienia. Oczywiście, że nie. Chce, żeby dobiegło do końca.

Książę musiał wyczuć płomień jej spojrzenia na karku. Odwrócił się, popatrzył na nią i rzucił dziwny, krzywy uśmiezek. Potem szturchnął żonę. Oboje się roześmiali.

Babcia Weatherwax często bywała zagniewana. Uważała to za swój mocny punkt: szczery gniew jest jedną z największych twórczych potęg wszechświata. Trzeba jednak nad nim panować. To nie znaczy, że można pozwolić mu wyciekać i znikać. Należy go spiętrzyć, ostrożnie, żeby osiągnął spad roboczy, pozwolić mu zalać całe doliny umysłu i dopiero wtedy, kiedy cała konstrukcja ma za chwilę pęknąć, otworzyć wąską rurę u samej podstawy, by twardy jak stal strumień gniewu pchnął turbiny zemsty.

Wyczuwała krainę pod sobą, mimo kilku sążni fundamentów, bruku, jedną grubość skóry i dwie grubości skarpety. Czuła, że wyczekuje.

Usłyszała głos króla:

- Krew z mojej krwi? Dlaczego mi to zrobić? Stanę przed nim i zapytam.

Delikatnie ścisnęła dłoń Niani Ogg.

- Chodź, Gytho - powiedziała.

Lord Felmet siedział na tronie i z obłąkanym, promiennym uśmiechem spoglądał na świat, który w tej chwili wydawał mu się ładny. Wszystko układało się nad podziw dobrze. Czuł, jak przeszłość rozplywa się za nim niby lód wiosną.

Nagły impuls kazał mu wezwać strażnika.

- Wezwij kapitana gwardii - rozkazał. - Niech odszuka czarownice i je aresztuje. Księżna parsknęła.

- Pamiętasz, głupcze, co się działo ostatnim razem?

- Zostawiliśmy dwie na wolności - odparł książę. - Tym razem... wszystkie trzy. Opinia publiczna jest po naszej stronie. A takie rzeczy wpływają na czarownice, możesz mi wierzyć.

Księżna splotła palce, aż zatrzeszczały; miało to demonstrować jej pogląd na opinię publiczną.

- Musisz przyznać, skarbie, że eksperyment chyba się udał.

- Tak się wydaje.

- Doskonale. Nie stój tak, człowieku. Zanim sztuka się skończy, powiedz mu, trzy czarownice mają być pod kluczem.

Śmierć poprawił przed lustrem papierową maskę, nadał kapturowi odpowiedni kształt, odstąpił i przyjrzał się efektowi swych działań. To była jego pierwsza rola z tekstem. Chciał wypaść jak najlepiej.

- Drzycie, śmiertelnicy - rzekł. - Gdyż jam jest Śmierć, którego żadna... żadna... Hwel, którego żadna co?

- Na miłość bogów, Dafe... „Którego żadna sztaba nie zatrzyma ni brama zamknięta nie zagrozi drogi”. Naprawdę nie rozumiem, jak można mieć kłopoty... Nie tym do góry, idioci! - Przebiegł przez chaos za sceną do dwójki nierozgarniętych pomocników.

- Zgadza się - stwierdził Śmierć, nie zwracając się do nikogo konkretnego. Stał przed lustrem. - Którego żadna tralatalalala tralala tralala nie zagrozi drogi - rzekł i machnął kosą.

Ostrze odpadło.

- Jestem dostatecznie przerażający? - zapytał, próbując je umocować.

Tomjon, który siedział na swoim garbie i pił herbatę, kiwnął głową.

- Doskonale, kolego - stwierdził. - Po twoim wystąpieniu nawet wizyta Śmierci we własnej osobie nie wzbudzi strachu. Ale mógłbyś spróbować mówić bardziej głucho.

- To znaczy jak?

Tomjon odstawił kubek. Cienie zdawały się sunąć po jego twarzy; oczy zapadły się, wargi cofnęły odsłaniając zęby, skóra naciągnęła się i zbladła.

- PRZYBIŁEM PO CIEBIE, NĘDZNY AKTORZE! - zaintonował, a każda sylaba opadała na miejsce niczym wieko trumny. Rysy Tomjona powróciły do zwykłego wyglądu.

- O tak - powiedział.

Dafe, który przylgnął do ściany, odetchnął z ulgą i zachichotał nerwowo.

- Bogowie, nie mam pojęcia, jak ty to robisz - wyznał. - Powiem szczerze: nigdy nie będę tak dobry jak ty.

- To naprawdę nic trudnego. A teraz biegnij. Hwel i tak jest wściekły.

Dafe rzucił mu spojrzenie pełne wdzięczności i poszedł pomagać przy zmianie dekoracji.

Tomjon sączył herbatę. Niepokoił się. Odgłosy zza kulis kłębiły się wokół niego jak mgła.

Hwel twierdził, że wszystko w tej sztuce jest znakomite z wyjątkiem samej sztuki. A Tomjonowi zdawało się, że sztuka próbuje ułożyć się w inną formę. W myślach słyszał inne słowa, zbyt ciche, by je rozróżnić. Całkiem jakby podsłuchiwał czyjąś rozmowę. Musiał głośniejsz krzyczeć, żeby zagłuszyć brzęczenie w głowie.

Tak być nie powinno. Kiedy sztuka jest napisana, to jest... no, napisana. Nie może ożyć i się przekreślać.

Nic dziwnego, że wszyscy potrzebowali suflera. Sztuka wiała im się w rękach i usiłowała się zmienić.

Na bogów, chciałby wynieść się z tego niesamowitego pałacu, jak najdalej od tego obłąkanego księcia. Rozejrzał się, stwierdził, że do kolejnego aktu zostało jeszcze sporo czasu, i ruszył szukać świeżego powietrza.

Drzwi otworzyły się bez oporu i Tomjon wyszedł na parapet. Zamknął je za sobą, odcinając gwar sceny i zastępując go aksamitną ciszą. Jaskrawy zachód słońca płonął uwięziony za kratami chmur, ale powietrze wciąż było nieruchome i gorące jak piec. W lesie na dole krzyknął pierwszy nocny ptak.

Tomjon przeszedł na drugi koniec muru i zajrzał w głębię wąwozu. Daleko w dole Lancre wrzała pośród wiecznych mgieł.

Odwrócił się i wszedł w podmuch tak lodowaty, że wstrzymywał oddech.

Niezwykłe dmuchnięcia szarpały go za ubranie. W uszach słyszał dziwne szepty, jakby ktoś chciał do niego przemówić, ale nie potrafił dobrać prędkości.

Tomjon przez chwilę stał nieruchomo, chwytając oddech, a potem rzucił się do drzwi.

- My nie jesteśmy czarownicami!

- To dlaczego wyglądacie jak czarownice, co? Związać im ręce.

- Tak, ale... Przepraszam... Nie jesteśmy prawdziwymi czarownicami.

Kapitan gwardii przyjrzał się więźniom po kolei. Objął spojrzeniem spiczaste kapelusze, rozczochrane włosy, pachnące jak mokry stóg siana, chorobliwą zielonkawą cerę i stado kurzajek. Stanowisko kapitana książęcej gwardii nie należało do tych, gdzie promuje się inicjatywę. Nakazano schwycić trzy czarownice, a te chyba spełniały wszelkie warunki.

Kapitan nigdy nie był w teatrze. U zarania wieku młodzieńczego przeżył wielki strach podczas spektaklu kukielkowego. Od tego czasu starał się unikać wszelkich form zorganizowanej rozrywki i trzymać się z daleka od miejsc, gdzie z niewielkim choćby prawdopodobieństwem można się spodziewać krokodyli. Minioną godzinę spędził przy drinku w wartowni.

- Kazałem im związać ręce, prawda? - rzucił gniewnie.

- Mamy je też zakneblować, kapitanie?

- Posłuchajcie, przecież jesteśmy z teatru...

- Tak. - Kapitan zadrżał. - Zakneblować.

- Prosimy...

Kapitan pochylił się i spojrzał w trzy pary przerażonych oczu. Dygotał cały.

- Ostatni raz - oznajmił - zjadłyście komuś kielbasę. Uświadomił sobie, że żołnierze przyglądają mu się podejrzliwie. Odchrząknął i wyprostował się.

- Dobrze więc, moje teatralne czarownice - rzekł. - Skończyłyście swoje przedstawienie, a teraz pora na oklaski. - Skinął na swoich ludzi. - Kłaśnijcie je w łańcuchy.

Trzy inne czarownice siedziały za sceną, wpatrując się posępnie w mrok. Babcia Weatherwax zabrała jeden egzemplarz tekstu i zaglądała do niego od czasu do czasu, jakby szukała pomysłów.

- Głos trąb, krzyki jazdy - przeczytała zdziwiona.

- To oznacza bitwę i wiele straszliwych wydarzeń - wyjaśniła Magrat. - Tak zawsze dzieje się w sztukach.

- Czyje krzyki? - spytała Niania Ogg, która nie uważała.

- Jazdy.

- Aha. - Niania rozjaśniła się nieco. - Pojechałabym nad morze...

- Nie pleć, Gytho - obruszyła się Babcia Weatherwax. - To nie dla ciebie. To dla tych, co grają na trąbach. Chyba żeby mogli wypocząć po tych krzykach.

- Nie możemy na to pozwolić - oznajmiła stanowczo i głośno Magrat. - Jeśli to się rozejdzie, czarownice zawsze już zostaną starymi wiedźmami z zielonym pudrem.

- Wtrącającymi się w sprawy królów - dodała Niania Ogg. - Czego nigdy nie robimy, jak wiadomo.

- Nie o wtrącanie mi chodzi. - Babcia Weatherwax oparła brodę na dłoni. - O wrogie wtrącanie.

- I okrucieństwo wobec zwierząt - wymruczała Magrat. - Całe to gadanie o oku psa i uchu żaby. Nikt nie używa takich rzeczy.

Babcia Weatherwax i Niania Ogg starannie unikały swojego wzroku.

- Zaduszone - rzekła z goryczą Niania.

- Czarownice nie są takie - ciągnęła Magrat. - Żyjemy w harmonii z wielkimi cyklami natury, nikomu nie robimy krzywdy. I wstrętne jest twierdzić inaczej. Powinnyśmy wypełnić im kości roztopionym ołowiem.

Obie koleżanki spojrzały na nią z pełnym zdumienia podziwem. Zarumieniła się, ale nie na zielono, i spuściła głowę.

- Mateczka Whemper przygotowała przepis - wyznała. - To całkiem proste. Trzeba wziąć trochę ołowiu...

- To chyba nie byłoby właściwe - stwierdziła Babcia po krótkiej walce z myślami. - Ludzie źle by o nas myśleli.

- Ale niedługo - westchnęła z żalem Niania.

- Nie. Nie możemy robić takich rzeczy - oświadczyła Babcia, tym razem nieco bardziej stanowczo. - Nigdy nie daliby nam spokoju.

- Może po prostu zmienić słowa? - zaproponowała Magrat. - Kiedy wrócą na scenę, rzucimy na nich Wpływ. Zapomną, co mieli mówić, a my im damy nowe słowa.

- A ty pewnie jesteś ekspertem w teatralnych słowach? - spytała sarkastycznie Babcia. - Muszą być odpowiedniego rodzaju, inaczej ludzie zaczną coś podejrzewać.

- To nie powinno być zbyt trudne - rzuciła lekceważąco Niania. - Idzie tak: tralala tralala trala. Babcia zastanowiła się głęboko.

- Mam wrażenie, że to nie wystarczy - uznała. - Niektóre przemowy były bardzo dobre. Prawie niczego nie zrozumiałam.

- Naprawdę, to żadna sztuka - upierała się Niania. - Zresztą co drugi i tak zapomina, co ma mówić. Łatwo pójdzie.

- Możemy włożyć im słowa do ust? - spytała Magrat. Niania Ogg kiwnęła głową.

- Nie wiem, jak z nowymi słowami - wyjaśniła. - Ale możemy sprawić, żeby zapomnieli stare.

Obie spojrzały pytająco na Babcię Weatherwax. Wzruszyła ramionami.

- Myślę, że warto spróbować - ustąpiła.

- Czarownice jeszcze nie narodzone podziękują nam za to! - zawołała Magrat z uczuciem.

- Niech będzie...

- Nareszcie! Gdzie wy się włóczycie? Szukamy was wszędzie! Czarownice obejrzały się; rozżłoszczony krasnolud próbował patrzeć na nie z góry.

- Nas? - zdumiała się Magrat. - Przecież nie jesteśmy...

- Owszem, jesteście. Nie pamiętacie? Wstawiliśmy to w zeszłym tygodniu. Akt drugi, w głębi sceny, wokół kociołka. Niczego nie musicie mówić. Jesteście symbolem sił okultystycznych w działaniu. Bądźcie tak złośliwi, jak tylko potraficie. No chodźcie. Grzeczne chłopaki. Na razie idzie wam świetnie.

Hwel klepnął Magrat w pośladek.

- Doskonałą zrobiłeś sobie cerę, Wilt - rzucił zachęcająco. - Tylko podłóż coś sobie, wciąż masz niewłaściwą sylwetkę. Niezłe kurzajki, Billem. Muszę przyznać - dodał, cofając się o krok - że wyglądacie na najpaskudniejsze wiemy, jakie można spotkać na tym świecie. Dobra robota. Peruki też. A teraz biegiem. Kurtyna za minutę. Złamcie karki.

Lekko zabolą go ręka, gdy jeszcze raz klepnął Magrat w pośladek. I pobiegł krzyczeć na kogoś innego.

Żadna z czarownic nie śmiała się odezwać. Magrat i Niania Ogg instynktownie zwróciły wzrok ku Babci.

Pociągnęła nosem. Podniosła głowę. Rozejrzała się. Spojrzała na jasno oświetloną scenę za sobą. Złożyła dłonie z klaśnięciem, które odbiło się echem w całym zaniku, a potem zatarła je.

- Korzystne - stwierdziła posępnie. - Chodźcie, zrobimy im przedstawienie.

Rozgniewana Niania popatrzyła w kierunku, gdzie zniknął Hwel.

- Sam sobie złam kark - burknęła.

Hwel stanął za kulisą i dał znak dla kurtyny. I dla gromu. Nie nastąpił.

- Grom! - syknął tak, że usłyszała go połowa widowni. - Co jest?

Głos zza najbliższej kolumny zajęczał:

- Ja wziąłem i skrzywiłem grom, Hwel. Teraz robi tylko dzyń-dzyń.

Hwel przez moment stał nieruchomo i liczył w pamięci. Trupa obserwowała go jak porażona - niestety, nie gromem. W końcu wyciągnął pięść w stronę nieba.

- Chciałem burzy - powiedział. - Zwykłej burzy. Nawet nie specjalnie potężnej. Jakiegokolwiek. A teraz postaram się wyrażać całkiem jasno! Mam DOSYĆ! Żądam gromu! NATYCHMIAST!

Wstęga błyskawicy, jaka mu odpowiedziała, zmieniła pogrążony w cieniu zamek w oślepiającą biel i bezdenną czerni. Po niej, jak na wezwanie, zahuczał grom.

Był to najgłośniejszy huk, jaki Hwel w życiu słyszał. Zdawało się, że rodzi mu się w głowie i rozprzestrzenia na świat. Trwał i trwał, wstrząsając każdym kamieniem murów. Uniósł się chmura kurzu. Daleka wieżyczka odłamała się z baletową powolnością i wirując runęła w żarłoczną głębię wąwozu.

Kiedy grzmot ustał, pozostała cisza hucząca w uszach niczym dzwon.

Hwel spojrzał na niebo. Wielkie czarne chmury sunęły nad zamkiem, przesłaniając gwiazdy.

Burza wróciła.

Wieki spędziła ucząc się swojej sztuki. Przez lata czaiła się w odległych dolinach. Godzinami ćwiczyła przed czołem lodowca. Studiowała wielkie burze przeszłości. Doprowadziła swój kunszt do perfekcji. A teraz, wobec - jak widziała - przychyłnej publiczności, postanowiła wtargnąć w świat sławy jak... hm... jak huragan.

Hwel uśmiechnął się. Może jednak bogowie go wysłuchali. Pożałował, że nie poprosił o dobrą maszynę do wiatru.

Machnął gorączkowo na Tomjona.

- Działaj!

Chłopiec kiwnął głową i rozpoczął swą wielką przemowę.

- *Teraz dzierzymy władzę absolutną...*

Za nim na scenie czarownice pochyliły się nad kotłem.

- Jest z blachy - syknęła Niania. - I pełen jakiegoś paskudztwa.

- A ogień to czerwony papier - szepnęła Magrat. - Stamtąd wyglądał jak prawdziwy, a to tylko papier! Patrzcie, można go dotknąć...

- Nie szkodzi - uspokoiła ją Babcia. - Udawajcie zajęte i czekajcie, póki nie powiem.

Kiedy Zły Król i Dobry Książę zaczęli dialog, który miał doprowadzić do porywającej Sceny Pojedynku, obaj coraz wyraźniej sobie uświadamiali, że za nimi dzieje się coś dziwnego. Słyszeli chichoty z widowni. A po całkiem nie na miejscu wybuchu głośnego śmiechu Tomjon zaryzykował dyskretne spojrzenie.

Jedna z czarownic rozbierała ogień na kawałki. Druga usiłowała wyczyścić kociołek. Trzecia siedziała z rękami założonymi na piersi i wpatrywała się w niego posępnie.

- *Sama ziemia krzyczy przeciwko tyranii...* - powiedział Wimsloe, dostrzegł wyraz twarzy Tomjona i podążył wzrokiem za jego spojrzeniem. Umilkł.

- I wzywa mnie do zemsty - odpowiedział Tomjon.

- A... Ale... - szepnął Wimsloe i próbował dyskretnie skinąć sztyletem.

- Wolałabym umrzeć, niż trzymać w domu taki kociołek - oświadczyła Niania Ogg szeptem tak donośnym, że usłyszano go na całym dziedzińcu. - Dwa dni roboty z drapakami i wiadrem piasku.

- I wzywa mnie do zemsty! - syknął Tomjon. Kątem oka zobaczył za kulisą Hwela, znieruchomiałego w pozie obłąkanej furii.

- Jak robią, żeby migotał? - zdziwiła się Magrat.

- Uspokójcie się obie - upomniała je Babcia. - Przeszkadzacie. - Uniosła kapelusz i skinęła w stronę Wimsloe'a. - Dalej, młody człowieku. Nie zwracaj na nas uwagi.

- Co? - bąknął Wimsloe.

- Aha... I wzywa cię do zemsty, tak? - rzekł zrozpaczony Tomjon. - I nieba proszą kary, jak przypuszczam.

Jak na sygnał, burza strzeliła piorunem, który strącił szczyt kolejnej wieży...

Książę skulił się na tronie; jego twarz stała się maską grozy. Wyciągnął to, co kiedyś było palcem.

- Tam są - wyszeptał. - To one. Co robią w mojej sztuce? Kto im pozwolił wejść do mojej sztuki?

Księżna, mniej skłonna do zadawania retorycznych pytań, skinęła na najbliższego strażnika.

Na scenie Tomjon pocił się pod ciężarem tekstu. Wimsloe bełkotał tylko. A teraz Gumridge, grający rolę Dobrej Księżnej w Inianej peruce, także stracił wątek.

- Aha, śmiesz zwać mnie złym królem, choć szeptem to mówisz tak, że nikt prócz mnie nie słyszy - wychrypiał Tomjon. - A teraz PRZYWOŁAŁAŚ STRAŻNIKA,

zapewne najtajniejszym znakiem, nie korzystając z możliwości języka ni warg.

Strażnik wbiegł bokiem, z trudem odzyskując równowagę po pchnięciu Hwela.

- Hwel pyta, co się tu dzieje? - syknął.

- Cóż to?! - zawołał Tomjon. - Czy słyszałem, jak rzekłeś: „Przybywam, o pani”?

- Kazał wyrzucić tych ludzi! Tomjon wyszedł na brzeg sceny.

- Bełkoczesz, człeku. Patrz, jak odbijam żółwi cios twej włóczni. Powiedziałem: patrz, jak odbijam żółwi cios twej włóczni. Twej włóczni, człeku! Trzymasz ją w garści, na miłość bogów!

Strażnik wyszczerzył zęby.

Tomjon zawahał się. Trzej aktorzy obok niego wpatrywali się tępo w czarownice. Z nieuchronnością wezwania podatkowego zbliżała się scena pojedynku, w której - zaczynał się obawiać - będzie musiał parować swoje własne wściekłe pchnięcia i w końcu zakłuć sam siebie na śmierć.

Spojrzał na trzy czarownice. Otworzył usta.

Po raz pierwszy w życiu zawiodła go wspaniąta pamięć. Nie wiedział, co ma mówić.

Babcia Weatherwax wstała. Podeszła do krawędzi sceny. Publiczność wstrzymała oddech. Babcia podniosła rękę.

- Duchu, z otchłani przybywaj i kłamstwo zmień, niech prawda ma... - zawahała się - tra-la-la-la tra-la-la-la swój dzień.

Tomjon poczuł, że ogarnia go chłód. Pozostali także odżyli.

Z głębi pustych umysłów wypływały nowe słowa, słowa czerwone od krwi i zemsty, słowa odbijane echem od zamkowych murów, słowa zapamiętane w krzemie, słowa, które zmuszały do słuchania, słowa, które chwytały ich usta tak mocno, że próba ich niewypowiedzenia skończyłaby się złamaniem szczęki.

- Lękasz się go teraz? - spytał Gumridge. - Kiedy oszołomiony jest winem? Weź ten sztylet, mężu... Jesteś o grubość ostrza od tronu.

- Nie śmiem - odparł Wimsloe, usiłując spojrzeć ze zdumieniem na własne wargi.

- Kto się dowie? - Gumridge szerokim gestem wskazał publiczność. Nigdy już nie miał grać tak wspaniale. - Widzisz... To tylko noc bezoka. Weź sztylet teraz, a tron jutro. Uderz, człowiecze.

Dłoń Wimsloe'a zadrżała.

- Mam go, żono - powiedział. - Jest li to sztylet, co przed sobą widzę?
- Oczywiście, że to sztylet. No chodź. Zrób to teraz. Słabi nie zasługują na litość. Powiemy, że spadł ze schodów.
- Ludzie będą podejrzewać!
- Czyż nie ma lochów? Nie ma obcęgów? Dziewięcioma częściami prawa jest posiadanie, jeśli nóż posiadasz. Wimsloe cofnął rękę.
- Nie mogę. Był dla mnie samą dobrocią.
- A ty możesz być samą zgubą...

Dafe słyszał z daleka głosy. Poprawił maskę, sprawdził w lusterze śmiertelność swego wyglądu i zajął do tekstu. - Drzyjcie, śmiertelnicy - rzekł. - Gdyż jam jest Śmierć, co go... co go...

KTÓREGO.

- Dzięki - rzucił z roztargnieniem chłopak. - Którego żadna sztaba nie powstrzyma... ZATRZYMA.

- Zatrzyma... Ni brama zamknięta nie zagrozi drogi. Przybywam, by... by...

BY WZIAĆ DANINĘ TEJ NOCY KRÓLÓW. Dafe spuścił głowę.

- Jesteś dużo lepszy - jęknął. - Masz odpowiedni głos i pamiętasz słowa. - Odwrócił się. - To tylko trzy linijki, a Hwel... wy-pruje... mi... flaki... jeśli...

Zamarł. Szeroko otwarte oczy przypominały dwa spodki przerażenia. Śmierć pstryknął palcami przed twarzą chłopca.

ZAPOMNIJ, rozkazał, odwrócił się i ruszył cicho do kulisy.

Bezoka czaszka spoglądała na rząd kostiumów, na resztki pozostawione w garderobie. Puste nozdrza wciągały zapach naftaliny, smarowideł i potu.

Istnieje tu coś, pomyślał, co powinno niemal należeć do bogów. Ludzkie istoty zbudowały świat wewnątrz świata, który odbijał się w nim tak, jak pejzaż odbija się w kropli wody. A jednak... A jednak...

W tym swoim małym świecie umieścili wszystko to, od czego powinni przecież uciekać - nienawiść, strach, tyranię i tak dalej. Śmierć był tym zaintrygowany. Myśleli, że oderwą się od siebie samych, ale każda sztuka, wymyślona przez ludzi, wciągała ich głębiej do wnętrza.

Znalazł się tutaj w bardzo konkretnej i pilnej sprawie. Powinien zabrać duszę. Nie miał czasu na kwestie nieistotne. Ale czym naprawdę jest czas?

Stopy mimowolnie zatańczyły i zastukały na kamieniach. Samotny wśród szarości cienia, Śmierć stepował.

...JUTRO WIECZOREM ZAWIESZĄ GWIAZDĘ NA DRZWIACH TWEJ GARDEROBY..

Opanował się, poprawił kosę i w milczeniu czekał na znak.

Jeszcze nigdy żadnego nie przeoczył.

Wejdzie tam i pozabija wszystkich.

- A ty możesz być samą zgubą dla niego. Idź. Wszedł Śmierć. Stukał stopami o podłogę.

DRZYJCIE ŚMIERTELNICY, rzekł, GDYŻ JAM JEST ŚMIERĆ, KTÓREGO ŻADNA... ŻADNA... KTÓREGO ŻADNA... Zawahał się. Zawahał się po raz pierwszy w ciągu wieczności swego istnienia.

Choć bowiem Śmierć Dysku potrafił radzić sobie z milionami ludzi, każda śmierć była prywatna i osobista.

Śmierć rzadko bywał widziany; jedynie przez tych o skłonnościach okultystycznych i przez swoich klientów. Powód jest prosty: ludzki mózg ma dość rozsądku, usuwa widoki zbyt straszne, by je znieść. Problem w tym, że w tej chwili kilkaset osób oczekiwało wejścia Śmierci; a zatem go widziało.

Śmierć odwrócił się powoli i spojrzał w setki czujnych oczu.

Nawet w uścisku prawdy Tomjon natychmiast rozpoznał współaktora w potrzebie. Z wysiłkiem odzyskał władzę nad wargami.

- ...sztaba nie zatrzyma... - szepnął przez zaciśnięte zęby. Śmierć odpowiedział maniakalnym grymasem tremy. CO? szepnął głosem brzmiącym niczym kowadło uderzone małym ołowianym młoteczką.

- ...sztaba nie powstrzyma ni brama zamknięta nie zagrozi... - zachęcił go Tomjon.

...SZTABA NIE POWSTRZYMA NI BRAMA ZAMKNIĘTA NIE ZAGROZI... HM... powtórzył Śmierć, rozpaczliwie wpatrując się w usta chłopca.

- ...drogi! DROGI.

- Nie, nie mogę - odezwał się Wimsloe. - Ktoś nas zobaczy! Tam w dole, w korytarzu, ktoś patrzy!

- Nie ma nikogo!

- Czuję spojrzenie!

- Nędzny głupcze! Czy sama muszę to zrobić? Patrz, jego stopa już na pierwszym stopniu!

- Nie!

Krzyk rozległ się na widowni. Księżę poderwał się z miejsca, wciskając w usta udręczoną pięść. Potem rzucił się naprzód, roztrącając ludzi.

- Nie! Nie zrobiłem tego! To nie było tak! Nie wolno wam twierdzić, że tak się stało! Nie było was tam!

Spojrzał na zwrócone ku sobie twarze i spuścił głowę.

- Mnie też nie. - Zachichotał. - Spałem wtedy. Pamiętam doskonale. Krew splamiła łóżko, splamiła podłogę. Nie mogłem zmyć krwi, ale nie są to odpowiednie tematy do rozmowy. Nie pozwolę na dyskusję o bezpieczeństwie narodowym. To był tylko sen, a kiedy się obudzę, jutro on będzie żył. Jutro to się nie stanie, ponieważ się nie stało. Jutro możecie powiedzieć, że nie wiedzieliście. Jutro możecie powiedzieć: „Nie przypominam sobie”. Jakiegoż hałasu narobił spadając! Mógłby pobudzić umarłych. Kto by się spodziewał tyle krwi w jednym człowieku?

Dotarł do sceny, wspiął się i uśmiechnął promiennie do obecnych.

- Mam nadzieję, że to wszystko wyjaśnia - oznajmił. - Cha, cha.

W ciszy, jaka zapadła, Tomjon otworzył usta, by powiedzieć coś odpowiedniego, coś uspokajającego... I odkrył, że nie ma nic do powiedzenia.

Ale inna osobowość wniknęła w niego i przejęła władzę nad wargami. I przemówiła.

- Moim własnym sztyletem, ty draniu! Wiedziałem, że to ty! Widziałem cię na szczycie schodów, jak ssaleś kciuk! Zabiłbym cię, ale powstrzymuje mnie wizja słuchania przez wieczność twoich jęków. Ja, Verence, niegdyś król...

- Cóż to za zeznanie? - przerwała mu księżna. Stała przed sceną w otoczeniu sześciu żołnierzy. - To oszczerstwo - dodała. - I zdrada na dodatek. Bełkot obłąkanych aktorów.

- Byłem królem przeklętego Lancre! - wrzasnął Tomjon.

- W takim razie jesteś rzekomą ofiarą - odparła zimno księżna. - I nie możesz być świadkiem oskarżenia. To wbrew wszelkim precedensom.

Ciało Tomjona odwróciło się do Śmierci.

- Byłeś tam! Widziałeś wszystko!

OBAWIAM SIĘ, ŻE NIE ZOSTANĘ UZNANY ZA WŁAŚCIWEGO ŚWIADKA.

- Zatem nie ma dowodów, a gdzie nie ma dowodów, tam nie ma zbrodni - podsumowała księżna. Skinęła na żołnierzy. - Tak kończy się twój eksperyment - zwróciła się do męża. - Uważam, że mój sposób jest lepszy.

Rozejrzała się i dostrzegła czarownice.

- Aresztujcie je - poleciła.

- Nie! - zawołał Błazen, wychodząc zza kulisy.

- Co powiedziałaś?

- Widziałem wszystko - odparł spokojnie Błazen. - Byłem tej nocy w holu. To ty zabiłeś króla, panie.

- Nieprawda! - wrzasnął książę. - Nie było cię tam! Nie widziałem cię! Rozkazuję, żeby cię tam nie było!

- Nie ośmieliłeś się powiedzieć tego wcześniej, Błaźnie - zauważyła lady Felmet.

- Tak, pani. Ale musiałem powiedzieć teraz. Książę spojrzał na niego niepewnie.

- Przysięgałeś lojalność aż do śmierci, mój Błaźnie - syknął.

- Tak, panie. Przykro mi.

- Już jesteś trupem.

Książę wyrwał sztylet z bezwładnej dłoni Wimsloe'a i wbił go po rękojeść w pierś Błazna. Magrat krzyknęła. Błazen kołysał się w przód i w tył.

- Dzięki bogom, to już koniec - powiedział, gdy Magrat przecisnęła się między aktorami i przytuliła go do tego, co miłosiernie można nazwać jej łonem. Przyszło mu do głowy, że nigdy jeszcze nie spoglądał łonu prosto w oczy, przynajmniej od czasów dzieciństwa. Świat potraktował go wyjątkowo okrutnie, zachowując to doświadczenie na po śmierci.

Delikatnie odsunął dłoń Magrat i zdjął z głowy wstrętną czapkę z rogami. Odrzucił ją jak najdalej. Nie musiał już być błażnem, uświadomił sobie. Koniec zmartwień o przysięgi i wszystko. Jeśli dodać do tego łono, śmierć całkiem mu się spodobała.

- Nie zrobiłem tego - oznajmił książę.

Żadnego bólu, myślał Błazen. Zabawne. Z drugiej strony nie można przecież odczuwać bólu, kiedy jest się martwym. Marnowałby się.

- Wszyscy widzieliście, że tego nie zrobiłem.

Śmierć patrzył na Błazna ze zdziwieniem. Sięgnął w fałdy swej szaty i wyjął

klepsydrę. Miała dzwonki. Potrząsnął nią delikatnie i brzęknęła.

- Nie wydawałem rozkazów, by coś takiego się stało - oświadczył spokojnie książę; jego głos dochodził z daleka, z miejsca gdzie przebywał jego umysł.

Zespół przyglądał mu się bez słowa. Nie można było nienawidzić kogoś takiego. Można było tylko odczuwać silne zakłopotanie, że znalazło się zbyt blisko. Nawet Błazen był zakłopotany, a przecież nie żył.

Śmierć postukał w klepsydrę i przyjrzał się jej z bliska, żeby sprawdzić, czy się nie zepsuła.

- Wszyscy kłamiecie - rzekł książę powoli. - To bardzo niegrzecznie.

Sennie, delikatnie dźgnął sztyletem kilku aktorów. Uniósł ostrze.

- Widzicie? Nie ma krwi. To nie byłem ja. Spojrzał na księżną, wyrastającą nad nim niby tsunami nad rybacką wioską.

- To ona - oświadczył. - Ona to zrobiła.

Ukłuł ją raz czy dwa, dla zasady, potem przebił siebie i wypuścił sztylet z palców.

Po chwili namysłu odezwał się głosem o wiele bliższym światów normalności:

- Teraz możesz mnie zabrać - zwrócił się do Śmierci. - Czy przeleci kometa? Musi być kometa, kiedy umiera książę. Pójdę zobaczyć, dobrze?

Odszedł. Na widowni wybuchły oklaski.

- Musisz przyznać, że zachował się naprawdę po królewsku - stwierdziła w końcu Niania Ogg. - Trudno zaprzeczyć, że królewskie rody stają się ekscentryczne o wiele lepiej niż podobni do mnie czy do ciebie.

Śmierć przyłożył klepsydrę do czaszki. Jego oblicze było maską zdumienia.

Babcia Weatherwax podniosła sztylet i zbadła palcem ostrze. Z cichym zgrzytem, bez oporu wsunęło się w rękojeść.

Podąła sztylet Niani.

- Masz swój czarodziejski miecz.

Magrat spojrzała na sztylet, potem na Błazna.

- Jesteś martwy czy nie? - spytała.

- Muszę być - odparł nieco zduszonym głosem. - Myślę, że trafiłem do raju.

- Nie żartuj. Pytam poważnie.

- Nie wiem. Ale chciałbym odetchnąć.

- W takim razie na pewno żyjesz.

- Wszyscy żyją - wyjaśniła Babcia. - To fałszywy sztylet. Pewnie aktorom nie

można powierzyć prawdziwego.

- Nie potrafią nawet utrzymać w czystości kociołka - dodała Niania.

- Czy wszyscy są żywi, czy nie, to moja sprawa - odezwała się księżna. - Jako władczyni, sama będę o tym decydować. Mój mąż najwyraźniej postradał zmysły. - Obejrzała się na żołnierzy. - Rozkazuję...

- Teraz! - syknął Babci do ucha król Verence. - Teraz! Babcia Weatherwax wyprostowała się.

- Zamilcz, kobieto! - rzekła. - Przed tobą stoi prawdziwy król Lancre!

Klepnęła Tomjona w ramię.

- Kto? On?

- Kto? Ja?

- To śmieszne - oświadczyła księżna. - To przecież mim czy coś w tym rodzaju.

- Ona ma rację, proszę pani - zapewnił Tomjon, na krawędzi paniki. - Mój ojciec prowadzi teatr, nie królestwo.

- On jest prawowitym królem. Możemy to udowodnić.

- O nie. - Księżna nie słuchała dalej. - Nic z tego. W tym królestwie nie będzie żadnych zaginionych następców, powracających po latach. Żołnierze... Bierzcie go.

Babcia Weatherwax uniosła dłoń. Żołnierze niepewnie prze-stępowali z nogi na nogę.

- Jest czarownicą, tak? - zapytał jeden z nich.

- Oczywiście - przyznała księżna. Żołnierze kręcili się zakłopotani.

- Słyszeliśmy, że zmieniają ludzi w kijanki.

- A potem topią ich statki.

- Tak. I trąbią na jazdę.

- Właśnie.

- Powinniśmy o tym porozmawiać. Za czarownice należy nam się premia.

- Przecież ona może z nami zrobić, co zechce. Patrzcie tylko... Może nawet zadusić.

- Nie zachowujcie się jak durnie! - zirytowała się księżna. - Czarownice nie robią takich rzeczy. To tylko bajki, żeby straszyć ludzi.

Żołnierz pokręcił głową.

- Wyglądało to bardzo przekonująco.

- Oczywiście, że tak. Przecież tak miało... - zaczęła księżna. Potem

westchnęła i wyrwała żołnierzowi włóczę.

- Pokażę wam, jaka jest moc tych czarownic - oświadczyła i cisnęła ją prosto w twarz Babci.

Z szybkością atakującego węża Babcia przesunęła rękę i złapała włóczę tuż za grotem.

- No tak - powiedziała. - Dochodzi już do tego.

- Nie boję się was, siostry wiedźmy - wycodziła księżna. Babcia przez kilka sekund patrzyła jej w oczy. Potem chrząknęła zdziwiona.

- Rzeczywiście - stwierdziła. - Nie boimy się, prawda...

- Czy myślisz, że was nie badałam? Wasza magia to sztuczki i iluzja dla zadziwienia słabych umysłów. Mnie nie przeraża. Czyń, na co cię stać.

Babcia przyglądała się jej przez chwilę.

- Na co mnie stać? - upewniła się.

Niania Ogg i Magrat szybko zeszły jej z drogi. Księżna zaśmiała się.

- Sprytna jesteś. Muszę ci to przyznać. I szybka. No chodź, wiedźmo. Sprowadź swoje ropuchy i demony, a ja...

Urwała. Przez chwilę otwierała i zamykała usta, nie wydając żadnego dźwięku. Ściągnęła wargi w stężonym grymasie przerażenia, spoglądając poza Babcię, poza świat, na coś innego. Uniosła do ust zaciśniętą pięść i jęknęła cicho. Zamarła jak królik, który zobaczył gronostaja i bez żadnych wątpliwości wie, że to ostatni gronostaj, jakiego widzi w życiu.

- Co jej zrobiłaś? - spytała Magrat, która pierwsza ośmieliła się odezwać.

- Głowologia. - Babcia uśmiechnęła się z satysfakcją. - Do tego nie jest potrzebna magia Czarnej Aliss.

- Tak, ale co zrobiłaś?

- Nikt nie staje się taki jak ona, jeśli nie zbuduje murów w umyśle. Zburzyłam je. Każdy krzyk. Każde błaganie. Każde poczucie winy, drgnienie sumienia. Wszystko naraz. Skromna sztuczka. - Rzuciła Magrat łaskawy uśmiech. - Jeśli chcesz, kiedyś cię nauczę.

Magrat zastanowiła się.

- To okropne - uznała.

- Bzdura. - Babcia uśmiechnęła się drapieżnie. - Każdy chce poznać swoje prawdziwe ja. Ona poznała.

- Czasami musisz być łagodna, żeby być okrutna - stwierdziła z aprobatą

Niania Ogg.

- To chyba najgorsze, co może się człowiekowi zdarzyć - uznała Magrat. Księżna kołysała się do przodu i do tyłu.

- Na bogów, użyj swojej wyobraźni, dziewczyno - upomniała ją Babcia. - Są rzeczy o wiele gorsze. Igły pod paznokciami na przykład. Albo obcęgi.

- Rozżarzone do czerwoności noże wbite w pupę - dodała Niania. - Rękojeścią do przodu, żebyś pocięła sobie palce, próbując je wyjąć...

- To po prostu najgorsze, na co było mnie stać - oświadczyła dumnie Babcia. - I to, co należy. Czarownica tak właśnie powinna się zachowywać. Po co robić widowiskowe sztuki? Większa część magii dzieje się w głowie. To głowologia. A teraz, gdybyś...

Z ust księżnej wyrwał się odgłos podobny do wycieku gazu. Szarpnęła głowę do tyłu. Otworzyła oczy, zamrugła i skupiła wzrok na Babci. Czysta nienawiść wykrzywiła jej rysy.

- Straż! - krzyknęła. - Kazałam je pojmać! Babci opadła szczęka.

- Co? - zdumiała się. - Przecież... Przecież pokazałam ci twoje prawdziwe ja.

- I to miało mnie pokonać? - Żołnierze potulnie chwycili Babcię za ręce, a księżna przysunęła twarz do jej twarzy; krzaczaste brwi zbiegły się w V tryumfującej nienawiści. - Powinnam więc się na podłódze, tak? Wiedz, stara kobieto, że zobaczyłam siebie, rozumiesz, i jestem z tego dumna! Zrobiłabym to wszystko znowu, tylko dłużej i mocniej. Bawiłam się tym, a postąpiłam tak, ponieważ to mi się podobało!

Uderzyła pięścią w swoją szeroką pierś.

- Wy tępi idioci! Jesteście tacy słabi. Naprawdę wierzycie, że w głębi duszy ludzie są w zasadzie przyzwoici?

Wszyscy na scenie cofnęli się przed potęgą jej emocji.

- Zajrzałam w swoją duszę - oświadczyła. - I wiem, co popycha ludzi do czynu. To strach. Czysty, porażający strach. Nie ma wśród was nikogo, kto się mnie nie boi. Mogę sprawić, że będziecie szczękać zębami ze zgrozy. A teraz wezmę...

W tym miejscu Niania Ogg trafiła ją kociołkiem w tył głowy.

- Potrafi gadać, co? - rzuciła konwersacyjnym tonem. - Trochę jest ekscentryczna, moim zdaniem.

Zapadło długie, kłopotliwe milczenie.

Babcia Weatherwax odchrząknęła. Potem obdarowała trzymających ją

żołnierzy promiennym, szczęśliwym uśmiechem. Wskazała kopiec, którym stała się księżna.

- Zabierzcie ją stąd i wrzucie do jakiejś celi - poleciła. Żołnierze stanęli na baczność, potem chwycili księżną pod ręce i z niemałym wysiłkiem postawili na nogach.

- Tylko delikatnie - uprzedziła Babcia. Roztarła dłonie i zwróciła się do Tomjona, który przyglądał jej się z otwartymi ustami.

- Możesz mi wierzyć - syknęła. - Tutaj i teraz, mój chłopcze, nie masz żadnego wyboru. Jesteś królem Lancre.

- Ale ja nie wiem, jak być królem!

- Wszyscy cię widzieliśmy. Robiłeś wszystko jak trzeba, nawet krzyki.

- To była gra!

- Więc graj. Być królem to... - Babcia zawahała się i pstryknęła palcami na Magrat. - Jak się nazywają te małe, których jest po sto we wszystkim?

Magrat zdziwiła się.

- Chodzi ci o procenty? - spytała.

- Właśnie o nie - zgodziła się Babcia. - Większość procentów bycia królem to, moim zdaniem, gra. Powinieneś świetnie sobie poradzić.

Tomjon zerknął za kulisy, skąd oczekiwał pomocy od Hwela. Krasnolud istotnie stał tam, jednak nie zwracał uwagi na scenę. Miał przed sobą tekst sztuki i poprawiał go z furją.

ALEŻ ZAPEWNIAM CIĘ, ŻE NIE JESTEŚ MARTWY

MOŻESZ MI WIERZYĆ.

Książę zachichotał. Znalazł gdzieś prześcieradło i owinał się nim. Teraz sunął jednym z opuszczonych zamkowych korytarzy. Czasami wołał „uuu” głuchym głosem.

Śmierci się to nie podobało. Był przyzwyczajony do ludzi twierdzących, że nie umarli, ponieważ śmierć zawsze przychodzi znienacka i niektórzy potrzebują czasu, żeby się z tym pogodzić. Ale ludzie twierdzący po wielokroć, że są martwi, to całkiem nowe i niepokojące doświadczenie.

- Będę naskakiwał na ludzi - oświadczył książę rozmarzony. - Przez całą noc będę grzechotał kośćmi. Siądę na dachu i będę przepowiadał śmierć w domu.

TO BANSHEE.

- Zrobię tak, jeśli będę miał ochotę. - W głosie księcia zabrzmiało echo dawnej determinacji. - Będę przenikał przez ściany, stukał w stoły i kapał ektoplazmą na każdego, kogo nie lubię. Cha, cha.

NIE UDA SIĘ. LUDZIOM ŻYWYM NIE WOLNO BYĆ DUCHAMI. PRZYKRO MI.

Książę bez większych sukcesów próbował przeniknąć przez ścianę, zrezygnował i drzwiami wyszedł na pokruszony fragment murów obronnych. Burza przycichła nieco i cienki sierp księżyca przyczaił się za chmurami, jak konik sprzedający bilety do wieczności.

Śmierć przeszedł za nim przez mur.

- A właściwie - zapytał książę - skoro nie umarłem, to co ty tu robisz?

Wskoczył na mur i załopotał prześcieradłem. CZEKAM.

- A czekaj sobie, kościana gębo! - zawołał tryumfująco książę. - Będę unosił się w świecie zmierzchu, znajdę sobie jakieś łańcuchy do dzwonienia, będę...

Cofnął się o krok, stracił równowagę, przewrócił się, runął ciężko na mur i zaczął się zsuwać. Przez chwilę pozostałość jego prawej dłoni bezskutecznie drapała kamienie; potem zniknęła.

Śmierć w oczywisty sposób znajduje się potencjalnie wszędzie równocześnie. W pewnym sensie nie bardziej prawdziwe jest stwierdzenie, że stał na blankach i z roztargnieniem strącał nie istniejące cząstki lśniącego metalu z ostrza kosy, niż to, że stał po pas w spienionych, najeżonych kamieniami wodach na dnie wąwozu Lancre. Jego wapienne spojrzenie, przeszukujące pobliski teren, zatrzymało się nagle w miejscu, gdzie nurt płynął o kilka zdradzieckich cali nad łóżem kanciastych kamieni.

Po chwili książę usiadł, przejrzysty na tle fosforyzujących fal.

- Będę krążył po korytarzach - oznajmił. - Będę szeptał pod drzwiami w spokojne noce. - Jego głos przycichł, stał się prawie niesłyszalny w nieustającym huku fal. - Sprawię, że wiklinowe krzesła będą trzeszczeć przerażająco. Zobaczysz jeszcze.

Śmierć uśmiechnął się.

TERAZ MÓWISZ Z SENSEM.

Zaczęło padać.

Deszcz w Ramtopach ma niezwykłą zdolność przenikania, która sprawia, że wobec niego zwykły deszcz wydaje się niemal zasuszony. Całymi strumieniami lał się na zamkowe dachy i sprawiał wrażenie, że przesącza się jakoś przez dachówki, wypełniając wielki hol nieprzyjemną wilgocią.

W sali zebrali się połowa mieszkańców Lancre. Na zewnątrz szum deszczu zagłuszał nawet odległy ryk rzeki. Deszcz nasączał scenę. Z malowanych dekoracji ściekały kolory, a jedna kurtyna zsunęła się z pręta i smętnie opadła w kałużę.

Wewnątrz Babcia Weatherwax zakończyła przemowę.

- Zapomniałaś o koronie - szepnęła Niania Ogg.

- Aha - mruknęła Babcia. - Właśnie, korona. Jak widzicie, mają na głowie. Kiedy aktorzy wyjeżdżali, ukryłyśmy ją między innymi koronami, ponieważ nikt by jej tam nie szukał. Patrzcie, jak świetnie na niego pasuje.

Trzeba wyrazić uznanie dla Babcinej siły przekonywania, ponieważ wszyscy zobaczyli, jak doskonale korona pasuje na Tomjona. Jedynym, który tego nie zauważył, był sam Tomjon świadom, że tylko uszy powstrzymują ją od przekształcenia się w naszyjnik.

- Wyobraźcie sobie to wrażenie, kiedy włożył ją po raz pierwszy - ciągnęła Babcia. - Podejrzewam, że doznał kuriozalnego uczucia mrowienia.

- Szczerze mówiąc, czułem raczej... - zaczął Tomjon, ale nikt go nie słuchał. Wzruszył ramionami i przechylił się w stronę Hwela, który pisał pracownice.

- Czy „kuriozalne” oznacza „nieprzyjemne”? - szepnął. Krasnolud zwrócił ku niemu nie widzące spojrzenie.

- Co?

- Pytałem, czy „kuriozalne” oznacza „nieprzyjemne”.

- Jak... Aha. Nie. Nie sędzę.

- Więc co to znaczy?

- Nie wiem. Chyba podłużne. - Wzrok Hwela jak namagnetyzowany powracał do rękopisu. - Pamiętasz może, co powiedział po tych wszystkich jutrach? Nie dosłyszałem tego kawałka potem...

- I naprawdę nie musiałeś wszystkim ogłaszać, że byłem adoptowany - oświadczył Tomjon.

- Ale tak było, rozumiesz - odparł Hwel. - Lepiej w tych sprawach być uczciwym. Czy on ją przebił sztyłem, czy tylko oskarżył?

- Nie chcę być królem - szepnął chrapliwie Tomjon. - Wszyscy mówią, że

jestem podobny do ojca.

- Zabawna rzecz z tym podobieństwem - mruknął z roztargnieniem krasnolud.
- Wiesz, gdybym ja był podobny do swojego ojca, tkwiłbym teraz sto stóp pod ziemią i kuł skały, podczas gdy...

Zamilkł. Wpatrywał się w ostrze swego pióra, jakby niepomiernie go fascynowało.

- Podczas gdy co?
- Hę?
- Czy ty w ogóle słuchasz?
- Już kiedy pisałem, wiedziałem, że coś nie pasuje. Wiedziałem, że powinno być odwrotnie... Co? A tak. Bądź królem. To dobra posada. W każdym razie wydaje się, że jest na nią sporo chętnych. Cieszę się. Kiedy już zostaniesz królem, będziesz mógł robić, co zechcesz.

Tomjon przyjrzał się twarzom najświetniejszych obywateli Lancre. Miały wyraz czujny, chytry, jak u publiczności na wystawie bydła. Oceniali go. Zimny, lepki pot zlał go na myśl, że kiedy już zostanie królem, będzie mógł robić, co zechce. Pod warunkiem że zechce zostać królem.

- Możesz zbudować własny teatr. - Oczy Hwela błysnęły. - Z tyloma zapadniami, ile ci się spodoba, i ze wspianymi kostiumami. Co noc mógłbyś grać w nowej sztuce. Wiesz, Disk wyglądałby przy nim jak szopa.

- Kto by mnie oglądał?
- Wszyscy.
- Jak to? Każdej nocy?
- Mógłbyś im rozkazać - wyjaśnił Hwel, nie podnosząc głowy.

Wiedziałem, że to powie, myślał Tomjon. Ale nie mówi poważnie, dodał wielkodusznie. Ma swoją sztukę. Tak naprawdę nie istnieje w tym świecie ani w tej chwili.

Zdjął koronę i obrócił ją w rękach. Zrobiona była z niewielkiej ilości metalu, a jednak wydawała się bardzo ciężka. Ciekawe, czy będzie cięższa, jeśli zacznie ją nosić przez cały czas.

U szczytu stołu stało puste krzesło, na którym siedział -jak go zapewniono - duch jego prawdziwego ojca. Tomjon chciałby stwierdzić, że kiedy go przedstawiono, doznał czegoś więcej niż wrażenie lodowatego podmuchu i brzęczenie w uszach.

- Chyba mógłbym pomóc ojcu spłacić Disk - mruknął.

- Owszem, to miło z twojej strony - zapewnił Hwel. Tomjon kręcił koronę w palcach, słuchając rozmów toczących się dookoła.

- Piętnaście lat? - spytał burmistrz Lancre.

- Nie było wyjścia - odparła Babcia Weatherwax.

- Tak mi się zdawało, że w zeszłym tygodniu piekarz trochę się pospieszył...

- Nie, nie - przerwała niecierpliwie czarownica. - To nie działa w ten sposób. Nikt niczego nie stracił.

- Według mnie - oświadczył człowiek pracujący jako wikary, pisarz miejski i grabarz równocześnie - wszyscy straciliśmy piętnaście lat.

- Nie, zyskaliśmy je - zaprotestował burmistrz. - To logiczne. Czas jest niby kręta droga, a my ruszyliśmy skrótem na przełaj.

- Wcale nie. - Pisarz miejski podsunął mu kartkę papieru. - Proszę spojrzeć...

Tomjon pozwolił, by zamknęły się nad nim fale dysputy.

Wszyscy chcieli, żeby został królem. Nikt nawet się nie zastanowił nad jego pragnieniami. Jego opinie się nie liczyły.

Nie, nie tak. Nikt nie chciał, żeby to właśnie on został królem. Nie konkretnie on. Po prostu okazało się to wygodne.

Złoto nie matowieje, przynajmniej nie fizycznie. Tomjon czuł jednak, że cienki pasek metalu w jego rękach ukazuje nieprzyjemną głębię połysku. Korona spoczywała na zbyt wielu niespokojnych głowach. Kiedy przysuwał ją do ucha, słyszał krzyki.

Uświadomił sobie nagle, że ktoś mu się przygląda, że czyjś wzrok przesuwają się po jego twarzy niby płomień palnika po ścianie. Podniósł głowę.

To trzecia czarownica, ta młoda... najmłodsza, bardzo przejęta i z fryzurą w stylu żywopłotu. Siedziała obok byłego Błazna z taką miną, jakby posiadała pakiet kontrolny.

To nie jego minie się przyglądała. Badała rysy twarzy. Gałki oczne niby cyrkiel mierzyły go od karku po grzbiet nosa. Uśmiechnął się do niej mężnie, ale nie zwróciła na to uwagi. Jak wszyscy.

Tylko Błazen go zauważył i odpowiedział przeproszającym uśmiechem i dyskretnym machnięciem palców, które mówiło: „Co tu robimy? My, ludzie rozsądni”. Kobieta znowu się przyglądała, przechylała głowę i mrużyła oczy. Od czasu do czasu zerkiała na Błazna, a potem znów na Tomjona. Po chwili szepnęła coś na ucho najstarszej czarownicy, która jako jedyna w całej wilgotnej, dusznej sali zdobyła kufel

piwa.

Zaczęły gorącą, szeptaną dyskusję. Tomjon pomyślał, że to niezwykle kobiecy sposób rozmowy. Zwykle takie konwersacje odbywają się w progu, a ich uczestniczki stoją z założonymi na piersiach rękami. A jeśli ktokolwiek okaże się nieuprzejmy i przejdzie obok, milkną natychmiast i obserwują go w milczeniu, póki nie znajdzie się poza zasięgiem głosu.

Zdał sobie sprawę, że Babcia Weatherwax umilkła, a cała sala patrzy na niego wyczekująco.

- Tak? - zapytał.

- Rozsądnie byłoby wyznaczyć koronację na jutro - odparła Babcia. - Niedobrze, by królestwo nie miało władcy. Nie lubi tego.

Wstała, odsunęła krzesło, podeszła i wzięła Tomjona za rękę. Ruszył za nią pokornie do tronu. Tam oparła mu dłonie na ramionach i zmusiła, by usiadł na wytartych, czerwonych aksamitnych poduszkach.

Zazgrzytały odsuwane ławy i stołki. Tomjon rozejrzał się przerażony.

- Co się dzieje? - zapytał.

- Spokojnie. Będą kolejno podchodzić i przysięgać ci wierność. Kiwaj uprzejmie głową i pytaj każdego, czym się zajmuje i czy jest zadowolony. Aha, i lepiej oddaj im koronę.

Tomjon zdjął ją szybko.

- Po co? - zapytał.

- Chcą ci ją ofiarować.

- Przecież już ją mam! Babcia westchnęła ciężko.

- Tylko w tym, jak mu tam, rzeczywistym sensie - wyjaśniła. - Chodzi o coś bardziej ceremonialnego.

- To znaczy nierzeczywistego?

- Tak. Ale o wiele ważniejszego. Tomjon ścisnął poręcz tronu.

- Sprowadź mi Hwela - polecił.

- Nie, musisz to robić jak należy. To ważne, rozumiesz. Najpierw rozmawiasz z...

- Powiedziałem: sprowadź mi krasnoluda. Nie słyszałaś, kobieto?

Tym razem Tomjon wymówił to właściwym głosem z odpowiednią intonacją, ale Babcia dzielnie stawiała mu czoło.

- Chyba nie całkiem zdajesz sobie sprawę, do kogo mówisz, młody człowieku -

rzekła.

Tomjon uniósł się nieco. Grał już wielu królów i większość nie należała do władców, którzy ściskają ręce podwładnym i pytają, czy są zadowoleni z pracy. O wiele częściej byli typem królów, którzy rzucają ludzi do bitwy o piątą w mroźny ranek, a jednak potrafią ich przekonać, że to lepsze niż leżenie w łóżku. Tomjon przywołał ich wszystkich w pamięci i potraktował Babcię z królewską wyższością, dumą i arogancją.

- Myśleliśmy, że zwracamy się do poddanej - oświadczył. -A teraz czyń, co rozkazaliśmy.

Przez kilka sekund Babcia z absolutnie nieruchomą twarzą zastanawiała się, co dalej. Potem uśmiechnęła się do siebie i rzuciła swobodnie:

- Jak sobie życzysz.

Po chwili wyrwała z siedzenia wciąż piszącego Hwela.

Krasnolud skłonił się sztywno.

- Żadnych takich - warknął Tomjon. - Co mam robić?

- Nie wiem. Chcesz, żebym ci napisał mowę dziękczynną?

- Mówilem przecież: nie chcę być królem.

- To z mową dziękczynną mogą być kłopoty - przyznał krasnolud. - Czy dobrze się zastanowiłeś? Król to wspaniała rola.

- Ale jedyna, którą można grać!

- Hm... W takim razie zwyczajnie powiedz im „nie”.

- Tak po prostu? Czy to coś da?

- Zawsze warto spróbować.

Grupa dygnitarzy Lancre zbliżała się właśnie z koroną na poduszce. Wyraz ich twarzy znamionował głęboki szacunek połączony z cieniem zadowolenia z siebie. Nieśli koronę, jakby był to Prezent dla Grzecznego Chłopczyka.

Burmistrz Lancre chrząknął, zasłaniając usta dłonią.

- Przygotowanie uroczystej koronacji wymaga czasu - zaczął. - Chcielibyśmy jednak...

- Nie - rzekł Tomjon. Burmistrz zawahał się.

- Słucham?

- Nie przyjmę jej.

Burmistrz zawahał się znowu. Poruszył wargami, a oczy zaszkliły mu się lekko. Uznał, że wyraźnie gdzieś się zgubił i postanowił, że najlepiej będzie zacząć

od początku.

- Przygotowanie uroczystej koronacji wymaga... - podjął.

- Nie wymaga - przerwał mu Tomjon. - Nie będę królem. Burmistrz zamykał i otwierał usta niczym karp.

- Hwel - szepnął Tomjon zrozpaczony. - Ty jesteś dobry w słowach.

- Problem, jaki tu widzimy - oświadczył krasnolud - polega na tym, że „nie” najwyraźniej nie mieści się w zakresie możliwości, jakie ci pozostają, kiedy otrzymujesz koronę. Mam wrażenie, że pogodziłby się z „może”.

Tomjon wstał i chwycił koronę. Uniósł ją nad głową niby tamburyn.

- Słuchajcie wszyscy! - zawołał. - Dziękuję za propozycję. To wielki zaszczyt. Ale nie mogę go przyjąć. Nosilem więcej koron, niż moglibyście zliczyć, a jedyne królestwo, którym potrafię rządzić, ma z przodu kurtynę. Przykro mi.

Odpowiedziała mu martwa cisza. Chyba dobrał nieodpowiednie słowa.

- Drugi problem - rzucił swobodnie Hwel - to że tak naprawdę nie masz wyboru. Ty jesteś królem, rozumiesz? Na tę posadę zostajesz przyjęty w chwili urodzenia.

- Nie umiem dobrze rządzić!

- To bez znaczenia. Król to nie coś, w czym jesteś dobry. To coś, czym jesteś.

- Nie możesz mnie tu zostawić! Tu są tylko lasy!

Znowu poczuł duszący mroźny podmuch i w uszach mu zaszumiało. Przez chwilę zdawało mu się, że widzi zwiewnego jak mgła, wysokiego, smutnego mężczyznę, błagalnie wyciągającego rękę.

- Przykro mi - wyszeptał. - Naprawdę.

Przez niknącą sylwetkę zobaczył czarownice, obserwujące go z uwagą.

- Masz tylko jedną szansę - odezwał się z tyłu Hwel. - Jeśli znajdzie się inny następca. Nie pamiętasz jakichś braci albo sióstr?

- Nikogo nie pamiętam, Hwel, ja...

Wśród czarownic znowu wybuchła gwałtowna dyskusja. A potem Magrat przemaszerowała przez salę, kroczyła niby fala przyływu, niby krew uderzająca do głowy, strącając z ramienia dłoń Babci Weatherwax, zmierzając do tronu jak grot strzały i ciągnąc za sobą Błazna.

- Hej tam!

- Halo!

- Hm, przepraszam, czy ktoś nas słyszy?

Zamek w górze pełen był gwaru i radości. Nikt nie słyszał błagalnych i rozgorączkowanych głosów, odbijających się echem w korytarzach lochów, z każdą godziną bardziej błagalnych i bardziej rozgorączkowanych.

- Hej tam! Przepraszam bardzo! Billem ma tą straszną... rzecz od szczurów. Jeśli wolno... Uaaa!

Pozwólmy kamerze umysłu przesuwając się wolno wzdłuż mrocznych korytarzy, ujmować mokłą pleśń, rdzewiejące łańcuchy, wilgoć, cienie...

- Czy ktoś nas słyszy? Tego już naprawdę za wiele! To chyba jakaś pomyłka, patrzcie, peruki się zdejmują...

Niech proszące echa gasną w zasnutych pajęczyną kątach, wśród pełnych gryzoni tuneli, póki nie staną się jedynie szmerem na granicy słyszalności.

- Hej! Hej, przepraszamy, pomocy!

Ktoś musi tu znowu przyjść. W tych dniach...

Jakiś czas później Magrat spytała Hwela, czy jest zwolennikiem długiego narzeczeństwa. Krasnolud przerwał pracę przy załadunku wozów. A w każdym razie nadzorowania załadunku. Realna fizyczna pomoc byłaby dość trudna, gdyż poprzedniego dnia pośliznął się na czymś i złamał nogę.

- Najwyżej tydzień - odparł. - Z popołudniówkami, ma się rozumieć.

Minał miesiąc. Jesienny zapach wilgotnej ziemi unosił się nad aksamitnie czarnymi wrzosowiskami, gdzie rozmyte światło gwiazd odbijało się w isierce ognia. Głaz stał na miejscu, jednak gotów do ucieczki, gdyby w pobliżu pojawili się jacyś widzowie.

Czarownice siedziały w milczeniu. To spotkanie nie miało szans na pozycję w pierwszej setce najbardziej ekscytujących sabatów wszech czasów. Gdyby Musorgski je zobaczył, noc na łysej górze skończyłaby się wczesnym popołudniem. W końcu odezwała się Babcia Weatherwax.

- Myślę, że bankiet był udany.

- Najadłam się po uszy - oznajmiła z dumą Niania Ogg. - A moja Shirli

pomagała w kuchni i przyniosła trochę resztek.

- Słyszałam - stwierdziła chłodno Babcia - że zginęło pół świni i trzy butelki musującego wina.

- To miło, że niektórzy pamiętają jeszcze o starszych - rzekła całkiem nie zawstydzona Niania. - Mam też kubek koronacyjny. - Wyjęła go. - Tu jest napisane „Viva Verence II Rex”. To zabawne, że nazywają go Rex. Ale nie uchwycili podobieństwa. Nie pamiętam, żeby uszko sterczało mu z głowy.

Po raz kolejny zapadło długie i straszliwie uprzejme milczenie. Wreszcie głos zabrała Babcia.

- Byłyśmy trochę zdziwione, że cię nie było, Magrat.

- Myślałyśmy, że będziesz siedziała na honorowym miejscu. Myślałyśmy, że się tam przeprowadziłaś. Magrat wpatrywała się we własne stopy.

- Nie byłam zaproszona - odparła cicho.

- A po co zaproszenie? - zdziwiła się Babcia. - Nas też nikt nie zapraszał. Ludzie nie zapraszają czarownic, po prostu wiedzą, że się zjawimy, jeśli nam przyjdzie ochota. I szybko znajdują dla nas miejsce - dodała z niejakim zadowoleniem.

- Widzicie, był bardzo zajęty. - Magrat zwracała się do swych stóp. - Porządkował wszystko... No wiecie. Jest bardzo mądry. W głębi.

- Bardzo trzeźwy młodzieniec - zgodziła się Niania.

- Zresztą dziś pełnia - przypomniała Magrat pośpiesznie. - O pełni księżyca trzeba się zjawiać na sabacie, nieważne, co jeszcze jest na rzeczy.

- Czyżbyście...? - zaczęła Niania Ogg, ale Babcia szturchnęła ją mocno pod żebro.

- Dobrze, że stara się zapanować nad królestwem - pocieszyła młodszą koleżankę Babcia. - To dowodzi rozsądku. Myślę, że prędzej czy później załatwi wszystkie zaległe sprawy. Królowanie to bardzo czasochłonne zajęcie.

- Tak - przyznała Magrat ledwie dosłyszalnie. Cisza, która nastąpiła, była niemal dotykalna. Przerwała ją Niania głosem jasnym i kruchym jak lód.

- Wiecie co? Przyniosłam ze sobą flaszkę wina z bąbelkami - oznajmiła. - Na wypadek gdyby on... gdyby... gdybyśmy miały ochotę się napić - dokończyła i machnęła butelką.

- Nie chcę - powiedziała smętnie Magrat.

- Napij się, dziewczyno - namawiała ją Babcia Weatherwax. - Dobrze ci zrobi

na płuca. Noc jest chłodna.

Przyjrzała się Magrat, gdy księżyc wypłynął zza swojej chmury.

- Wiesz, włosy masz chyba trochę tłuste - zauważyła. - Wyglądają, jakbyś nie myła ich od miesiąca. Magrat wybuchnęła płaczem.

Ten sam księżyc świecił na niczym się nie wyróżniające miasteczko Rham Nitz, jakieś dziewięćdziesiąt mil od Lancre.

Tomjon wśród burzy oklasków zszedł ze sceny po ostatnim akcie *Trolla z Ankh*. Setka ludzi miała dziś wracać do domów zastanawiając się, czy trolle naprawdę są takie złe, jak zawsze sądzili. Oczywiście, to w żaden sposób nie przeszkodzi im nie cierpieć trolli tak samo jak dotąd.

Hwel poklepał go po ramieniu. Chłopak siedział przy stole charakterystycznym i zdrapywał gęstą szarą maź, pod którą miał wyglądać jak chodząca skała.

- Dobra robota - pochwalił krasnolud. - Scena miłosna w sam raz. A kiedy się odwróciłeś i ryknąłeś na maga, nie wierzę, żeby na sali zostało jedno suche siedzenie.

- Wiem.

Hwel zatarł ręce.

- Możemy sobie dzisiaj pozwolić na tawernę - stwierdził. - Więc gdybyśmy tylko...

- Będziemy spać na wozach - odparł stanowczo Tomjon, oglądając się w odłamku lustra.

- Ale wiesz, ile Bła... ile król nam dał? Wystarczy na puchowe łoża przez całą drogę do domu.

- Będą sienniki i porządny zysk. A za zysk kupimy ci bogów z nieba i demony z piekła, i tyle zapadni, że ich nie zliczysz, moja ozdobo trawnika.

Dłoń Hwela spoczęła na ramieniu Tomjona. Potem krasnolud powiedział:

- Masz rację, szefie.

- Pewnie, że mam. Jak ci idzie sztuka?

- Hm? Jaka sztuka? - spytał niewinnie Hwel. Tomjon ostrożnie zdjął gipsowy fałd czołowy.

- Przecież wiesz. Ta sztuka. O królu Lancre.

- A, ta. Idzie jakoś, idzie. W tych dniach powinienem ją skończyć. - Hwel

szybko zmienić temat. - Wiesz, wystawiając w miastach po drodze moglibyśmy dojechać do rzeki i popłynąć barką do domu. Przyjemnie by było, co?

- Ale możemy wracać lądem, grać w miasteczkach po drodze i zebrać więcej gotówki. Tak będzie lepiej, prawda? - Tomjon uśmiechnął się. - Dzisiaj zebraliśmy sto trzy miedziaki; liczyłem w czasie mowy Sądu. To prawie sztuka srebra ponad koszt.

- Jesteś synem swego ojca, nie ma wątpliwości - stwierdził Hwel.

Tomjon przyjrzał się sobie w lustrze.

- Tak - przyznał. - Chyba lepiej, gdybym był.

Magrat nie lubiła kotów i nienawidziła samej myśli o pułapkach na myszy. Zawsze uważała, że z takimi stworzeniami jak myszy możliwe jest zawarcie swego rodzaju umowy, by cała dostępna żywność była dzielona w najlepszym interesie obu stron. Był to pogląd wyjątkowo humanitarny, inaczej mówiąc taki, którego myszy nie podzielały. Dlatego jej zalana księżycowym blaskiem kuchnia wydawała się żywa.

Kiedy zabrzmiało pukanie do drzwi, cała podłoga rzuciła się pod ściany.

Po kilku sekundach pukanie się powtórzyło. Znowu nastała cisza. A potem stukanie zatrzęsło drzwiami na zawiasach.

- Otwierać w imieniu króla! - krzyknął głos.

- Nie musicie tak krzyczeć - upomniał go drugi głos. - Po co krzyki? Nie kazałem wam przecież krzyczeć. Takie krzyki każdego mogą wystraszyć.

- Przepraszam, sire! To należy do moich obowiązków, sire!

- Może zapukajcie jeszcze raz. Tylko tym razem delikatnie. Stukanie było może trochę cichsze. Spadł fartuch Magrat, wiszący na haczyku wbitym w drzwi.

- Jesteście pewni, że sam nie mogę tego robić?

- Nie uchodzi, żeby król stukał do drzwi nędznego domku. Proszę zostawić to mnie. OTWIERAĆ W IMIENIU...

- Sierżancie!

- Przepraszam, sire. Zapomniałem się.

- Sprawdźcie skobel.

Rozległ się odgłos czyjś intensywnego wahania.

- Nie podoba mi się to, sire. Może być niebezpiecznie. Gdybym miał coś doradzić, sire, podpaliłbym strzechę.

- Podpalił?

- Tak, sire. Zawsze to robimy, kiedy nie otwierają drzwi. Od razu wychodzą.
- Nie sądzę, żeby to było właściwe, sierżancie. Raczej sprawdzę skobel, jeśli wam to nie przeszkadza.
- Serce mi pęka, gdy na to patrzę, sire.
- Cóż, przykro mi.
- Moglibyście, sire, pozwolić mi przynajmniej je wyważyć.
- Nie!
- A może bym podłożył ogień pod wygodkę?
- Wykluczone.
- Ten kurnik w kącie zająłby się na...
- Sierżancie!
- Sire!
- Wracajcie do zamku.
- Jak to? I zostawić was samego, sire?
- Sierżancie, chodzi o sprawę wyjątkowo delikatną. Jestem pewien, że wasze zalety są nieocenione, niemniej jednak w pewnych sytuacjach nawet król musi zostać sam. Rozumiecie, chodzi o młodą kobietę.
- Ach... Rozumiem, sire.
- Dziękuję. Pomóżcie mi zsiąść.
- Przepraszam za to wszystko, sire. Byłem nietaktowny.
- Nie ma o czym mówić.
- Gdybyście potrzebowali pomocy, żeby ją rozpalić...
- Proszę... Wracajcie do zamku, sierżancie.
- Tak jest, sire. Skoro jesteście pewni, sire... Dziękuję, sire.
- Sierżancie...
- Słucham, sire.
- Potrzebny mi ktoś, kto odwiezie moją czapkę i dzwonki do Gildii Błaznów w Ankh-Morpork, skoro ją opuszczam. Mam wrażenie, że jesteście idealnym człowiekiem do tej misji.
- Dziękuję, sire. Bardzo jestem zobowiązany.
- To wasz, hm, zapal do służby. I jeszcze coś...
- Tak, sire?
- Dopilnujcie, żeby położyli was spać w pokojach gościnnych.
- Tak jest, sire. Dziękuję, sire.

Zabrzmiął stukot kopyt oddalającego się konia. Kilka sekund później brzęknął skobel i Błazen wsunął się do wnętrza.

Wejście nocą do kuchni czarownicy wymaga niezwyklej odwagi. Chyba jednak nie większej niż noszenie fioletowej, haftowanej na brzegach koszuli z aksamitnymi rękawami. Co prawda miała pewną zaletę: nie było przy niej dzwonków.

Błazen przywiózł butelkę musującego wina i bukiet kwiatów. Jedno i drugie w drodze straciło świeżość. Położył je na stole i usiadł przy gasnącym ogniu na kominku.

Przetarł oczy. Miał za sobą ciężki dzień. Czuł, że nie jest dobrym królem, miał jednak ogromne doświadczenie. Przez całe życie starał się być kimś, kim nie był. Ciężko pracował, żeby to osiągnąć. O ile wiedział, żaden z jego poprzedników tego nie próbował.

Miał mnóstwo pracy, mnóstwo do naprawienia, mnóstwo do zorganizowania...

A przede wszystkim musiał jakoś rozwiązać problem księżnej. Czuł, że słusznie zrobił, przenosząc ją do wygodniejszej celi w jednej z przewiewnych zamkowych wież. Była w końcu wdową. Powinien być dobry dla wdów. Ale dobrocią niewiele u księżnej zyskiwał; nie rozumiała jej i myślała, że to tylko słabość. Bardzo się bał, że w końcu trzeba będzie ściąć jej głowę.

Nie, królowanie to nic zabawnego. Ucieszyła go ta myśl. Przynajmniej tyle zyskał.

Po chwili zapadł w sen.

Księżna nie spała. W tej chwili była w połowie wysokości wieży, na linie ze związanych prześcieradeł. Miniony dzień spędziła wydłubując stopniowo zaprawę wokół prętów w oknie, chociaż prawdę mówiąc, przez przeciętny mur w zamku Lancre można by się przebić kawałkiem sera. Dureń! Dał jej sztucce i dużo pościeli. Tak właśnie reagują ci ludzie. Pozwalają, by strach myślał zamiast nich. Bali się jej, chociaż wierzyli, że mają ją w swojej mocy (a słabi nigdy nie mają silnych w swej mocy, nigdy naprawdę). Gdyby sama wtrąciła się do więzienia, przeżyłaby niemałą satysfakcję sprawiając, iż pożałowałyby, że w ogóle przyszła na świat. Ale oni dali jej koce i martwili się o nią.

Cóż... Wróci tu. Czekał na nią wielki świat, a potrafiła tak pociągać za sznurki, by ludzie robili to, co chciała. Tym razem nie będzie się obarczać mężem. Słabeusz!

Był najgorszy! Nie miał odwagi, by stać się tak zły, jaki był w głębi duszy, o czym wiedziała.

Wylądowała ciężko na mchu, odpoczęła chwilę, po czym z nożem w ręku przemknęła wzdłuż zamkowych murów do lasu.

Przedostanie się do granicy i tam przepłynie rzekę, a może zbuduje tratwę. Do rana będzie już za daleko, by zdolali ją odnaleźć. Zresztą wątpiła, czy w ogóle będą szukać.

Słabeusze!

Zadziwiająco szybko szła przez las. Były w nim w końcu trakty dość szerokie nawet dla wozów, a ona miała niezłe wyczucie kierunku. Poza tym musiała tylko iść w dół. Kiedy trafi na wąwóz, pójdzie z biegiem rzeki.

I nagle wydało jej się, że wokół jest zbyt wiele drzew. Wciąż widziała trakt, prowadzący mniej więcej we właściwym kierunku, ale drzewa po obu stronach rosły gęściej, niż można by się spodziewać. A kiedy próbowała zawrócić, za nią nie było już drogi. Oglądała się co chwila, na wpół oczekując, że zobaczy przesuwające się drzewa, ale zawsze stały ze stoickim spokojem, mocno zakorzenione w mchu.

Nie czuła wiatru, ale słyszała szelest liści.

- Dobrze - mruknęła pod nosem. - Niech będzie. I tak odchodzę. Chcę odejść. Ale wrócę.

Wtedy właśnie trakt doprowadził ją do polanki, której nie było tu wczoraj i nie będzie jutro - polanki, gdzie światło księżyca odbijało się od rozmaitych rogów, kłów i zwartych szeregów lśniących oczu.

Słabi zebrani razem są zapewne godni pogardy, ale księżna uświadomiła sobie, że unia silnych może stanowić poważniejszy problem.

Przez kilka sekund panowała cisza, zakłócana jedynie cichym posapywaniem. Potem księżna uśmiechnęła się, uniosła nóż i ruszyła do ataku.

Pierwsze szeregi zgromadzonych zwierząt rozstały się przed nią, a potem zwarty na powrót. Nawet króliki.

Królestwo odetchnęło.

Na wrzosowiskach, w cieniu niebosiężnych szczytów, potężny nocny chór natury ucichł. Świerszcze przestały ćwierkać, umilkły pohukiwania sów, wilki miały ważniejsze sprawy.

Jedna pieśń niosła się echem od urwiska do urwiska, grzmiała w ukrytych wysoko kotlinach, zrywała miniaturowe lawiny. Przebijała się tajemnymi tunelami pod lodowcem i traciła ostatni ślad zrozumiałości, gdy dźwięczała między ścianami lodu.

By się przekonać, co takiego jest śpiewane, trzeba by wrócić do gasnącego ognia przy stojącym głazie, gdzie rezonanse i fale przeciwnych ech ogniskowały się na niewysokiej, starszej kobiecie machającej pustą butelką.

- Łabędzia w wodzie, białego jak kreda. I tylko jeża...

- Najlepiej smakuje z samego dna butelki - oświadczyła Magrat, starając się przekrzyczeć śpiew.

- Zgadza się - przyznała Babcia i wychyliła kubek.

- Zostało jeszcze?

- Sądząc po głosie, Gytha wykończyła wszystko. Siedziały wśród pachnącego wrzosu i patrzyły na księżyc.

- No i mamy króla - stwierdziła Babcia. - Koniec kłopotów.

- Tylko dzięki tobie i Niani. - Magrat czknęła.

- Dlaczego?

- Nikt by mi nie uwierzył, gdybyście nie przemówiły.

- Tylko dlatego że nas poproszono.

- Tak, ale wszyscy wiedzą, że czarownice nie kłamią. To było najważniejsze. Wiesz, wszyscy widzieli, że są bardzo podobni, ale to mógł być przypadek. Wiesz... - Magrat zarumieniła się. - Sprawdziłam, co to jest droit de seigneur. Mateczka Whemper miała słownik.

Niania Ogg przerwała śpiew.

- No tak - powiedziała Babcia Weatherwax. - Cóż... Magrat zdała sobie sprawę, że atmosfera stała się nieco napięta.

- Powiedziałyście prawdę, tak? - upewniła się. - Rzeczywiście są braćmi, tak?

- O tak - potwierdziła Gytha Ogg. - Zdecydowanie. Byłam przy jego matce, kiedy twój... kiedy nowy król się rodził. I przy królowej, kiedy rodziła małego Tomjona. Powiedziała mi, kim jest ojciec.

- Gytho!

- Przepraszam.

Wino uderzało Magrat do głowy, ale kółka zębate w mózgu jakoś się jeszcze kręciły.

- Chwileczkę...

- Pamiętam ojca Błazna... - Niania Ogg mówiła powoli i wyraźnie. - Bardzo atrakcyjny młody człowiek. Nie zgadzał się ze swoim tatą, wiesz, ale przyjeżdżał od czasu do czasu. Zobaczyć się z przyjaciółmi.

- Łatwo nawiązywał przyjaźnie - dodała Babcia.

- Z damami - zgodziła się Niania. - Był prawdziwym atletą, pamiętasz? Wspinał się na mury jak po drabinie. Tak słyszałam.

- Był bardzo popularny u dworu - dodała Babcia. - Tyle wiem.

- O tak. W każdym razie u królowej.

- Król tak często wyjeżdżał.

- To ten jego droit. Zawsze gdzieś się z nim włóczył. Rzadko wracał na noc do domu.

- Chwileczkę - powtórzyła Magrat. Spojrzały na nią obie.

- Tak? - spytała Babcia.

- Powiedziałyście wszystkim, że są braćmi i że Verence jest starszy!

- Zgadza się.

- I pozwoliłyście im wierzyć, że... Babcia Weatherwax otuliła się chustą.

- Prawdopodobność była konieczna - wyjaśniła. - Ale nikt nie żądał uczciwości.

- Nie, nie. Chcesz powiedzieć, że król Lancre tak naprawdę nie jest...

- Chcę powiedzieć - przerwała jej stanowczo Babcia - że mamy króla, który jest nie gorszy niż większość, a lepszy niż wielu, i który nosi głowę na karku. Oraz...

- Nawet jeśli to przerywa sukcesję - rzekła Niania.

- Oraz że duch starego króla spoczął szczęśliwy w spokoju, odbyła się uroczysta koronacja, a niektóre z nas dostały kubki, do których nie miały właściwie prawa, bo były przeznaczone dla dzieciaków. Ogólnie rzecz biorąc, sprawy mogły się ułożyć o wiele gorzej niż teraz. A właśnie ułożenie spraw jest najważniejsze.

- Ale on nie jest naprawdę królem!

- Mógłby być - mruknęła Niania.

- Przecież mówiłaś...

- Kto wie? Zmarła królowa nie była dobra w rachunkach. Zresztą on nie wie, że nie jest z królewskiego rodu.

- A ty mu nie powiesz, prawda?

Magrat popatrzyła na księżyc. Przesuwało się przez niego kilka chmur.

- Nie - rzekła.

- No i dobrze. Zresztą pomyśl: ród królewski musi się od kogoś zaczynać. I

równie dobrze może się zacząć od niego. Wygląda na to, że traktuje władzę bardzo poważnie, a to więcej, niż można się spodziewać po większości z nich. Nada się.

Magrat uświadomiła sobie, że przegrała. Z Babcią Weatherwax każdy przegrywał, ciekawe było tylko, w jaki sposób.

- I tak jestem zdziwiona waszym podejściem - stwierdziła. - Jesteście czarownicami. To znaczy, że muszą was obchodzić takie rzeczy jak prawda, tradycja i przeznaczenie...

- Tu właśnie wszystko pokręciłaś - przerwała jej Babcia. - Przeznaczenie rzeczywiście jest ważne, ale ludzie myślą się sądząc, że nimi kieruje. Jest odwrotnie.

- Lecieć przeznaczenie - zgodziła się Niania. Babcia spojrzała na nią surowo.

- Poza tym nie myślałaś chyba, że łatwo być czarownicą, co?

- Uczę się - odparła Magrat. Spojrzała ponad wrzosowiskiem w stronę, gdzie nad horyzontem jarzył się wąski, czerwony pasek świtu. - Muszę się zbierać - dodała. - Wcześniej się robi.

- Ja też - zgodziła się Niania Ogg. - Nasza Shirl się dąsa, jeśli mnie nie ma, kiedy przychodzi zrobić śniadanie. Babcia starannie zdeptała resztki ognia.

- Rychłoż się zejdzem znów? - spytała. - Hm... Trzy czarownice spojrzały po sobie z zakłopotaniem.

- W przyszłym miesiącu będę zajęta - powiedziała Niania. - Urodziny i różne takie. Poza tym nabierało się pracy przez to całe zamieszanie. Same wiecie. I o duchach trzeba pomyśleć.

- Sądziłam, że odesłałaś je do zamku - zdziwiła się Babcia.

- Nie chciały wracać. A szczerze mówiąc, przyzwyczaiłam się do nich. Dotrzymują mi towarzystwa wieczorami. Już prawie nie krzyczą.

- To miło. A ty, Magrat?

- Zawsze jakoś o tej porze roku jest mnóstwo pracy, nie zauważyłaś?

- Istotnie - przyznała uprzejmie Babcia Weatherwax. - Nie warto wiązać się ścisłymi terminami, prawda? Zostawmy tę kwestię otwartą. Zgoda?

Pokiwały głowami. A potem, gdy nowy dzień rozjaśniał okolicę, trzy czarownice samotne, zajęte własnymi myślami, wróciły do domu.

Istnieje szkoła filozoficzna twierdząca, że czarownice i magowie nigdy nie mogą wrócić do domu. Ale one wróciły, mimo to.